

ISTVAN VIZVARY

VIVO



ISTVAN VIZVARY

# VIVO



GENIUS  
CREATIONS

## 1.

Wiedziony przedśmiertnym instynktem Alskopp, król smoków Drumloftu, leciał na zachód, ku horyzontowi. Powoli opadał już z sił i z trudem utrzymywał wysokość, był jednak zdecydowany zakończyć królewskie życie z godnością, w powietrzu, nie zaś w zębach rekinów. Pogrążony w modlitwie do przodków, wpatrywał się w czerni oceanu lśniąca odbiciami złotych gwiazd.

W chwili gdy w jego piersi wybuchł płomień, pomyślał, że to strzała. Zapewne podążano jego tropem, aby teraz, kiedy nie ma już sił, by się bronić, wyrównać jakieś stare, doczesne rachunki. Jakież to ludzkie. Jakie małe.

W końcu zrozumiał, że to nie atak. Właśnie ostatni raz nabrał oddechu.

Głęboko w dole zapłonęły barwne światła. Niebo zasnuło się gęstymi chmurami.

Skrzydła, niegdyś potężne, a teraz bezsilne, furkotały żałośnie, poddając się pędowi powietrza.

„To już”, pomyślał. „Czas na ostatnią prośbę”.

Do gasnącej świadomości dotarł jeszcze ostry, nieznany zapach i widok wysokich, błyszczących lustrami murów. „Oto królestwo powietrza i wiatru. Obym okazał się godny waszej gościnności, o przodkowie!”.

Śpieszący właśnie do domu Leslie Tuxington był pewien, że to olbrzymi ptak spada z przestworzy. Od chwili, kiedy światła miasta wydobyły kształt z ciemności nocy, do ciężkiego uderzenia o bruk minęły nie więcej niż trzy sekundy.

– Co to, kurwa, było? – szepnął. – Kondor?

– Nie potrafię zidentyfikować, ale kondory są dużo mniejsze – odpowiedział mu prosto do ucha asystent osobisty. – Mam wezwać muchy reporterskie? Wstępna wycena relacji osobistej to tysiąc euro.

– Jasne! Na co w ogóle czekasz? – warknął Tuxington i ruszył w kierunku cielska, które bezwładnie zaległo na jezdni Tottenham Court Road. – Szkoda, że nie spadło na jakiś samochód, ale i tak najważniejsze, że jesteśmy pierwsi.

Kiedy zbliżył się na jakieś piętnaście kroków, zamarł.

Na glosfalcie leżał smok, dokładnie taki sam jak w Drumlofcie. Błoniaste skrzydła, paszcza pełna zębów, fioletowy język wielkości dorosłego człowieka. Uderzenie o ziemię musiało złamać kark stworzenia, łeb bowiem przekreślony był względem spoczywającego na grzbiecie ciała pod wyjątkowo nieprzyjemnym kątem i rosła wokół niego czarna plama połyskliwej cieczy.

„Jeśli to podróbka, ktoś się naprawdę przyłożył”, pomyślał Tuxington. „Tak czy inaczej, mogę podejść i dotknąć tego czegoś. Raczej mnie nie ugryzie, a tysiąc euro piechotę nie chodzi”.

Wziął głęboki oddech i podszedł do cielska, otoczony rojem reporterskich much przybyłych na wezwanie asystenta.

Cuchnęło. Jak w pawilonie tygrysów, tylko dużo ostrzej. I cierpko, jakby ktoś wylał kwas na jezdnię.

Zamknął oczy i wyciągnął dłoń.

Skóra była ciepła i sucha. Szorstka.

„Jak prawdziwy. To niemożliwe”.

– Trochę wyżej! – powiedział ktoś ostrym, rozkazującym tonem. – I nie tak mocno!

Wystraszony Tuxington otworzył oczy.

– Tylko nie to! – jęknął. – Moje tysiąc euro!

Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. Głos musiał dochodzić zza cielska.

Ostrożnie, żeby nie pośliznąć się w czarnej kałuży, obszedł łeb smoka. Ujrzał dwoje ludzi zajętych rozcinianiem brzucha bestii. Facet i dziewczyna – on koło pięćdziesiątki, ona dużo młodsza. W rękach trzymali przedmioty wyglądające na prymitywne noże. Pomiedzy nimi stał towarowy wózek.

– Co tu robicie, do jasnej cholery?! – krzyknął Tuxington.

Nie odpowiedziawszy nawet słowem, wrócili do swojego zajęcia.

„Czyżby obcokrajowcy?“, pomyślał. „A przecież mówili po angielsku!“.

Wściekły, z sercem tłukącym się w piersi, ruszył dziarskim krokiem ku obcym.

– To mój smok! Miałem dostać za relację tysiąc euro! – wrzasnął dziewczynie prosto do ucha.

– Nie rozumiecie?

Spojrzała na niego.

W pierwszej chwili zignorował błysk i charakterystyczny śwąd palonej elektroniki. Jednak kiedy dziewczyna zaczęła mruczeć rytmicznie niezrozumiałe słowa, wpatrując się w jego oczy, zrozumiał, że ma do czynienia z wariatami. Właśnie unieszkodliwili tkankę w promieniu kilkudziesięciu metrów, niszcząc przy okazji wszystkie muchy reporterskie i trzmiele monitorujące. Te jego również. Został sam na sam z dwójką obcokrajowców, w środku nocy, bez ani jednej kamery, z której obraz mógłby zaalarmować policję lub choćby wścibskiego sąsiada.

– Arma tertutsi gwen! – wrzasnęła dziewczyna i wypchnęła przed siebie uzbrojoną w kamienne narzędzie rękę. Tuxington poczuł gorący ból rozlewający się po brzuchu. Otworzył usta do krzyku, wydobył się z nich jednak jedynie suchy kaszel.

– Spieprzyłaś! – warknął mężczyzna. – Pośpiesz się, musimy przynajmniej uratować wątrobę!

Nogi ugięły się pod Tuxingtonem. Zachwiał się i osunął na gładki asfalt. Oparty o cielsko smoka, z trudem chwytając boleśnie płytkie oddechy, patrzył, jak dwójka szaleńców odrzuca na bok olbrzymi płat skóry, rozcina błyszczące mięśnie, a w końcu wydobywa coś wyglądającego jak kurcząca wątróbka powiększona do rozmiarów krowy. Dłużyło się to wszystko w wypełnioną bólem, mroczną nieskończoność. Co jakiś czas rozjaśniała ją tylko myśl, że jeśli dotąd nie pojawiły się służby odpowiedzialne za naprawę tkanki, nie mogło upłynąć chyba więcej niż kilka minut. Być może i jego uratują.

– Odcinaj ostatnią! – zakomenderował mężczyzna i z obrzydliwym mlaśnięciem wątroba opadła na wózek. – Mamy jeszcze minutę.

Dziewczyna rzuciła się biegiem w dół ulicy i chwilę później tuż obok Tuxingtona zaparkował furgon z otwartymi już drzwiami ładowni.

– Zostawiamy go tak? – zapytała dziewczyna, przypinając wózek do haka wciągarki.

– Nie ma mowy, widział nas – padła odpowiedź. – Na pakę go!

Tuxington zamknął oczy. Nie zamierzali darować mu życia.

„Gdzie jest policja, kiedy jej naprawdę potrzeba?“, pomyślał zaskakująco trzeźwo. „Gdzie są cholerne gliny?“.

Silne ręce chwyciły go pod pachami. Delikatny zapach perfum podpowiedział mu, że to dziewczyna wciąga go do furgonu. Poczul ścianę pod plecami i drzwi ładowni zamknęły się.

Otoczył go odstręczający, żelazisty odór.

„Jakby ktoś rozlał beczkę krwi“, pomyślał i zapadł się w ciemność.

## 2.

Diana Whitmore była w dziewiątym niebie, zupełnie jak w piosence Johna Lennona.

– Jesteś najlepszym kochankiem na świecie, John – szepnęła, gdy w końcu złapała oddech.

Lennon uśmiechnął się, nic jednak nie powiedział. Przytulił ją tylko mocniej, dalej pozostając wewnątrz. Tak jak lubiła.

Tak jak kochała.

– Napisałeś dla mnie coś nowego? – spytała, kiedy już siedzieli owinięci w białe, grube szlafroki na tarasie jej domu w Greenwich. – Ponoć to najgorętszy kwiecień od dwa tysiące pięćdziesiątego drugiego. I znów ma nie padać.

– Jestem aż tak stary? – jęknął z teatralną rozpaczą Lennon. – Oczywiście, że napisałem. Chcesz posłuchać?

Skinęła głową, choć w głębi była rozdarta. Do odjazdu zostało już tylko pół godziny i chętnie zaciągnęłaby go z powrotem do łóżka lub nawet zrobiła to tutaj, na tarasie. Jednak piosenek też potrzebowała. Dźwięczały jej potem w głowie, śniły się po samotnych nocach i dawały siłę w chwilach, gdy była zdana wyłącznie na siebie. Były namiastką Johna.

*I had some problems lately*

*I saw a shrink today*

*But I just can't believe in*

*The things he had to say*

*He's said it was enough*

*To really want to heal*

*But still I can't believe*

*The number on the bill*<sup>1</sup>

Słuchała z zamkniętymi oczami i wyobrażała sobie, że odjeżdżają razem. Wsiadają w samolot, jadą do jego mieszkania w Nowym Jorku i już nigdy, przenigdy się nie rozstają. John ma dla niej codziennie nową piosenkę, a każda rozwiązuje jakiś jej problem. Jak teraz, kiedy magicznie odgadł, że nosiła się z zamiarem pójścia do psychiatry. Nie chciała obarczać go takimi błahostkami, a przecież i tak się domyślił.

Ostatni akord zlał się w jedno z grzmiotem samolotu, który przekraczał barierę dźwięku gdzieś nad ujściem Tamizy. Kiedy wybrzmiał, policzki Diany były mokre od łez.

– Musisz jechać? – spytała, nie odwracając się do Lennona.

– Wrócę za tydzień, obiecuję.

– Dziękuję za piosenki. I za wszystko inne też – szepnęła i otworzyła oczy.

Jej prawdziwy dom w Greenwich wyglądał dokładnie tak samo, jak ten odtworzony w świecie vivo. Nawet rośliny rosły w nim takie same, żeby jak najmniej uwagi poświęcała detalom. Chciała się skupić na Lennonie. Wyłącznie na nim.

Wstała z fotela vivo i poszła do łazienki.

– Czy w rzeczywistości też jestem tak kiczowato łzawa jak tam? Już wolałabym raczej wyglądać tak samo. Nie taka stara raszpla – powiedziała, zrzucając z siebie biały szlafrok, identyczny jak

ten, w którym jej sobowtórka jeszcze przed chwilą siedziała z Johnem Lennonem. – Nie uważasz, że lewa trochę opada?

– Piers? – spytał asystent. – Obie są w doskonałej formie, ale mogę zamówić ekspresowe reno, jeśli sobie życzysz.

– Chyba życzę. – Diana uniosła ręce nad głowę. – Ale nie ograniczaj się do cycków, wszystko trochę podciągnijmy.

– Umówić cię na siódmą rano? Jest wtedy promocja w twoim ulubionym salonie.

– Ile?

– Trzyście procent.

– Niech się wypchają. Na dwunastą. Z wybielaniem! I zadzwoń po Karola, kiedy skończę się myć! – poleciła.

– Jaka kąpiel? Pobudzająca? – upewnił się asystent.

– Tak, potrzebuję na chwilę przestać myśleć o Johnie. Bathory gotów pomyśleć, że to przez niego mam taki głos.

Stała w strugach wody z kulturami myjącymi i oddychała głęboko. Im bardziej próbowała nie myśleć o Johnie, tym intensywniej o nim myślała. I z coraz większym trudem powstrzymywała prośbę o odegranie z powrotem całego ostatniego spotkania.

– Kurwa! – wrzasnęła w końcu. – Nie mów mi, że naprawdę jestem uzależniona!

Asystent nie odpowiedział, tylko zmniejszył temperaturę wody. Diana pisnęła, ale posłusznie poddała się doraźnej terapii, zaciskając zęby i pięści. Mięśnie krzyczały, napięte w proteście przeciwko bolesnemu zimnu.

Gorący nawiew włączył się dokładnie w chwili, kiedy miało zabraknąć jej cierpliwości.

– Skąd wiesz, kiedy przestać? – spytała asystenta. – Jeszcze sekunda i zaczęłabym wrzeszczeć.

– Obserwuję napięcie mięśni mimicznych. Wytłumaczyć dokładniej?

Machnęła ręką.

– Co z Bathorym? – zapytała, przechodząc do garderoby.

– Myślałem, że chcesz się najpierw ubrać.

– Dobrze myślałeś, ale i tak nie włączaj wizji – odparła, przeglądając ubrania w poszukiwaniu zielonego kostiumu, który drukowała nie dalej niż trzy dni wcześniej.

Minutę później była gotowa.

Usiadła na kanapie i dała asystentowi sygnał ręką. Karol Bathory odebrał niemal natychmiast.

– Dzień dobry, Diano! Jak tam twoje spotkanie?

– Skończone, niestety – odpowiedziała. – Ale muszę cię pochwalić. Piosenki Johna wpasowały się idealnie w ostatnie tematy.

– Staram się, jak mogę.

– Wyślij mi tamte trzy, które u mnie zaśpiewał – poleciła Diana, ignorując przymilny ton Bathorego. – I nasze powitanie, ale to już do ramki w sypialni.

– Tylko piosenki i jeden obraz?

Niemal zobaczyła lepki uśmiech Bathorego.

– Po co pytasz? – warknęła zirytowana. – Masz mnie za narkomankę?

– Skąd! Tylko się upewniam. Twój związek z Lennonem z pewnością nie należy do tych zagrożonych uzależnieniem.

– Daruj sobie pochlebstwa. A teraz posłuchaj: chcę, żebyś nakierował Johna na Japonię.

– Dokąd ma polecieć? Jakies konkretne miasto? Region?

– Nie, nie. Żadnych lotów. Ostatnio zaczęłam zbierać trochę różnych rzeczy. Obrazki, figurki.



Chcę, żeby on też to robił.

– Japońskie rzeczy?

Przytaknęła bezgłośnie.

– Diana?

– Tak, japońskie. Zapomniałam, że nie jesteśmy na wizji.

„I nie uśmiechaj się tak”, dodała w myślach. „Jestem ubrana, jak zawsze”.

– Chcesz mieć z nim wspólne hobby, tak? – zapytał Bathory. – Temat rozmów. I piosenek.

– Mniej więcej.

– Może jednak wołałabyś, żeby tam poleciał i osobiście przywiózł ci jakieś pamiątki? Wiesz, kupione z myślą o tobie. Może skrobnąłby przy okazji jakieś ciekawe piosenki?

„Tak, doskonały impresario zna nie tylko swojego artystę, ale i klienta”, pomyślała. „Szkoda, że musi być przy tym oblesny”.

– Niech będzie – westchnęła po dłuższej chwili udawanego namysłu. – Tylko biznesem: pamiętaj, że John ma sto dwadzieścia lat.

– Jasne. Za pół godziny może lecieć z Londynu. Rodman by go odwiózł, też jedzie na Heathrow.

– Rodman? – zdziwiła się Diana. – Terapeuta z Sydney? Zresztą nieważne. I jeszcze jedno: piosenek się nie skrobie, tylko komponuje. To Lennon, nie jakiś wirtualny śpiewaczyna.

– Przepraszam, masz rację.

– Wiem. Do usłyszenia.

Asystent posłusznie rozłączył rozmowę.

– Daj znać, jak będą już piosenki – poleciła mu Diana. – I od razu włącz tę o rozstaniu.

Wyszła na werandę i usiadła na fotelu, takim samym, w jakim pół godziny wcześniej siedziała w innym świecie z Johnem Lennonem inna Diana Whitmore. Ta piękniejsza, bystrzejsza i przede wszystkim szczęśliwsza. Albo po prostu szczęśliwa.

– Jak ja ci, suko, zazdroszczę! Tak naprawdę cię nie ma, ale masz wszystko. Ja jestem, ale mam tylko siebie. Co za cholerna bzdura!

Daleko nad ujściem Tamizy samolot przekraczał barierę dźwięku.

Kiedy grzmot wybrzmiał do końca, policzki Diany były mokre od łez.

---

<sup>1</sup> *Problemy mam ostatnio/ Z lekarzem więc od głowy/ Spotkałem się, by dał mi/ Na życie pogląd nowy  
Z sensem powiedział tylko/ Że starczy mocno chcieć/ Wziął za to tyle kasy/ Jak gdybym zmieniał płęć (tłum. autora).*



### 3.

Leslie Tuxington umierał już dziesiątą godzinę. Cały ten czas trwała u jego boku Zoe, dziewczyna, która pchnęła go nożem.

– Powinien dawno nie żyć. Prawda, Stan? – spytała, wpatrując się w pokrytą grubymi kroplami potu twarz swojej ofiary.

Mężczyzna stojący przy oknie ledwo dostrzegalnie kiwnął głową. Patrzył na zieloną papugę, siedzącą na gałęzi wysokiej jukki.

– Tak myślę – powiedział cicho.

– To przez Alskoppa? Przez duszę?

Wzruszył ramionami.

– Trzeba by go zbadać – powiedział. – Jeśli tylko uszkodziłaś mu przeponę, może pewnie umierać kilka dni i Alskopp nie ma z tym nic wspólnego. Jeśli przebiłaś opłucną, to już dawno powinien umrzeć. Wtedy gorzej.

Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę.

– Bardziej martwi mnie, że mogliśmy ominąć w pośpiechu jakieś drobne płaty. – Wskazał odległy róg salonu. Pod wysoką kryształową kopułą spoczywała wątroba, którą dziesięć godzin wcześniej wycieli z ciała Alskoppa, króla smoków Drumloftu. Brunatna, miejscami tylko różowiejąca masa wydzielala błękitny opar, skraplający się na wewnętrznej ścianie kopuły i spływający w dół gęstymi, drobnymi kroplami.

– Co wtedy?

– Nie mam pojęcia. Kiedykolwiek w Drumlofcie zdarzyło się rozdzielenie wątroby, fragmenty duszy próbowały się połączyć.

– Myślisz, że kiedy przyjdzie do siebie, będzie próbował zniszczyć kopułę? Na nożu mogły być krople płynu. Jakaś część duszy mogła w niego wnikać.

– Bardziej martwię się o to, co mogło tam zostać. Na Tottenham Court – odpowiedział Stan.

– Sprawdzisz, co tam nasi kochani vivaro?

Zoe klasnęła dwa razy i ściana projekcyjna rozjarzyła się złotawym blaskiem.

– Pokaż Tintina! – poleciła.

Na podłogę salonu, wyglądającą teraz jak gładki, zstąpił mocno posiwiały Afrolondyńczyk w fioletowej, połyskliwej marynarce.

– To, co państwo widzą, to zwłoki króla smoków przeniesione tutaj prosto z Drumloftu! – krzyknął, posyłając w powietrze mgiełkę śliny i wskazując za siebie. Spoczywało tam ciało Alskoppa, pozbawione większości skóry i mięsa. Splątane jelita rozlewały się po jezdni połyskującymi, śliskimi zwojami. – Oficjalne rządowe stanowisko to mieszanina majaczeń o gigabiodruku, spisku antyroyalistów i prowokacji neoluddystów. Wiemy jednak na podstawie badań w niezależnych laboratoriach, że tkanki nie zostały wyprodukowane w żadnej ze znanych technologii. W moim ulu informacyjnym umieściłem już raport o nieznanach aminokwasach w strukturze białkowej oraz o kwasach tłuszczowych niespotykanych w żywej tkance naszego świata. Co najważniejsze, w ciele Alskoppa nie ma nawet śladów DNA. Czy można prosić o

lepszy...

– Prosimy państwa o rozejście się i nieutrudnianie pracy służbom! – przerwał mu wzmocniony megafonami kobiecy głos.

Pomiędzy Tintina a pozostałości ciała Alskoppa wpłynęła nieduża platforma, podobna do tych, jakimi zwykły posługiwać się służby ratunkowe w czasie większych imprez. Stała na niej wysoka, chuda kobieta o absurdalnie szerokich biodrach i długich czarnych włosach. W rękach trzymała coś brunatnego i połyskującego wilgotno.

– To wątroba? – zapytała Zoe.

– Tak, na pewno. Przypatrz się fałdom sukni.

Czarną, matową materię pokrywały opalizujące błękitem plamy.

– To Jennifer Wren, komendantka policji Londynu – wyjaśnił asystent Stana.

– Prosimy nie poddawać się prowokacjom wicherzycieli! – krzyczała Wren. – Znalezisko nie nosi żadnych znamion pozaziemskości! Udowodnię państwu!

Z tymi słowami wgrzyła się w wątrobę.

Żuła przez chwilę i przełknęła z wyraźnym zadowoleniem.

– To po prostu wołowina. – Głos policjantki poniósł się echem po ulicy i salonie. – Ustaliliśmy już, że instalacja jest dziełem jednej z firm mięsnych z okręgu Leeds. Winni zakłóceniu porządku zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, ale nie zmienia to faktu, że tak naprawdę mamy do czynienia z dziwacznie wyglądającą krową.

Tintin, na którego napierała platforma Wren, odsunął się na chodnik. Transmisja została przerwana.

– Muszę to sobie jakoś wszystko podsumować – stwierdził Stan. – Wren zjadła wątrobę i jest prawdopodobne, że wkrótce będziemy ją mieli na karku, bo dusza będzie próbowała się połączyć w całość. Musimy zatem przygotować się do przeprowadzenia rytuału czterech ziół. Jeśli policjantka nie uspokoiła ludzi swoim popisem, miasto będzie w stanie co najmniej lekkiego niepokoju, co tylko nam pomoże. Zamieszki byłyby jeszcze lepsze. Dodatkowo możemy się też spodziewać jakichś zakłóceń w innych vivo, spowodowanych transferem tak wielkiej masy. To też może odciągnąć od nas uwagę.

– Może się też okazać, że akurat ta część wątroby, którą przegapiliśmy, była bez znaczenia – stwierdziła dziewczyna.

– Wątpliwe, lecz i tak mogło się zdarzyć. Musimy obserwować kolor płynu na ściankach i przygotować się do zdobycia ziół. A jeszcze wcześniej znaleźć lekarza, żeby zbadał Tuxingtona. Sam nie wiem, co jest trudniejsze. Zwłaszcza że musimy się spieszyć.

Stan pogrążył się w milczeniu, drapiąc się nerwowo po uchu. Dziewczyna wiedziała, że oznacza to intensywne rozmyślanie nad jakimś niezupełnie legalnym pomysłem.

– Będę potrzebował twojej pomocy – stwierdził w końcu.

– Co mam zrobić?

– Spróbuję ściągnąć na naszą ulicę najbliższy samochód z lekarzem na pokładzie. Mężczyzną. Ty przekonasz go, żeby obejrzał Tuxingtona.

– Na pewno rozpozna, że biedak leży tak od dziesięciu godzin.

– Znalezliśmy go.

– Sam się pchnął?

– Nie sam. Jakiś bandyta. Wymyślisz coś, jesteś w tym dobra. Ja muszę poszukać samochodu z kimś odpowiednim. Chwilę mi to zajmie, zwłaszcza jeśli nie będzie chciał przyjechać tu po dobroci.

#### 4.

Taksówka z Lennonem ruszyła, gdy tylko Diana zniknęła za furtką swojego domu w Greenwich. Oprócz piosenkarza w pojeździe siedział też jego przyjaciel Mark Rodman, psychiatra.

– Twoja dziewczyna wyglądała, jakby bała się, że już nie wrócisz. Żegnaliście się chyba z kwadrans – stwierdził. – Byłem pewien, że będzie machać chusteczką, dopóki nie znikniemy za zakrętem.

– Nie ma mowy. Diana to godność wcielona – zaśmiał się Lennon. – Po prostu nie lubi, jak latam.

– No tak, Tokio to właściwie już na Księżycu.

Lennon spojrzał uważnie na przyjaciela.

– Może ma wyrzuty sumienia – powiedział, otwierając lodówkę. – Gdyby samolot spadł, byłoby na nią. W końcu to ona mnie zaraziła. Cały dom ma w tych ich obrazkach tuszem. Drzeworyty, staloryty, bambusoryty. I wszędzie to bonsai. Chcesz piwa?

Rodman wyciągnął rękę po butelkę.

Zanim zdążył ją odkręcić, taksówka zakołysała się i stanęła.

– Awaria podwozia i lewego reflektora – oznajmił szofer głosem radosnego imbecyla.

Rodman westchnął.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał, wyglądając przez okno. Otaczały ich domy przypominające ten Diany Whitmore, tylko znacznie mniejsze.

– W Greenwich – odparł szofer. – Dwadzieścia osiem koma trzy kilometra od celu podróży, proszę pana. Zamówić panom pojazd zastępczy?

– Pieszo raczej nie zdążymy przed odlotem – stwierdził Lennon. – Zamów, a my tymczasem rozprostujemy kości. Podróżujemy już trzy minuty i zdążyliśmy nielecho zdrętwieć.

Wysiedli.

Lennon oparł się o taksówkę i zapalił papierosa. Rodman zagapił się na pokryty żółtymi kwiatami krzak.

– Mamy w Australii podobne – stwierdził. – Też takie paskudne.

– Czy pan jest lekarzem? – zapytał krzak dziewczęcym głosem.

Rodman zeszywniał i rozejrzał się podejrzliwie.

– Mark, krzew cię o coś pytał – powiedział Lennon. – Odpowiedz. Może potrzebuje porady.

– John, na miłość... – jęknął psychiatra.

– Martwisz się, że mówią do ciebie krzaki? Kiedyś rozmawialiśmy z windą, wiesz, Ringo i reszta bandy. Utknęliśmy po drodze na imprezę.

Rodman machnął tylko ręką. Nigdy nie potrafił rozpoznać, która z historii o Beatlesach jest prawdziwa, a które Anglik zmyśla na poczekaniu.

– Pojazd zastępczy podjedzie za cztery minuty, panie Rodman – oznajmił szofer. – Do tej pory mogą zaferować panom drinki na koszt kompanii.

– A jednak to pan jest Markiem Rodmanem! Lekarzem! – wrzasnął krzak i zatrzęsł się.

Wyskoczyła z niego niewysoka dziewczyna. – Pilnie potrzebujemy pana pomocy.

– Kto?

– Ja i mój chłopak. – Wyciągnęła rękę w kierunku krzaka.

– No tak, chyba rzeczywiście będziesz mógł pomóc – stwierdził Lennon. – Jak nazywacie w lekarskiej łacinie przekonanie, że jest się partnerką odrażającego krzaka?

– Tam w domu jest mój chłopak! – krzyknęła dziewczyna. – Dusi się. Naprawdę potrzebujemy pomocy!

– Leć już! – powiedział Lennon. – Popilnuję ci walizki.

– Błagam! – Dziewczyna złapała Rodmana za rękaw.

Pobiegli.

Skręciła w pierwszą furtkę po lewej, Rodman za nią.

Wyłożona granitowymi płytami ścieżka wiodła do drzwi dwupiętrowego domu, ale poszli trawnikiem na tył budynku.

W altanie, zajmującej większą część obsadzonego wysokimi jukkami i cyprysami ogrodu, leżał blady mężczyzna ze sporą czerwoną plamą na koszuli. Obok niego stał niewysoki człowiek w garniturze.

– Jestem lekarzem – powiedział Rodman, pochylając się nad rannym. – Jest panu zimno?

Mężczyzna nie zareagował.

Rodman rozpiął jego koszulę i próbował skupić się na choćby pobieżnej diagnozie, jednak rozpraszały go obawy, że przyjdzie mu słono zapłacić za australijską prostoduszność. Poniżej żeber skóra mężczyzny rozstępowała się w gładkim nacięciu, ukazując błyszczącą jamę otrzewnej, również rozciętą, tak samo zresztą jak gruby mięsień przepony i płuco ponad nim. Rana była niemal czysta, jakby doskonale ją skauteryzowano. „Czyściutko, zupełnie jak preparat anatomiczny”, pomyślał.

– Ledwo oddycha, ale nie ma krwotoku – stwierdził w końcu. – To pewnie odma albo coś w tym rodzaju.

– To nie wie pan? – spytał mężczyzna w garniturze.

– Jestem psychiatrą. Internę miałem na pierwszym i drugim roku studiów.

– Ale może mu pan pomóc?

– Niestety, zostawiłem cały zapas xenodepresyny w domu.

– Pytam poważnie.

– Mówię poważnie – powiedział Rodman. – Proszę najpierw powiedzieć mi, co tu się dzieje. Spróbuję pomyśleć, co jestem w stanie zrobić.

– Jasne – powiedział mężczyzna. – Nazywam się Stan Odolsky. Jestem profesorem afrykanistyki.

– W tej kwestii na szybko nie pomogę. Skupmy się na problemach rannego.

Odolsky zarumienił się.

– Został pchnięty rytualnym nożem – powiedział. – Jakies dziesięć godzin temu.

– To jakiś afrykański obrzęd? – zapytał Lennon, który postawiwszy walizki na trawniku, przysłuchiwał się rozmowie.

– To rytuał błagalny z Drumloftu.

– U nas, w Nowym Jorku, rytuał błagalny z użyciem noża nazywamy zdecydowanym żądaniem – stwierdził Lennon. – Mam tylko nadzieję, że zapamiętali państwo rysopis napastnika. Swoją drogą, policja w Nowym Jorku zawsze wręcza drobne upominki naocznym świadkom. To bardzo miły zwyczaj.

Rodman nie odzywał się, patrzył tylko na rannego mężczyznę, który jakimś cudem żył od dziesięciu godzin, choć dawno już powinien być martwy.

– To ja go pchnęłam – szepnęła dziewczyna, spuszczać oczy.

– Zoe, moja partnerka naukowa – przedstawił ją Odolski. – Proszę jej pochopnie nie osądzać. Usiłowała przebłagać duszę Alskoppa, smoka z Drumloftu, który dziś rano wylądował i umarł na ulicy Tottenham Court w Londynie. Wycięliśmy z Zoe jego wątrobę.

– Wątrobę tego afrykańskiego smoka, tak? – zapytał Rodman. Przypomniał sobie właśnie, jak leczy się odmę otwartą, i zastanawiał się, jak długo będzie trwało drukowanie opatrunku Ashermana, a potem sterylizacja.

– Wątroba jest siedliskiem duszy smoków z Drumloftu, proszę pana – odpowiedział Odolski.

– Według moich teorii, a teraz już także badań praktycznych, również w Londynie. Wie pan, jakie mogą być skutki nieopanowania gniewu przez duszę smoka?

– Widziałem kiedyś kilka wkurwionych krokodyli, ale to pewnie nie to samo.

– O ile skutkiem ich irytacji nie był wybuch podobny do termojądrowego, rzeczywiście nie bardzo można to porównywać.

– Krokodyle potrafią wybuchnąć, jeśli poleżą trochę martwe w upale. Jeśli rozbryzg trafi w oko, grozi to botulizmem i śmiercią.

– Ja mówię serio, panie Rodman – powiedział Odolski.

– Ja również – odparł Rodman. – Potrzebuję waszej drukarki. Spróbuję skonstruować opatrunek Ashermana tak, żeby nie wyglądał jak opatrunek Ashermana. Może dzięki temu nikt nie domyśli się, że trzymacie tu rannego człowieka, zamiast oddać go do szpitala, a siebie w ręce wymiaru sprawiedliwości. I jeszcze prosba: w razie gdybyście i mnie zamierzali potraktować rytualnym nożem, prosiłbym o bardziej precyzyjne cięcie. Wolałbym nie dusić się godzinami przed śmiercią, jak ten nieszczęśnik.

– On umrze? – Zoe zdawała się szczerze zmartwiona.

– Mam nadzieję, że nie. Postaram się mu pomóc.

– Proszę za mną – zakomenderował Odolski, ruszając w kierunku domu. – Zoe, zostań z panem Tuxingtonem!

Kiedy weszli do kuchni, wskazał na konsolę drukarki.

– Proszę bardzo.

Rodman przez dłuższą chwilę przeszukiwał spis materiałów, a potem wybrał do druku plastry samoprzylepne, trzy kółka zębate, grubą folię, siedemdziesiąt kuleczek z tworzywa, gumową kaczuszkę wysokości dwóch cali i pizzę quattro formaggi.

– Potrzebne są nawet kółka zębate? – zdziwił się Odolski.

– Nie, pizza też nie. Ważne są plastry i folia. Kulki i kółka dla zmylenia Wielkiego Brata.

– A kaczuszka?

– Kupuję zawsze jedną na wakacjach na lotnisku, rodzaj pamiątki. Mam już siedemdziesiąt trzy. Tym razem nie zdążyłem kupić żadnej, bo ktoś porwał moją taksówkę, dlatego jestem zmuszony nadużyć gościnności i poczęstować się proszkiem do drukarek. Padło na pana.

Kiedy do niszy wpadły plastry i folia, Rodman zabrał je i umieścił w sterylizatorze do naczyń.

– Nie zamówiłem jałowych, żeby nikt tam – wskazał bliżej nieokreślony kierunek – nie pomyślał przypadkiem, że zakładamy tutaj komuś pieczęć Ashermana.

– To nielegalne? – zdziwił się Odolski.

– Sam opatrunek pewnie nie, ale ukrywanie jego potrzeby jest co najmniej podejrzane.

Odolski nie odpowiedział, tylko podał mu kaczuszkę. Była jeszcze ciepła.

- Pizza będzie zaraz – dodał, spoglądając na panel drukarki. – Za trzy minuty.
- Dziękuję. A co to?
- Pana kaczuszka – odparł Odolsky, zdziwiony.
- Mam na myśli tamten wielki kawał mięsa pod kloszem – wyjaśnił Rodman, wskazując w głąb salonu. – Musi być tego ze trzysta funtów.
- Dwieście. To właśnie wątroba Alskoppa.
- Kruszeje?
- Destyluje się. Na wnętrzu kryształowej kopyły osiada błękitny płyn, nośnik duszy. Skraplając się, spływa do zbiorniczka, w którym przetrzymamy go tak długo, aż się utleni i dusza nie będzie już mogła się z nim wiązać. Według naszej wiedzy przestanie wtedy być niebezpieczna.
- I Londyn będzie uratowany. To pizza? – zapytał Rodman, słysząc melodyjny dźwięk, który rozbrzmiał w kuchni.
- Nie.
- No trudno. – Psychiatra umył ręce i sięgnął do sterylizatora po folię i plastry. – Oby nie ostygła do czasu, kiedy skończę pracować.
- Wolał na razie nie zastanawiać się, jak stąd uciekną.

## 5.

Odkąd ojciec Lizy Trommer zmartwychwstał, widywał się z córką co najmniej raz w tygodniu. Najczęściej u niego, w posiadłości Forever pod Londynem, czasami zaś w jej domu, który odwzorowano w vivo równie dokładnie, co cały Londyn. Nie były to spotkania przepełnione czułością czy głębokim zrozumieniem, raczej błahymi pogawędkami. W ankietach ewaluacyjnych domu spokojnej starości Forever Liza niezmiennie powtarzała, że stosunki z ojcem poprawiły się od czasu jego zamieszkania tam.

„Nareszcie”, dodawała w myślach. „Szkoda, że dopiero po jego śmierci”.

Teraz, w autobusie, który dziesięć minut temu miał dowieźć ją na Tottenham Court, a tylko wisiał w korku, wspominała ostatnie spotkanie z ojcem. Nie odzywała wizyty z zapisów vivo, tylko zwyczajnie odtwarzała w pamięci. Łąkę nad brzegiem Tamizy, kanapki przyszykowane przez panie z kuchni, pensjonariuszki Rodezji, sąsiedniego domu, które machały im ze swoich łodzi wiosłowych.

– Zastanawiam się nad przeniesieniem się do ciebie – powiedziała, kiedy wstawali z trawy i składali koc. – Jeszcze nie dziś, ale wkrótce.

– Czyżbyś była zmęczona tym całym krawiectwem? – W głosie ojca nie było nawet cienia złośliwości, co nie przestawało jej dziwić. Od dwudziestu dwóch lat i trzech miesięcy, odkąd pierwszy raz odezwał się do niej w Forever.

– Mam coraz mniej klientów – odparła. – Ludzie wolą drukować ubrania. Dla mnie zostają wyłącznie zwariowani starszaki. I fetyszyści. Mało pieniędzy, satysfakcji jeszcze mniej.

– Jeśli będziemy mieli osobne pokoje, nie powinniśmy się zagryźć. – Ucałował ją na pożegnanie. – Choć wydaje mi się, że mimo wszystko za wcześnie na ciebie. Jesteś jeszcze młoda.

Patrzyła za nim, jak odchodził z koszem piknikowym w jednym ręku i kocem w drugim. Hans Trommer, lat dziewięćdziesiąt dwa, licząc od dnia narodzin. Albo dwadzieścia dwa, jeśli od zmartwychwstania. Lub siedemdziesiąt, jak w chwili śmierci, biorąc pod uwagę, że nie wyglądał, jakby postarzał się choć o jeden dzień.

– Proszę państwa, będziemy lądować przed stacją końcową. – Z zamyślenia wyrwał Lizę aksamitny głos pokładowego asystenta. – Policja zdecydowała się nie udostępniać przestrzeni nad Tottenham Court przez najbliższą godzinę. Prosimy o nieodpinanie pasów aż do otwarcia drzwi.

Liza westchnęła i wyjrzała przez okno. Opadali. Jakies pięćdziesiąt metrów od nich na ulicy leżał olbrzymi krokodyl, zdeformowany w niepokojący, niezrozumiały sposób. Unosiły się nad nim roje reporterskich trzmieli i much. Policyjne drony zawisły dyskretnie na skraju parku, przyglądając się tłumkowi gapiów, który zgromadził się wokół niecodziennego, nawet jak na Londyn, zjawiska. Wewnątrz odgradzonej taśmą przestrzeni uwijali się ludzie w kombinezonach.

– Co tam się dzieje? – Liza spytała swojego asystenta, odwracając wzrok. Czasami nie rozumiała tego miasta.

– Służby miejskie przygotowują się do usunięcia nielegalnej bioinstalacji. Nitroalgi drukowane



na kalcifeksach.

– Rzeźba krokodyla?

– Można tak powiedzieć – przyznał. – Chociaż dementowane wiadomości spekulują o smoku z Drumloftu.

– Drumloft? Co to? – Zdążyli opaść na tyle nisko, że krokodyla nie było już widać zza innych zmuszonych do lądowania pojazdów.

– Popularny rozrywkowy świat vivo, zaludniony nie tylko przez ludzi, ale też istoty w rodzaju smoków i krasnoludów.

Liza wzruszyła ramionami. Z trudem przyszło jej zaakceptować samo istnienie vivo wraz z pomysłem, żeby traktować osoby tam żyjące jak prawdziwe. Pomysł drukowania na londyńskich ulicach rzeźb smoków wydawał się nawet niewart drugiej myśli.

– Ile czasu zajmie mi droga? – spytała asystenta, wysiadając.

– Dwadzieścia minut, nie musisz się spieszyć. Poprowadzić cię?

– Dam sobie radę. Prosto i potem w prawo, tak?

Nie odezwał się, czyli miała rację. Chodnik zawężono do połowy jarzącą się zielono taśmą, zaś kilku policjantów przy pomocy trzmieli pilnowało, żeby gapie stali w wyznaczonych miejscach na jezdni, nie tamując ruchu pieszych. Liza szła szybko, zdecydowana nie poświęcić rzeźbie nawet jednego spojrzenia.

Do odwrócenia głowy zmusiło ją uczucie bycia obserwowaną. Przez chwilę walczyła z odruchem, w końcu jednak spojrzała z miną, którą przybierała zwykle w odpowiedzi na zaczepki nachalnych wielbicieli pełnych kształtów.

Spodziewała się kogoś z męczyzn w kombinezonach, jednak nie był to żaden z nich. Z olbrzymiej głowy patrzyło na nią oko, wielkie niczym koło terenowego samochodu. Zimne, błękitne, jak u kota. I matowe, jak u łososia, którego dawno, dawno temu widziała na straganie. Z pewnością nie mogło należeć do krokodyla, nawet gigantycznego.

– Nitroalgi są żywe, prawda? – spytała asystenta, przyspieszając kroku.

– Tak. To zmodyfikowane genetycznie sinice. Twórca: James Dwight. Powiedzieć więcej?

– Nie, nie.

„Po prostu to oko wygląda zupełnie jak żywe”, pomyślała. „W każdym razie niedawno żywe”.

Pierwszy klient, którego spodziewała się tego dnia, nazywał się Alfred Ulver. Jego poprzedni krawiec przeniósł się ostatnio do Forever, musiał więc znaleźć kogoś nowego.

Asystent Lizy wywiedział się trochę o tego Ulvera. Wizytówka twierdziła, że jest „tradycyjnym psychiatrą, zajmującym się osobami, które nie ufają nowym, bezdusznym technologiom, a potrzebują uleczyć duszę z problemów trapiących wszystkich przywiązanych do starego, dobrego świata”.

– To raczej ja powinnam być jego klientką – zażartowała Liza, słuchając sprawozdania.

– Nie pasujesz do towarzystwa – odparł asystent. – Najczęściej to dystygowane, zasuszone panie po setce. Czasem dobrze po setce. Wystawiają mu same doskonałe opinie. „Zawsze w idealnie skrojonym surducie, godny następcą doktora Freuda”, zdaniem Trudy Malone, lat sto trzy. „Żaden asystent nie rozumie mnie tak, jak doktor Ulver”, to jakaś Lena Tromp, sto osiem. „Przemily, dystygowany fachowiec w starym, dobrym stylu”, według niejkiej Adele, lat zaledwie siedemdziesiąt siedem.

– Gówniara – skwitowała Liza, mrużąc oko. – Potwierdź wizytę tego Ulvera. Mam nadzieję, że nie okaże się kolejnym wariatem.

W urnie zaufania psychiatry nie było żadnych czarnych kulek, znalazło się nawet kilka

błękitnych. „Ale ja mam więcej”, z zadowoleniem skonstatowała Liza.

Nigdy wcześniej nie szyła surduta, dlatego przygotowała się solidnie, szukając wzorów i przygotowując wykroje.

Kiedy wchodziła do pracowni, była dziesiąta.

„Zdążę się jeszcze napić herbaty”, pomyślała, zdejmując i odwieszając płaszcz.

Zdążyła wypić nawet dwie. Klient spóźnił się ponad godzinę.

– Nawet nie wiem, jak panią przeproszać! – krzyknął w progu, zanim jeszcze zdążyła się zorientować, kim jest mężczyzna w staroświeckim płaszczu. „Poprawiłabym kołnierz”, pomyślała.

– Profesor Ulver? – spytała, odstawiając filiżankę na biurko.

– To właśnie ja. Cóż za przerażające wydarzenia spotykają w tych czasach to piękne miasto! Niech pani sobie wyobrazi, że zostałem wciągnięty w uliczną burdę! Ledwo zdołałem się wyrwać! Samo doprowadzenie się do porządku zajęło mi ponad pół godziny. Gdybym chociaż miał pewność, że nie czuć już ode mnie podrobów!

Nie miała pojęcia, o czym mężczyzna mówi, i zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Wypadało porozmawiać chwilę przed przejściem do interesów, jak jednak wypytywać dystyngowanego profesora psychiatrii o przyczyny, dla których miałyby śmierdzieć podrobami? Kto w tych czasach w ogóle zna takie słowa? Widywała już szalonych staruszków, ale profesor nie wyglądał nawet na swoje siedemdziesiąt lat.

– Otóż, droga pani – kontynuował – z mojego mieszkania do pani pracowni idzie się ulicą Tottenham Court, której część zamknięto dziś z okazji jakiegoś performansu. Grupa anarchistów umieściła tam pod osłoną nocy olbrzymich rozmiarów figurę smoka albo może innego mitycznego stworzenia. Na jezdni! Czy mógłbym poprosić herbaty?

Kiwnęła tylko głową, aby nie wybić go z rytmu. Jego monolog miał szansę zastąpić błahą pogawędkę, niezbędną zwykle przed przejściem do właściwych spraw.

– Akurat kiedy przechodziłem obok, jakaś grupką młokosów, z pewnością jeszcze przed pięćdziesiątką, przełamała policyjne bariery i rzuciła się ciąc zwierzaka na części. Przez wyłom w kordonie przedostawali się następni i tak to szło. Ja miałem nieszczęście znaleźć się na drodze tej tłuszczy. Jestem wprawdzie sprawny fizycznie, ale przez dobre dziesięć minut nie mogłem przebić się poprzez rozszalały tłum.

Podawała mu filiżankę, usiłując przypomnieć sobie, czy cokolwiek oprócz policyjnej taśmy oddzielało tłumek na Tottenham Court od rzeźby smoka.

– Gdybym jednak był tylko poobijany! Zanim zdążyłem choćby otrzepać się z kurzu i brudu, zaczął się odwrót! Ta sama hołota, która wcześniej nieomal zbiła mnie z nóg, teraz naparła w przeciwnym kierunku, uciekając z trofeami. Każdy ścisnął przy piersi wielki kawał mięsa. Niektórym udało się dopaść jakichś odrażających gruczołów. Ten jeden, który przewrócił się wprost pod moimi nogami, wepchnął mi w ręce kawał wątroby. Pochlapał mi garnitur, zaś koszula nadawała się tylko do wyrzucenia! Musiałem wrócić do domu i przebrać się! Zresztą to już chyba pani mówiłem.

Ulver wychylił duszkiem zawartość filiżanki i głęboko odetchnął.

– Dzień dobry – powiedział, rozglądając się z zadowoleniem po pracowni. – Chyba znalazłem w pani bratnią duszę.

„Czyli jednak wariat”, westchnęła Liza. „Dobrze, że przynajmniej nieszkodliwy”.

Zabrała się do pracy.

## 6.

Zoe odłożyła brzeg pizzy na talerz. Minę miała, jakby próbowała powstrzymać się od dłubania językiem w zębach.

– Jak on się czuje? – zapytała Rodmana, który wszedł właśnie do salonu.

– Lepiej. W przestrzeni pomiędzy przeponą a płucem najwyraźniej jest już o wiele mniej powietrza – odpowiedział psychiatra. – Jednak i tak powinien znaleźć się jak najszybciej w szpitalu. Inaczej może rozwinąć się zakażenie.

– Na razie to niemożliwe – powiedział Stan. – Zresztą sam pan widzi, rana jest czysta. To zapewne zasługa właściwości duszy.

Rodman powstrzymał się od wywrócenia oczami.

Miał ochotę powiedzieć coś o niedorzeczności całej tej sytuacji, ale czuł, że jego życie i zdrowie zależą od przychylności pomyłonej dwójki, dlatego wolał udawać zakłopotanego.

– A jak tam wasza wątroba? – powiedział, żeby przerwać niezręczne milczenie. – Ile tu jeszcze ma leżeć?

– Tydzień co najmniej – odparł Stan.

– Nie zacznie śmierdzieć?

– Płyn działa bakteriostatycznie. Tak jak w ranie Tuxingtona.

– A potem co?

– Trzeba to będzie raczej jakoś dyskretnie spalić.

– Dyskretnie? Dwieście funtów mięsa?

– Trzysta. W ostateczności spalimy cały dom – stwierdziła Zoe.

Rodman przyjrzał się obojgu. Sprawiali wrażenie zupełnie poważnych. „Trzeba wiać”, pomyślał. „Bezpieczniejszy będę w hali odlotów, czekając na pierwszy samolot do Sydney albo choćby i Auckland”.

– No dobrze – powiedział, wstając. – Na mnie już czas. Pacjenci czekają. Gdzie ja postawiłem walizkę?

– Nie może pan teraz odjechać! – krzyknęła Zoe. – Tuxington też pana potrzebuje.

– Sami powiedzieliście, że sok z duszy to antybiotyk. Nic więcej nie mogę zrobić.

– Nie wierzy pan, że to wątroba smoka z Drumloftu, prawda? – Dziewczyna wygięła usta w podkówkę.

Rodman westchnął.

– Ja nawet w Drumloft nie wierzę – powiedział. – Unikam vivo, jak mogę. Próbuję żyć tu i teraz. To gdzie moja walizka?

– A gdybym zaproponował panu małą wycieczkę do miejsca zwanego San Franco? To dawna stolica Drumloftu, na zachodnim brzegu Mericki, głównego kontynentu tamtego świata. W trzy godziny powinniśmy się uwinąć. Przy okazji opowiedziałbym panu trochę o mojej pracy.

Rodman nie odpowiadał, zapatrzony w kryształową kopułę.

– Nie ufa nam pan – stwierdziła Zoe, zrezygnowana.

– Trafiała pani w sedno – odparł Rodman. – Nie schodzi mi sprzed oczu obraz dziury w

brzuchu waszego kolegi. Z tego, co mi wiadomo, człowiek zanurzony w vivo jest, mówiąc oględnie, mało przytomny. Niezdolny do ewentualnej obrony.

– Pan Lennon, kiedy tylko wróci ze spaceru, na pewno zgodzi się zostać jeszcze trochę, prawda? Będzie czuwał nad panem.

– Myślę, że Diana może go tak łatwo nie wypuścić. Obstawiałbym raczej, że wpadnie po walizkę jutro po drodze na lotnisko.

– Dobrze, zagramy w otwarte karty – powiedział Stan. – Złożymy zeznanie ze zwłoką czasową. Oboje, Zoe i ja. Gdyby coś miało się panu stać, pana asystent po prostu opublikuje je i wyśle na policję, krzyżując wszystkie nasze plany. W zamian obiecuję fascynującą przygodę, jakiej nie miał pan jeszcze okazji przeżyć, jeśli rzeczywiście nie był pan dotąd w Drumlofcie. Przyznaję, zależy nam, żeby został pan jeszcze z nami jeden lub dwa dni, do czasu aż nasz przyjaciel wróci do zdrowia. Jeśli ten seans pana nie przekona, po prostu pojedzie pan na lotnisko.

Rodman znów westchnął ciężko.

– Myślę, że mógłbym przystać na taki układ – powiedział.

„Spróbuję w nocy”, dodał w myślach. „Na pewno kiedyś śpią”.

– Czyli zgadza się pan? – spytała Zoe.

Psychiatra uśmiechnął się niepewnie.

– Najwyżej dwa dni. Jestem umówiony na czwartek z kumplem w Sydney.

– Kocham pana, panie doktorze! – Zoe podbiegła do Rodmana i ucałowała go w oba policzki.

Potem wyciągnęła w jego kierunku talerz z ostatnim kawałkiem pizzy.

„Kto wie, może to mój ostatni posiłek”, pomyślał i zabrał się do jedzenia.

Stan odetchnął z ulgą.

Exo, agent Lizy w Forever, zadzwonił, kiedy wchodziła do mieszkania. Nalegał, żeby jak najszybciej się z nim spotkała.

Usiadła w fotelu vivo, gdy tylko zdjęła buty i napiła się wody.

– O co chodzi? – zapytała, podłączycywszy się. – Dopiero wróciłam do domu.

– Obawiamy się, że pani ojciec dopuścił się poważnego przestępstwa.

– Przestępstwa? W Forever? – zdziwiła się. – Tam są jakieś przestępstwa?

– Też jesteśmy zdziwieni.

– Co się konkretnie stało?

– Doszło do morderstwa.

Liza była pewna, że to kolejny nietuzinkowy wstęp do „jedynej w swoim rodzaju promocji”. Marketing domu spokojnej starości przybierał czasami groteskowo kreatywne formy. Najbardziej zapamiętała złowieszcze: „Nie uwierzy pani, co znaleźliśmy pod łóżkiem pana Trommera!”. Potem okazało się, że chodzi o kurz, ale „nowy odkurzacz dostępny dla mieszkańców domu już od 10,99 miesięcznie poradzi sobie nawet z kurzem”.

– A tak serio? – powiedziała na głos. – O co chodzi?

– Zamordowano człowieka. Pani ojciec jest niestety podejrzany o popełnienie tej zbrodni.

Lodowaty głaz, który wyrósł w jednej chwili w żołądku, pozbawił ją oddechu.

– Pan mówi poważnie – stwierdziła. – Co dokładnie się stało?

– Staramy się tego dowiedzieć. To znaczy policja się stara – odpowiedział Exo. – Napije się pani herbaty?

– Nie możecie po prostu sprawdzić? – Liza zignorowała pytanie. – To w końcu Forever, nie?

Wszystko widać i słychać, jeśli jest się panem konsultantem. Są chyba jakieś nagrania, archiwa, nie wiem?!

Wstyd jej było, że krzyczy. Z trudem powstrzymała się od wyjścia, choć w gabinecie Exo nie spędziła jeszcze nawet minuty.

Konsultant zasznurował usta i subtelnie pokręcił głową.

– Próbniki oraz efekторы mózgowie i sytuacyjne zakłada się wcześniej. Są wbudowane inherentnie w tkankę vivo – wyjaśnił, delikatnie unosząc palec wskazujący. Liza nie wiedziała, o czym agent mówi. – Tak czy inaczej, śledztwo trwa, ale dowody nie są jednoznaczne. Brak jest odcisków palców i podobnych śladów. Nagrania z monitoringu niestety niewiele wniosły, bo budynek, w którym mieszkała ofiara, jest stary i słabo osprzętowany. Konsjerż rozplynął się we mgle, więc i on budzi podejrzenia.

– Skąd zatem pomysł, że to mój ojciec? – zapytała Liza. – Przecież on się nie rusza dalej niż nad rzekę!

– Tego dnia akurat pojechał do miasta.

– Dokąd? To zupełnie do niego nie pasuje.

– Mówił tylko, że jedzie do Londynu – wyjaśnił Exo.

– Tak sobie pojechał?

– Wolna wola, proszę pani, stanowi podstawę szczęścia naszych klientów – spokojnie odparł konsultant.

– Skoro nic nie wiecie, po co pan tak naprawdę dzwoni?

– Prawdę mówiąc, policja poprosiła o zadanie kilku pytań.

– Czemu nie osobiście? To nie kłopot wysłać tu vivo kogoś z Forever.

– Zeznania per procura mają taką samą moc jak osobiste, szanowna pani. Za to przepustowość kanałów jest niestety ograniczona. W porze herbaty potrafią się zwyczajnie zatkać, a opóźnienia związane z cenzurą i tak są wystarczająco irytujące dla niektórych klientów i ich rodzin.

– Słucham zatem. – Liza westchnęła. – I chyba jednak poproszę coś do picia.

– Darjeeling? Czy...

Przerwała mu niedbałym gestem ręki: cokolwiek. Zrozumiał.

– Czy pani ojciec kiedykolwiek wyrażał, nawet niewerbalnie, chęć zamordowania kogokolwiek?

Liza prychnęła. „Hans zabójcą? Morderca i pedał były dla niego zawsze synonimami”, pomyślała.

– Nigdy – odpowiedziała.

– A czy zauważyła pani u niego ostatnio jakieś zmiany w osobowości?

– Chyba lepiej wiecie sami. – Liza próbowała nie pokazać rosnącego zniecierpliwienia. – Macie o nim więcej informacji niż ja, nieprawda?

– Po pierwsze, nie trzymamy zbyt bogatych rejestrów, po drugie, możemy ich użyć sami wyłącznie w postaci zanonimizowanej, zaś dosłowną treść możemy przekazać stronie trzeciej wyłącznie na żądanie prokuratury.

– A śledztwa w sprawie morderstwa nie prowadzi prokuratura?

– Mówię o tutejszej prokuraturze, droga pani. A tutaj żadnego przestępstwa nie popełniono – wyjaśnił, składając ręce. – Jest herbata. Darjeeling, mamy promocję.

Liza sięgnęła do niszki i wyjęła z niej filiżankę o objętości naparstka dla przedszkolaka. „Ciekawe, czy często ratują ofiary zadławień”, pomyślała cierpko i nagle zachciało jej się do domu. „I tak nie mam jak mu pomóc”.

– A zatem, jakieś zmiany w osobowości? – kontynuował Exo.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Dalej uważałam, że świat schodzi na psy, a dzieci są coraz bardziej niegrzeczne.

– Odwzorowanie psychiki jest naszą najmocniejszą stroną. – Exo z zadowoleniem zadeklamował reklamową formułkę Forever. – Nie mieliśmy jeszcze żadnej reklamacji. Absolutnie żadnej, potrafi sobie to pani wyobrazić? Na ponad sto milionów klientów!

Liza nie słuchała. Próbowała przypomnieć sobie Hansa sprzed śmierci. Czy naprawdę nic się w nim nie zmieniło?

– Chociaż – powiedziała w końcu – jeśli miałabym być szczerą, to zauważyłam zmiany.

– Czyżby rozwój osobisty? – Konsultant niezmiennie tryskał entuzjazmem. – Tym właśnie różnimy się od zwykłego domu pogodnej starości. To dom twórczego życia!

– Nie, od rozwoju zawsze trzymał się z daleka. Teraz mam wrażenie, że w Forever zdaje się chyba bardziej czuły. Mniej uszczypliwy. Nie ma skłonności do zadawania takich drobnych ran, do złośliwości. Ale może po prostu wreszcie ma tu święty spokój i nie potrzebuje się na nikim mścić za frustracje.

– Każdy jest lepszy w Forever, panno Trommer. To nasze hasło reklamowe sprzed trzech lat, ale nie zestarzało się ani trochę! – Exo wprost kipiał satysfakcją.

– Coś jeszcze? – zignorowała go Liza.

– To wszystko. Będę potrzebował od pani potwierdzenia zeznań, proszę przejrzeć.  
Liza przebiegła okiem zapis, ale nawet gdyby chciała, nie było się czego czepiać. Proste pytania, jeszcze prostsze odpowiedzi. Miała nadzieję, że żadną z nich nie mogła ojcu zaszkodzić.

– Czy ja też mogę mieć kilka pytań?

– Oczywiście, jestem do pani usług. – Exo ponownie złożył ręce, a Liza pożałowała, że nie może kopnąć go pod stołem czy biurkiem w kostkę. Jemu się należało, jej by ulżyło.

– Jak on zareagował na te oskarżenia? Jakoś się chyba obronił?

Exo milczał, wpatrzony głęboko w jej oczy.

– Nie wiemy – powiedział w końcu.

– Jak to nie wiecie? – Liza ledwo powstrzymała krzyk. – Jak możecie nie wiedzieć?

– Nie odpowiada na nasze pytania.

– Nie dziwię się. W domu spokojnej starości człowiek nie spodziewa się oskarżeń o morderstwo. Mam nadzieję, że po wszystkim go przeprosicie. I że zapewniacie mu w tej chwili jakąś opiekę.

„Powinnam się z nim zobaczyć”, pomyślała. „Powinnam pójść do niego i porozmawiać, chociaż i tak nie mogę mu pomóc”.

– Nie wierzę, że zrobił coś złego, panno Trommer – odparł wymijająco Exo. – Ale będę dawał pani znać, kiedy coś się wyjaśni.

– Proszę też poinformować mnie, gdy poczuje się lepiej. Chciałabym się z nim wtedy zobaczyć.

„Błagam, nie każcie mi tylko widzieć się z nim teraz. Nie chcę go widzieć takiego upodłonego”.

– Oczywiście, panno Trommer.

– Nie rozumiem, jak to wszystko jest możliwe. – Liza wstała z krzesła i ruszyła do wyjścia. Rozpłakała się, dopiero gdy otworzyła oczy w swoim fotelu vivo.



## 8.

Alfred Ulver jadł kolację, oglądając skrót wiadomości. Według każdego kanału miasto szalało, choć tak naprawdę chodziło o zwykłe podniecenie, psychikę tłumu, grupową euforię. Chodziło przecież o jednego niedużego smoka!

– Skąd wzięłeś ten przepis? – zapytał asystenta, delektując się kęsem wątroby soczystej jak żadna, którą pamiętał.

– To tradycyjna receptura z dziewiętnastego wieku, sir.

– Na wątrobę smoka?

– Nie, indyczą – odpowiedział asystent. – Z selerem i kasztanami.

– Odrazające, Watsonie!

– Sądząc po tym, że oczyścił pan talerz, chyba smakuje.

Alfred Ulver otarł usta serwetką i rozejrzał się po salonie. Miał ochotę na cygaro. I kobietę.

Dawno już nie miał ochoty na kobietę. Zapewne dlatego, że wszystkie, które spotykał, były dobrze po dziewięćdziesiątce. Same pieprzniete staruszki!

– Myślisz, że to przez tę dzierlatkę? – zapytał.

– Kogo ma pan na myśli, sir?

– Tę krawcową. Grubą. Prawdziwy rarytas, prawda?

Asystent uchylił się od odpowiedzi.

– Swoją drogą – ciągnął Ulver, zastanawiając się, gdzie można by zamówić cygara z natychmiastową dostawą – to był naprawdę doskonały pomysł, żeby nie spopielać tej wątroby. Jak to możliwe, że nikt jej nie zabrał aż do chwili, kiedy wracałem od tej sikoreczki?

– Wyglądała obrzydliwie, sir.

– Krawcowa? Miała głodziutką skórę!

– Wątroba, sir. W śmietniku.

– A, tak. Nie pachniała najładniej, ale nie umiałem się powstrzymać. Za to służby miejskie powinny były ją dawno zabrać.

– Sprzątali Tottenham Court.

– Ciekawe, czy tamci też zjedli swoje łupy.

– Mam sprawdzić?

– Czemu nie? Może ktoś się pochwalił przepisem? Jak myślisz, skąd wziąć kobietę?

– Ul randkowy? Kawiarnia dla samotnych dusz?

– Teraz, matole! Teraz potrzebuję. Jakiejś grubej, pysznej. Kobiety. Pałacej. Najlepiej cygara.

– Polecam vivo erotyczne. Dyskretnie i tanio. „Mamuški z sąsiedztwa” mają promocję z ula „Moulin Rouge”.

– Mamuška, raz! – krzyknął Ulver, uderzając dłonią o udo. – Byle gruba! Uwielbiamą inteligentnych, czarujących mężczyzn. Gdybyś tylko wiedział, jaki się czuję inteligentny! Jak nigdy dotąd.

– Gratuluję. I już zamawiam, sir. Frau Kohl z Bonn jest gotowa.

Ulver usiadł w fotelu vivo i zamknął oczy. Strasznie chciało mu się palić.

## 9.

John Lennon zadzwonił do Diany, gdy tylko odprawił walizkę.

– Jesteś w Nowym Jorku? – zapytała zasnana.

– Jeszcze na Heathrow. Dopiero ósma. Zresztą lecę do Tokio. Zmieniłem plany w ostatniej chwili. To chyba przez twoje miedzioryty i bonsai. Zasiały mi w głowie dużo myśli. Postanowiłem tam pojechać i zobaczyć wszystko osobiście. Nawet piosenka mi się urodziła. Chcesz posłuchać?

Diana pisała tylko z ekscytacji. Miała nadzieję, że muzyk zrozumie.

Uśmiechnął się i sięgnął po gitarę. Poprawił strój, oczyścił gardło i zaśpiewał, nie zważając na zaciekawione spojrzenia zza pleców.

*In a city by the sea*

*There's a girl like you and me*

*Always hoping that the sun*

*Won't rise today*

*Every night she's on the shore*

*Till the morning light appears*

*Hoping that this night*

*Won't ever go away*

*If only she could...<sup>2</sup>*

Głos Lennona zamilkł, a jego twarz rozplynęła się w powietrzu.

– John?

Diana czekała, połączenie jednak nie powracało.

– John! Słyszysz mnie? – spytała nerwowo, nagle pełna złych przeczuc. Miasto od wczoraj było niespokojne, pełne pogłosek o terrorystach, szpiegach i anarchistach. I ludzi ubranych w futra, demonstrujących przekonanie o realności smoka, którego figurę ktoś umieścił na Tottenham Court. – Stało się coś na Heathrow?

– Wszystko jest porządku – odpowiedział asystent.

– Żadnych zamachów, wybuchów, takich rzeczy?

– Żadnych.

– Połącz mnie z Johnem.

– Jest niedostępny – odparł asystent po chwili. – Może umieszczają już pasażerów w gondoli?

– Wywołaj go tak czy inaczej. Najwyżej samolot poczeka minutę.

– Nigdzie nie mogę go znaleźć.

Diana Whitmore otworzyła oczy w swoim fotelu vivo.

– Wywołaj Bathorego – warknęła, wstając. – Natychmiast. Tylko bez wizji.

– Słucham cię, Dianko. – Ciepły, miękki głos wypełnił salon vivo.

– Znajdź mi Lennona! Natychmiast.

– Coś się dzieje? Poczekaj – powiedział Bathory i wyciszył się. Zapewne wydawał systemowi polecenia. Zawsze podejrzewała, że nie potrafi korzystać z gestów.

In a city by the sea, śpiewał głos w głowie Diany. „Błagam, niech tylko się nic złego tam nie stanie. Potrzebuję go, tak bardzo potrzebuję”.

– Szuka się. Powiedz mi, co się stało – odezwał się wreszcie Bathory.

– Jak to „szuka się”? Nie pozwolę ci się zbyć byle czym.

– Coś nie działa, ale to nie akwarium, nie mogę tam po prostu zajrzeć.

– Niech ci będzie. Zadzwoił z Heathrow, śpiewał mi właśnie piosenkę, ale po pierwszej linijce refrenu...

Diana zamilkła. Miała nadzieję, że Bathory będzie na tyle domyślny, żeby przez chwilę nic nie mówić. A przynajmniej nie pytać, czy wszystko w porządku.

– Diana? Wszystko w porządku?

„Nigdy, kurwa, nie jest domyślny”.

– Nie, Bathory – powiedziała, z trudem utrzymując na wodzy wściekłość. – Nic nie jest w porządku. Facet, którego wyrzeźbiono specjalnie i wyłącznie dla mnie, zniknął gdzieś w pół słowa.

– No tak, przepraszam – wymamrotał.

– Wiesz już, co tam się stało?

– Na Heathrow? Zupełnie nic. Za to nikt nie wie, gdzie jest Lennon.

– Jak możecie nie wiedzieć, Bathory? To wasz świat, trzymacie go specjalnie dla Lennona. Jak możecie nie wiedzieć?

– Diana, posłuchaj. To vivo, mogą się zdarzać awarie, problemy. Wszystko może się zdarzyć. Poza tym to nie jest dokładnie tak, jak mówisz. Nie wykupiłaś wyłącznego abonamentu, dzierżawimy od Fable macierz i współdzielimy ten świat z jakimś tysiącem innych klientów, chociaż z gwarancją odzyskiwalności...

– Mniejsza z tym – przerwała mu. – Mógłbyś równie dobrze czytać mi książkę kucharską. Mam tylko jedno pytanie: kiedy masz zamiar go znaleźć?

– Właśnie to próbuję ci powiedzieć. Może się okazać, że nie da rady go znaleźć.

– Bathory! – Diana zacisnęła dłonie w białe, kanciaste piąstki.

– Coś mogło się popsuć. „W przypadku awarii macierzy albo nierozwiązywalności konfliktu Fable rezerwuje sobie dwa dni na rozplątanie i powrót do stanu ostatnio znanego lub ekstrapolowanego od czasu awarii” – wyrecytował Bathory, zerkając na ekran.

– Umieć czytać, kotku. Tu nie ma mowy o gwarancjach w wypadku zaginięcia. W ogóle nie ma mowy o żadnych zaginięciach! Jak to w ogóle możliwe, do jasnej cholery?! Skoro możecie umieścić kamerę w dowolnym miejscu tego vivo, łącznie z wnętrzem mojej rudej cipy, to jakim cudem możecie nie wiedzieć, gdzie jest mój Lennon?!

Bathory zarumienił się po sam czubek rzednącej, pomimo wysiłków trzech genetyków, czupryny. Na szczęście jego najlepsza klientka nie mogła tego widzieć.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Bathory? – zapytała Diana, nalewając sobie whisky do kryształowej, ciężkiej szklanki.

– Tak, oczywiście.

– To posłuchaj! Nie obchodzi mnie, czy znajdziesz tamtego, czy wyrzeźbisz – za swoje pieniądze! – kolejnego, ale chcę mieć na jutro nową piosenkę! O utraconej miłości i o Japonii! Daję ci czas do jutra albo zmieniam impresaria. Zrozumiałeś?

Bathory kiwnął głową, jednocześnie podniecony jej wcześniejszymi słowami i przerażony perspektywą utraty kontraktu.

Diana rozłączyła się.

– Połącz mnie z moim opiekunem w Fable – rzucił Bathory do asystenta. – Powiedz, że mamy kłopoty, zarówno ja, jak i on. Może się przejmie.  
Zapowiadał się fatalny dzień.

---

<sup>2</sup> *Jest w mieście gdzieś nad morzem/Dziewczyna taka jak ty/Co noc marzy, by tym razem/Nie zechciał nadejść świt  
Co noc czeka na brzegu/Póki zastanie ją dzień/Ufając, że tym razem /Noc nie skończy już się/I gdyby tylko mogła... (tłum. autora)*

Złe wieści zastały Alfreda Ulvera w czasie zapinania surduta. Szykował się właśnie do pracy, za pół godziny z wizytą przyjść miał major Townsby ze stadkiem uroczych paranoi i fobii. Psychiatry nie chciały wprawdzie opuścić wspomnienia wczorajszego wieczora spędzonego z frau Kohl, gospodynią domową z Bonn, wiedział jednak, że wojskowy i tak nie zorientuje się, o czym myśli jego terapeuta. Aż do tej chwili był pewien, że największym problemem będzie po prostu odrobinę się skupić.

Teraz jednak, z ręką zastygłą na bakelitowym guziku, usiłował pojąć właściwe znaczenie komunikatu, który otrzymał. Nadawca, jego kontakt w Forever, czekał w milczeniu.

Alfred Ulver nie żyje.

Tamten Alfred Ulver, nie on sam. Tamten drugi. Tamten bystry.

Jego nielegalny sobowtór w Forever kopnął właśnie w kalendarz.

Tamten, który potrafił zarabiać prawdziwe pieniądze. W pewnym sensie prawdziwe, a w każdym razie osiągalne. Zapewniające rzeczywisty dochód. Tutaj starczało przyjmować pacjentów, który potrzebowali kogoś uroczego, w surducie, odgrywającego z nimi sceny jak z vivo o Sigmundzie Freudzie. Nie obchodziło ich, jak wiele miały wspólnego z prawdziwą terapią.

Zarabiał wyłącznie na swoim doskonałym i nielegalnym wgraniu do Forever. Fakt, że procedura slajsingu skaningowego dokonała pewnych zniszczeń w jego własnym mózgu, nie miał żadnego wpływu na zdolność tamtego Alfreda Ulvera do skutecznego leczenia londyńskich rezydentów najpopularniejszego na świecie domu starców. Ten tutaj musiał być jedynie uroczy. Musiał się tylko odrobinę skupić.

Ale teraz?

Co będzie teraz?

Jak można żyć z bycia uroczym?

– Co mu się tak naprawdę stało? – zapytał w końcu, przełknąwszy ślinę o smaku żółci.

– Został zamordowany.

Nieoczekiwany, bezwiednym szarpnięciem Ulver posłał wszystkie guziki surduta w kierunku ściany projekcyjnej. Na szczęście nie mogły wyrządzić tam większych szkód. Resztki trzeźwości umysłu podpowiedziały mu, że wygląda na zdenerwowanego. Nie chciał, żeby było to po nim widać, i przywołał na twarz najszerszy uśmiech, jaki tylko potrafił.

– Jak to? – wycedził przez zaciśnięte zęby. Nie miał pojęcia, jak miałby być uroczy w takim stanie. Chyba nawet go to w ogóle nie obchodziło. – Jak to zamordowany?

– Ktoś spuścił z niego krew jak z byka na koszerne mięso, odciął głowę, pozostawiając jednak rdzeń kręgowy na miejscu, wyrwał zęby i ułożył je na biurku. Bardzo mi przykro.

Jego kontakt w Forever nie wydawał się tak naprawdę zasmucony. Ulver dopatrywał się wręcz w jego głosie nutek złośliwej satysfakcji, jak gdyby goguś tak naprawdę zazdrościł do tej pory swojemu klientowi pomysłowości i mógl wreszcie przestać.

– Ile będzie kosztował restor? – zapytał psychiatra, zastanawiając się, czy tamta przemiła krawcowa będzie w stanie tanio przyszyć pierdolone guziki i czy reszta hipoteki za mieszkanie

wystarczy na przywrócenie sobowtóra do życia. – Macie chyba wszystkie moje skany? Kosztowały mnie trochę pieniędzy. Zdrowia zresztą też.

– Z tym nie ma problemu, proszę pana. – Młodzieniec po drugiej stronie ściany kręcił się irytująco w tę i z powrotem na fotelu jak nadpobudliwe dziecko, któremu ktoś kazał wpatrywać się w cukierki.

– A z czym jest? – dopytał Ulver.

– Jak pan może wie, w Forever staramy się pacjentów grupować w niewielkie klastry, żeby na wypadek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku jednego lub wielu z nich przywrócić wszystkich razem względnie tanio i po cichu. To jak wymiana bezpiecznika. W pana przypadku jest inaczej. Nie jest pan pacjentem Forever. Śmierć pana sobowtóra zarejestrowały ule tamtejszej policji i śledztwo trwa. Zaburzenia, które wywoła wstawienie pana żywego z powrotem do gabinetu przy Tottenham Court, będą wymagały bardzo wielu zmian korekcyjnych. To nie kwestia klastra dwudziestu starsuszków.

– Ile? – Ulver jakimś cudem doczekał końca przemowy, żeby zadać najważniejsze pytanie.

Przymknął oczy i przygotował się na ostateczny cios.

– Koszt szacujemy na sto pięćdziesiąt tysięcy.

„A ja się martwiłem guzikami”, pomyślał i wciągnął powietrze przez usta, bardzo głęboko.

– Plus VAT i marża – dodał kontakt, nie zdejmując z twarzy infantylnie szczerego uśmiechu. „Czyżby sam również się nielegalnie wgrał?”, pomyślał psychiatra i na tę myśl zrobiło mu się przyjemnie ciepło pod sercem. „Czyżby po tobie też został tu tylko zombiak? Może i ciebie ktoś tam zarżnie, chujku? I tutaj najlepiej też. I wyrwie ci zęby, zanim spuści krew. Ja pierdolę, sto pięćdziesiąt tysięcy”.

– Znam tego pacjenta? – powiedział na głos. – To znaczy mój reprezentant, rzecz jasna.

– Tak, to jeden z jego klientów. Był umówiony tego dnia.

– Mówił pan, że nie wiecie, gdzie on jest. – Alfred Ulver potrzebował rozłączyć się jak najszybciej i zaaplikować sobie jakiś rozweselacz, ale chciał jeszcze spróbować ostatniej deski ratunku, odzyskać choć odrobinę nadziei lub przynajmniej oszacować, jak bardzo powinien się nawalić.

– Niestety, uciekł, a jego ubezpieczenie nie obejmuje śledzenia i namierzania. Wie pan, to rezydent Forever na najtańszym abonamencie. Imigrant.

– A jak już się znajdzie? Nie można by pod jakimś pozorem obciążyć go kosztami?

– Jak już mówiłem, podejrzanym jest jeden z naszych rezydentów. Ani trochę zamożny. – Cierpliwość w głosie impertynenta z Forever budziła w Ulverze jednocześnie wstyd i agresję. „Dobrze, że jest w ścianie”, pomyślał. „Ma wielkie szczęście, chujek niedogolony”. – Dostaje kieszonkowe, i to nie z żadnego depozytu, ale od nas. W ramach umowy. Zresztą z tego właśnie funduszu miał zamiar opłacić wizytę u pana.

– Facet nic nie ma?

Chujek pokręcił głową, a Ulver nie wytrzymał i rozłączył transmisję.

– Co teraz!? – wrzasnął w przestrzeń, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś względnie taniego i kruchego, w sam raz do przyjęcia wściekłego kopa, najlepiej zaś kilku. – Z czego będę żył, kiedy ostatni z tych debili zorientuje się, że taki ze mnie psychiatra, jak z ich własnej matki?

Wzrok Alfreda padł na odkurzacz, który przemykając ostrożnie pod ścianami, próbował pogodzić imperatyw czyszczenia z instynktem przetrwania, wyraźnie zagrożonego napadem agresji lizingobiorcy. W zetknięciu z obutą w twarde trzewik stopą nie miał jednak szans. Kopnięcie posłało go na drugi koniec pokoju, gdzie siła uderzenia o ścianę rozpołowiła korpus,



rozbijając pojemnik i posyłając w powietrze chmurę kurzu.

– Awaria – jęknął przeciągle uszkodzony automat, a na ścianie wykwitło powiadomienie o uruchomieniu procedury likwidacji szkody. To była jedyna zaleta lizingu sprzętu: darmowy odbiór zniszczonych urządzeń.

– Jedyna, kurwa, zaleta – warknął Ulver i zabrał się za szukanie wśród rozsypanego brudu guzików od surduta, które odkurzacz zdążył wessać tuż przed śmiercią. – Najwyżej będę odkurzał ręcznie.

Rodman siedział w fotelu vivo z nadgarstkami umocowanymi w paskach. Większość nocy czuwał przy rannym, z krótkimi przerwami na sen, kiedy wartę przejmowało któreś z gospodarzy. Zaraz jednak budził się na nowo, niespokojny.

– Jest pan gotowy? – zapytał Stan.

– Zjadłem fenomenalne jajka na bekonie, dzieło panny Zoe. Myślę, że nic więcej mi nie potrzeba. Oprócz krótkiej instrukcji, co robić, kiedy już będę w środku.

– Proszę być po prostu sobą. Początkowo zachowa pan świadomość bycia Markiem Rodmanem, jednak będzie też pan czuł, że jest kimś innym. Stopniowo zmiesza się to w bardzo ciekawe uczucie.

– Kim będę?

– To niespodzianka. Zapewniam, że będzie przyjemna. Moja postać ma na imię Humlain. To krasnolud. Zoe, podłącz nas proszę, z podglądem, żebyś mogła interweniować w razie potrzeby.

Stan usiadł w drugim fotelu.

– Proszę tylko zamknąć oczy – powiedział.

Rodman posłuchał.

Ujrzał niskiego, przysadzistego karła o krzywych nogach, ubranego w skórzane spodnie i kamizelkę. Stał przy barierce zabezpieczającej skraj urwiska. Aż do horyzontu ciągnęła się szklana, gładka tafla, jak gdyby morze zamarzło pomimo trwającego w najlepsze lato.

– Czyli mówisz, że to wszystko dzieło smoka? – zapytał Rodman mlaszcząco-syczącymi dźwiękami, które wydostawały się spod jego skrzydeł, nerwowo ocierających się o muskularne tylne odnóża. Miał ich trzy pary. Był karamodliszką.

– Duszy smoka – uściślił krasnolud. – Uwolniła się sto trzydzieści lat temu w San Franco, stolicy Amerii, najpotężniejszego królestwa Drumloftu.

– Myślałem, że Drumloft ma jakieś dwadzieścia lat.

– Jako vivo owszem, ale węzły założone przez twórcę wspominały mniej więcej sto dwadzieścia pokoleń smoków wstecz i co najmniej tak długo trwa spisana historia. Nie wspominając już o czasie, jaki zajęła ewolucja tych gadów.

– Możemy się tam przelecieć? – Karamodliszka wskazała masywnym przednim prawym odnóżem kierunek, w którym wznosił się jedyny dostrzegalny pośród szklistej równiny szczegół krajobrazu: wysoka, cienka igła sięgająca nieba.

Krasnolud przyjrzał się owadowi, próbując ocenić stabilność jego siodłopancerza.

– Mam tu takie macki, które przytrzymują jeźdźca – zachęciła go karamodliszka. – Facet naprawdę niezłe to obmyślił, pewnie najpierw spadł kilka razy.

– Rost to bardzo zdolny architekt, spędził w Drumlofcie połowę życia.

– Wsiadaj, Stan. Skoro mam już skrzydła, chciałbym z nich skorzystać.

– Tutaj mam na imię Humlain. Nie używamy zewnętrznych imion. To niebezpieczne. Chcemy czuć się swobodnie, a nie zastanawiać się, kto potem będzie nas szantażował na zewnątrz za bycie sobą tutaj.

- Sam powiedziałaś o jakimś Roście.
  - Tak się tu nazywa. Nie wiadomo, kim jest tam.
  - Niech ci będzie. Chciałbym mieć na imię Chityna Siedem. Może być?
  - Nie, nie – powiedział Humlain. – Imię nadawane jest przecież ciału przy narodzinach albo podobnej okoliczności. Twój karaluch ma na imię Twarde Jajo Królowej Aldony Odkąd Śpi.
  - Słucham? – zaszeleściła złowieszczo modliszka i zwróciła niepokojące spojrzenie olbrzymich metalicznych oczu na człowieka, który dostrzegł w połyskujących tęczowo fasetkach milion swoich żalonych, pokranych odbić. – Z pewnością było tam coś małymi literkami o innych imionach. Poza tym, jak łatwo poznać po moich mocnych i ostrych szczypcach, jestem modliszką, nie karaluchem. Prawda?
  - Tak, oczywiście. – Humlain przytaknął, oblizując spierzchnięte nagle wargi. – Tak tu mówimy na karamodliszki. Niedługo przyzwyczaisz się i sam będziesz wiedział wszystko, co wie Twarde Jajo....
  - Uszanuję prawa tego dziwnego świata – przerwał mu owad – ale pozwolę ci mówić do mnie zdrobnieniem. Będę Aldi Od.
  - Nie może być po prostu Aldi? Byłoby...
  - Nie – uciął Aldi Od. – Wsiadaj. Po drodze opowiesz mi, skąd wzięła się ta pustynia.
- Zaskakująco delikatnie schwycił w szczypcie krasnoluda, umieścił go w pancerzosiodle tuż za szeroką głową i ciasno oplótł mackami siodłowymi.
- Możesz oddychać? – spytał rzeczowo i rozłożył skrzydła. Rozpościerały się na dobre sześć stóp w każdą stronę. Uderzył nimi kilka razy. Wydawały przyjemny, świszczący łopot. Ciepło pracujących mięśni rozchodziło się wzdłuż grzbietu, który w odczuciu Aldiego Od był raczej brzuchem. – Czemu tu wszystko wygląda tak samo jak u nas? Mam trzewia na grzbiecie, tak samo jak owady na Ziemi.
  - Voigt van Drumle, twórca tej krainy, miał talent do snucia opowieści, ale chciał przede wszystkim stworzyć świat zamieszkały przez smoki, pozbawiony elektryczności i wszystkich dwudziestowiecznych wynalazków. Nowe stworzenia, projektowane choćby przez Theodoriusa Rosta, są, zgodnie z życzeniem van Drumle’a, krzyżówkami tych istniejących na ziemi. Jak może wiesz, każdy węzeł nałożony na świat, czyli element opisu, na przykład gatunku zwierzęcia lub jakiegoś miejsca, propaguje wstecz w czasie uwarunkowania, które w końcu doprowadzą do zaistnienia opisanego gatunku czy miejsca.
- Skrzydła poruszały się już tak szybko, że w oczach Humlaina stanowiły białawą, rozmytą mgiełkę. Unosili się jakieś sześć stóp nad skałą urwiska, a Aldi Od kręcił się to w prawo, to w lewo, jak gdyby niezdecydowany, czy na pewno potrafi manewrować swoim ciałem wystarczająco kompetentnie.
- Czyli zamawiając mnie, stworzyliśmy jednocześnie moich rodziców i ich dziadków? – zapytał, składając nogi na brzuch w nowo odkrytym odruchu. Powoli ruszyli przed siebie. – Fascynująco absurdalne.
  - Nie zapominaj, że jesteś jednym z setki rodzeństwa, a twoi dziadkowie mieli swoich dziadków i tak dalej. Rost, projektując twój prototyp, wymusił jednocześnie zajście serii zdarzeń, które doprowadziły do powstania całej twojej rasy.
  - Ile to trwało? – zapytał Aldi Od.
  - Miliony lat, jak to ewolucja.
  - Smoków też?
  - Zapewne. Nikt tu się w paleontologię nie bawi. Ludzie cieszą się dziką przyrodą i tanim

porterem.

– I zabijaniem smoków.

– Nie. Smoki są święte.

Aldi Od leciał już z całkiem konkretną, choć zapewne nie maksymalną prędkością. Pod nimi przesuwała się lśniąca w słońcu, gładka tafla Parku Pamięci San Franco. Słoneczne refleksy, oślepiające co chwila Humlaina, dawały jedyne świadectwa nieregularności bezbarwnej, pozbawionej jakichkolwiek szczegółów powierzchni.

– Nie ma tu żadnych kraterów ani sterczących z podłoża murów. Jak oni to zrobili? – zdziwił się Aldi Od.

– Na jednym z placów San Franco upadł po drodze nad morze stary Alduin. Mieszkańcy zamknęli dostęp do całego kwartału i zabrali się do wznoszenia nad ciałem ochronnej kopuły.

– Takiej jak nad waszą wątrobą?

– Nie. Miała być drewniana i pokryta szklanymi panelami. Koronkowa robota, zważywszy ich poziom techniki.

Byli w połowie drogi do igły, która okazała się smukłą, wysoką na dobrą milę wieżą. Aldiemu Od zdawało się, że konstrukcja momentami połyskuje w słońcu, tak samo jak i reszta równiny.

– Coś się nie udało, sądząc po tym, jak teraz wygląda miasto – powiedział.

– Pożar na placu budowy. Rusztowanie runęło, rozcinając dotąd nietknięte ciało smoka na kawałki.

– I bum?

– Nie od razu. Przez trzy dni nad miastem unosiła się tęczowa, błyszcząca kula. Ponad nią wisiały grube czarne chmury. Dusza Alduina kłębiła się nad miejscem, w którym w bruk wsiąkł wiążący ją do tej pory błękitny sok. Nawet z daleka widać było, że aż kipi wściekłością i pragnieniem zemsty. Kapłani składali ofiary, giełda poleciała na łeb, na szyję. Wreszcie czwartego dnia, tuż przed świtem, kula zapadła się do jednego punktu i zmieniła w falę gorącego światła, które bezgłośnie przeniknęło miasto, w jednej chwili zmieniając je w bulgocącą, płynną masę. Zatrzymało się dopiero na urwiskach otaczających San Franco, ale i w nich wyrzeźbiło głębokie na kilkanaście stóp pieczary. Morze odparowało na setki mil stąd.

– Ten van Drumle miał raczej specyficzne poczucie humoru. Nie mógł zaprojektować swoich smoków w jakiś bardziej przyjazny ludziom sposób?

– Nie wszystko projektujesz. Stawiasz niektóre węzły, a wszystko inne dzieje się samo. Z tego, co wiem, van Drumle chciał, żeby smoki były święte i budziły lęk.

– Bez wątplenia osiągnął swój cel – stwierdził Aldi Od. – My również.

Padł na nich cień wysokiej, szklistej iglicy, zdającej się dotykać błękitnej kopuły bezchmurnego nieba. Rozpływała się w podłożu, jak gdyby rzeźbiarz czy architekt chciał utrwalić moment uderzenia gigantycznej kropli masy, która zaraz zastygnąć miała w gładką równinę.

– To hipocentrum – stwierdził krasnolud, mocniej chwytając opadającą szybko modliszkę za jedną z macek siodłowych. – To tutaj dusza Alduina unosiła się przez trzy dni, a potem zmieniła się w światło. Fontanna stopionej materii trysnęła w niebo i zastygła w tym właśnie kształcie.

Grzbietobrzuch Aldiego Od przeszedł dreszcz na myśl o piekle, jakie w tym miejscu rozpętało się kilkadziesiąt lat wcześniej. Szorstkie poduszki podporowe jego stóp dotknęły gładkiego podłoża.

Wylądowali.

– Naprawdę van Drumle nie mógł tego jakoś inaczej zorganizować? Nałożyć jakiegoś dodatkowego węzła?

Humlain wziął głęboki oddech, jakby zamierzał zanurkować na minutę w zimnej wodzie, i zeskoczył na ziemię. Pośliznął się, ale utrzymał równowagę. Balansując niezgrabnie na krzywych nogach, okrążył drobnymi krokami Aldiego Od.

– Może trudno w to uwierzyć, ale cały Drumloft wyrósł właśnie wokół tego pomysłu: wielkiej, szklistej tafli. Ten widok nękał go kiedyś w snach czy jakoś tak. Dlatego postanowił zmierzyć się z nim i stworzyć krainę, w której będzie takie miejsce. Potem dołożył smoki i parę innych szczegółów. Ich zresztą też chyba się bał.

– Terapia konfrontacyjno-kreacyjna – zaszeleściła mrukliwie modliszka. – Też nieraz zalecam.

– Dopiero kiedy nałożył na świat węzeł świętości smoków i opisał rytuał ochrony duszy, zrozumiał, jaki efekt wywołał.

– Masz na myśli efekt trzydzieści lat wcześniej?

– Tak. Węzeł istnienia smoków nie tylko powołał je do życia, ale wymusił też łańcuch przyczynowo-skutkowy, wiodący do ich powstania. Podobnie czynności, które van Drumle opisał w rytuale unieszkodliwienia duszy, wymusiły, zgodnie z jego pierwotnym zamierzeniem, zdarzenia, które zaszły w San Franco.

– Chciałbym pogadać z tym facetem, dowiedzieć się, jak mu poszła terapia.

– Nie będzie łatwo – odparł Humlain, podążając wzrokiem w niebo za wieżą.

– Unika popularności?

– Nie żyje.

Szczękoczułki Aldiego Od mimowolnie zacisnęły się.

– Co mu się stało?

– Popełnił samobójstwo. Kiedy po sukcesie Drumloftu odnaleziono archiwa i gazety, zdał sobie sprawę z rozmiaru tragedii, jaką mimowolnie spowodował. Do tamtej chwili nawet nie wiedział, że istniało kiedyś jakieś San Franco. Dla niego była to po prostu szklana pustynia, która fascynowała i przerażała bezkresem gładkości.

– Ilu miasto miało mieszkańców?

– Dwieście tysięcy.

Aldi Od żałował, że nie umie zamknąć oczu. Musiał patrzeć na gładką powierzchnię, a ona odpowiadała mu hardo bezdusznym i bezlitosnym spojrzeniem.

– Tak miałyby wyglądać Londyn? Byłoby trochę szkoda – powiedział w końcu, nie do końca rozumiejąc, o czym mówi. Jak gdyby wymknęła mu się jakaś myśl.

Humlain nie odpowiedział. Wdrapał się w milczeniu na pancerosiodło i czekał.

Wreszcie Aldi Od wysunął skrzydła spod pokryw. Rozprostował je, jak gdyby się przeciągał, i leniwie uderzył kilka razy powietrze. Dreszcz przeszedł przez owadzi grzbietobrzuch, a skrzydła zafurkotały i rozbrzęczały się. Unieśli się w powietrze i pomknęli z powrotem w kierunku urwiska.

Liza Trommer zakładała właśnie pończochy, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

– Kto tam? – zapytała asystenta.

Według obrazu na ścianie na korytarzu stał Hans Trommer. Pierwsze, co przyszło do głowy Lizie, to że ktoś założył lateksową czy inną maskę i postanowił zabawić się jej kosztem. Może to była napaść, choć nie potrafiłaby wskazać nawet jednego powodu, dla którego ktoś mógłby chcieć to zrobić. Widziała setki atrakcyjniejszych sześćdziesięciolatek, wyposażenie domu miała całe z katalogu, i to nie jakoś przesadnie świeżo drukowane, a jedyną wartościową rzeczą była elektryczna maszyna do szycia. Kto chciałby to kraść?

Zaśmiała się na tę myśl, gdyby nie przebierający w miejscu nogami jej ojciec-nie-ojciec za drzwiami.

Próbowała zrozumieć, co takiego nie zgadza się w jego wyglądzie. Być może chodziło o całodniowy zarost i ubłocone ubranie.

Skądś wiedziała, że to on.

Złapała dopiero co rzucony na parawan szlafrok i zawiązując pasek, przeszła do pokoju.

– Nie mam pojęcia, jak mogłam nie zauważyć, że jestem zanurzona w vivo. Najwyraźniej i na mnie nadeszła kolej – szepnęła do siebie i otworzyła drzwi.

Ojciec miał zmęczone spojrzenie i pachniał mokrym płaszczem.

– To ja – odezwał się w końcu. – Wiem, że bez zapowiedzi, ale zupełnie się pogubiłem. Nie planowałem cię dziś odwiedzać.

Nie tylko mnie się pomieszało, pomyślała, gapiąc się na jego buty. Coś tu jest bardzo, bardzo nie tak.

– Chyba nie w smak ci moja wizyta – powiedział bez odrobiny goryczy w głosie.

– Nie o to chodzi, tato. Chodź. – Zeszła mu z drogi. – Głupio mi tylko, że taki mam bałagan. Obserwowała w milczeniu, jak wchodzi do mieszkania i nie zdejmując płaszcza, siada w fotelu.

– Dasz mi wody? – spytał słabym głosem.

Liza bez słowa poszła do kuchni i po chwili wróciła z pełną szklanką.

Ojciec półleżał z zamkniętymi oczami. Spał? Wyglądał na zmęczonego.

– Cieszę się, że jednak wyszedłeś z pokoju – powiedziała, podając mu wodę. – Że się odzywasz.

Duszkciem opróżnił szklankę i wyciągnął pustą przed siebie.

– Chcesz jeszcze?

– Nie, dziękuję.

– Przyszedłeś na piechotę? – spytała w nadziei zyskania najmniejszej choć odrobiny zrozumienia, co się dzieje. Jakiegokolwiek podpowiedzi. Jakim sposobem jej zmarły dwadzieścia lat temu ojciec mógł zjawić się z powrotem, wyglądając dokładnie tak samo jak jego sobowtór w vivo zwanym Forever.

– No co ty, całą drogę z centrum? Do tej pory bym szedł. Podwieźli mnie jacyś mili ludzie.

Liza znieruchomiła.

– Mili ludzie? – spytała ostrożnie. To określenie nie pasowało do jej ojca i nagle wróciła do niej myśl o oszuście w masce. A może powinna się po prostu obudzić? Może tam, w vivo, coś się popsulo i siedziała w jednym pokoju z jakimś konglomeratem Hansa i jakiegoś miłego, zupełnie obcego staruszka? Nawet reklamację trudno byłoby złożyć. „Mój ojciec mówił dobrze o innych ludziach. To prawdziwy skandal!”.

– Ulof i jakaś kobieta – wyjaśnił, nieświadom jej podejrzeń. – Poznałem go w knajpie, a ją w taksówce. Dopiero co odjechali spod domu, czekali, aż mnie wypuścisz.

– Tato, coś ukrywasz, prawda? – Nie umiała się powstrzymać.

Otworzył oczy. Były przekrwione i zmęczone.

– Nie spałem całą noc – powiedział.

– Co się stało?

Opuścił wzrok na podłogę i pokręcił powoli głową, jakby chciał powiedzieć: „I tak nie uwierzysz”.

– Dzwonili z Forever – dodała po chwili. – Nie mówili, że nie wróciłeś do siebie. Powiedzieli za to, że było morderstwo.

– I po to właśnie dzwonili? Żeby zrobić ci prasówkę z kroniki kryminalnej? – spytał tonem, który zdążyła już dawno zapomnieć. W pewnym sensie zrobiło jej się lżej. Brzmiał z powrotem jak jej ojciec. Żadnych „miłych ludzi” czy „dziękuję”, tylko złośliwy uśmiech.

– Mówili, że jesteś świadkiem – skłamała.

– I pewnie martwili się, że nie mogą mnie przepytac? Myślałem, że wystarczy spojrzeć w kamery monitoringu. Całą noc włóczyłem się po mieście.

– Co się stało? – powtórzyła, coraz bardziej zaniepokojona. – Myślałam, że jesteś u siebie w pokoju.

Uniósł głowę i zwrócił spojrzenie z powrotem na Lizę.

– Byłem umówiony do lekarza w Londynie. Kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że ktoś go zamordował. Okrutnie okaleczył. A wiesz, że byle co mnie nie wzruszy.

– Wiem, tato.

– Powinienem być zadzwonić na policję, ale się przestraszyłem.

– Czego? – Liza próbowała nie pokazać niepokoju, który powrócił do niej wraz ze słowami ojca. Być może wszystkie te „przestraszyłem się” i „dziękuję” można było wytłumaczyć szokiem, ale i tak czuła się nieswojo.

Jakby to nie był on.

– Że to ja zrobiłem i nie pamiętam. Że może jestem wariatem. – Wzruszył ramionami.

Liza nic nie powiedziała.

– Nie wierzysz mi, prawda? – zapytał, opuszczając znowu wzrok. – To dziwne uczucie, kiedy pierwszy lepszy napotkany świr na ulicy bardziej człowiekowi ufa niż jego rodzona córka. A może po prostu świr lepiej rozumie świra? – stwierdził i wstał z fotela. – Nic tu po mnie. Czuję, że naprawdę przeszkadzam.

– Zostań, tato.

Bała się fałszu w swoim głosie.

– Po co? Żebyś zadzwoniła po policję? Chodźcie tutaj, świr siedzi w moim fotelu i twierdzi, że jest mordercą, którego szukacie! Pięknie dziękuję, wolę już zachodzić się na śmierć.

Chciała złapać ojca za rękę, ale nagle zrozumiała, że się boi.

Kiedy w końcu zamknęły się za nim drzwi, powstrzymała kielkującą chęć rzucenia szklanką o ścianę.

– To raczej ja potrzebuję psychiatry – powiedziała na głos. – Tobie i tak nic nie pomoże, a ja chcę wiedzieć, kiedy jestem w vivo, a kiedy nie. Przecież się nie zanurzałam!

Dopadła drzwi i otworzyła je. Ojca nie było na korytarzu. Pobiegnęła do windy. Jechała właśnie w dół. To musiał być ojciec.

Bieg po schodach skradł Lizie cenne dwie minuty. Kiedy stanęła w drzwiach wejściowych domu, Hansa nigdzie nie było widać.

„Stoję w szlafroku na ulicy”, pomyślała. „W majtkach i pończochach. I nawet nie wiem, czy to vivo, czy nie”.



– Chciałbym porozmawiać o możliwościach wgrania – powiedział Alfred Ulver, jak gdyby w życiu nie był skanowany, nikt nie miał na niego haka i wszystko było jeszcze możliwe.

Aby nie rozpoznano, że od czasu poprzedniego wgrania połowa jego mózgu to dziury, przygotował sobie listę pytań zadawanych wcześniej przez jego własnych klientów. Tych, którzy lękali się przeniesienia do vivo po śmierci. Żeby zmylić policję i pośredników wywiadowczych, postanowił nie zmieniać nawet formy gramatycznej.

– Rozumiem, że przymierza się pan do emerytury? – zapytała przydzielona mu konsultantka Forever. Nazywała się Hanna Fronz. – Choć ma pan jeszcze chyba trochę czasu.

Ulver zignorował uśmiech, który towarzyszył zasłużonemu komplementowi. Nie mógł dać się zwieść tanim marketingowym sztuczkom, nawet podszytym rzeczywistym podziwem dla młodzieńczej skóry na jego osiemdziesięcioletniej twarzy. Nie tylko twarzy zresztą.

– W rzeczy samej – odparł. – Jestem tradycyjnym psychiatrą, droga pani. Leczę głównie pacjentów męczonych tęsknotą za fin de siècle’em, jednak w głębi ducha dobrze ich rozumiem. Sam czuję się nieco zagubiony w gąszczu nowinek, preferując książki nad vivo i inne wynalazki.

– A jednak wizja nieśmiertelności skusiła pana.

– Można to tak ująć.

– Pozwoli pan, że przedstawię dostępne technologicznie możliwości, pomijając rzecz jasna juvenilizację.

– Oczywiście. – Ulver dziarsko kiwnął głową. Zdecydowanie nie było już co juvenilizować. Skórę miał młodszą niż niejeden trzydziestolatek, wątrobę w doskonałym stanie, podobnie jak serce. Odmładzanie niewiele mogło za to pomóc mózgowi, dziurawemu jak ementaler. A to przecież o mózg chodzi, tam się dzieje prawdziwe życie. Psychiatrze nie trzeba tego tłumaczyć.

– Wszystko zaczyna się od skanowania. – Fronz wyświetliła na ścianie obok nich olbrzymi mózg zanurzony w przejrzystej dla potrzeb prezentacji czaszce. – Skaner tnie ten cenny organ na plasterki, nie dosłownie, rzecz jasna, odczytując ułożenie i stan wszystkich komórek: neuronów, gleju, składników naczyń krwionośnych. Jest to proces absolutnie bezpieczny, aczkolwiek nie ma to rzecz jasna większego znaczenia, gdyż zgodnie z ustawą o wgraniu osoba, której mózg zeskanowano, musi zostać poddana eutanazji.

Ulver odgrywał głęboki spokój zmieszany z fascynacją, jednak irytacja entuzjazmem kobiety zaczynała wrzeć głęboko w okolicach żołądka. Bezpieczny proces, niech was licho! Obserwował tysięczne warstwy wielkiego włoskiego orzecha, których struktura, zmieniona w strumień q-bitów, wędrowała na prezentacji do olbrzymiego repozytorium.

– Ma pan jakieś pytania? – uśmiechnęła się znowu Fronz, obserwując razem z klientem, jak mózg wraz z czaszką odpływają do magazynu komisji eutanazyjnej. Pod budynkiem czekała już rodzina z kwiatami. Radosna, gdyż ukochany ojciec-teść-i-dziadek przeniósł się właśnie do krainy – dosłownie! – życia wiecznego, a w każdym razie długotrwałego.

– Nie mam. Co dalej? – odpowiedział Alfred Ulver.

– Tu następuje właśnie najbardziej interesująca część naszej opowieści. Wybór. Otóż dostępne

są trzy główne opcje. Pierwsza, najpopularniejsza, to jeden z domów spokojnej wieczności. Taki jak nasz Forever. Klient spędza tam życie, zajmując się ulubionymi czynnościami.

– Można pielnić ogródek? – wtrącił beztrząs Ulver, przywołując wspomnienie pani Maple tęskniącej za swoim ogródkiem w Cheshire, który obecnie był magnetostradą czy inną elektrownią, nigdy nie potrafił zapamiętać, choć kobieta opowiadała mu o tym co tydzień przez dwie godziny, za równe pięć stów miesięcznie. Plus VAT.

– Można absolutnie wszystko, o ile jest to zgodne z prawem, oczywiście. – Fronz zmrużyła oko i Ulverowi przyszło do głowy pytanie, czy wścibscy asystenci nie donieśli konsultantce o jego przygodzie z frau Kohl, którą tak w nocy wyobrażał, że do tej pory się jeszcze poccił na samą myśl.

– I vivo też tam na pewno działa – stwierdził podchwytliwie, cytując porucznika More'a. Biedak bał się, że utknie gdzieś, kiedyś, nie wiedząc, kim jest naprawdę.

– Naturalnie. To świat tak rzeczywisty, że aż prawdziwy, że posłużę się naszym firmowym sloganem. Może jednak chce pan herbaty? W tych czasach nie wszędzie...

– Dziękuję – przerwał jej Ulver i zdecydowanie pokręcił głową. – Proszę kontynuować tę fascynującą opowieść. Jakie są inne możliwości?

– Druga to osobisty mikrokontener, który jest jednocześnie okiem, uchem i ustami osoby, która zdecydowała się kontynuować życie naturalne. – Fronz wyświetliła gustowne pudeleczko w obłym kształcie, który budził w psychiatrze tak wiele skojarzeń, że aż się zastanowił, czy dostrzegliby je w czasie skanowania. I czy wpuściliby go do vivo, nie martwiąc się, że będzie tam deprawował staruszki. W angielskim domu wiecznej starości nie mogło to być raczej legalne.

– Będą mogli zabrać mamusię na spacer w takim termosie. – Ulver zacytował staruszkę Johanssen, przekonaną że wnuki będą ją po śmierci podglądać. – Nawet jeśli w tym czasie byłaby w toalecie.

– Tak, można zabrać ją na spacer. Rozmawiać z nią również. Nazywamy to urządzenie urną, ale ma pan rację, że wygląda zupełnie jak termos.

– I vivo też tam na pewno działa.

– Rzecz jasna. – Fronz uśmiechała się niezmiennie. – Osoba w urnie zamieszkuje świat taki jak nasz, jednak nie musimy jej karmić ani zmieniać jej pieluch. To czyste szczęście, życie bez najmniejszych nawet trosk. To wybór droższy niż dom spokojnej wieczności, ale kontakt z bliskimi jest o wiele łatwiejszy. Teoretycznie właściwie nieograniczony.

– Mhm. – Ulver miał ochotę zapytać o seks, ale nie chciał, żeby ta cała Fronz choćby pomyślała, że to go interesuje. Tym bardziej że była odrażająco chuda. Jej pewnie nie przeszkadzałoby życie w termosie. I tak pewnie nikt jej nie chce. – A trzecia możliwość?

– To świat osobisty, dowolnie modelowany na życzenie mieszkańca. Opcja najdroższa, ale i najbardziej luksusowa. Łączy ze sobą zalety obydwu poprzednich, polecana szczególnie dla osób, które oczekują od świata czegoś więcej niż rozmowy i seriale.

– I vivo też tam na pewno działa – powtórzył Ulver, siląc się na szczery uśmiech, dla którego przemodelował niegdyś siekacze, aby wyglądały nieco mniej drapieżnie.

– Tak, panie Ulver. Vivo działa również. Czy ma pan jakieś inne pytania?

– Oczywiście. Co z moją duszą? Co się z nią stanie? Czy zazna spokoju po śmierci? – zacytował wdowę Jansson. Chyba nawet razem z jej pełną egzystencjalnego smutku intonacją. Miała naprawdę ogromny biust. I niezwykle szerokie biodra.

Hanna Fronz mrugnęła niepewnie i sięgnęła po nietkniętą dotąd szklankę z wodą.

„Pewnie myślałaś, że zapytam cię o seks”, pomyślał Ulver. „Nic z tego, są ważniejsze sprawy. Na przykład dusza”.

– Gdzie ona się podziewa, kiedy ja spokojnie siedzę w termosie? – ciągnął wspomnienie po wdowie Jansson. – Jest tam ze mną czy fruwa sobie po świetle, tęskniąc za właścicielem?

– Chrześcijanie również korzystają z naszych usług – odpowiedziała wymijająco Fronz, zerkając na ekran dyskretnie umieszczony w blacie biurka.

– Nie jestem chrześcijaninem – odparł Ulver. – Ja po prostu mam duszę. Ateistyczną. A zatem? Gdzie ona się podzieje?

„Zarób na marzę, chuda nieszczęśnico”, pomyślał. „Zarób na namiastki szczęścia, skoro nie możesz mieć prawdziwego”.

– Dusza, wrażenie posiadania własnego „ja” – recytowała Fronz – jest wytworem aktywności mózgu i nie istnieje jako odrębny fizyczny byt. Dlatego funkcjonuje również w odtworzonym w kwantowym komputerze ciele i mózgu.

– Skąd oni mogą to wiedzieć?! Czemu obiecują? Jak mam im wierzyć? – krzyknął.

– Wystarczy porozmawiać z osobą żyjącą w Forever albo urnie. Osoby te nie mają wątpliwości, że istnieją i żyją.

– Mój odkurzacz też ich nie miał!

Fronz uniosła pytająco brwi.

– Zmarł wczoraj – wyjaśnił dumny z refleksu Ulver. „Tak wstrzelić się z prawdziwym elementem życia!” – ale wątpię, czy jego dusza poszła do nieba odkurzaczy. Myślę, że po prostu przestał działać, choć mogłem z nim rozmawiać o wszystkim. Nawet o tym, że żyje i istnieje.

– Bardzo mi przykro, panie Ulver – wyjąkała, a na jej twarzy odmalowała się wyraźna nadzieja, że temat duszy został właśnie zamknięty.

– Jeśli duszy nie ma, to skąd mam wiedzieć, że to właśnie ja obudzę się tam, w termosie, kiedy już technicy zapną wszystko na ostatni guzik i wcisną każdy niezbędny przycisk?

– Tak samo jak budzi się pan rano i dalej jest pan sobą, a nawet wie pan, że to pan śnił swoje sny – odparła Fronz zdecydowanie pewniejszym tonem.

– A gdybym w jakiś sposób uniknął eutanazji, gdyby moje ciało nie dotarło do magazynu? Na przykład karetka by się zepsuła albo ktoś by ją porwał ze mną w środku?

Tym razem z pomocą przyszły wątpliwości porucznika More’a.

– Prawdę mówiąc, magazyn mieści się w tym samym budynku, to tylko taka elegancka wizualizacja – przyznała Fronz.

– Tak czy siak, coś mogłoby się po drodze stać. Gdybym się obudził wtedy, byłbym naraz tu i tam? Jeden ja na wyspie Pacyfiku, drugi tutaj, obaj przekonani, że są mną?

– Właśnie dlatego duplikacja jest zabroniona.

– Żeby nikt nie zadawał niewygodnych pytań?

– Żeby nie powstawały tego typu trudne do rozwiązania sytuacje – wyjaśniła z uśmiechem Fronz i spojrzała wymownie na zegar. Spotkanie dobiegło końca, bezowocnie. – Prześlę panu podsumowanie rozmowy.

– Nie potrzebuję go, pamiętam dokładnie wszystko – zapewnił Ulver, wstając z fotela. – Ponieważ jednak wiem, że należy to do pani obowiązków, proszę się nie krępować.

Sprzedawczyni podała mu chudą, kościstą dłoń. „Gdybyś była trochę grubsza, mógłbym ci chociaż zapewnić owocny wieczór”, pomyślał psychiatra. „Ale w tej sytuacji możesz liczyć wyłącznie na vivo. Kiedy już na nie zarobisz”.

Podsumowanie i cennik przejrzał w kawiarence nad Tamizą. Trzysta tysięcy za wysepkę na Pacyfiku z dożywotnim asystentem i jedną zmianą scenerii rocznie. Dwieście za termos. Za Forever marna stówka, tylko kto miałby go odwiedzać? Pacjenci? Po dziesięciu latach rozrzuca

jego prochy na wietrze, jak w japońskiej świątyni. A przez te dziesięć lat co by tam robił? Grał w remika w dzień, a w nocy spał?

„Już po mnie”, pomyślał. „Zwiędnę tu i zdechnę pod mostem, kiedy wszystkie zwariowane staruszki wymrą, jak ta Brontë ostatnio. Bo skąd miałbym, do kurwy nędzy, wytrzasnąć trzysta tysięcy?”.

– No, chyba że skądś bym wytrzasnął – powiedział na głos i wstał od stolika, pozostawiając niedopitą kawę.

I tak śmierdziała starą szmatą.

John Lennon siedział w pubie „Porters & Ales” i zastanawiał się, jak powiedzieć Dianie, że nie wie, czemu zamiast wsiąść w samolot do Tokio, przyjechał do centrum Londynu. Co gorsza, nie znalazł w pamięci najmniejszego śladu po tej wycieczce. Ostatnie, co pamiętał, zanim stanął przed drzwiami pubu, to rozmowa z Dianą. Grał na gitarze. Śpiewał. Teraz gitary nie było, walizki tym bardziej. Facet, który postawił mu piwo, znał go skądś, nie potrafił jednak powiedzieć skąd. Przedstawił się jako Ross Murphy, sprzedawca krzeseł. Lennon całkiem nieźle się ubawił, wmawiając biedakowi, że jest znanym w branży projektantem krzeseł, łącznie z tymi, na których akurat siedzieli, i że to właśnie z folderów reklamowych firm meblarskich Ross Murphy go zna. No i na pewno spotkali się na jakichś targach, gdzie Starr, muzyk bowiem przedstawił się nazwiskiem ulubionego kumpla, udzielał wywiadów.

– Mam nadzieję, że ta pana znajoma przyjedzie zaraz, tak jak obiecała, panie Starr – rzucił Murphy na odchodnym. – Ja muszę już lecieć: dzieciaki czekają, a żona się wścieka.

– Diana zaraz tu będzie. Dzięki jeszcze raz. Za piwo i telefon – odpowiedział Lennon, salutując niedbale do pustej głowy. Kapelusz zginął gdzieś w czasie wycieczki, której nie pamiętał. – Proszę pozdrowić żonę. I sprawdzić krzesła w domu, może to moje dłonie pieszczą codziennie wasze pośladki!

W oczekiwaniu na Dianę rozglądał się po knajpie, usiłując dopomóc mózgowi w odnalezieniu zaginionych chwil, jakby szukał słowa, które uciekło z końca języka.

– To naprawdę ty. – Znajomy głos wyrwał Lennona z zamyślenia. – I naprawdę tu jesteś. Myślałam, że ktoś się wygłupia.

Diana wyglądała olśniewająco, jak zwykle. Tym razem jednak sprawiała wrażenie wzruszonej.

– Mój telefon nie działa – wytłumaczył się John i przyszło mu do głowy, że w mniej starannym makijażu jego przyjaciółka, kochanka i mecenas w jednej osobie przypomina nieco zebra, tę wymarłą. Nie rozumiał dlaczego, ale ta myśl napełniła go otuchą. – Na szczęście rozpoznał mnie jakiś facet i pozwolił mi zadzwonić.

– To naprawdę ty – szepnęła Diana i rozplakała się.

John nic z tego nie rozumiał. Wstał i objął ją ramieniem. Wyglądali pewnie jak dziadek i wnuczka, którzy spotkali się po latach, ale nie miało to większego znaczenia. On też się trochę stęsknił. Ostatni raz widzieli się wczoraj, a równie dobrze mogło to być przecież przed miesiącem. Kto wie, jak długo trwała tak naprawdę podróż, skoro jej nie pamiętał?

– Co z Markiem? – zapytał, kiedy siedzieli już w taksówce. Diana, oparta o niego głową, nie odpowiedziała, w każdym razie nie od razu.

– Nie pytałam. Ważne, że z tobą wszystko w porządku. Martwiłam się o ciebie. Kazałam szukać po całym mieście. – Ścisnęła mocno jego dłoń, nieco zbyt długie paznokcie wpijały się w skórę, ale nie protestował, przywykły do przejawów czułości, choć zwykle subtelniejszych. Czyżby naprawdę nie było go tak długo? – Akurat przeczesywali doki.

– Podejrzywałaś mnie o szwendanie się po dokach? Studwudziestolatka? – Lennon powiedział pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy, byle tylko przestać zastanawiać się nad coraz mniej

zrozumiałą sytuacją. Zamknął oczy i zanucił piosenkę, która zjawiała się w jego głowie:

*Down in London there's a dock  
I can take you there tomorrow  
We can roll and we can rock  
So don't fear and feel no sorrow  
I have been there many times  
It's a place like from a dream  
Come and love me...<sup>3</sup>*

Lennon przestał nucić i krzyknął z bólu, kiedy długie paznokcie wpiły się boleśnie w jego dłoni. Kątem oka ujrzał, jak Diana wygina się w łuk, jak gdyby mięśnie jej grzbietu skurczyły się w niekontrolowany sposób. Najpierw przypomniała mu się mała nimfomanka z „Egzorcysty”, potem pomyślał o epilepsji. Dopiero lubieżny jęk, jaki Whitmore z siebie wydała, uświadomił mu, że najprawdopodobniej był właśnie świadkiem, pierwszy raz w swoim długim życiu, spontanicznego i niekontrolowanego orgazmu pod wpływem nuconej piosenki.

– Weź mnie, John – jęknęła z zamkniętymi oczami. – Teraz i tutaj. Mam na sobie tylko pończochy, wystarczy że podciągniesz spódniczkę. Weź mnie, błagam.

Pamiętał te słowa, szeptało mu je do ucha jakieś dwa tysiące nastolatek i dwa razy tyle kobiet dojrzałych. Kilka razy żałował, że nie miał akurat czasu, kilka razy żałował, że akurat miał. Zawsze jednak podejmował decyzję bez dłuższego wahania. I tym razem stało się tak samo.

Zanurzył się w Dianie Whitmore, gdy tylko rozpiął spodnie. Zdążył jeszcze zadać sobie pytanie, czy specjalnie wzięła taką przestronną taksówkę, potem zaś nie myślał już, a tylko czuł.

Kiedy oboje opadli z powrotem na kanapę, mokrzy od potu i zdyszani, zrozumiał nagle, że nie było żadnego brakującego dnia. Patrzył na sterczące wysoko w kierunku sufitu taksówki sutki Diany Whitmore.

– Kocham cię, John. Zostań ze mną na zawsze – jęknęła.

– Pod warunkiem, że pozwolisz mi kończyć piosenki. – Lennon uśmiechnął się do siebie. – Nieskończone melodie strasznie męczą.

– Jeśli nie będziesz komponował przy mnie, zgoda. Jeśli zrobisz to znowu, nie ręczę za siebie.

Taksówka zatrzymała się łagodnie u celu podróży w podlondyńskim Greenwich, ale drzwi nie otworzyły się. Na tylnej kanapie pasażerka zebrała siły i zamiast wysiąść, usiadła okrakiem na kolanach towarzysza.

– Zrób to jeszcze raz, John – zażądała. – Tym razem ja na tobie.

Posłuchał, tym razem on pod nią.

---

<sup>3</sup> *Jest stary dok w Londynie / Wybierzmy się tam zaraz / By poczuć życia słodki smak / By tańczyć aż do rana  
Bywałem stałym jestem tam / To miejsce wprost ze snu / Więc chodź i kochaj... (tłum. autora)*

Góry Jutrzenki nigdy nie były najbardziej gościnnym miejscem w Drumlofcie. Sekwojowe lasy szybko ustępują tam miejsca gęstym sosnowym zaroślom. Czają się w nich drapieźniki: dwunastonogie, szybkie jak błyskawica pająki i oślizgłe glimaki, które potrafią utrzymać ofiarę przy życiu tak długo, póki nie strawią ostatniej przydatnej do spożycia części.

Czegoś tak względnie bezpiecznego jak łagodne hale Góry Jutrzenki nie znały. Wiecznie zielone iglaste krzewy kończyły swoje władanie tuż pod skalistymi, niegościnnymi urwiskami, których zwyczajnie nie były w stanie skolonizować. Wśród nagich skał czaiło się mniej drapieźników, ale nie oznaczało to, rzecz jasna, że ostre turnie, piarżyska i źleby wolne są od niebezpieczeństw. Skalne lawiny w kilka sekund bez śladu grzebały nieostrożne zwierzę lub wędrowca. Kapryśna pogoda potrafiła na nieskazitelnie błękitnym niebie wyczarować w mgnieniu oka gęste chmury, zasypać góry śniegiem i ostrzelać je piorunami, których uderzenia zmieniały rzeźbę skał nie do poznania. Pozornie stabilne skalne progi załamywały się pod nieostrożnymi stopami i kopytami, posyłając nieszczęśnika w głąb przepaścistych rozpadlin. Jaskiniowe niedźwiedzie i skalne koty pożywiały się nie tylko tymi darmowymi posiłkami, ale i same przemierzały górskie ścieżki w poszukiwaniu cieplejszego i świeższego mięsa.

Najgorsze ze wszystkiego były oczywiście smoki. Jeśli w jakiejś jaskini nie było ich śladu, oznaczało to, że odsłoniło ją niedawno uderzenie pioruna albo mróz, który skruszył frontową ścianę czy zasłaniający wejście głąz. Wszystkie inne były zamieszkane, niegdyś lub aktualnie. Rozmiar lokatora ocenić można było po szerokości i wysokości otworu wejściowego, wiek po kolorze zalegającego w najbliższej okolicy smoczego guana. Do jaskiń udekorowanych na jaskrawozielono zalecano zbliżanie się jedynie stworzeniom pragnącym błyskawicznej i właściwie bezbolesnej śmierci w pazurach i paszczy młodego, silnego smoka. Ciemna zieleń oznaczała smoka dojrzałego i bardziej skłonного do długiej nieraz zabawy ofiarą, zaś odchody koloru czarnego – zmęczonego życiem starca, który najpewniej kwaśnym oddechem pozbawi intruza wierzchnich warstw odsłoniętej skóry, co w praktycznie wszystkich przypadkach zapewniało lokatorowi jaskini spokój na dłuższy czas.

– Skąd wiesz, że to tutaj? – zaszeleścił najciszej jak umiał Aldi Od.

– Każdy to wie – odparł Humlain, wypatrując śladów świeżego łajna, które oznaczałoby, że mimo zalecanej odwieczną tradycją studniowej kwarantanny leże dziadka króla smoków zostało już zajęte. Żaden starzec nie ryzykowałby zdrowiem, dlatego krasnolud mógł ograniczyć się do jaśniejszych plam, oznaczających młodszego, lekkomyślnego osobnika. – To znaczy każdy, kto interesuje się heraldyką, smokami i tak dalej. To jaskinia Alskoppa.

– Czemu akurat ta?

– Po prostu mamy większą szansę, że okaże się pusta.

– Teraz musimy znaleźć smoczą macierzankę, tak?

– Smoczy tymianek. Rośnie na łączkach nad urwiskami, a smoki doceniają jego właściwości przeczyszczające. Wystarczają trzy-cztery dokładnie przeżute kępy, żeby przełamać najtrudniejsze zatwardzenie. Ziarna kielkują potem w łajnie i w ten sposób zielsko roznosi się po górach.

– Zaczynam być głodny, mój niski przyjacielu. – Modliszka oblizwała czarnym językiem potężne szczęki. – I coraz trudniej mi myśleć o czymkolwiek innym niż jedzenie.

Krasnolud westchnął, z cichym jękiem wyprostował zgarbione plecy i wróciwszy do olbrzymiego owada, wyjął z przytroczonych do siodła podróżnych sakw dwa worki, jeden pełen i jeden pusty.

– Mam nadzieję, że miejsca przyczepu nie są aż tak wrażliwe, jak ostrzegali mnie kiedyś treserzy – powiedział asekuranko. – Na wszelki wypadek spróbuj powstrzymać odruchy. Pamiętaj, że tylko ja znam drogę powrotną.

– Obiecuję się skupić. – Aldi Od wydał swoimi odnóżami odgłos podobny do ludzkiego chichotu, jednak zwierzęco mechaniczny, a przez to upiorny.

Humlain zaczepił ostrożnie jedną pętlę pierwszego worka na wyrostku twarzowym tuż ponad półotwartymi tytanicznymi szczękami, które w ostrym świetle południowego słońca wydawały się przejrzyste jak przydymiony szafir. Coś pulsowało wewnątrz, gęsty, opalizujący płyn, ale krasnolud bał się przyglądać zbyt długo. Charakter karamodliszek, i tak już paskudny, potrafił się w porze obiadu zmieniać niczym pogoda w górach: nieoczekiwanie psuć, bez możliwości wymodlenia jakiegokolwiek łaski.

Przy zaczepianiu drugiej pętli Aldi Od szarpnął głową, zaciskając mocno szczęki.

– Cholera! – zaszeleścił wściekle, pochylając się nad krasnoludem, który w pozycji przypominającej płodową kulił się na skale. – Nic ci nie jest? Worek kompletnie zasłania mi widok.

– Miałeś się opanować! Prawie przecięłaś mnie na pół! – Teatralny szept Humlaina przepełniony był pretensją i strachem.

– Przepraszam, to odruch. I przyznaję, choć trochę mi głupio, że masz bardzo smaczną krew.

– Nie ma mowy! – Krasnolud niezgrabnie podnosił się z powrotem na krzywe nogi. – Żadnych sosów do suchej karmy. Miłe złego początku, a potem zostaną ze mnie tylko kostki. Słyszałem o takich sfinksowatych numerach. Jedz, a ja opanuję jakoś krwawienie, inaczej będziemy mieli zaraz smoki na głowie. Jeśli zapach się rozejdzie.

– A ten drugi worek? – zapytała karamodliszka. – Wiesz, to nie jest kupa roboty i tak dalej.

– Nie ma mowy. Po prostu odejdz gdzieś dalej i rozstaw szeroko nogi.

– Dziękuję, umiem się załatwić. Chciałem tylko być ekologiczny.

Aldi Od odsunął się pod skalny nawis i pochylił głowę. Humlain przez chwilę przyglądał się długiemu, połyskliwemu językowi, który na przemian to wsuwał się do worka, to powracał do paszczy, oblepiony grudkami suchej karmy. Piekący ból przypomniał mu jednak szybko o ranie na boku. Zdjął plecak i z zapakowanej w skórzane etui apteczki wyjął płyn dezynfekujący oraz plaster.

– Hej, krasnoludzie. – Szeleszczący szept spod ściany dobiegł go w chwili, kiedy zaciskał wargi i oczy w próbie powstrzymania przekleństw. – Jak wygląda ten smoczy rumianek?

– Tymianek! Drobne, wąskie listki, fioletowe kwiatki.

– Aha.

– Czemu pytasz?

– Chyba nasrałem na coś takiego. Przepraszam, to odruch silniejszy nawet od zaciskania szczęk przy smyraniu. – Aldi Od nie wydawał się przesadnie skruszony. – Karma, swoją drogą, bardzo smaczna. Co to?

Humlain rzucił się w kierunku karamodliszki biegiem najszybszym, na jaki odważył się na śliskich skałach. Owad przesunął się w tym czasie nieco do przodu, żeby odsłonić miejsce, gdzie z



wysokiego na stopę kopczyka śmierzącego gotowanym bobem i kocimi odchodami wystawał wierzchołek wiechy fioletowych, drobnych płatków.

– I co? – zaszeleściła modliszka tuż nad uszami krasnoluda. W połączeniu z odgłosem miażdżonej chitynowymi zębami karmy brzmiało to upiornie. – To nasze kwiatki?

– Ciszej trochę! – jęknął Humlain. – Nie wiem. Wygląda raczej jak zwykły tymianek.

– To czym się różnią?

– Sposobem rozmnażania i zapachem. Smoczy pachnie raczej sezamkami, zwykły tymiankiem.

– Rozumiem. Przykro mi.

– Mnie jeszcze bardziej.

Humlain wrócił do plecaka i wyjął z niego połyskliwą, nieco obłą w kształcie kopertę.

– Macie tu polipropylen? – spytał Aldi Od, wsuwając język głęboko do worka.

– To rybi pęcherz. Nie ma tu ropy naftowej, a węgla wolno używać wyłącznie do produkcji lekarstw i jako opału – odparł krasnolud. Założywszy grubą skórzaną rękawicę, zaczął rozgarniać kopczyk modliszkowego łajna, żeby odsłonić roślinę.

– Dobrze, że potrzebne są tylko kwiaty, liście zupełnie już zbieleły. Co ty tam z siebie wydzielasz? Czysty kwas moczowy? W każdym razie gdybyśmy szukali czegoś do jedzenia, bądź bardziej uważny, dobrze?

Tylne odnóża zawibrowały w grubym, tubalnym śmiechu, od którego Humlainowi wyprostowały się włosy na plecach.

– Możemy już wracać? – zapytał Aldi Od.

– Wstrzymaj się jeszcze chwilę, na wypadek gdyby to nie był smoczy tymianek. Poszukam jeszcze, w pobliżu powinny być kępy powstałe z rozłogów.

– Nie powiedziałaś mi, co to za karma.

– Suszone myszy i nornice, jeśli sprzedawca nie udawał po prostu rozkoszniczka.

– Pycha. – Karamodliszka nerwowo oblizwała szczęki. – Masz jeszcze?

– Jesteś odrażający.

Dźwięk, który rozległ się nad ich głowami i powrócił odbity od kolejnych, coraz to dalszych gór, rozpoznał nawet Aldi Od. Głębokie wibracje szarpnęły jego wnętrznościami i boleśnie podrażniły wszystkie włoski słuchowe na przednich odnóżach.

Ziewnięcie smoka.

– W starych filmach mówi się na to: „mamy towarzystwo” – powiedział owad.

– Bardziej adekwatne byłoby: „mamy przesrane” – szepnął Humlain, kuląc się pod skalnym nawisem.

– Witam panów! Czy może jednak panie?

Skóra smoka niemal nie różniła się barwą od skał, pośród których musiał cały czas leżeć kilka stóp ponad ich głowami. Otworzył teraz oko, które kontrastowało błękitem z brudną, zielonkawą szarością pokrytych porostami granitów.

– Miałam kiedyś jedną kobietę z brodą – powiedział. – To było bardzo ekscytujące. Za to karalucha jeszcze nigdy. W każdym razie nie takiego dorodnego. Jesteś jeszcze dziewicą, prawda?

U stóp Humlaina padła kropla gęstej, spienionej śliny, po czym rozplynęła się w woniejącą piżmem kałużę.

„Przesrane to źle powiedziane”, pomyślał krasnolud. „Raczej przejebane”.

Spośród dyskretnych ofert zarobienia „od 200 000 do 300 000 euro” w ciągu jednej nocy Alfredowi Ulverowi akceptowalnie ryzykowne wydały się cztery. Czarna Giełda, na której dziesięć lat temu zaoferował równo sto tysięcy za możliwość wgrania się do Forever bez konieczności poddawania się eutanazji, funkcjonowała jeszcze prętniej niż wtedy. Ulver nie rozumiał, jak osiągnięto tak doskonałą dyskrecję, ograniczał się do dziękowania co jakiś czas w myślach wynalazcy komputerów kwantowych, z którymi miało to coś wspólnego, o ile dobrze pamiętał.

Najlepszym dowodem, że całość działała, był sam Alfred, który zgodnie z planem dalej żył i praktykował. Gdyby ktokolwiek coś do tej pory zwęszył, popioły Ulvera już dawno trafiłyby do Ogrodu Niepamięci czy gdzie rozsypywało się tych, którzy przenieśli się do Forever.

Tak czy inaczej jakiś kwadrans po złożeniu oferty na gotowość służenia swoim ciałem, umysłem i co tam jeszcze mogło się komuś przydać, posypały się odpowiedzi. Większość stanowiły propozycje zagrania w vivo o „prawdziwej śmierci” lub „rzeczywistych torturach”, które to nagrania na czarnym rynku kursowały za naprawdę wysokie stawki. Niestety, wynagrodzenie wypłacane było zawsze na konto w Forever czy innym podobnym miejscu, gdyż w rzeczywistym świecie ze świeżo upieczonej gwiazdy drugiego obiegu pozostawało w najlepszym razie ciało, w najgorszym zaś różnego rodzaju ochłapy i strzępy. Najbardziej zainteresowało Ulvera trzysta tysięcy oferowane przez niejakiego DamPracęEstecie, monstrualnego grubasa, o ile awatary na Czarnej Giełdzie miały jakiegokolwiek znaczenie.

– Witaj, UwielbiamNaprawdęSzerokieBiodra – oznajmił tłuscioch. – Mamy podobne zainteresowania, o ile oczywiście mówimy o kobietach.

– Dobry wieczór – odpowiedział Alfred. – Tak, chodzi o dojrzałe kobiety, choć zapewne to nie za moje zamięłowania jesteś gotów tyle zapłacić.

– Po prostu wolałbym, żebyś wydał zarobione dzięki mnie pieniądze na jakiś zbożny cel, na przykład utrzymanie jeszcze jednej atrakcyjnej kobiety. To nie sztuka mieć Mikel Rufinelli w vivo. Trzeba żyć naprawdę i kochać naprawdę!

– Myślę dokładnie to samo – przytaknął gorliwie Ulver. – Vivo mnie brzydzi.

– Zapewne ciekawi cię, jakie to zadanie warte jest dla mnie trzy stówki?

– W rzeczy samej, choć nie powiem, że stoję pod ścianą. Po prostu rozglądam się za sposobem na wzbogacenie się.

– Cieszę się, desperacja nie jest dobrym doradcą. Podobnie jak pośpiech. A wracając do kobiet, pamiętasz ostatnią, którą miałeś?

Obraz frau Kohl w samym pasie do pończoch, wypinającej na niego tłuste, sześćdziesięcioletnie pośladki gospodyni domowej, stanął Ulverowi przed oczami.

– Naprawdę, przyjacielu. Pytam o naprawdę – dodał pan DamPracęEstecie, jak gdyby poznał po milczeniu Alfreda, że ów wspomina przeżycia utkane przez Fable.

– Rzecz jasna. Trudno ją zapomnieć, była naprawdę wspaniała. Głośna, wrażliwa i wspaniale otłuszczona.

– Przywieź mi ją.

Alfred nie był do końca pewien, czy dobrze usłyszał. Wiedział, że nie ma szans przesłuchać potem nagrania z rozmowy, na Czarnej Giełdzie nie istniało bowiem coś takiego. Albo teraz dowie się dokładnie, o co chodzi, albo wyłowią go za parę dni z Tamizy pozbawionego cennych dla niego części ciała i jakikolwiek cech szczególnych. Słyszał już o takich nieszczęśnikach i nie miał zamiaru skończyć jak oni.

– Słucham? – dopytał, oblizując wyschnięte nagle wargi.

– Przywieź mi tę kobietę. Chcę jej i jej wspomnień o tobie. Trzysta to uczciwa cena, prawda?

– Dokąd miałbym ją dostarczyć? – Ulver postanowił ciągnąć grę aż do końca dwuminutowego okienka, które Giełda przeznaczyła na kontakt obu stron.

– Do mojego wozu. Zatrąszczy się o resztę.

– Nie wytropią cię po nim?

– O to również nie musisz się martwić.

– Ile mam czasu na rozpatrzenie oferty? – zapytał Alfred, zastanawiając się, czy w ogóle pamięta jeszcze kobietę, z którą ostatnio był w łóżku naprawdę.

– Dwadzieścia minut. O ile ktoś cię nie ubiegnie. Podaj też cenę, gdybym musiał wybierać pomiędzy ofertami.

– Zgłoszę się – powiedział Ulver do pustego już ekranu. – Jeśli tylko wymyślę sposób, jak wykonać to twoje jebane zlecenie. I nie trafić przy okazji do resocjalu.

W czasie rozmowy z panem DamPracęEstecie dwie z czterech ofert stały się nieaktualne, dlatego Alfred połączył się natychmiast z ostatnim pozostałym na placu boju pracodawcą. Ujrzał chudą, jednak nieskazitelnie gładką na twarzy i piegowatych ramionach kobietę. Rude włosy zaczesana w misterny kok przebity dwiema chińskimi pałeczkami czy czymś w tym rodzaju. W prawej ręce trzymała długą cygaretkę z papierosem w czarnej bibułce. Używała pseudonimu MaszChęćNaPięć?

– Witam cię, grubasku – powiedziała na początek, na co Ulver natychmiast obiecał sobie, że nie opuści z trzystu tysięcy nawet jednego centa. Choćby się baba poszczała, nawet na wizji, to nie opuści.

– Witam panią serdecznie – zełgał.

– Czyż nie wspaniała dziś pogoda, mój niewysoki przyjacielu?

– Zaiste, choć nieco wietrzna – odpowiedział, powstrzymując się od wybuchu. Nie musiał, rzecz jasna, zarobić swoich trzech stów dzisiaj, nie musiał też w całości, miał jednak przecucie, że dziś będzie dobry dzień. Nigdy nie słuchał przeczuć i zawsze potem żałował. Dlatego tym razem postanowił im zaufać. – Mogłoby też trochę popadać i zmyć pył.

– No dobrze, starczy pierdolenia. – Kobieta zmieniła nagle ton, czym przyprowadziła Ulvera o drżenie ud. Nie lubił takich chudych, ale wulgarne? Bardzo. – Ma pan samochód?

– Jasne! – skłamał.

– Niedobrze – strapiła się potencjalna klientka. – To chyba koniec rozmowy. Dziękuję, ma pan wspaniałe loczki na dekolcie.

– Ale pożyczony! – krzyknął Ulver.

– O, to jest właśnie prawidłowa odpowiedź – rozchmurzyła się i zaciągnęła papierosem. – Duży?

– Taki... – zawahał się, niepewny – ...w sam raz.

– I kolejna, brawo. Jeszcze jedna prawidłowa odpowiedź i możemy przejść do właściwych negocjacji. Podobam się panu?

– Siedzę tu cały zaśliniony – wypalił Ulver, skręcając się z obrzydzenia na myśl o mięśniach, które w ani trochę kobiecy sposób musiały przeżyć się pod skórą zleceniodawczyni. – I zastanawiam się, czy to nie ja powinienem złożyć pani jakąś ofertę.

– Wspaniale. Zwłaszcza że ja nie lubię takich grubasków jak pan. Lubi pan wątrobę? Szczerze.

– Nie.

– Tak samo jak ja, to świetnie. Nie będzie panu żal. Potrzebuję, żeby upiekł pan dla mnie trochę wątroby.

– Mam piec dla pani wątróbkę za trzysta tysięcy?

– Nie dla mnie. Dla ludzkości.

Alfred nie mógł powiedzieć, że boi się wariatów, pracował z nimi przecież co dnia. Wielu z nich było po prostu pocziwymi, starymi idiotami, ale niektórzy, podobnie jak pani MaszChęćNaPięć, sprawiali wrażenie kompletnie nieobliczalnych i niebezpiecznych, niczym odbezpieczona bomba, która tylko czeka, żeby ktoś przypadkiem dotknął przycisku detonatora.

– Jak miałbym to zrobić? – zapytał, przełykając głośno ślinę. – Ile tego jest?

– Jakies trzysta funtów, w budynku w Greenwich.

– Trzysta funtów? Mam tam przywieźć piec?

– Żartowniś z ciebie, grubasku – zaśmiała się i strzepnęła popiół, który zawirował szarymi płatkami. – Wystarczy, że podpalisz dom. I dopilnujesz, żeby żaden spryciarz nie próbował ocalić podrobów.

Alfreda aż skręcało, żeby zapytać, czemu pozbycie się trzystu funtów wątroby jest dla kobiety warte trzysta tysięcy euro, ale wolał nie wnikać. Podstawową zasadę funkcjonowania Czarnej Giełdy znał nawet przedszkolak, a co dopiero stary wyga, jakim niewątpliwie był Ulver. Po prostu lepiej nie wnikać.

– Ile mam czasu na decyzję?

– Pięć.

– Minut?

– Cztery.

Ulver zastanowił się, czy odważy się jeszcze kiedykolwiek odwiedzić Giełdę.

– Trzy – odliczyła.

Kosztowało go to przecież nie tylko pożyczone pięć tysięcy, ale i sporo nerwów.

– Dwa. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej niż dotąd.

Drugi raz mogło się nie udać. Poza tym pięć tysięcy piechotą nie chodzi.

– I ostatnie moje słowo...

– Biorę! – krzyknął Ulver.

– Jeśli wywiążesz się z zadania, mój tłuscioszku, pozwolę ci w ramach bonusu sprawdzić, czy na pewno mam takie chude biodra, jak by to wynikało z mojego wyglądu tutaj.

– Gdzie jest ten budynek? – szepnął przez zaschnięte usta.

– Szczegóły w kopercie – powiedziała kobieta, gasząc papierosa o blat stołu. – Powodzenia, grubasku.

– Niech cię cholera, koścista suko – wycedził przez zaciśnięte zęby, kiedy ściana poczerniała i wyświetliła znów listę ogłoszeń. Ogłoszenie pracodawcy estety nie było jeszcze zdjęte. Wybrał je i czekał.

– Oferta nadal aktualna? – zapytał, kiedy tłuste oblicze poprzedniego rozmówcy pojawiło się w końcu na ścianie.

– Tak, ale za dwieście pięćdziesiąt. – Pan DamPracęEstecie kiwnął głową.

Ulver nie zastanawiał się długo.

– Niech będzie – powiedział z fałszywym, choć wiarygodnym uśmiechem. – Dobra zabawa też się liczy. Gdzie szczegóły? W kopercie?

– Jak zwykle.

„Jeśli coś się nie uda”, pomyślał Ulver, „najwyżej będęgnił za moje własne sto tysięcy w Forever. Tak długo, jak nikt nie będzie mnie chciał odwiedzać”.

Wziął dwie koperty z niszy i wyszedł. Trzeba się było wziąć do roboty.

– Mamy jakieś półtorej minuty, żeby zacząć działać – rzucił Stan Odolsky, otworzywszy oczy na fotelu vivo. – Może dwie. Jakies pomysły?

Mark Rodman siedział obok z nieco zdezorientowaną miną.

– Zanim ich zje? – zapytał, usiłując przywyknąć na powrót do ludzkiego spojrzenia na świat.

– To smoczyca w rui. Zjedzenie im nie grozi, ale i tak mogą nie przeżyć.

Rodman spojrzał na niego niepewnie.

– Zakopuluje ich na śmierć?

– Obawiam się raczej gry wstępnej. Aldi Od będzie się bronił przed jej ocieraniem, więc go zagryzie. Humlain...

– Nie rozumiem, jak to możliwe, że jej nie zauważył – weszła mu w słowo Zoe, która w salonie siedziała przy nieprzytomnym Tuxingtonie. Włączyła się do rozmowy poprzez ścianę projekcyjną i jej twarz sąsiadowała teraz z obrazem smoczycy na skale. – To Xan Młodsza. Z południa. W zaawansowanej rui, jak powiedziałeś.

– Możliwe, że ktoś nas śledzi i zamówił tę Xan w ostatniej chwili, żeby nam przeszkodzić. – Stan podrapał się po brodzie. – Być może nawet ktoś w niej jest. Może Wren, komendantka policji? Może podejrzewać, że ktoś będzie szukał ziół. Stać by ją było na tak gwałtowne ustawienie więzów. No i nie przejmowałaby się łamaniem zasad Drumloftu.

– Przejmujemy łącze? – zapytała Zoe.

– Musimy spróbować. Jeśli nawet to nie Wren, moglibyśmy i tak wpiąć się w smoczycę i trochę stonować jej zapędy. Wystarczy minuta, żeby odlecieli na bezpieczną odległość.

– Albo odciągnąć jej uwagę jakimś innym smokiem. Może młodym samcem?

Stan pokiwał głową.

– Świetny pomysł. Załóż więzy na pojawienie się młodego smoka – polecił. – Potem wepnij się w smoczycę, niezależnie czy ktoś w niej jest, czy nie. Przez Bangkok. Karta jest w moim gabinecie. Zdążysz?

– Mam wyjście? – Zoe wzruszyła ramionami.

– Jeśli z samczykiem nie wypali, zamów chociaż niedźwiedzia szorstkowłosego. Widziałem kiedyś jedną smoczycę, jak... – Stan zrobił wymowny gest dłońmi. – Jego głowa przypomina kształtem sami wiecie co.

– Szkoda, że smoczycy nie są tak pruderyjne jak ty. A teraz przepraszam, mam tu pracę.

Zoe wyłączyła się.

– Musimy tam wrócić – powiedział Stan. – Humlain zaraz przełamie lęk i zacznie być dzielny, a wtedy Aldi Od po prostu zwieje i zostawi go samego.

Zamknęli oczy.

Smoczyca przeżyła się na skale nad ich głowami. Długa szyja kołysała się miarowo w rytmie, który wydał się Aldiemu Od lubieżny.

– Który z panów zechce mi towarzyszyć tej nocy? Obiecuję być delikatna, być może nawet czuła.

– To będzie słodka śmierć – mruknął Humlain.

– Co tam szepczesz, przystojniaczku? – mruzczała smoczyca. – Nie pesz się tak, ja też mam króciutkie nogi. Za to ogon mam długi. Bardzo długi. I bardzo sprawny.

Humlain poczuł na policzku dotknięcie miękkiej, ciepłej skóry. Zamknął oczy i oblizał wyschnięte nagle usta. Dłoń, która zaciskała się jeszcze przed chwilą na rękojeści noża, rozluźniła uchwyt. Koniuszek ogona krążył po jego policzku, gładząc skórę drobnymi, ruchliwymi wyrostkami. Gorąco rozlało się po jego twarzy i spłynęło wzdłuż szyi w dół, do brzucha.

„Dobiera się do mnie smoczyca”, pomyślał. „Ogonem z palcami. I robi to naprawdę skutecznie”.

Ogon przesunął się niżej, wzdłuż szyi, i sięgnął zapięcia skórzanej kurty krasnoluda.

– Jak myślisz, czy uda mi się ją rozpiąć bez patrzenia? – Głos smoczycy lepił się niczym słodki syrop. Gorące, gęste krople smoczej śliny zwisały mętnymi, opalizującymi soplami ze skalnego nawisu nad głową Humlaina. – Myślę, że byłbyś lepszy niż niedźwiedź. Ich głowy są zawsze takie brudne i najczęściej łamią się w trakcie. Ty jesteś bardziej elastyczny, prawda? Myślę, że doskonale byś pasował. Taki krępy, soczysty i czyściutki.

Nogi ugięły się pod krasnoludem.

W tym momencie ponad szczytami rozległ się donośny krzyk.

Ogon wycofał się w jednej chwili. Skórzaste skrzydła załopotwały ze świstem.

– Nad tamtym szczytem krąży smok. Poleciała do niego – powiedział Aldi Od. – Możesz już otworzyć oczy.

– Już, zaraz idę do ciebie. – Humlain przełknął ślinę. Chciał podbiec do olbrzymiego owada, wskoczyć na siodło i opuścić to miejsce, zanim smoczyca przyjdzie do głowy wrócić lub oba gady postanowią urządzić sobie miłosną przekąskę z krasnoluda. Jednak nogi, wciąż jeszcze miękkie, nie słuchały go.

„Najwyżej się doczołgam”, pomyślał. „Trudno. Jakoś kupię dyskrecję owada”.

Opadł na kolana i odetchnął głęboko.

– Mam cię podnieść? – zapytał Aldi Od.

– Nie, nie. Szukam... – odparł krasnolud i otworzył oczy. Tuż przed jego twarzą rosła dorodna kępa smoczego tymianku.

Uśmiechnął się i poczuł, jak siły wracają skądś, z tajemnego, wewnętrznego źródła. Sięgnął do pasa, chwycił nóż i ściał ziele, kilka dorodnych łodyg z nabrzmiałymi pąkami. Uniósł się z powrotem na nogi i dopadł Aldiego Od.

Spod niskich chmur dobiegł ich skrzekliwy wrzask.

– Smoczyce w rui są zbyt brutalne – mruknął krasnolud, sadowiąc się w siodle. – Nawet jeśli zaczynają delikatnie. Lećmy! Na południe.

Karamodliszka rozpostarła skrzydła i wzbiła się w powietrze.

Humlain odetchnął głęboko.

„Byle tylko nie zasnąć”, pomyślał.

Skupił się na przypominaniu sobie nazw mijanych szczytów.

„Gruba Baba”, „Jasny Głaz”, „Popielniczka”, mruzczał pod nosem.

Nie zasnął.

– Skręć w tym miejscu na wschód – polecił, kiedy minęli drogowskaz na Angeles Los „Trzysta tysięcy szczęśliwych dusz wita serdecznie. To już tylko pięć mil”. Pod nimi rozciągało się morze sosnowych koron.

Chwycił się kurczowo, szarpnięty ciasnym skrętem.

– Na drugi raz nie traktuj aż tak dosłownie tego, co mówię. Prawie wypadłem.

– Przepraszam, moja własna zwrotność nie przestaje mnie fascynować. Może następnym razem zamienimy się stworzonkami? Lecimy nad morze?

– Na plażę. Powinna być za tamtymi drzewami.

Kamienistą plażę w kształcie półksiężyca skrywała przed światem niewysoka grota. Karamodliszka wleciała do niej i osiadła z gracją na płaskim kamieniu. Krasnolud zeskoczył na głaz i zdjął plecak. Wyjął z niego rybi pęcherz, zacisnął go mocno czerwoną pieczęcią i rzucił daleko do wody.

Cisza, która zapadła, pełna była szumu fal Oceanu Zachodniego i krzyku petreli. Była to najgłośniejsza cisza, jaką Aldi Od kiedykolwiek słyszał. I zdecydowanie najbardziej wymowna.

Biały punkt, który jeszcze przed chwilą był rybim pęcherzem, rozmywał się w nicość.

Wreszcie znikł.

– Jutro powinien być w Londynie – powiedział Humlain. – Wracajmy.

– Do Angeles Los.

– Tak. A potem do domu.

Lecieli w milczeniu. Niebo nad nimi granatowało w oczekiwaniu wieczora.



Liza Trommer siedziała z kolanami pod brodą na kanapie i zastanawiała się, czy zdarzenia poranka znaczą cokolwiek więcej ponad to, że traci rozum.

Ojciec stał przecież za drzwiami, żywy, prawdziwy, ciepły. Usiadł w jej fotelu. Wypił wodę, którą mu podała. Nie pamiętała, żeby się zanurzała w vivo. Nie była umówiona u niego ani tym bardziej nie pamiętała zapraszania go do siebie. Wydawał się ciepły i życzliwy, tak jak zawsze w Forever. Gdyby śniła koszmar, byłby pewnie zgorzkniałym sobą sprzed śmierci. Nigdy nie miała przyjemnych snów o ojcu.

„Pozwoliłam mu odejść”, pomyślała. „Tylko dlatego, że bałam się, że tak naprawdę to nie on”.

– Tylko jak to możliwe, że tu był? – zapytała. – Jak to możliwe?

Wyłączyła asystenta, poleciwszy mu najpierw poinformować klientów, że musi odwołać umówione spotkania. Znalazła otwartą miesiacę temu butelkę whisky i wypijała, ile zdołała, czyli mniej niż ćwierć szklanki.

Kiedy się obudziła, za oknem było już ciemno. Głowę ścisnęła jej ciasna, pulsująca obręcz.

– Gdzie ja jestem? – zapytała na głos. – Tu, tam czy jeszcze gdzie indziej?

To chyba cisza bez odpowiedzi ją otrzeźwiła.

– Hej, obudź się! – poleciła asystentowi. – I połącz mnie z Exo. On pewnie będzie wiedział, czy dzwonię stąd, czy stamtąd.

„Jeśli jestem szalona, i tak pewnie nie zrozumie odpowiedzi. Poza tym jak miałabym zapytać, skąd dzwonię?”.

– Dzień dobry, panno Trommer – odezwał się radośnie konsultant.

– Jak się czuje mój ojciec?

– Niestety, nic się w jego stanie nie zmieniło.

– To ciekawe, bo rozmawiałam z nim parę godzin temu. U siebie w mieszkaniu.

– Proszę poczekać – powiedział i zastygł z usługowym uśmiechem.

Liza westchnęła.

– Sprawdź informacje o kłamstwach Forever! – powiedziała do asystenta. – Czy są jakieś dyskusje o bliskich, którzy uciekali z posiadłości.

– Oczywiście. Już szukam. Są dyskusje, kanały vivo, a nawet grupy wsparcia.

– Czyli?

– Zebrania osób, które mają podobne problemy. Na przykład z alkoholem albo kłamstwami Forever dotyczącymi zdrowia ich bliskich.

– Wypiłam tylko trochę whisky! – zachnęła się Liza.

– Rzeczywiście, pani ojca nie ma w pokoju. – Powrócił Exo, niezmiennie pogodny. – Musiała nastąpić poprawa. Mam go poszukać?

Liza rozłączyła się.

– Hans był tutaj dziś rano, prawda? – zapytała asystenta.

– Na to wygląda, Lizo.

– Jak to możliwe?

– Nie mam informacji. Poszukać?  
– Nie jestem zanurzona w Forever? – zignorowała pytanie.  
– Jesteś u siebie.  
– Gdzie ta grupa wsparcia? Kiedy się spotykają?  
– Jest kilka. Za dwie godziny zaczyna się spotkanie Wzburzonych Sierot i Wdów w Kensington. Jutro o jedenastej...  
– Dzisiaj – przerwała mu, znużona nagle i zmęczona. – Pewnie można mnie nazwać sierotą.  
– Jutro zbiera się grupa poświęcona zaginięciom w Forever.

Liza zawahała się.

– Nieważne – powiedziała w końcu. – Potrzebuję kogoś na pewno żywego. Najwyżej jutro też pójdę, jeśli ci dzisiaj mi nie pomogą.

– Zamówić taksówkę?

– Poproszę. I obudź mnie za godzinę.

Droga do centrum zajęła taksówce dwadzieścia minut.

Równo o ósmej, uspiwszy uprzednio asystenta, Liza otworzyła drzwi sali, w której zbierały się Wzburzone Sieroty i Wdowy. Na ustawionych wokół niskiego stolika krzesłach siedziały dwie kobiety: pulchna Mulatka i szczupła blondynka z końską twarzą, na oko Szkotka. Obie po siedemdziesiątce.

Pomachały Lizie radośnie.

– Czekałyśmy na ciebie! – zawołała blondynka. – Mów mi Gwen.

– Na mnie wszyscy mówią Vani – oznajmiła Mulatka. – To od wanilii. Uwielbiam słodycze.

„Nie wyglądają, jakby potrzebowały wsparcia”, pomyślała Liza, zmuszając się do uśmiechu. „Może też zwyczajnie chcą pogadać z kimś prawdziwym”.

Zajęła jedno z kilku wolnych miejsc, z grubsza naprzeciwko obydwu kobiet.

– Ja jestem po prostu Liza – powiedziała. – Miło mi. Czekamy na kogoś jeszcze?

– Nie – uśmiechnęła się Gwen. – Ja zacznę, OK?

– Jasne. I tak nie wiem, co powinnam mówić.

– Rozmawiamy po prostu o problemach, które nas trapią, i o tym, co posunęło się do przodu w sprawach związanych z naszymi bliskimi w vivo. Ja jestem w grupie od mniej więcej roku. Mój mąż mieszka w Forever od dziesięciu lat. Widujemy się codziennie i to chyba mój największy problem. – Gwen zaśmiała się. – Choć tak naprawdę martwi mnie, że wydaje się tam szczęśliwszy, niż był tutaj. Można powiedzieć, że jestem zazdrosna. Już.

– Moja matka przebywa tam zaledwie od roku – zabrała głos Vani. – Odwiedzam ją zdecydowanie rzadziej, może raz na miesiąc. Mam z tego powodu wyrzuty sumienia, bo wiem, że ona mnie kocha i chciałaby ...

Obraz Hansa Trommera w zabłoconych butach i nieświeżym ubraniu stanął przed oczami Lizy.

„Co mam im powiedzieć? Że wariuję i widuję się z ojcem u mnie w mieszkaniu? Bez żadnego głupiego vivo? Powinnam raczej iść do psychiatry”.

– Liza?

Podniosła głowę. Vani skończyła chyba mówić i przekazywała jej pałeczkę.

– Mój ojciec nie żyje od dwudziestu lat. Był jednym z pierwszych klientów Forever. Może z pierwszych stu tysięcy. – Liza uśmiechnęła się. – Dał spokój z leczeniem nowotworu, kiedy moja matka obiecała, że dołączy do niego. Żył z tą obietnicą dziesięć lat, dopóki i ona nie zmarła. Nie dotrzymała słowa. Kazała się skremować. Widujemy się z ojcem mniej więcej raz na tydzień. Mam wrażenie, że gdyby mieszkał po prostu w innym mieście, odwiedzilibyśmy się wyłącznie w

święta.

– Jest inny niż kiedy żył tutaj? – spytała Vani.

„Ktoś już mnie o to niedawno pytał. Czyżby to było jasne dla wszystkich poza mną?”

– Wydaje się pogodniejszy. Kiedy żył, nie lubiłam go. Po prostu. Bywał podły, wiecznie zgorzkniały. Przeprowadził się tu w latach siedemdziesiątych z Hamburga. Zawsze mówił z niemieckim akcentem, jak aktorzy w filmach o wojnie. Teraz tego wszystkiego nie ma. To miły starszy pan. Nigdy mnie to nie dziwiło, myślałam, że po prostu nie musi już z nami obiema mieszkać, ale dziś...

Urwała z gardłem ściśniętym w ciasny węzeł.

– Czy coś się stało? – spytała Gwen. – Możesz mówić swobodnie. Żadne muchy szpiegowskie nie mają tu wstępu, a nasi asystenci śpią i nic nie słyszą. Forever też nie.

– Dostałam wczoraj informację, że ojciec gdzieś zaginął. Że nie wiedzą, gdzie jest. Wprawdzie znalazł się już, ale nic to nie zmienia. Martwiłam się.

– Moja matka też kiedyś uciekła – powiedziała Vani. – Znalazła się dopiero po dwóch dniach.

– Hans nie uciekł. Zniknął im w ogóle z radarów, czy czego tam używają.

– To samo u niej, rok temu, może dwa.

„Odwiedziła cię też? Przyszła do mieszkania? Czulaś, że zwariujesz?”

– Jak się wytłumaczyła? – Liza zdławiła pytania, które cisnęły jej się na usta.

„Potrzebuję psychiatry. Prawdziwego. Dyskretnego. Nie z ubezpieczalni”.

– Mówiła, że zablądziła na polach i przespała dwa dni. Śniła o wiosce w Himalajach. Wszyscy byli tam mili i żal było jej się przebudzić. W ramach rekompensaty Forever zaoferowało jej pokój o wyższym standardzie.

Liza wzięła głęboki oddech.

„Skorzystam z okazji. Teraz albo nigdy”.

– Zrozumiałam – zaczęła i natychmiast zabrakło jej odwagi – że odwiedzam go wyłącznie z powodu wyrzutów sumienia. W zastępstwie mojej matki. Dziś pierwszy raz poczułam, że on tam żyje naprawdę. Dotąd to było jak seans spirytystyczny, jakbym odwiedzała duchy mojej przeszłości. Dzisiaj poczułam, że on tam naprawdę żyje. Że jest prawdziwy.

– Tak ich musimy traktować, moja droga. Jakby naprawdę żyli – stwierdziła Vani pocieszającym, kaznodziejskim głosem. Prawie jakby ją poklepała po ramieniu.

– Vani uważa, że vivo to nie jest prawdziwe życie – uśmiechnęła się Gwen. – Że to raczej widowisko dla nas. Piękne wspomnienia, które można przeżywać na nowo, wciąż i wciąż. I zagłuszać nimi wyrzuty sumienia.

– To oczywiste – odparła Vani. – Przecież każdy widzi, że bliscy w Forever są zawsze pogodniejsi. To dla nas, żebyśmy chcieli ich odwiedzać. Coś tam przekręcają w trakcie tych skanów mózgu, coś podkręcają. Usuwają złość, jak chirurdzy plastyczni zmarszczki.

„Tylko nie zaczynajcie się kłócić, błagam”, pomyślała Liza. „Nie teraz, kiedy potrzebuję tylko spokoju”.

– Ja uważam, że ich dusze przechodzą z nimi stąd do Forever – powiedziała Gwen. – Nie są tam ograniczone ciałami, dlatego są lepsze. Szczęśliwsze.

– Nigdy nie mieli dusz, kochanie. – Vani puściła oko do Lizy. – Ludzie to tylko ciała, a vivo to tylko elektryczność. I tyle.

– Pójdę już. – Liza wstała z krzesła. – Przepraszam. Potrzebuję pomyśleć.

– Nie spróbowałaś moich babeczek! – Vani zdawała się szczerze rozżalona.

– Następnym razem, obiecuję. Do widzenia. Bardzo dziękuję za spotkanie.

Zamierzała wezwać taksówkę, jednak powiew ciepłego wiatru przywiał też wspomnienie spacerów z matką nad Tamizą.

– Daleko stąd nad rzekę? – zapytała, lecz asystent milczał.

Zajęło jej chwilę przypomnienie sobie, że uspiła go przed wejściem na zebranie grupy.

– Obudź się! – poleciła. – Daleko stąd nad rzekę?

– Czterdzieści minut. Niecałe trzy kilometry.

– Spróbuję się zmieścić w trzydziestu. Mam dużo energii.

Asystent poprowadził Lizę uliczkami, których nigdy wcześniej nie widziała. Niewysokie kamienice musiały pamiętać jeszcze dziewiętnasty wiek.

– Trochę kluczymy, prowadzę cię najbezpieczniejszą ścieżką.

– Są jakieś niebezpieczne? – zdziwiła się Liza. – Przy tylu trzmielach w powietrzu nikt mnie chyba nie napadnie?

Rzeczywiście, dyskretne błękitne błyski policyjnych trzmieli rozświetlały co chwilę ciemność, zapewniając Lizie zaskakujące poczucie bezpieczeństwa.

– Ryzyko rozboju czy gwałtu jest niemal zerowe, jednak po mieście krąży trochę niespokojnych dusz.

– Cóż to za określenie?

– Tak nazywają siebie grupki zwolenników teorii, że rząd wykradł wątrobę smoka, który rzekomo wylądował wczoraj na ulicy Tottenham Court.

– Któryś z moich klientów wczoraj mówił coś o tym – odpowiedziała.

Dotarli wreszcie nad rzekę.

Liza zapatrzyła się w smolistą toń, odbijającą rozjarzony miliardami świateł Londyn. „Zupełnie jak jakaś galaktyka. Tysiące tysięcy światów”, pomyślała.

– Oddać duszę! Oddać duszę! – krzyknął ktoś za jej plecami.

Obróciła się. Samotny człowiek szedł bulwarem, trzymając w jednym ręku tablicę z napisem „Oddać duszę!”, w drugim zaś olbrzymi kufel.

– To jeden z nich? – spytała Liza. – Z tych niespokojnych?

– Na to wygląda. Mam wezwać policję?

– Chyba nie trzeba. Wygląda na zadowolonego z życia.

Rzeczywiście, brodaty mężczyzna, ubrany w skórzane spodnie i kamizelkę, przeszedł obok Lizy, nie zwracając na nią uwagi.

– Oddać duszę! – krzyknął i pociągnął solidny łyk z kufła. – Precz z policją!

Liza zachichotała.

– Wezwiesz mi taksówkę? – poprosiła. – Nie jest wcale tak ciepło.

Droga do domu nie zajęła nawet dwudziestu minut.

– Co tam się tak naprawdę stało? – zapytał Rodman swoich gospodarzy.

Zdążył zmienić opatrunek rannemu, który dalej pozostawał nieprzytomny, i zjeść paskudny angielski obiad z niszy. Stan spędził ten czas w swoim gabinecie, zaś Zoe usiłowała opalać się pod kwietniowym słońcem.

Teraz usiedli do herbaty, choć Rodman zdecydowanie wolałby napić się piwa.

– Założyłam węzeł, aby ponad skałę, pod którą staliście, zawędrował młody smok – powiedziała Zoe. – Na szczęście się udało.

– Przyznam, że słowo „węzeł” jest dla mnie równie jasne jak „czuringa”. Mam wrażenie, że chyba wiem, o co chodzi, ale nie umiałbym wytłumaczyć.

– Co to jest czuringa? – zapytała Zoe.

– Święty przedmiot Aborygenów – wyjaśnił Stan.

– No proszę! – wykrzyknął Rodman. – Byłem pewien, że to jakaś magiczna ceremonia. Z użyciem tej ich wody o smaku mułu.

Stan spojrział na niego zakłopotany.

– Węzły to zdarzenia – powiedział – które mają zajść w określonych momentach istnienia świata. Im bardziej skomplikowane, tym więcej wymagają wysiłku przy definiowaniu.

– Czyli scenariusze zdarzeń, które muszą zajść? – dopytał Rodman.

– Poniekąd. Nie zawsze muszą. Czasami nie mają jak. Trzeba pamiętać, że świat powinien mieć możliwość dostosowania się do warunków węzła. Dlatego muszą na przykład spełniać prawa fizyki. Poza tym w Drumlofcie są miliony użytkowników. Założone przez nich węzły mogą być wzajemnie sprzeczne, a wtedy kompromisy bywają fascynujące.

– Rozumiem. Czy tamten drugi pomysł nie wypalił? Ten z przejmowaniem połączeń?

– Niestety – odpowiedział Stan. – Ktoś rzeczywiście był podpięty do smoka, ale nie udało się przejść połączenia. Dlatego nie wiemy kto. To czasem bardziej kwestia szczęścia niż techniki. Przez chwilę nie wiedziałem, czy to przypadkiem nie Zoe bawi się moim kosztem.

Dziewczyna roześmiała się głośno.

– Sprawdź zapisy. Kto wie, czyj to był ogon. – Zmrużyła oko.

– Nigdy w życiu się tak nie bałem – powiedział Rodman. – To znaczy ta wielka modliszka, ale cały czas pamiętam dziwne skurcze pleców. Z trudem powstrzymywałem ją od ucieczki. Miałem wrażenie, że to ja sam jestem dzikim zwierzęciem.

– Był pan. Może nie czuł pan dokładnie tego samego, co karamodliszki w Drumlofcie, bo jednak podłączono pana nerwy pod transmisję nie do końca dającą się przetłumaczyć na ludzkie bodźce. Karamodliszki nie mają ludzkiego mózgu. Tak naprawdę w ogóle nie mają mózgu, to owady. Są zbudowane zupełnie inaczej.

– Czyli to nie ja się bałem?

– Nie, wczuwał się pan w ten strach, ale nie tak, jak w przypadku tradycyjnych relacji z ludźmi. Nie poprzez neurony lustrzane, tylko bezpośrednio podłączony nerwy do wrażeń modliszki.

– Imponujące – stwierdził Rodman. – Ma pan może piwo?

– Coś się znajdzie.

Stan ruszył do części kuchennej. Wrócił z butelką i szklanką.

– My nie pijemy. Musimy mieć oczy i uszy otwarte – powiedział. – Nie dość, że Tuxington może odzyskać przytomność i stać się agresywny, to mamy jeszcze tę Wren, komendantkę.

– Myślisz, że to ona włączyła się w smoka? – spytała Zoe.

– Nie udało mi się tego wyjaśnić, poległem na siódmym skoku, gdzieś na Hawajach. Mam za to pewne podejrzenia co do reszty wątroby.

– Przyznaję, że znów nie nadążam za konwersacją – uśmiechnął się Rodman, nalewając sobie piwa.

– W ciele pozostała niewielka część wątroby – wyjaśnił Stan. – Widzieliśmy, jak w czasie konferencji prasowej Jennifer Wren, komendantka policji, zjadła publicznie kawałek, twierdząc, że to zwykłe mięso. Chciała chyba w ten sposób udowodnić, że cała ta sprawa to oszustwo. Co więcej, według kamer policyjnych trzymieli, nadzorujących tamto miejsce, co najmniej jeszcze jeden kawałek dostał się w ręce kogoś z tłumu, kto w pewnym momencie przerwał policyjne ogrodzenie i rzucił się kawałkować ciało. Sami zobaczcie.

Ściana projekcyjna ukazała zniekształcony widok z perspektywy policyjnego trzymiela: mężczyzna w skórzanym ubraniu biegł ulicą z czymś w ręku. W pewnym momencie zauważył owada i przestraszony zaczął elegancko ubranego człowieka, idącego spokojnie chodnikiem.

„Prawdziwy Anglik z doskonałą flegmą. Teraz już takich nie robią”, pomyślał Rodman.

Przechodzień nie zareagował, ale odruchowo wyciągnął dłonie, kiedy uciekający z okrzykiem: „Biegnij, człowieku, biegnij!” rzucił w jego kierunku niesiony przedmiot, a następnie oddalił się. Trzymiel podązał przez chwilę za elegantem, jednak transmisja została przerwana.

– Być może coś go strąciło – powiedział Stan. – Ten przedmiot to fragment wątroby. Na dziewięćdziesiąt procent. W każdym razie według odczytów spektrometrów trzymiela. Facet, który dostał wątrobę, uciekł. Nie wiemy, co stało się dalej.

– Pewnie wyrzucił ją do pierwszego lepszego śmietnika – stwierdził Rodman.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Nie podejrzewacie chyba, że ten dżentelmen zjadł swój kawałek? – zapytał półzartem.

– W istocie, tego się obawiamy – odparł Stan. – To, że Wren była już wcześniej znana z wybryków, nie oznacza, że wątrobę zjadła czysto spontanicznie. Sądzymy, że problemy z głową uczyniły policjantkę bardziej podatną na wpływ duszy smoka, która skłoniła ją do zjedzenia tego kawałka i w konsekwencji wchłonięcia fragmentu duszy. Kiedyś nawet podejrzewałem, że Wren mogła dokonać nielegalnego skanu i wgrania, ale musiałem porzucić tę hipotezę. Komendantka wydaje się na to zbyt inteligentna. Skanowanie zostawia nieliczne dziury w mózgu.

– Aż trudno w to wszystko uwierzyć – powiedział Rodman. – Rozmawiam o duszy smoka jak o polowaniu na dziobaki. Ot, jeszcze jedno dziwne zwierzę.

– Niestety, nie udało mi się jeszcze zidentyfikować człowieka, który zabrał resztę – ciągnął Stan. – Trzymiele policji zajmowały się ludźmi, którzy dobrali się do smoka, a kamery monitoringu miejskiego unieszkodliwiliśmy poprzedniego dnia własnoręcznie. Na jedynym nagraniu stał bokiem, i to przez chwilę. Na razie mam dwadzieścia możliwych dopasowań z okolic Londynu, ale nie zawężę tego bardziej bez dodatkowych danych.

– A ten, który najpierw uciekał z wątrobą? Albo jego różni znajomi? Oni nie mogą też być pod wpływem?

– Cały dzień dzisiaj analizowały się dane z trzymieli. Wszyscy inni zdają się nieść jedynie różne fragmenty mięśni, ale pewności, rzecz jasna, nie ma.

Rodman zapatrzył się w ścianę, która pokazywała twarz Jennifer Wren i profil eleganckiego mężczyzny.

– Myślicie, że ktoś z nich może chcieć tu wtargnąć i wykraść wątrobę? – zapytał.

– W samej rzeczy – odparł Stan.

– Wren mogłaby po prostu ją jakoś zarekwirować. Wysłać stu policjantów, żeby wszystko przejęli, i po sprawie.

– Jeśli naprawdę ma w sobie część duszy, bałaby się oddawać resztę w ręce urzędników. Tak naprawdę nie mamy pojęcia, co może zrobić. Jest bardzo inteligentna, ale szalona i nieobliczalna. Poleciłem domowemu asystentowi zaostrzyć monitoring okolicy i wynająłem nawet trochę wróbli do patrolowania ogrodu, ale jeśli ktoś zechce się tu wdrzeć siłą, i tak możemy mieć problem.

Rodman westchnął ciężko.

– Musicie to trzymać w tajemnicy? – spytał. – Gdyby siedział w okolicy tłum, który rozdrobnił smoka, byłibyście bezpieczni.

– Nie ufam im – stwierdził Stan. – Zwyczajnie. Sam pan widzi, z jakim szacunkiem trzeba podchodzić do duszy Alskoppa. Tamci ludzie to zwyczajna tłuszcza. Lubią pić piwo w Drumlofcie i każdy chciałby spróbować mięsa smoka. Traktują to jak festyn. Może nawet uwierzyli, że to promocja zakładów mięsnych. Niestety, jesteście zdani na siebie. Gdyby coś poszło nie tak, mamy w odwodzie rytuał czterech ziół. Niestety, na razie zdobyliśmy tylko jedno. Resztę trzeba będzie dopiero zorganizować.

– Co to za rytuał? – zapytał Rodman.

– Potrzebne są cztery zioła z Drumloftu – wyjaśnił Stan. – Smoczy tymianek, dzika pietruszka, rozmaryn i szalwia królewska.

– Rozmaryn nie musi być księżycowy albo chociaż bagienny?

– Nie. Po prostu rozmaryn. Pietruszki też innej nie ma i sprzedają taką na targu. Szalwię również. Gorzej z tymiankiem, ten rośnie tylko w Górach Jutrzenki, zaś rozmaryn wyłącznie w ogrodach wokół klasztoru pustelniczego.

– Większym problemem, szczerze mówiąc, wydaje mi się spedycja ziół. Mają UPS w tym vivo? Stan zmierzył go poważnym spojrzeniem.

– Dotrą tu dokładnie tak samo jak Alskopp.

– Przyfruną?

– Miałem na myśli Prąd Zachodni. Przy odrobinie szczęścia powinien dostarczyć zioła do Londynu. Smok leciał w zasięgu jego oddziaływania. Ma pan ochotę na jeszcze jedną wycieczkę?

– Na targ w Drumlofcie?

– I do klasztoru. Z Zoe.

– A kiedy już będziemy mieli zioła? – zapytał Rodman.

– Miejmy nadzieję, że nie będą w ogóle potrzebne. Gdyby jednak dusza się wydostała, od jej zemsty może nas uchronić wyłącznie powolne palenie ziół wraz ze śpiewaniem odpowiednich pieśni. Szant, jak się mówi w Drumlofcie.

– Wyczuwam, że coś jest dopisane drobnym druczkiem, ale nie mam pojęcia, o co może chodzić.

– Problem jest prosty. Nie wiemy, co to za szanty. Mam kilka pomysłów, ale potrzebni mi są do ich sprawdzenia Humlain i karamodliszka. Muszą się przespać, zwłaszcza owad.

– Na rannym goi się jak na dingo, więc jutro albo pojutrze nie będę wam już potrzebny. Czwartkowe spotkanie i tak odwołałem. Powtórzę, że powinien znaleźć się w kadzi szpitalnej, ale w tych warunkach i tak jest nieźle. W każdym razie zanim wyjadę, chętnie odwiedzę Drumloft.

Całkiem ładne tam macie krajobrazy.

– No to jesteśmy umówieni. Jutro po śniadaniu, tym razem z Zoe. Jej Doris jest nam potrzebna, żeby dostać się do klasztoru. Panu proponuję wejść w Humlaina.

– Brzmi to nieco perwersyjnie, ale czemu nie. Na razie jednak muszę spróbować wywołać Johna. Miał zadzwonić z Tokio, a zupełnie nie ma z nim kontaktu.

– Proszę zadzwonić, a jeśli się nie uda, spróbujemy go poszukać. Mam swoje sposoby. – Stan puścił oko do Rodmana.



Alfred Ulver nie mógł zasnąć.

Wiercił się w łóżku jak małe dziecko, na przemian zaciskając powieki i gapiąc się w ciemność. Kiedy wreszcie poczuł, że zaraz odpłynie głębiej niż na płyczną kilkusekundowej drzemki, ktoś zadzwonił.

– Kurwa, no! – wrzasnął.

„A miałem już nie rzucać mięsem!”, powiedział w myśli. Tego wieczora przeprowadził sam ze sobą godzinną terapeutyczną sesję, ale najwyraźniej stracił tylko czas.

– Liza Trommer – oznajmił asystent.

– Włącz – polecił psychiatra.

– Zastanawiałam się, czy może mógłby mnie pan przyjąć. W miarę pilnie – powiedziała z poważną miną, skubiąc ucho i zerkając gdzieś poza kadr. Miała na sobie podomkę założoną na lewą stronę.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał, a krawcowa aż podskoczyła. Nie spodziewała się najwyraźniej, że jej klient nie śpi o tej porze.

– Przepraszam najmocniej. Nie chciałam pana obudzić, tylko zostawić wiadomość.

– To moja wina. Czekałem cały dzień na ważną rozmowę i zapomniałem zmniejszyć gorliwość powiadomień – odparł Ulver, zsuwając kołdrę i odsłaniając gęsto owłosiony tors. Zrobiło mu się nagle gorąco. Nie był na wizji, mógłby więc rozmawiać nawet zupełnie nago, ale gdzieś tam jarzył się strach, że zaufanie do technologii to jeszcze głębsza naiwność niż do jakiegokolwiek psychiatry. Równie dobrze cała ta Trommer mogła być starą nimfomanką z paroma interesującymi wirusami w portfelu i zboczeniami w rodzaju radości z podglądania porządných obywateli. Mogła nawet wysłać tu muchę, w końcu wiedziała, gdzie mieszka. Trudno, niech patrzy. Nie po to spędzał godziny na siłowni, żeby teraz wstydzić się swojej muskulatury.

Patrz, stara, patrz! Tak wygląda zadbane męskie ciało!

Zrzucił kołdrę na podłogę.

– Jeśli miałby pan jakiś wolny termin, proszę dać mi znać. Przepraszam jeszcze raz, jeśli pana obudziłam. Dobranoc. – Krawcowa wydała się szczerze zakłopotana, choć gdzieś w jej oczach czaiło się coś drapieżnego, jak gdyby bała się powiedzieć, po co dzwoniła naprawdę. Ulver poczuł, że sztywniejący członek wypełnia się gorącą, pulsującą boleśnie krwią.

– Może pojutrze o szesnastej? Pacjent odwołał wizytę – powiedział, zmuszając się do pogodnego, beztróskiego tonu.

– Pracuję do dwudziestej, ale spróbuję znaleźć zastępstwo. Dam znać, czy mi się udało. Dziękuję.

Trommer wyłączyła się, ale echo jej słów dalej kołatało się w głowie psychiatry. Informację, o której kończy, można było przecież odczytać jako sugestię, że nie chce spędzić tego wieczora sama.

– Ile kosztuje ekspresowe zanurzenie na godzinę? – zapytał zdławionym głosem. – Takie jak wczoraj.

– Jest dwudziesta druga, więc taryfa godzin szczytu – odparł asystent. – Pięćset z pana zniżkami.

Ulver kalkulował przez chwilę i już miał zrezygnować, bo pięćset to jednak jakaś część kwoty niezbędnej do odtworzenia interesu w Forever, ale w końcu poddał się, gdy w jego głowie zabrzmiało uwodzicielskie „Pracuję do dwudziestej”.

– Wymodeluj mi tę Trommer. W jej pracowni. Ubraną tak, jak ją widziałem. Pod spodem pończochy i żadnej innej bielizny.

– Zapraszam.

Alfred Ulver zamknął oczy i otworzył drzwi galerii handlowej. Do pracowni Lizy Trommer miał trzy piętra ruchomych schodów.

Serce waliło mu niczym pneumatyczny młot.

Diana Whitmore odebrała rozmowę dopiero po trzech minutach.

– Nie mam dla ciebie dobrych wieści – powiedział Karol Bathory.

– Wiem – odpowiedziała, a na jej twarzy malowało się szczęście, jakie Bathory widział dotąd tylko raz: kiedy Whitmore dostała pierwszą piosenkę napisaną dla niej przez Lennona.

– Nie wiemy, gdzie jest John. Musiała zajść jakaś awaria. Odtworzenie może zacząć się jutro, ale i tak chwilę potrwa. Jest jeszcze trzystu innych...

– Nie! – przerwała mu Diana. – Żadnego odtworzenia!

– Chyba nie chcesz zerwać kontraktu? – przestraszył się Bathory. – Słowo daję, że odzyskasz Johna.

– Nic z tych rzeczy. Po prostu John się znalazł. Jest cały i zdrowy.

– Skąd masz takie informacje? Rozmawiałem z moim człowiekiem od vivo minutę temu.

– Z samego źródła. Najlepszego.

Diana zaczynała irytować Bathorego.

– Czyli?

– Od Johna.

– Jakim cudem, Diana? On chwilowo nie istnieje. To awaria, rozumiesz? Jakieś zamieszanie w macierzach. Jeśli ktoś kontaktował się z tobą i podał się za niego, to na pewno jakiś impostor. Wiesz, człowiek, który fałszuje osobowość i certyfikaty.

– To John. Na tysiąc procent on.

– Skąd wiesz?

– Jest u mnie. Sprawdzalam. Nikt inny tak nie pachnie. – Diana uśmiechnęła się rozmarzona.

– Na pewno nie ma go u ciebie. Mamy tam ze dwadzieścia próbników.

– Tutaj u mnie, Karolu. W drugim pokoju. Gra na gitarze.

Bathory wywrócił oczami.

– Błagam, Diana. Nie daj się nikomu oszukać, bo oboje będziemy mieli problemy.

– Rozpoznam Johna po ciemku i zawiązanymi rękami. Kilka razy to nawet dziś robiłam – zaśmiała się.

– Już tam jadę. Nie rób nic głupiego, proszę.

Bathory rozłączył się.

– Coś się stało? – zapytał go Mac, dziesięcioletni rudy kot rasy maine coon, którego Bathory wygrał w karty rok temu, kiedy jeden, jedyny raz odwiedził Drumloft i trafił akurat na turniej pokera. Ówczesny właściciel zwierzaka przepił już zupełnie wszystko, chciał jednak grać dalej. Postawił Maca, którego, rzecz jasna, nie miał ze sobą, ale Karolowi było wszystko jedno. Chciał tylko zostać sam przy stoliku z wygraną, choćby i kotem z innego świata. I został.

Kot dawniej nazywał się Macavity, Bathory jednak uważał, że za dużo z wymawianiem tego imienia zachodu, dlatego skrócił je do Mac. Zwierzęciu to nie przeszkadzało.

– Whitmore twierdzi, że Lennon jest u niej w domu – powiedział.

– Ten muzyk, którego szukasz od wczoraj?

- Właśnie ten. Muszę tam jechać.
- Wydawało mi się, że on żyje w vivo.
- Ja jestem nawet pewien. Zamów mi taksówkę! - polecił Bathory asystentowi.

Do Greenwich przedzierał się pół godziny z powodu tłoku na trasach. Po drodze zastanawiał się, jaką taktykę obrać. Skupić się raczej na wy tłumaczeniu najlepszej klientce, że facet z vivo nie może się zmaterializować w prawdziwym życiu i po prostu ktoś próbuje ją naciągnąć? Może raczej pójść w kierunku wykazania oszustowi, że został zdemaskowany? Nie umiał ocenić, który scenariusz bardziej grozi utratą jej zaufania, a co za tym idzie, marży. Symulacje decyzyjne, które zlecił na cito, niemal nie różniły się w ratingu obydwu pomysłów.

W końcu zdecydował się dowiedzieć, o co chodzi, i działać intuicyjnie. Ważne było, żeby Whitmore się nie wkurzyła. Musiał być delikatny i rozważny.

- Dzień dobry, Karolu - przywitała go w progu. - Co cię do mnie sprowadza?
- Akurat przejeżdżałem obok i pomyślałem, że wpadnę - odpowiedział, rozglądając się. - Ładny domek.
- Chcesz zobaczyć Johna, przyznaj się. - Diana uśmiechnęła się. - Jest w salonie, chodź.
- Posłuchaj - zaczął. - To nie może być John. Naprawdę. Nie można się tak po prostu tutaj pojawić z vivo.
- Chodź, przekonaj się. Sam zobaczysz.

Bathory westchnął.

- Dobrze, ale nie umiem ci obiecać, że będę miły. To oszust, zrozum.

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Zignorował serce, które nagle zaczęło łomotać, jak gdyby biegł od godziny, i pozwolił się poprowadzić korytarzem do salonu.

Otworzyła drzwi.

Mężczyzna stojący przy kominku obrócił się w ich stronę. W rękę trzymał gitarę.

„Lennon”, pomyślał Bathory. „Niech mnie, to naprawdę on”.

- To niemożliwe - szepnął. - Co tu się wyprawia?
- Sam widzisz. Nie kłamałam.
- To niemożliwe, Diano. Lennon mieszka w vivo. Ten tutaj to ktoś żywy, jakiś człowiek.

Mac, który uparł się, żeby przyjechać razem z nim, otarł się o łydkę gospodyni. Karol był zbyt oszołomiony, żeby mu zazdrościć.

- Dzień dobry, panie Bathory! - zawołał Lennon, wyraźnie ucieszony, i podszedł do nich. Wciągnął w kierunku Karola pomarszczoną, dalej jednak zgrabną dłoń. Wyglądał na autentycznego, dobrze zakonserwowanego studwudziestolatka, nie faceta w lateksowej masce albo czymś jeszcze bardziej wyrafinowanym. W drugiej ręce trzymał gitarę. Był boso. - Dawno nie rozmawialiśmy.

- A tak naprawdę jak się pan nazywa? - spytał Bathory, nagle przepełniony wściekłością. „Robią ze mnie idiotę”, pomyślał. „Po prostu się nabijają”.

- Rzeczywiście - odpowiedział Lennon - nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale to moje prawdziwe imię. Ringo miał tak naprawdę na imię Richard, a na nazwisko Starkey. A mnie tak mama dała, jak mam, i już zostało. Banalne, nie?

Bathory przyjrzał się bacznie Dianie, która wzruszyła ramionami, zerkając jednocześnie na kota.

- Kim pan jest? - zapytał najbardziej opanowanym głosem, na jaki było go chwilowo stać.
- Oszalałeś? - syknęła. - Co ty wyprawiasz?
- To jakiś oszust, prawdziwy Lennon...

– Przepraszam cię, John, na chwilę – przerwała mu, wstając z fotela i podchodząc do drzwi.  
– Chodź tu, Bathory!

Kiedy wyszedł na korytarz, uśmiech spłynął z jej twarzy.

Zamknęła drzwi.

– Co to ma znaczyć? – warknęła. – Nie wiem, po jaką cholere tu przyjeżdżałeś i po co cię wpuszczalam. Wejdz tam, odwołaj wszystko, wymysl jakas chorobę, niedyspozycję, cokolwiek. To Lennon, ten Lennon i żaden inny. Jeśli nie umiesz tego przyjąć do wiadomości, to twój problem. Przyznaję, że nic z tego nie rozumiem. Ale mimo wszystko to John, nie jakiś oszołom. Poznaję go. Jakoś go poznaję. Poradz sobie z tym.

– Wszedł sobie tutaj z vivo, ale nie jest oszołomem, tak? – powiedział Bathory. – Kim w takim razie jest?

– Karolu, posłuchaj... – zaczęła Diana.

– Nie, to ty posłuchaj – przerwał jej. – Vivo to bajka. Przedstawienie. Film. Gra komputerowa. Epopeja. Powieść. Pieśń. Malowidło. Teatr. Wszystko naraz, zamknięte w kwantowym komputerze. Wiem, że niektórzy czasami tak mocno związują się z postaciami z vivo, że bywają kłopoty z odróżnieniem, co jest tu, a co jest tam, ale bez przesady. Ty nie masz tego typu problemów, prawda?

– Nie, nie mam – wycedziła przez zaciśnięte mocno usta. – Nie mam żadnych problemów. Jedynym moim problemem jesteś chwilowo ty.

– Chcesz zerwać kontrakt, tak?! – krzyknął olśniony. – Prawda? Po co te maskarady? Możesz po prostu wymówić, nie zbankrutujesz przez miesiąc okresu wypowiedzenia.

– Nic nie chcę zrywać, Karolu. – Diana uśmiechnęła się najśłodszym ze swych uśmiechów i Bathory natychmiast wypuścił połowę pary, która jeszcze przed chwilą groziła wybuchem. – Jeśli o mnie chodzi, mogę ci dalej płacić, nawet jeśli John będzie tu mieszkał. Wejdz tam, przepros i powiedz, że go z kimś pomyliłeś, OK? I wszystko zostaje między nami jak dawniej.

Drzwi stuknęły i rozsunęły się nieco. Pomiędzy skrzydłami ukazała się głowa Lennona.

– Kot drapał – wyjaśnił. – Pewnie stęsknił się za swoim panem.

Patrzyli na niego bez słowa.

– Odrobinę też niepokoi mnie wzmiankowana wcześniej sugestia oszustwa – odezwał się John po chwili. – Rozumiem, że mój impresario martwi się, że mógłbym być tak naprawdę kimś, kto udaje prawdziwego Johna Lennona. Tak jak było kiedyś z Paulem. Krążyły pogłoski, że nie żyje.

– Nie, nie – uśmiechnął się Bathory. – Wszystko jest w zupełnym porządku. Pomyliłem pana z kimś bardzo do pana podobnym.

– Chciałbym uniknąć kłopotliwej sytuacji. Nasza współpraca opiera się w końcu na wzajemnym zaufaniu.

– Wszystko w porządku, John. – Diana chwyciła dłoń Lennona. – Usiądźmy sobie.

Weszli do pokoju i zasiedli w fotelach.

– Może sprawdźmy po prostu, że to ja – zaproponował Lennon, trącając struny. – Nigdy wcześniej nie pojawiła się ta kwestia, więc może pora sformalizować znajomość.

Diana rzuciła Bathoremu spojrzenie. „Sam widzisz, co narobiłeś”, zdawało się mówić.

– Naprawdę nie trzeba – powiedział Karol drętwo. – Moja wina. Mam słabą pamięć do twarzy.

– Myślę, że powinniśmy – rzuciła Diana.

– Co?

– Dać Johnowi szansę. Niech nie myśli, że mu nie ufasz.

Karol westchnął.

– Przepraszam. Rozumiem. Jasne. Zapłacę za rzeczoznawcę. Jeśli zamówimy tu technika, w dziesięć minut będzie po wszystkim.

– Odciski palców i takie tam? – zapytał Lennon.

– Zrobimy sobie wszyscy badanie DNA – ciągnęła niezrażona Diana. – Każdy ma przecież wzorce w publicznym repozytorium. Tak naprawdę John mógłby sobie pomyśleć, że to ja mu nie ufam. Albo właśnie próbuję zerwać jego kontrakt, sprowadzając tutaj kogoś, kto udaje Bathorego, żeby go obrazić.

– Diana, opamiętaj się! Przecież jego kontrakt jest... – Bathory urwał.

– No dobrze, gotowe – oznajmił Lennon, rozglądając się po wszystkich.

– Co takiego? – zapytał Bathory, nagle zrezygnowany. Tak naprawdę nie zdziwiłby się, gdyby Diana kazała mu wyjść i naprawdę zerwała kontrakt. Był tylko wynajętym stręczycielem bezdomnych, przygasłych gwiazd, nie jej mężem.

– Piosenka. Mogę?

– Musisz, John – szepnęła Diana, a Karol poczuł gorącą, kłującą zazdrość na widok jej maślanych oczu. – Ja lepiej usiądę.

Lennon zagrał dwa akordy, skrzywił się, poprawił strój jednej ze strun i zaśpiewał:

*Every day when you wake up  
You're so glad that I'm real  
Once you could just imagine  
It's no longer a dream  
All my songs for only you  
All your love for me  
Could we have a better life?  
Better life than this?  
And if dark clouds come over  
I will blow them away  
Cause I promise you baby  
Sun will shine every day  
All my songs for you only  
All your love just for me... <sup>4</sup>*

– Technik będzie za pięć minut – powiedział Karol. – To brzmi trochę jak piosenka McCartneya.

– Zawsze go inspirowałem – uśmiechnął się szeroko Lennon. – Bardzo często w każdym razie. Dokończę potem, a teraz pójdę to nagrać, zanim zapomnę refrenu. I chyba zmienię...

– Nic nie zmieniaj, John – omdlewającym głosem wyszeptała Diana. – Jest doskonałe. Po prostu doskonałe.

---

<sup>4</sup>

*Kiedy budzisz się rano/Uśmiech na twarzy masz/Jestem z tobą, choć dotąd/Tylko ze snów mnie znasz*

*To dla ciebie piosenki/Miłość dla ciebie ma/Nie mógłby być piękniejszy/Zaden sen, żaden świat*

*Nie zasnują ci nieba/Zadne chmury i deszcz/Stońce będzie nam świecić/Jasno przez każdy dzień*

*To dla ciebie piosenki/Miłość dla ciebie ma...(tłum. autora)*

– Znowu to robię! – zganiła się na głos Liza. – Myślę, zamiast pracować. Do tego się garbię. Poprzedni dzień nie chciał się skończyć. Wracała myślami do wizyty ojca, tłumacząc ją raz jako realistyczny sen, to znów jako halucynację, zapewne objaw nadchodzącej choroby. Raz tylko pomyślała o cudzie. „A gdyby to naprawdę był on? Prawdziwy? Wzięty na ziemię z powrotem z nieba? Czy może piekła?”. Była też kilka razy na spotkaniu w Kensington, wspominając swoje własne słowa. „Odwiedzam go wyłącznie z powodu wyrzutów sumienia. W zastępstwie mojej matki”. Pomiedzy wszystkimi tymi myślami snuł się mężczyzna z transparentem.

– Ten człowiek wczoraj wieczorem, nad rzeką. Czyją on duszę chciał uwolnić? – zapytała.

– Chodzi o tak zwaną duszę smoka – wyjaśnił asystent. – Zwolennicy teorii transferu zdołali odnaleźć większość osób, które przedwczoraj rano rozkawałkowały padlinę na ulicy. Nikt nie przyznał się do zabrania chociaż części wątroby. Wielu uważa, że to rząd wykradł ten narząd, żeby przeprowadzić tajne eksperymenty.

– Z wątrobą? – zaśmiała się Liza.

– W krainie Drumloftu wątroba jest siedzibą potężnej duszy smoka. Niezachowanie odpowiednich rytuałów pogrzebowych grozi wybuchem podobnym do termojądrowego.

– W tych czasach nie powinno być trudne wysledzenie, gdzie się podziała. No, chyba że można ją schować do kieszeni?

– To ogromny narząd.

– Wątroba. Kto mówił mi o wątrobie? – zamyśliła się Liza. – Już wiem! Profesor Ulver! Twierdził, że ktoś rzucił w niego kawałkiem.

– „Wepchnął mi go do rąk”, powiedział – uściślił asystent.

– Myślisz, że powinnam to gdzieś zgłosić?

– Policja nie szuka tej wątroby, zaś kontakty z radykałami odradzałbym. Ryzyko przemocy w kontaktach osobistych oceniane jest na dwadzieścia procent. Szansa na zamieszki w mieście nawet na czterdzieści.

– A to wątroba miała być niebezpieczna!

– Przepraszam, Lizo, ale konsultant z Forever chciałby z tobą rozmawiać. Mam go wpuścić? To ponoć pilne.

– Może ojciec się znalazł! – Wyprostowała się w jednej chwili. – Pokaż go.

Twarz Exo wypełniła ścianę projekcyjną. Minę miał poważną i skupioną.

– Niestety, nie mam dla pani dobrych wieści – oznajmił. – Bardzo przykro mi to mówić, ale pani ojciec nie żyje. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

– Nie żyje? – wyszeptła Liza. – Jak to nie żyje?

Ukryła twarz w dłoniach. Świat wirował i huczał, jak gdyby zerwał się zimny wichur.

– Nie chcę przeszkadzać w tej trudnej chwili – powiedział Exo. – Nadmienię tylko, że nasi specjaliści gotowi są przyjść z pomocą, jeśli tylko uzna pani, że jakiejś potrzebuje.

– Nie żyje? – powtórzyła Liza. Świat skurczył się nagle do dwóch słów. I grubych, brzydkich dłoni, w które wpatrywała się, byle tylko oderwać wzrok od ściany. – To Forever. Tam się

przecież nie umiera. Jak mógłby umrzeć?

– Popęłnił samobójstwo, panno Trommer. Znalaziono go dziś nad Tamizą w Londynie. Bardzo mi przykro.

„Jak to nie żyje? Jak miałby umrzeć? Przecież to Forever”.

Świat Lizy Trommer zgasł.



Technik od identyfikacji na podstawie DNA, który wygrał zorganizowany naprędce przez Bathorego przetarg, okazał się wysokim, chudym jak chmielowa tyka mężczyzną w wieku nieidentyfikowalnym na pierwszy rzut oka. Przedstawił się jako Erhard Redds, rozłożył na stoliku swój sprzęt – konsola plus kilka fiolek – po czym, zainkasowawszy z góry pięćset euro, zabrał się do tłumaczenia niezbyt zawiłego postępowania, któremu zaraz miał poddać całą trójkę. Mac obwąchał nieufnie jego nogawki i pierzchnął z powrotem na poręcz fotela zajmowanego przez Dianę Whitmore.

– A następnie porównam markery z danymi zgromadzonymi w państwowych bazach danych i wszystko będzie jasne. Będę potrzebował tylko państwa numerów ECN albo ich odpowiedników, jeśli nie są państwo obywatelami Europy. Wszystko dyskretnie, nie podglądam. – Redds zakończył objaśnienia radosnym tonem. – Kto pierwszy?

– Pewnie ja – zaoferował się Karol Bathory. – To wszystko przeze mnie.

– Poproszę pana tutaj – powiedział technik, po czym wsadził Bathoremu do ust wacik na długiej szpatułce i przez kilkanaście sekund pocierał nim o wnętrze policzka. Potem wsunął ten zaskakująco prymitywny przyrząd do otworu w konsoli.

Diana Whitmore stanęła obok Karola i otworzyła usta. Redds powtórzył procedurę, ale jej wacik włożył do fiolki i zakorkował ją.

– Coś nie tak? – spytała Whitmore. – Mam umyć zęby?

– Nic z tych rzeczy, po prostu aparat oczekuje na przyjęcie danych od szanownego pana. – Technik wskazał na Bathorego. – Śmiało, proszę wpisać numer.

Karol podszedł do konsoli i wpisał swój numer ECN. Napis „Tożsamość potwierdzona” w bombastycznie karnawałowym stylu pokazał się na ekranie, połyskując wszystkimi kolorami tęczy. Bathory kiwnął głową w kierunku Lennona.

Konsola wyświetliła po chwili widowiskowo naiwne pytanie „Usunąć dane?”, na co Karol uniósł pytająco brwi.

– Śmiało, proszę potwierdzić – zachęcił go Redds. – Chodzi o ten sprzęt. W archiwum ślad po sprawdzeniu i tak zostaje, to oczywiste.

– No jasne – odparł Karol i wyciągnął rękę do Lennona. – Pana kolej!

Kiedy technik pobierał próbkę od muzyka, Diana podała swój numer, myśląc się przy tym trzykrotnie. W końcu jednak powiodło się.

– Ja to ja! Mówiłam! – oznajmiła z zadowoleniem.

– Ciekawe, kim ja jestem? – zapytał Lennon, zabierając się za wprowadzanie swojego numeru.

– Amerykańskie przyjmuje? Po jakim kursie?

– Rzecz jasna! – Redds uśmiechnął się szeroko. – Najwyżej chwilę potrwa, zanim przebije się przez archiwa i filtry. Teraz już wszystkie tajne agencje będą wiedzieć, że ktoś pana sprawdza. To znaczy za chwilę, bo coś nie gra.

– Amerykanie się do mnie nie przyznają?

– Nie, źle pobrałem próbkę. – Technik zakłopotał się. – Muszę jeszcze raz. Pozwoli pan?

– Oczywiście. Na pewno wystarczy policzek?

– Zawsze wystarczy. No, chyba że ktoś akurat nie ma policzka – stwierdził Redds, pobierając kolejny wymaz, tym razem z prawej strony.

– Co pan ma na myśli? – zapytała Diana zaniepokojonym tonem.

– Pracowałem kiedyś w drogówce. Widywałem zarówno ludzi bez policzków, jak i policzki bez ludzi. Na drodze może się wszystko zdarzyć, droga pani. Kiedyś na przykład...

– No dobrze – przerwał mu Karol. – Potrafimy to sobie wyobrazić, ale na razie skupmy się na naszym drogim przyjacielu. Wszystko już gra?

– Niestety nie. – Redds wyglądał na szczerze zaniepokojonego. – Nie ma pan aby ektoprotez?

– Jedna fanka twierdziła, że mam pyszną ektoplazmę – powiedział muzyk. – Ale to był eufemizm.

– Jeśli państwu bardzo zależy na tym badaniu, musiałbym pobrać próbkę krwi – ciągnął technik, niezrażony szampańskim humorem Lennona.

– Też z ust? To raczej wrażliwa okolica. Mam w planie pośpiewać dziś wieczorem.

– Palec. Lepiej?

– Chyba że u nogi. Te przy dłoniach są mi niezbędne do śpiewania.

Redds uniósł dłoń w przepraszającym geście.

– Nie jestem wścibski, chciałbym tylko wywiązać się z zadania. Tym bardziej że państwo już zapłacili.

Lennon wystawił przed siebie bosą stopę.

– Proszę się częstować. Odwrócę wzrok, zawsze klękę na widok krwi.

– Na szczęście wziąłem strzykawkę. Będzie bolało tylko przez moment.

Chwilę później Redds umieścił w aparacie strzykawkę wypełnioną w niedużej części krwią Lennona i wcisnął tłoczek.

„Materiał nierozpoznany” – głosił banalnie karminowy napis, który ukazał się minutę później na ekranie konsoli.

– Co to znaczy? – zapytał Karol.

– Że wedle mojej konsoli w komórkach krwi szanownego pana nie ma ani odrobiny DNA – oznajmił wyraźnie skonfundowany Redds.

– Jak to możliwe? – krzyknął Bathory. – Jak można nie mieć DNA? Każdy człowiek ma DNA.

– Zawsze uważałam, że John jest istotą boską – szepnęła Diana Whitmore. – Z zupełnie innego wymiaru.

– To byłoby najciekawsze wyjaśnienie, ale mimo wszystko obstawiam błąd aparatury – powiedział Redds. – Możemy dla pewności wykonać test na mnie albo jeszcze raz na którymś z państwa. Jestem przekonany, że aparat zgłosi awarię.

– Śmiało, niech się pan zgłosi na ochotnika. – powiedział Karol. – Dwukrotne badanie mogłoby wzbudzić czyjąś czujność, a tego wolelibyśmy uniknąć. Pan pewnie sprawdza się ze trzy razy dziennie w ramach testowania aparatury.

– Rozumiem, oczywiście. Już... – Reszta wypowiedzi technika zmieniła się w bełkot, gdyż wsunął do ust szpatułkę i pocierał nią intensywnie o wnętrze policzka.

Chwilę później wstukował swój kod, a aparat wyświetlił znany im komunikat „Tożsamość potwierdzona”.

– No to klops – stwierdził Lennon. – Moi koledzy zawsze mówili, że jestem nieziemsko wkurzający. Najwyraźniej mieli więcej racji, niż im się zdawało.

– Jak pan to wyjaśni? – zapytał Bathory. – Albo panowie?  
– Karolu! – zganiła go Diana. – Już wystarczająco namieszaleś swoim podejrzeniami. Według mnie wszystko wskazuje na to, że były bezpodstawne. Nieprawdaż?  
– Czyli nie mają państwo zastrzeżeń do wyników badania? – zapytał Redds z nadzieją w głosie.  
– Absolutnie. Wszystko jest w zupełnym porządku – uśmiechnęła się Diana. – Dziękujemy. Do widzenia.  
Bathory zmrużył oczy.  
– Absolutnie mamy – powiedział. – Planowaliśmy dla celów biznesowych potwierdzić wzajemnie swoją tożsamość. Teraz okazuje się, że jedno z nas najwyraźniej nie ma żadnej tożsamości. Za pięćset euro! Oto kolejna nauczka, żeby nie brać nigdy najtańszej oferty. Zawsze mówiłem, druga od dołu!  
Diana rzuciła nerwowe spojrzenie Lennonowi, ale ten zajęty był trącaniem strun i nuceniem pod nosem. Nie miała pojęcia, czy w ogóle słyszy, o czym rozmawiają.  
– Przepraszam za kolegę. Ostatnio bywa nerwowy – wytłumaczyła.  
– Nie jestem nerwowy, chcę tylko wiedzieć, na co wydałem właśnie pięć stów! – wycedził Bathory przez zaciśnięte zęby. Diana stwierdziła, że tak wygląda nawet zabawnie. Zawsze to ona czuła się stawiana pod ścianą, kiedy oferował jej tę czy inną promocję.  
– Mam pewną hipotezę, ale nie jestem pewien, czy atmosfera jest odpowiednia, żeby ją przedstawić – odpowiedział nieśmiało Redds.  
– Ma pan dziesięć minut, żeby nas przekonać. Inaczej wystawię panu taką ocenę na giełdzie, że będzie dwa lata będzie pan odzyskiwać reputację.  
– Mogę najpierw prosić o filiżankę herbaty? – Technik opadł na stojący najbliższej fotel.  
– Dostanie pan nawet sucharka. – Diana uśmiechnęła się uprzejmie. – Ktoś jeszcze chce?  
Nikt nie odpowiedział. Whitmore wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

Alfred Ulver gapił się na dwudziestowieczny zegar wahadłowy. Do godziny piętnastej pozostały jeszcze trzy minuty. Wiedział, że jego pacjentka, Vanessa Dwight, wdowa po pułkowniku piechoty morskiej, nie spóźni się nawet o minutę. Zawsze była punktualna, wręcz obsesyjnie punktualna, ale nie zamierzał jej z tego leczyć.

W ogóle nie zamierzał jej leczyć.

W szufladzie miał ukryty dozownik, z którego uwolni dormaston, usypiający gaz starszej generacji, gdy tylko wdowa Dwight położy się na kozetce.

Po godzinie od aplikacji działanie dormastonu powinno zelżeć do zaledwie pozbawienia woli, po sześciu zaś do otępienia, które pozwoli wdowie dojść o własnych siłach, za to bez najmniejszego oporu do wozu. Czas do tego momentu Ulver zamierzał spędzić, wyposażając Vanessę w obiecane panu DamPracęEstecie wspomnienia. Na samą myśl o tym, że będzie ją miał wyłącznie dla siebie, czuł się podniecony niczym nastolatek przed pierwszą wizytą w Boys Love Toys. A co dopiero, kiedy wyobraził sobie, co będzie z nią robił! Co więcej, na podstawie wspomnień i zapisów z soczewek i innych receptorów będzie mógł później w vivo poczuć każdy jej smak, tak często, jak tylko będzie miał ochotę.

I jeszcze zarobi trzysta tysięcy!

Plan był doskonały. Martwił się jedynie o to, że antidotum na gaz przestanie działać. Albo w ogóle nie zacznie. Nadgarstkowy mikrodozownik uwalniał je dożylnie od pół godziny i zapas miał starczyć jeszcze na co najmniej półtorej, kiedy salon będzie już wywietrzony. Jeśli tylko nie zaśnie razem z tą Dwight, wszystko inne powinno się powieść bez problemu. Według listy dostarczonej w kopercie przez zleceniodawcę, pana DamPracęEstecie, wóz stał dwie przecznice od domu Ulvera, gotowy do drogi.

Z zamyślenia wyrwało go przychodzące połączenie.

– Asystent wdowy Dwight – oznajmił recepcjonista. – Wpuścić?

Chłodna fala rozbiegła się po plecach Ulvera, a żołądek zacisnął się boleśnie.

– Tylko żadnych niespodzianek – syknął. – Bo zabiję. Kogoś.

– Niestety, nie zdążę pana dziś odwiedzić – powiedziała z przeproszącą miną Dwight. – Mam nadzieję, że wybaczy mi pan. W nocy dopadły mnie kłopoty zdrowotne i według lekarza muszę położyć się do kadzi. Poleciałam już przelanie panu umówionego honorarium.

Twarz Vanessy Dwight przez chwilę jeszcze spoglądała na niego ze ściany komunikacyjnej, a potem zgasła.

– Zabiję cię! – wrzasnął Ulver. – Nie przelejesz mi trzystu paczek, a takie miało być właśnie moje honorarium, kurwo zapleśniała! I pomyśleć, że chciałem ci wylizać tę zagrzybiałą cipę!

Wysłuchał się w bolesne pulsowanie, które w czasie rozmowy z niedoszlą pacjentką i kochanką zdążyło się przenieść z członka, teraz obkurczonego i żałośnie obwisłego, do żył na czole, nabrzmiałych z wściekłości i przerażenia.

– Co ja teraz, kurwa, zrobię? – lamentował. – Jebany tłuszczoch mnie zabije, jeśli nie przywożę mu grubej jutro do szóstej po południu. Będą mnie zdrapywać z bruku na Trafalgar Square.

Dokładnie tak, jak to radził już tyle razy swoim pacjentom, położył się na kozetce i powiedział swojemu sercu dziesięć razy „powoli”, najspokojniej, jak tylko umiał, oddychając miarowo i głęboko.

– Powoli, do kurwy nędzy! – wrzasnął, kiedy minutę później dalej tłukło się jak oszalałe. – Muszę pomyśleć, a nie panikować!

– Jeśli mogę coś zasugerować – wtrącił się recepcjonista – może zaaplikuje pan sobie sanopax? Przepisał to pan kiedyś pannie...

– Wiem, komu przepisuję jakie lekarstwa – przerwał mu warknięciem Ulver.

Kwadrans potem, już spokojny i zrelaksowany dzięki sanopaxowi, miał gotowy plan B.

– Jutro przychodzi tutaj ta cała Trommer, prawda? Powiedz, że chciałbym, żeby zdążyła na dziesiątą. Cztery godziny powinny wystarczyć, najwyżej zintensyfikujemy program imprezy. Możesz jej nawet zaoferować zniżkę okolicznościową.

– Pięćdziesiąt procent? – zapytał recepcjonista.

– Ocipiałeś?! Dwadzieścia maks. – Ulver zaśmiał się radośnie. – Nadchodzą ciężkie czasy, trzeba oszczędzać. I zsyntetyzuj też kolejną dawkę antidotum na dormaston. Tylko dyskretnie.

– A gdyby nie chciała tak wcześnie?

– Wtedy daj jej pięćdziesiąt procent i obietnicę darmowej minety.

– Zrozumiałem – potwierdził recepcjonista poważnym głosem.

– Mam nadzieję, że rozumiesz też, że o minecie masz tak naprawdę nie wspominać. To będzie niespodzianka.

– Oczywiście, panie profesorze. Coś jeszcze?

Ulver nie odpowiedział. Powtarzał w myślach plan wielkiego grilla w Greenwich, który musiał wobec takiej zmiany w planie urządzić już dziś. Nie było sensu zwlekać. Najlepszą obronę przed agresywnym światem stanowił uprzedzający atak.

Kiedy Diana wróciła z herbatą i obiecany Reddsowi sucharkiem, towarzystwo siedziało poroższadane po kątach salonu, jak gdyby wreszcie udało im się znaleźć tajemną konfigurację, w której mogą przebywać tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe, nie wychodząc z pokoju.

– Cóż to za cienie zaległy nad doliną? – zaszcebiotała, stawiając szklankę i spodeczek na hebanowym stoliku przy fotelu Reddsa. Rozejrzała się w poszukiwaniu Maca i znalazła go na półce nad kominkiem, gdzie spał z miną wyrażającą pobłażliwe znużenie sceną i jej uczestnikami.

– Pan technik zasadnie martwi się o swoją karierę – ponuro oznajmił Bathory.

– I tak się wam wszystkim udzieliło? Myślałam, że masz silniejsze ego, Karolu.

– Mnie martwi wyłącznie upływający na darmo czas. Dzwoniło już dwóch klientów. Gdyby ktoś jeszcze się dobijał, będę musiał wyjść i pogadać. Pieniądze nie chcą się same zarobić. Prawdziwa sztuka to dziwka.

Whitmore uniosła brwi w nie do końca jasnym dla niej samej komentarzu, zaś Erhard Redds wziął sucharek ze spodeczka i wgryzł się w niego z zaskakująco głośnym chrzęstem.

– Tak! – krzyknął Lennon, który właśnie uderzył trzy akordy, nucąc coś pod nosem. – Idealnie dobrany dźwięk! Mieliśmy w skrytce pod schodami marakasy, które podobnie brzmiały.

– Ma pan w domu magazyn instrumentów? – Bathory zmusił się do uprzejmości.

– Nie, nie, na Abbey Road, w studiu nagraniowym.

Karol wzruszył ramionami.

– Kiedy już skończy pan chrupać – zwrócił się do technika – proszę przedstawić nam swoje wytłumaczenie anomalii, jaką przed chwilą zaobserwowaliśmy. Jak to możliwe, żeby ktokolwiek nie miał DNA?

Redds łyknął herbaty, odłożył resztkę sucharka na talerzyk i z wyrazem zniewolenia na twarzy zaczerpnął ciężko powietrza.

– Czy wiedzą państwo, jaka jest zasada działania vivo?

– A ktoś nie wie? – zapytał Bathory, wodząc porozumiewawczym, znużonym spojrzeniem po reszcie zebranych. – Poza tym pytałem o DNA.

Whitmore pokręciła głową z rozbrajającym uśmiechem.

Lennon trzącał na przemian dwa akordy, patrząc poprzez technika nic niewidzącym wzrokiem, ale uniósł na chwilę prawą dłoń.

– Ja nie wiem – powiedział. – Co więcej, staram się nie przyjmować do wiadomości istnienia tego wynalazku. Już kino mnie przerażało, co dopiero jakieś światy alternatywne.

– A zatem szybko wytłumaczę – powiedział Redds. – Fable i inni dostawcy vivo używają kwantowych komputerów do tworzenia q-światów. To takie inne rzeczywistości. Za pomocą specjalnych macierzy definiują scenerię, bohaterów i statystów. Następnie poprzez odpowiednie urządzenia, w tym fotele vivo, podłącza się narządy zmysłów i nerwy efektorowe do jakiegoś stworzenia w takiej rzeczywistości, aby w dowolnym stopniu przejąć nad nim kontrolę. Zależnie od stopnia tej kontroli, narządy zmysłów i efektorów w tym świecie są mniej lub bardziej

funkcjonalne.

Whitmore wyglądała na zagubioną, ale wyraźnie usiłowała podążać za Reddsem.

Po nieobecnym wzroku Lennona trudno było poznać, czy w ogóle ich słucha, zajęty rytmicznym kiwaniem się i niemal bezgłośnym wybieraniem akordów.

– Czyli takie kino, tylko bardziej? – zapytał jednak, nie skupiając wzroku. Wyglądał, jakby mówił do ściany za Reddsem.

– Nie do końca. W kinie oglądał pan obrazki, które wywoływały złudzenia w pana mózgu. Vivo to prawdziwy świat – oznajmił technik z miną obrazoburcy gotowego na śmierć. – Fable wcale nie korzysta z symulowanych rzeczywistości, tylko z najzupełniej prawdziwych.

– Panie Redds, po co nam wciska nam tutaj te pseudoeverretowskie bajduły? Pytaliśmy o DNA. Zresztą zasada wstecznej faktualizacji wyraźnie przeczy takiej interpretacji! – krzyknął Bathory, uderzając pięścią w stół. – Nie spodziewałem się niczego innego! Wiedziałem, że będzie pan lawirował, ale nie zamydli nam pan oczu amatorskim filozofowaniem.

– ...afada jakiej czego? – wtrąciła Diana, nieskutecznie tłumiąc ziewnięcie.

– Zasada wstecznej faktualizacji – powtórzył Redds. – Wymuszanie zajścia zdarzeń w przeszłości przez węzły definiujące stan q-świata, który potem oglądamy za pomocą vivo.

– Aha – potwierdziła Whitmore z zupełnie pustą twarzą. – Nie rozumiem.

– Ma pani swoje vivo? – zapytał technik.

– Mam dom w Greenwich.

– Ale takie własne, tylko swoje.

– Tak. Plażę z domkiem. – Diana zaczerwieniła się pod uważnym spojrzeniem Bathorego.

– Ma pani przy tym domku palmy?

– Nie mam. Ale to naprawdę dobry pomysł. Kokosowe, trzy, w takim pęku. Jak na pocztówkowych minivivo.

– Kiedy już zażyczy sobie ich pani, jakiś technik Forever czy innego dostawcy ustali w macierzy tego świata węzeł opisujący te drzewa, wymuszając kaskadę zdarzeń, które doprowadziły do ich wyrośnięcia. Na przykład sto lat wcześniej na tym miejscu plaży wylądował kokos, z którego wyrosła palma, a trzy z jej orzechów upadną u samych stóp drzewa i wykiełkują z nich kolejne, pod którymi kiedyś będzie stał pani dom.

– Powinny rosnąć cztery – wtrącił kwaśno Bathory. – Mama palma i troje dzieci.

– Palma kokosowa żyje do siedemdziesięciu lat, drogi panie – odpowiedział z niezmaconym spokojem Redds.

– Ale ja moją plażę zamówiłam pięć lat temu. – Diana sprawiała wrażenie zagubionej. – Jest sztuczna. Tam wcześniej były mokradła nad morzem.

– O to właśnie chodzi. Świat, w którym znajduje się pani domek, został zmuszony do stworzenia w tym miejscu plaży. Z powodu pani decyzji zmieniła się cała jego historia. Łącznie z prądami morskimi!

– Ale przyczyny nie działają wstecz! To właśnie najlepszy dowód, że mamy do czynienia z symulacją, a nie z rzeczywistym światem. – Bathory znów stracił panowanie nad sobą.

– Przeciwnie! – Redds nie wydawał się przejęty wściekłością impresaria. – Dowodem, że vivo nie jest symulacją, ale rzeczywistym światem, jest właśnie pan Lennon.

– A jednak ktoś o mnie pamięta! – uśmiechnął się muzyk, w jednej chwili skupiając z powrotem wzrok.

– Z tego, co wiem – oznajmił technik – John Lennon zmarł w 1981 roku, zastrzelony przed swoim domem Dakota House przez szaleńca, który naczytał się Buszującego w zbożu.

– Nigdy nie mieszkałem w Dakocie – zaprzeczył Lennon. – Musiał to więc być ktoś z linii stryja mojego dziadka. Oni wyemigrowali do Stanów jeszcze przed wojną. A tyle razy gapiłem się na ten dom, szwendając się po Central Parku. Ciekawe, czy paliłem jego kiepy.

Bathory wstał z fotela i ze wściekłością na twarzy podszedł do Reddsa.

– Panowie się znają? To jakaś zмова? Przetarg miał być w pełni anonimowy – warknął. – Będę chyba musiał to zgłosić odpowiednim władzom.

– Po pierwsze, anonimowe przetargi to oksymoron dla naiwnych – uśmiechnął się Redds. – Po drugie, każdy zna Johna Lennona. Po trzecie, to raczej ja mógłbym oskarżyć państwa o zmovę i zastraszanie, bo najwyraźniej dobrze wiedzieliście, skąd wziął się tutaj pan Lennon, i robicie ze mnie idiotę.

– Co ma pan na myśli? – spytał Bathory, rozluźniając zaciśnięte pięści.

– Czy pomyłę się, zgadując, że pan Lennon nieoczekiwanie pojawił się w tej okolicy wczoraj albo przedwczoraj, a za to zniknął z vivo, w którym przebywał wcześniej?

– Twierdzi pan, że wyszedłem prosto z filmu o mnie? – zapytał wyraźnie zaintrygowany Lennon. – Że nie jestem rzeczywisty?

– Nie. Pan jest i zawsze był rzeczywisty – odpowiedział Redds – bo vivo to nie film ani symulacja. To rzeczywistość, tylko zanurzona w innej rzeczywistości. Po prostu przeniósł się pan tutaj z powodu zasady zachowania, której nie nazwałem jeszcze, ale wyraźnie zaobserwowałem, i to niejednym razem. Jak państwo być może wiedzą, z którego pochodzi pan Lennon, pojawił się trzy dni temu smok prosto z Drumloftu. W centrum Londynu. W ciągu następnych dni z całego świata zniknęło około pięćdziesięciu osób, co wagowo odpowiada masie tego zwierzęcia. Był wśród nich pan Lennon.

– Panie Redds. – Bathory wstał i podszedł do fotela, w którym siedział technik. – Codziennie na świecie znika jakieś tysiąc osób. Część zostaje porwana dla nagrania tortur na vivo lub pozyskania komórek macierzystych, reszta po prostu ma dość życia. Idź pan stąd. Starczy tych bzdur!

– To mój dom i nie możesz stąd nikogo wypraszać, Karolu – powiedziała Diana.

– Dobrze. W takim razie radź sobie sama. Ja umyłam ręce – odparł Bathory. – Pomijając fakt, że nawet nie otarł się pan o kwestię DNA. Do widzenia.

Wyszedł z salonu, odprowadzony wzrokiem przez pozostałych. Mac, kręcący się dotąd nerwowo po pokoju, przemknął pomiędzy jego nogami, ledwo unikając przycięcia ogona zamykającymi się drzwiami.

– Co to jest Drumloft? – zaszczebiotała Diana, przywdziewając najśłodszy ze swych uśmiechów.

– To kraina vivo stworzona przez znanego scenarzystę Voigta van Drumle'a – powiedział Redds, gdy tylko przełknął resztkę sucharka. – Cywilizację zmusił do rozwoju opartego na parze wodnej, a nie elektryczności. Dlatego brak tam samolotów i samochodów, są za to sterowce i skomplikowane maszyny kroczące. A pociągi parowe to prawdziwe pałace na szynach. W górach żyją smoki, rozerotyżowane stworzenia zafascynowane ogniem i niszczeniem, na szczęście dosyć leniwe i stroniące od ludzi. Ten, który znalazł się w pani Londynie, to Alskopp, dziadek obecnego króla smoków z Gór Jutrzenki. Widziano go tydzień temu, jak leciał w kierunku morza. Po tym poznano, że wciąż żyje, choć były to jego ostatnie dni.

– A moglibyśmy się tam wybrać? Do tego Drumloftu? Nigdy nie widziałam smoka!

– Stąd nie – odparł Redds. – To świat zawarty w tym, z którego do nas przybył pan Lennon. Mężczyzna, którego tam używam, przebywa akurat w Drumlofcie. Na jego powrót oczekuje



dwoje towarzyszy, mężczyzna i kobieta, właściwie beczynnici. Gdyby państwo się w nich wcielili i dołączyli do sesji...

– Zróbmy tak! – przerwała mu Whitmore. – Johnowi na pewno się spodoba.

Lennon kiwnął głową.

– Przyznaję, że wokół opowieści pana Reddsa snuje się zapaszek całkiem niezłego kwasu, ale chętnie poznam dalszy ciąg. W najgorszym razie będę miał temat na jakąś fajną piosenkę. O smokach nigdy nie pisałem. Ani o DNA.

– Gdzie można spokojnie się zanurzyć? – zapytał technik,

– Mam na górze pokój vivo dla gości – odpowiedziała Diana.

– Wspaniale – ucieszył się Redds. – Chodźmy zatem, jeśli gospodyni pozwoli.

Diana otworzyła drzwi salonu i wskazała gościom drogę. W oczach miała łzy.

– Naprawdę nie możecie mi powiedzieć, o czym myślał? – Liza Trommer zapytała konsultanta Exo, kiedy szli przeszklonym łącznikiem z biura, w którym zawsze załatwiała sprawy, do części mieszkalnej. W szybach dostrzegała swoje odbicie nakładające się na otaczające posiadłość ogrody. Forever miłosiernie darowało sobie odwzorowywanie jej zapuchniętych od płaczu oczu. Były piękne, jak z modelowego, wyretuszowanego skanu. – Niekoniecznie w tym akurat momencie, ale ostatnio. Monitorujecie to chyba jakos?

– Nie, panno Trommer. To byłoby pogwałcenie prywatności naszych klientów. Ich życie wewnętrzne nie jest naszą sprawą, choć oczywiście oferujemy pomoc psychologiczną, w wypadku gdyby takiej potrzebowali.

– Chce pan powiedzieć, że mając pod kontrolą cały ten sztuczny świat, z chmurami, piankami na ognisku i zapachem bzów, nie jesteście w stanie stwierdzić, co myśli mój ojciec?

– Próbniki w Forever reagują rezonansem na różne procesy i stany świata w podobny sposób, jak narządy zmysłów ludzi. Nie jestem inżynierem, ale mogę poprosić kogoś z naszych specjalistów, żeby wyjaśnił pani zawiłości techniczne. – Exo położył palce na konsoli, nie odwracając pytającego spojrzenia od Lizy.

– Nie, dziękuję. Nawet tego o rezonansie nie zrozumiałam. Przyjmę, że tak naprawdę nie potraficie powiedzieć mi, czemu to się stało.

– Niech mi pani wierzy, że bardzo bym chciał móc to zrobić. Oszczędziłoby to pani bólu, nam zaś sporo pracy, mówiąc otwarcie. My też wolelibyśmy wiedzieć z góry, czy to straszne zdarzenie było wynikiem impulsu, czy raczej jakiegoś głębszego przemyślenia. Zdajemy sobie sprawę, że będzie to miało wpływ na decyzję o przywróceniu pani ojca.

To powiedziawszy, otworzył drzwi, przed którymi właśnie stanęli. Liza zastygła. Spodziewała się ujrzeć kłitkę urządzoną tak jak ta, w której ojciec spędził ostatnie trzydzieści lat przed pierwszą śmiercią. Kiedy go odwiedzała w Forever, widywali się w świetlicy lub ogrodzie. Nigdy nie rozmawiali o tym, jak mieszka.

– Mogę tu trochę zostać? – spytała oszołomiona.

– Oczywiście. – Exo skinął głową.

– Ile mam czasu?

– Ile tylko pani potrzebuje.

Konsultant zamknął drzwi. Liza została sama. Duch ojca nie unosił się wśród zdjęć i pamiątek, gdyż niczego takiego w pokoju nie było, chyba że wliczyć kilka niemieckich papierowych książek, które osobiście kupiła mu z okazji urodzin. Stały teraz na wąskiej półce nad łóżkiem, ale nie umiała rozpoznać, czy w ogóle je kiedykolwiek otworzył.

Przez moment zastanawiała się, czy ojciec na pewno nie dzielił łazienki z innymi mieszkańcami domu, ale w końcu jej spojrzenie padło na wysokie lustro. Ledwo widoczne uchwyty zapewne pozwalały przesuwać je na boki. „Jakbym była w innym kraju”, pomyślała. „Może to szafa, a może jednak łazienka”.

Zdjęła czółenka i postawiła obok butów ojca. Bose stopy zostawiły w miękkiej, puszystej

wykładzinie głębokie ślady ośmiu kroków, które dzieliły ją od przesuwanych drzwi.

– Czy to naprawdę moja wina? – spytała, patrząc sobie w lustrze głęboko w oczy. Z zaskoczeniem rozpoznała w swoim głosie pretensję, dziecinną i gorzką. Jak gdyby szukała usprawiedliwienia, ale domyślała się, że żadnego nie znajdzie, i rozpaczliwie próbowała zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego. – Czy to wszystko moja wina?

Odsunęła drzwi. Nie było tam ani łazienki, ani wysokiej pod sufit szafy. Nieduża wnęka kryła wygodny fotel i ścianę vivo. Usiadła, ale początkowo nie zamierzała się wpinać, tylko zwyczajnie pomyśleć. Pozwolić myślom płynąć i zrozumieć, czemu ojciec to zrobił.

Zamiast myśli popłynęły jednak łzy. Wzdłuż płytkich bruzd wokół ust i niżej, na podbródek, kropla za kroplą. Nie ścierała ich, słony chłód pomagał jej wierzyć, że wszystko wokół niej było czymś „naprawdę”. Do wczoraj traktowała pobyt ojca w Forever jako wyjątkowo realistyczne złudzenie. Otwierając oczy na fotelu vivo w swoim pokoju, miała zupełnie rzeczywiste wspomnienia, wiedziała jednak, że ojciec tak naprawdę nie żyje. Może to dlatego, że łąka czy świetlica wydawały jej się zawsze miejscami stworzonymi dla niej. Ale ten pokój? Zaprojektowano go dla kogoś. Dla człowieka. Nie dla wspomnienia przecież.

Ktoś tu żył. I odwiedzał vivo.

„Vivo w Forever. Jak książka w książce. Oni tu naprawdę żyją”, pomyślała nagle z zapartym tchem.

– Panie Exo! – powiedziała głośno, aktywując system przywołania.

– Słucham, panno Trommer – odezwał się konsultant.

– Nie wiedziałam, że mój ojciec używał vivo. Mogę się wpiąć? Zobaczyć miejsce, w którym najczęściej przebywał? Czy potrzeba jego autoryzacji?

– Udzielił jej automatycznie, zamieszkując z nami. Rodzina musi mieć w takich sytuacjach możliwość wyrobienia sobie...

– Gdzie jest łazienka? – przerwała mu Liza.

– Za drzwiami po pani prawej.

Liza obróciła się i ujrzała jeszcze jedne przesuwane drzwi. Wstała i odsunęła je. Łazienka była dużo większa niż sypialnia. W przeciwieństwie do innych pomieszczeń nie było w niej ani jednego dużego lustra, tylko małe, okrągłe, zapewne służące do golenia.

„Czuł się stary”, pomyślała. „Nie miał ochoty widzieć siebie nagiego”.

Zrobiła siku, bardziej z przyzwyczajenia przed głębokim wpięciem się do vivo, niż z fizjologicznej potrzeby, i przez chwilę zastanawiała się, czy chciałaby żyć w takim miejscu przez następne sto albo tysiąc lat.

Zasunęła drzwi do łazienki i usiadła w fotelu.

Z wyrzutem sumienia aktywowała ścianę. Spodziewała się spisu widowisk i seriali, ale ujrzała tylko scenę z wiejskiego domu. Nie miała wielkiego wyboru, co najwyżej mogła się wycofać. Zastanawiała się jeszcze przez chwilę i wreszcie zanurzyła się.

Wiatr szeleścił cicho szarymi liśćmi, które wyglądały jak porośnięte cienką warstwą pleśni. Liza nie kojarzyła z niczym parterowego domu z dużym tarasem, otwierającego się na rozległy trawnik i ogród, wszystko pokryte białawym, delikatnym nalotem. Niebo, optymistycznie błękitne i czyste, ani trochę nie pasowało do pełnej zadumy, schyłkowej atmosfery tego miejsca. W powietrzu unosił się duszący pieczarkowy zapach.

– Czemu tu jest tak cicho? – spytała samą siebie niskim, zachrypniętym głosem, który przyprawił ją o dreszcze.

Przez uchylone drzwi weszła z tarasu do przestronnego salonu wykończonego w obcym jej, acz

niewątpliwie nowoczesnym stylu. Dostrzegła ścianę vivo, nisze do drukowania, ale i dywany na ścianach oraz drewniany parkiet, ułożony w sześciokątną mozaikę. „Czy to miejsce, które skądś znał?”, zastanowiła się i natychmiast przysła jej do głowy kochanka. Czy to mógł być dom jakiejś kobiety, za którą ojciec tęsknił i która z pewnością nie była jego żoną?

Na niskim stoliku stały dwa ceramiczne kubki. Liza wzięła jeden do ręki i zerknęła do wnętrza, a potem powąchała je. Kakao. Potem jej spojrzenie padło na kanapę przed ścianą vivo i straciła dech. Leżał tam zwinięty w kłębek kot. Na pierwszy rzut oka wydał się Lizie po prostu biały, ale zaraz spostrzegła, że pokrywa go srebrzysty, puszysty porost.

„Możesz stąd po prostu wyjść”, pomyślała i odstawiła kubek najspokojniej, jak tylko potrafiła. „Wypłynąć na powierzchnię”.

Prostując się, dostrzegła kątem oka ruch i zamarła. Czyżby jednak nie była sama? Zerknęła w kierunku okna i dostrzegła sylwetkę mężczyzny. Odbijała się w szybie. Jej ojciec. Szczupły i młody. W mundurze, na pierwszy rzut oka policyjnym.

Spojrzała na swoją prawą dłoń. Na serdecznym palcu tkwiła obrączka, dokładnie taka, jakiej od siedemdziesięciu lat nie zdjął ani na sekundę jej ojciec. Sądząc po tym, co ujrzała w szybie, powiedziałyby, że znajduje się w ciele młodego Hansa Trommera, który odwiedzał właśnie czyjś opuszczony dom.

Pamiętała, lub raczej on pamiętał, że wcześniej odwiedził inny, w którym znalazł trzy pokryte szarą pleśnią ciała w pokoju vivo na piętrze.

„A więc tak mój ojciec spędza swoje samotne lata”, pomyślała. „Nie w żadnym domu złotej jesieni, ale spleśniałej wiosny. Czy to jego choroba, czy tylko coś się nie powiodło jakiemuś modelarzowi vivo?”.

Wiedział, że i w tym, i w tamtym domu była dziś Joanna Montag, której samochód uczestniczył w wypadku dwa dni temu, a także jej przyjaciółka Ewa Wurtz. Sprawdził w tkance, że jeszcze niedawno jechały na północny zachód, autostradą na Posen. Jedyne oprócz niego samego żywe osoby w wyludnionym Nertal opuściły miasteczko we względnym pośpiechu. Nie pytał asystenta ich samochodu, dokąd jadą, ten miałby bowiem obowiązek powiadomić pasażerki o pytaniu zadanym bez prokuratorskiego nakazu przez policję. Ich pozycja za to nie była żadną tajemnicą dla systemów drogowych, do których policja miała swobodny dostęp.

Zanim podąży ich śladem, zamierzał jeszcze obejrzeć dom Joanny Montag w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki.

Sądząc po śladach, kobiety rzeczywiście mieszkały tu przez ostatnie kilka dni. Jednak dom był już pusty.

„Dokąd mogły pojechać? Czyżby ktoś tam jeszcze żył?”, zastanawiał się.

Liza przysłuchiwała się myślom mężczyzny. Wydawał się równie bezradny jak jej ojciec. Czyżby stworzył go na swoje podobieństwo? Świadomie? Czy ani trochę?

Powróciła do pokoju w Forever.

Nie wiedziała, co robić dalej. Chciała tylko spać.

Kiedy się obudziła, przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Rozejrzała się wkoło zaspanymi oczami i dopiero własne zdjęcie na komodzie przypomniało jej, gdzie się znajduje: w Forever, w pokoju ojca. On sam zaś leżał w kostnicy z czarnymi siniakami na szyi. Obok, za przesuwany lustrem, krył się świat, w którym spędzał wolny czas. Świat niemieckich miasteczek, podobnych do tych, które znał być może z opowieści matki, a może z gazet i atlasów. Teraz szary, spleśniały i niemal bezludny, z wyjątkiem młodego policjanta i dwóch kobiet, których śladem podążał.

– Czy najczęściej był tym właśnie policjantem? – spytała schrypniętym głosem. Asystent

Hansa nie odezwał się. Być może nie miał prawa jej o tym informować, być może uznał, że Liza nie mówi do niego.

Czy ta Joanna Montag jest podobna do mamy? Czy taki był plan? Poznać ją w czasie wypadku samochodowego, a potem odzyskać? To miałyby sens, ale zupełnie nie pasowało do Hansa, który nigdy, przenigdy nie był sentymentalny i uczuciowy. Być może nawet nigdy nie był zakochany w swojej żonie.

A teraz już nie tylko być zakochanym nie może.

Czy to mogło być chwilowe załamanie, spowodowane oskarżeniem o zabójstwo? A może coś poważniejszego, co dokuczało mu od dawna? Po coś przecież chciał odwiedzić psychiatrę i z pewnością nie chodziło o chęć zamordowania go. Musiał mieć jakiś problem. Coś go musiało gryźć. Chce mi się siku.

Parcie na pęcherz nie pozwalało Lizie myśleć.

Przechodząc przez pokój ze ścianą, zmrużyła oczy. Ekran ukazywał rozmazaną przez przymknięte powieki szarość tonącego w pleśni lasu, ostatni obraz, jaki zarejestrowały oczy policjanta, zanim się rozłączyła. Przez dłuższą chwilę siedziała jeszcze na toalecie, próbując uzgodnić sama ze sobą, czy chce przejrzeć jeszcze ścianę. Czy to pomoże zrozumieć ojca.

Czy pokrył tamto miejsce pleśnią, by dać wyraz swojej depresji? Czy było zupełnie odwrotnie: jego cacko, barwne i bogate, porosło z niezrozumiałych przyczyn szarym grzybem, rujnując lata ciężkiej pracy i przywiązania?

A może miał inne światy? Może w tym akurat był ostatnio, tworzył go dopiero, dlatego jest taki pusty i zaniedbany, a pozostałe są barwne i pełne odpowiedzi, nawet jeśli ukrytych, na podstawowe pytania: czy naprawdę chciał umrzeć? Czy nie wolałby jednak dalej żyć?

– Skąd ta pleśń wszędzie? – zapytała Liza.

– Światy pozostawione same sobie często się degenerują, zwłaszcza jeśli nie postawi im się długofalowych celów lub odległych czasowo węzłów – wyjaśnił Exo. – Próchnieją, pleśnieją, rdzewieją. Różnie to się objawia.

– I to jest taka właśnie degeneracja?

– Nie ma pewności. W trybie bez wspomagania i statystów parametry ustalone są wyłącznie na podstawie świata bazowego i warunków brzegowych. Wiele komponentów stanu ustalanych jest ad hoc przy pomocy reguł wariacyjnych, minimalizujących naprężenia kazualne.

Liza nie miała pojęcia, o czym Exo mówi.

– Chciałabym przejrzeć inne światy stworzone przez mojego ojca – powiedziała.

– Jest tylko Hamburg – odparł asystent Hansa. – Zapraszam do pokoju ze ścianą.

Słowa asystenta przypomniały Lizie, że cały czas siedzi z opuszczonymi majtkami na sedesie. Resztę ubrań zostawiła koło łóżka. Poczuli się nieoczekiwanie skrzepowana, choć asystentowi ojca było pewnie wszystko jedno, czy widzi nagą sześćdziesięciolatkę z nadwagą, czy jej stułetniego ojca.

– Od kiedy istnieje to z pleśnią?

– Od dwóch tygodni. Świat bazowy to Czysta Europa. Scenografia to Nertal, małe miasto w pobliżu metropolii Łódź we wschodnich Niemczech, które na mocy warunków rozejmu po drugiej wojnie światowej rozciąga się aż do granicznej z Wielką Litwą rzeki Wiechsel. Główną bohaterką jest Joanna Montag, która zajmuje się handlem produktami z aloesem.

Liza czuła się, jakby podglądała ojca pod prysznicem. Udzielił wprawdzie pozwolenia, ale pewnie nigdy nie myślał, że naprawdę ktoś go użyje. Zaglądała mu do głowy, w której Niemcy najwyraźniej nie przegrali drugiej wojny światowej. Nie zdziwiła się, czuła tylko zażenowanie.

Nigdy nie zwierzał jej się z takich marzeń. A może wątpliwości?

– Co z tym Hamburgiem?

– To zupełnie wiernie odtworzony Hamburg z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego. Pani ojciec spędza większość czasu w klubach Kaiser Keller, Star-Club i innych. Grały tam angielskie grupy rockowe, takie jak The Beatles.

– Jak często wchodził?

– Praktycznie codziennie.

„A więc nie tylko spleśniałe zwycięskie Niemcy, ale też młodość. Wspominana bez przerwy”.

– Czy bywał szczęśliwy?

– Nie umiem powiedzieć. To bardzo niejasne pojęcie.

– Wychodzę!

„Nigdy go nie znałam”, pomyślała, nie otwierając oczu.

Chciała tylko spać. I śnić swoje własne sny.

Diana Whitmore otworzyła drzwi do pokoju vivo dla gości.

– A ja myślałem, że to pokój do wspólnych degustacji whisky – powiedział Lennon.

– Autoryzuj pana Erharda! – poleciła asystentowi, łapiąc muzyka za rękę.

Przez twarz technika przebiegły czerwone i błękitne błyski.

„ERHARD REDDS”, rozbłysło seledynem na ścianie projekcyjnej.

– Pokaż mój salon w Greenwich – poprosił i uśmiechnął się do Diany. – Zbiegiem okoliczności to w pewnym sensie całkiem blisko.

Usiedli. Na ścianie ukazał się elegancko urządzony salon. Na kanapie pólleżał zarośnięty mężczyzna z obandażowanym torsem. Pochyliła się nad nim szczupła, niska kobieta. Z troską na twarzy głaskała go czule po głowie.

– Cholera jasna! – powiedział Lennon. – To chyba jednak ja jestem na kwasie.

– O co chodzi? – zapytał Redds.

– Byłem tam przedwczoraj – odpowiedział muzyk. – Ta dziewczyna to Zoe. Dźgnęła tego faceta nożem. Zatrzymała naszą taksówkę, żeby Mark opatrzył gościa. No, chyba że to wszystko jakiś żart i pokazujecie mi kamerę zainstalowaną przecznicę obok, a Rodman z kolegami pękają ze śmiechu.

– To nie żart, panie Lennon. Zawsze może pan wyjść z tego pokoju i sprawdzić, jaki dom stoi w tym Londynie pod adresem, który akurat oglądamy. Gwarantuję panu, że nie ma tam i nigdy nie było pana Rodmana.

– Nie trzeba. Mieliliśmy oglądać smoki. Jak kwas, to kwas.

– W porządku. Zoe ma wybrać się zaraz z panem Rodmanem do Drumloftu – powiedział Redds.

– Czy to aby na pewno przypadek, że właśnie pan zjawił się tutaj jako rzeczoznawca? – zapytał Lennon. – Niech mnie, to przecież Rodman!

Rzeczywiście, do pokoju widocznego na ścianie wkroczył Rodman w towarzystwie niewysokiego mężczyzny w garniturze.

– To Stan – wyjaśnił Redds. – Wczoraj jako krasnolud Humlain z panem Rodmanem pod postacią karamodliszki wrzucili rybi pęcherz z zieleń smoczego tymianku do prądu morskiego. Tego samego, który przyniósł do Londynu króla smoków. Humlain pojedzie dziś do kobiecego klasztoru pod miastem, razem z Doris, która jest dziewicą i dlatego będzie mogła tam wejść i zdobyć rozmaryn.

Lennon uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

– Wcielę się zaraz w Stana, ale on dziś zostanie na straży – ciągnął Redds, gestykulując ponad panelem kontrolnym vivo. – Pannie Whitmore proponowałbym moją asystentkę, Zoe, która już za chwilę wcieli się w Doris. Pan Lennon wcieli się w Marka Rodmana, który tym razem posługiwać się będzie postacią krasnoluda Humlaina. Skomplikowane, to prawda. I tym bardziej niesamowite!

Obraz na ścianie pokazał Zoe i Rodmana siadających w fotelach vivo. Po chwili byli już

zanurzeni.

– Proszę włożyć nadgarstki w paski foteli – poinstruował Lennona Redds. – Oprzeć kark w najwyższym miejscu oparcia i zamknąć oczy. W tym trybie nie zachowa pan swojej osobowości, jednak po powrocie będzie pan wszystko pamiętał.

Muzyk kiwnął głową i wykonał polecenia. Przez chwilę czuł jeszcze dotyk dłoni Diany, jednak kiedy otworzył oczy, był już gdzie indziej.

– Cholera – powiedział Humlain. – Kręci mi się w głowie.

– Oddech smoka – odparła Doris, ubrana w krótką skórzana sukienkę ciemnowłosa dziewczyna. – Też to czuję. Kupimy na targu trochę prawoślazu. Potem złapiemy podwózkę do klasztoru.

Droga na targ prowadziła przez wybrukowaną ulicę, pełną pracowni jubilerów i sklepów z futrami.

– Po co nam te zioła? – zapytał krasnolud.

– Mój zleceniodawca nie precyzował. Ma je dostać, więc załatwiam. Dyskrecja to w moim zawodzie podstawa.

Humlain mruknął tylko w odpowiedzi. Podobała mu się ta dziewczyna. Zdecydowana i względnie małowówna. Inne pewnie zdążyłyby mu opowiedzieć w tym czasie o połowie swoich przyjaciółek.

Bruk urwał się nagle, a droga otworzyła na rozległy błotnisty plac, otoczony wysokimi murowanymi domami. Przykryte dachami z szarego płótna kramy tłoczyły się długimi szeregami, zostawiając dla kupujących jedynie wąskie alejki, idealne miejsce pracy dla kieszonkowców z Angeles Los.

– Trzecia aleja od lewej, siódmy stragan – powiedziała Doris. – Pilnuj mieszka. Gdybyś się zgubił, będę tu na ciebie czekać. Z prawoślazem.

Nie miał szans się zgubić. Doris złapała go za rękę i ciągnęła za sobą, przepychając się przez ciżbę. Nie obruszył się na takie traktowanie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś się nim opiekował.

Wreszcie znaleźli stragan.

Patrzył, jak dziewczyna przebiera w wiązkach zasuszonych łądyg, wącha je z przymkniętymi oczami i sprawdza pomiędzy palcami kruchość bladozielonych liści. Kręciła głową raz za razem, aż w końcu trafiła na właściwe, uśmiechnęła się bowiem i kazała zapakować. Szałwia znaleziona.

– Pietrucha gdzie indziej, ta tutaj śmierdzi. Zły nawóz.

Humlain uniósł brwi. Tak, Doris imponowała mu bardziej, niż byłby gotów przyznać.

– Chodźmy. – Chwyliła znów jego dłoń i pociągnęła go za sobą.

Przyszło mu do głowy, że jej palce pachną teraz szalwią. Dotykała ziela przez kilka minut. Zakręciłoby mu się w głowie, gdyby mógł całować te szczupłe, długie palce, które z uwagą obserwował, czekając, aż dziewczyna dokona wyboru.

– Tutaj! – Zatrzymała się, wężąc w powietrzu z przymkniętymi oczami. – Wyborna.

Przebiegła delikatnie palcami wzdłuż kruchych pęczków zielonkawych, suchych liści.

– Wezmę ten – powiedziała, uśmiechając się do pomarszczonej staruszki, która przypominała Humlainowi matkę. To samo zmęczone spojrzenie i uśmiech, pomimo trudów życia. – I jeszcze prawoślaz, dla nas.

Wybrała jeden z podanych jej przez staruszkę korzeni, odcięła kawałek i wręczyła Humlainowi. Drugi wsunęła sobie do ust i zaczęła żuć.

Krasnolud zapłacił i schował do sakwy susz zawinięty w szeleszczący papier.



– Teraz na szosę do klasztoru. – Doris uśmiechnęła się do niego. – Powinno tam jechać akurat trochę dostawców. W końcu to dzień targowy.

Do rogatek miasta szli dobre pół godziny. Stanęli tuż za pierwszym zakrętem szosy.

Już pierwszy woźnica, który nie miał żony na koźle, dał się kupić niewinnemu spojrzeniu Doris i zatrzymał furmankę. Na widok Humlaina wychodzącego z krzaków, w których dziewczyna kazała mu się schować, popędził jednak konia i tyle go widzieli.

– Zaraz będzie następny, nie przejmuj się – powiedziała z uśmiechem.

Po siedmiu następnych furmankach, które mijały ich, przyspieszając tempa, humor opuścił Humlaina zupełnie.

– To bez sensu. Powiniennem być wynająć dylizans w mieście.

Doris ścisnęła tylko mocniej jego rękę.

– Będzie dobrze, tym razem na pewno się uda. Zobaczysz.

Następny pojazd, który wyjechał zza zakrętu, zdawał się w ogóle nie mieć woźnicy. I z pewnością nie ciągnęły go konie. Obłoczki pary wydobywały się z niewysokiego komina, który sterczał z olbrzymiej skrzyni umieszczonej w miejscu koźła.

– Państwo dokąd? – zapytał delikatny kobiecy głos.

Humlaina powstrzymał od ucieczki wyłącznie lęk przed pogardą Doris. Słyszał o samofurmankach, ale dotąd żadnej nie widział i strach, który ogarniał go na samą myśl o takim diabelskim pojeździe, okazał się niczym w porównaniu z paniką, która dopadła go teraz. Poza tym nigdzie nie było widać woźnicy, który przed chwilą się do nich odezwał.

– Do klasztoru w Rum – odpowiedziała Doris.

– Będę tamtędy przejeżdżała, zapraszam zatem do części pasażerskiej.

Żołądek Humlaina zacisnął się w ciasny węzełek. Już wolałby znowu karamodliszkę.

– Chodź, wszystko będzie dobrze. – Doris pociągnęła go za rękę.

Przełknął ślinę, przeczyszczył gardło jak przed ważną przemową i stanął nieco mocniej na miękkich nogach. Pomyślał, że szarmancko byłoby podtrzymać Doris przy wsiadaniu, jednak zanim zdążył podejść do pojazdu, dziewczyna była już na pokładzie, wyciągając do niego rękę.

Gdy tylko usiadł, ruszyli.

Obawa Humlaina, że będzie musiał rozmawiać z upiornym woźnicą ukrytym we wnętrzu wielkiej skrzyni, nie sprawdziła się. Nawet z Doris nie zamienił ani słowa. Siedzieli na wygodnej kanapie, trzymając się za ręce i rozglądając po mijanej okolicy.

Godzinę później byli na miejscu.

– Żegnam państwa i polecam się na przyszłość – powiedział niewidzialny woźnica, kiedy zeszedli po schodkach na ubitą ziemię przed bramą klasztoru.

Samofurmanka odjechała z cichym szumem.

– Muszę tam wejść sama, Humlainie – powiedziała Doris. – Wrócę za kilka godzin.

Ucałowała go w czoło na pożegnanie i odwróciła się do bramy.

Zanim zdążyła zapukać kołatką w kształcie głowy żubra, drzwi uchyliły się.

„Nie wróci”, pomyślał krasnolud zdjęty nagłym, irracjonalnym lękiem. „Rozpłynie się jak poranny sen”.

Dziewczyna odwróciła się i zniknęła we wnętrzu. Humlain został sam.

Punktualnie o siedemnastej Alfred Ulver wstał z za biurka, zdjął garnitur i założył dres. Następnie usiadł przed sekretarzykiem i zabrał się do przygotowywania makijażu. Zajęło mu to godzinę.

– Jak wyglądam? – zapytał pogodnie. Sanopax działał jak marzenie.

– Jak Freddie Mercury, panie profesorze – odpowiedział usłużnie recepcjonista.

– Jakiś mój pacjent?

– Dwudziestowieczny śpiewak i biseksualista. Zmarł na AIDS w roku 1991. Członek...

– Chuj z nim, kimkolwiek był – przerwał Ulver. – I tak już go nie ma. Poproszę jeszcze jedną dawkę sanopaxu i jedziemy smażyć wątróbkę.

Butle płynnych węglowodorów odebrał wieczorem z paczkomatu. Razem z kilkoma innymi ułatwieniami przygotowała je w ramach materiałów dodatkowych zleceniodawczyni, pani MaszChęćNaPięć. Taser, tak na wszelki wypadek, miał swój – jeszcze z czasów, kiedy obawiał się, że ktoś mógłby szantażować go ujawnieniem nielegalnego wgrania.

Droga na parking, mimo obciążenia plecakiem z butlami, zajęła Ulverowi zaledwie dziesięć minut. Nigdy wcześniej nie dostrzegał tak wielu architektonicznych szczegółów budynków, codziennie mijanych w czasie poobiedniego spaceru. Z szerokim uśmiechem przyglądał się rzygaczom zdobiącym rynny przy Trisquit Street, pomachał kariatydom podtrzymującym piętra kilku domów przy Velasquez Lane, a festony nad oknami starych kamienic przy Townsend Court wypełniły jego oczy łzami wzruszenia.

– Jakże piękny jest stary Londyn! Jakież on, kurwa, piękny!

Wóz pana DamPracęEstecie miał stać na samym końcu Townsend, tuż przy publicznej niszy i wylocie rowerowni. Zamiast niego zaparkował tam wielki chromowany motocykl na grubych oponach.

– No, panie tłusty? – zachichotał zadziornie Ulver i podrapał się nerwowo w głowę. – Gdzie pana wózek?

– Pan Ulver? – zapytał motocykl.

– W żadnym wypadku! – zaprzeczył gwałtownie Ulver. Zleceniodawca nie miał prawa znać jego prawdziwej tożsamości, ale kto wie, czy jednak się nie doszperał.

– Oj, panie Ulver, i tak wiemy, że to pan. Tak się tylko droczymy. Gdzie nasza słodka przyjaciółka? – Motocykl wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

Psychiatra przyjął akt swojej demaskacji z pokorą i spokojem właściwym ludziom pozostającym pod wpływem sanopaxu. W tej chwili nawet nie obchodziło go, jak miałby dyskretnie pojechać dokądkolwiek tak odpicowanym pojazdem.

– Niestety spóźniła się na umówione spotkanie – powiedział. – Kot jej zdechł czy coś w tym stylu. Musimy przełożyć imprezę na jutrzejszy poranek.

– Zrozumiałe. Co robimy do tej pory? Jakaś wycieczka za miasto? Pana kamuflaż jest wyśmienity, nikt nas nie rozpozna.

– Może do Greenwich? – rzucił rezolutnie Ulver. – Miałem nadzieję zorganizować tam

hucznego grilla.

– Wspaniale. Uwielbiamy Greenwich. Jakiś konkretny adres?

– Z grubsza. Mam tylko nazwę ulicy. Ponoć nie jest zbyt długa.

Psychiatra sięgnął po panel z koperty otrzymanej od pani MaszChęćNaPięć.

– St. Johns Park – przeczytał. – Znasz?

– Oczywiście. Zapraszam na fotel.

– Jak się nazywasz, mój mały? – zapytał Ulver, sadowiąc się na czarnej skórze.

– ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku.

– Już rozumiem. Myślałem, że napis na mapie to nazwa rowerowni.

– Wręcz przeciwnie. To tytuł naszej ulubionej piosenki Freddiego Mercury'ego.

Ulverowi mówiło coś to nazwisko, ale zupełnie nie pamiętał co. Zbyt smyrający w dole czaszki niepokój szerokim grymasem, ukazując aż po siódemki olśniewająco wybielone uzębienie.

– Gdzie mam się złapać?

Po obu stronach kierownicy zajarzyły się szmaragdową zielenią szerokie, wygodne uchwyty. Kiedy przygasły do matowej czerni, Ulverowi skojarzyły się z grubymi penisami Subsaharyjczyków. Ależ erotoman z tego pana DamPracęEstecie, pomyślał i chwycił je.

– Wio, rowerku! – Kopnął z rozmachem rozrusznik.

Ruszyli. Do Greenwich było jakieś czternaście minut drogi.

Zgodnie z życzeniem Alfreda Ulvera ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku zaparkował na rogu St. John's Park i Stratheden Road. Dokładnej lokalizacji Ulver nie znał. Miał tylko zdjęcie.

– Tutaj to się musi mieszkać! – rzekł z zawistnym podziwem i zeskoczył dziarsko z motocykla. Piętrowe przeszklone rezydencje otoczone były kipiącymi od roślinności ogrodami. Różniły się wyłącznie umiejscowieniem wysokich i niskich krzewów w żywopłocie, odcieniami i intensywnością ich zieleni oraz rozmieszczeniem i barwą pstrzących je kwiatów. Oraz kolorami dachów.

Dom z wątróbką miał według zdjęcia niebieski.

Ulver uniósł głowę, żeby rozejrzeć się i poszukać niebieskiego dachu, jednak zamiast tego spojrzał w jakieś błękitne oczy.

– Szuka pan kogoś? – spytała ich właścicielka, posyłając w stronę psychiatry najcudniej na świecie pachnący oddech. Wyglądała, jakby wracała skądś, nie znalazłszy tego, czego szukała.

Zmusił usta do uśmiechu, lecz kąciaki oczu pozostały niewzruszone. Za bardzo się bał, teraz dodatkowo zdemaskowania. Tego tylko brakowało, żeby potem, kiedy już pełno tu będzie policji, rozpoznała go.

– Inspiracji – zaimprovizował, mając nadzieję, że makijaż naprawdę zwiedzie algorytmy rekognicyjne i poinformują one napotkaną właśnie (Dianę Whitmore, podpowiedział asystent), że stoi przed nią Kashmir Bati, znajomy jednego z jego pacjentów. – Jestem kompozytorem perfum, ale wolałbym nie mówić nic więcej, dopiero zaczynam.

– Czyżby planował pan serię „Przedmieścia Wielkich Miast”? – zachichotała.

„Jeśli nie odejdzie za moment, będę musiał coś zrobić”, przepłynęła przez głowę Ulvera myśl. „Jej zrobić, z nią zrobić, u niej zrobić. Użyć jej zamiast krawcowej?”. Przebiegł wzrokiem sylwetkę tej Whitmore, ani trochę dyskretnie. „Dupę ma wielką, więc może by się i nadała. Trudno, sama zdecyduje”.

– Niech mi pan wyślę próbkę, kiedy już będą gotowe. Chętnie zrecenzuję – uśmiechnęła się pełnymi wargami. – Do widzenia, panie Bati.

„Tak, chyba by się nadała”.

Udając, że wciąga głęboko powietrze, zarejestrował kątem oka, przez którą furtkę weszła, na bardzo prawdopodobny wypadek, gdyby jej adres był trudny do zdobycia. Dach domu w głębi tamtego ogrodu pokryty był fioletową dachówką.

– Gdzie my tu mamy jakiś niebieski? – mruknął, rozglądając się dokoła i dla bezpieczeństwa markując węszenie. W nozdrzach i tak czuł jedynie snujące się pozostałości zapachu oddechu tej Whitmore, słodkiego i dziewczęcego. Ktoś dopasował jej naprawdę dobry szczep bakterii aromatyzujących. On sam postawił raczej na skuteczność w zwalczaniu próchnicy i zapalenia dziąseł, wierząc, że brak halitozy to już zapach, ale teraz miał wrażenie, że to niekoniecznie wystarczy. Z drugiej strony już niedługo nie będzie to nikogo obchodziło, a tam, w vivo, sprawi sobie taki zapach, jaki tylko będzie chciał.

Wreszcie znalazł niebieski dach, jakieś siedemdziesiąt metrów dalej. Przymknął oczy i kręcił się jeszcze przez chwilę na pięcie, a potem udał, że notuje coś w panelu. Oczywiście tą anachroniczną czynnością mógł zwrócić uwagę agentów bezpieczeństwa, ale z drugiej strony Kashmir Bati musiał już przyzwyczać systemy do swoich dziwacznych zachowań. Koniec końców był projektantem zapachów.

Nie podnosząc głowy, ruszył w kierunku domu z niebieskim dachem. Ułożona z kamiennych płyt ścieżka prowadziła prosto do drzwi wejściowych. W odróżnieniu od innych budynków w okolicy, ten był po staroświecku murowany. Na zdjęciu nie rzucało się to w oczy, ale teraz nie było żadnych wątpliwości.

Rozejrzał się jeszcze dwa razy spod przymkniętych powiek i pewien, że nikt i nic się nie zbliża, wszedł do ogrodu. Oczywiście domowy kamerdyner zareagował natychmiast pytaniami, ale asystent Ulvera zbombardował go znalezionymi w kopercie od pani MaszChęćNaPięć certyfikatami zaufanego podwykonawcy miejskich służb deratyzacyjnych. Fikcyjna akcja „Sześcionogi smokoszczur z Kongo”, o której informacje rozpuściła po tkance, okazała się, zgodnie z informacjami na panelu, doskonałym pretekstem do wdarcia się na posesję. Kamerdyner zgłupiał na tyle, że zaoferował nawet herbatę, której psychiatra nie przyjął z zawodowej ostrożności: kto wie, co paranoicy mogą dosypać nieoczekiwanym gościom?

– W przypadku stwierdzenia obecności smokoszczura konieczne będzie rozpylenie wewnątrz pomieszczeń pseudohydroalfacyny pochodzenia roślinnego, która działa toksycznie wyłącznie na gadogryzonie produkowane na terrorystycznych fermach w dawnym Belgijskim Kongo – przekazał asystent Ulvera kamerdynerowi. – Czy któryś z domowników uczulony jest na pseudohydroalfacynę albo butan, bądź cierpi na astmę, jest zmuszony do nieużywania soczewek lub korzysta z osobistych filtrów dooskrzelowych jednej z firm wymienionych w załączniku 14 do certyfikatu?

– Jak dziwnie być trybikiem w maszynie. Do tego za tyle kasy! – szepnął do siebie Ulver, stojąc w progu domu. Dla fasonu rozpylił nieco węglowodoru w ogrodzie pod pretekstem przeczyszczenia dysz. Aromat podniecił go. Nie mógł się już doczekać płomieni.

Najpierw jednak trzeba było znaleźć wątrobę.

Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął filtry i wsunął je do nozdrzy. Według sprzedawcy powinny wystarczyć na dziesięć minut przebywania w oparach drobnokropelkowych zawiesin, o ile nie będzie dyszał, tylko spokojnie i płytko oddychał.

Wszedł do przedsionka. Na piętro wiodły szerokie schody. Przeszklone drzwi prowadziły prawdopodobnie do salonu dla gości, pozostałe, lite, zapewne do toalet i innych małych pomieszczeń, w których nie spodziewał się znaleźć trzystu funtów mięcha, ale kto wie. Sprawdził wszystkie po kolei i rozpylił w każdym po odrobinie węglowodoru. Zawiesina barwy majtek jego

matki z zielonymi, opalizującymi refleksami unosiła się w powietrzu, powoli parując.

Cały czas nasłuchiwał kroków lub innych odgłosów, które mogły świadczyć o nieskuteczności ostrzeżeń i zapewnień przedstawionych kamerdynerowi, ale najwyraźniej mieszkańcy posłuchali porady i zostali gdzieś na piętrze. Miał nadzieję, że nie dojdzie do konfrontacji i zorientują się w sytuacji, dopiero gdy już będzie siedział bezpiecznie na motocyklu. I zdążą wyjść z domu.

Tak jak podejrzewał, za oszklonymi drzwiami znalazł salon.

O jakieś dwadzieścia stóp od niego w ciemniejszym kącie wznosiła się dwumetrowej średnicy przejrzysta kopuła. Pod nią spoczywała brunatna, blado połyskująca masa.

Chciał podbiec, ale wrodzona ostrożność powstrzymała go. Wyjął z kieszeni na piersi niewielkie urządzenie i wcisnął jedyny przycisk. Powietrze wypełniło się dyskretnym aromatem palonej elektroniki.

– Precz z trzmielami. Precz z kamerami. Precz z inwigilacją – powiedział odważnie Ulver. – I nawet z królem precz, bo czemu nie? Precz, o!

Ostrożnie ruszył w kierunku kopuły, krok za krokiem, usiłując nie wydać najmniejszego nawet odgłosu. W uszach dudniła pompowana mocnymi, coraz szybszymi uderzeniami serca krew. Wypełniały go strach i radosna ekscytacja, jak wtedy, kiedy wyszedł ze skanowania żywy i cały, nie licząc dziur w mózgu, o których jeszcze nie wiedział.

Gdy dotarł na wyciągnięcie ręki od kryształowego klosza, zatrzymał się i przyjrzał jego zawartości. Wyglądała jak olbrzymi, nierealistycznie wielki kawał surowej wieprzowej wątroby, takiej samej, jak ta smażona dziesięć razy w miesiącu przez matkę Ulvera, dawno temu, w poprzednim życiu, kiedy człowiek musiał jeszcze dotykać surowego mięsa.

– Coś mi mówi, że jeszcze się spotkamy, kochanie – szepnął z czułością i pogładził gładkie szkło. Spływały po nim ciemne, gęste krople. – Jeszcze na pewno się zobaczymy. Ty i ja.

Z niechęcią oderwał dłoń od kopuły. Filtr nie miał zamiaru działać w nieskończoność.

To chyba siódmy zmysł podpowiedział mu, że ktoś za nim stoi.

Uśmiechnął się szeroko i obracając się na pięcie, odkręcił maksymalnie zawór. Strumień kropeł popłynął w kierunku oczu przeciwnika. Niewysoki mężczyzna z taserem w ręku upadł na podłogę, ukrywając twarz w dłoniach. Kaszłał, jakby walczył o bodaj łyk powietrza.

Ulver podniósł taser, przyjrzał mu się, a potem wycelował w leżącego.

„Jak imperator. Ten z Gwiazdnych Wrót. Puszczam błyskawice z rąk”, pomyślał, posyłając w stronę mężczyzny dwie szerokie wiązki fioletowych promieni. Ofiara drgnęła spazmatycznie i znieruchomiała.

Z trudem powstrzymując podniecenie, Ulver ruszył przez salon najspokojniejszym krokiem, na jaki było go stać. Dyszą rozpylacza zataczał szerokie koła.

Dokładnie w momencie, kiedy dotarł do drzwi balkonowych, ciche syczenie ustało.

„Idealnie wymierzone”, pomyślał Ulver.

Sięgnął do pasa i wziął do ręki okrągły czarny przedmiot. Zważył go w dłoni i ścisnąwszy mocno trzy razy, rzucił daleko w głąb salonu. Następnie spokojnie wyszedł na taras, zamykając za sobą drzwi, aby nie wypuścić przypadkiem węgłowodoru.

Zapalnik miał opóźnienie dwóch minut – wystarczające, żeby psychiatra zdążył dosięść swojego karbonowego rumaka zanim salon, i taras zapewne też, pochłonie ogniowa burza.

– Żegnaj, Wątróbko, witajcie, Trzy Stówki – zanucił do siebie i pomachał w kierunku ChceTylkoJeździćNaMoimRowerku, który czekał przy furtce. Zwalczył pokusę pozostania na miejscu i podziwiania z bliska minipiekła, którego był wyłącznym genialnym twórcą. Ryzyko, że zostanie z nim skojarzony, i tak było niebezpiecznie duże, pomimo iż wyglądał nie jak on sam,

tylko jak Fred Jupiter, idol dwudziestowiecznych pedałów.

„Trzeba wiać, kochaniutki”, pomyślał. „Spokojnie, ale zdecydowanie. Po drugą część nagrody”.

Ulver zamknął za sobą furtkę, usiadł wygodnie w fotelu motocykla i zapiął pas bezpieczeństwa.

– Poproszę do pubu – zakomenderował.

– Którego?

– Obojętne, byle z widokiem na Greenwich na dużym projektorze vivo. Z pewnością będą transmitować wszystkie pikantne szczegóły.

ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku ruszył, pomrukując niczym rozleniwiony kot. Zanim dojechał do autostrady, w kamerach wstecznych Ulver ujrzał chmurę czarnego dymu unoszącą się nad Greenwich.

Kiedy Doris wynurzyła się po kilku godzinach z klasztoru, wyglądała na znużoną i śmiertelnie zmęczoną. Humlain miał wrażenie, że z trudem go rozpoznała.

– Oto rozmaryn. – Sięgnęła za dekolci i wyjęła stamtąd skórzany woreczek. – Będzie wam musiał wystarczyć świeży.

„Wam”, pomyślał Humlain i schował zioła do sakwy. „Co tam się stało, w klasztorze?”

– W głowie mi huczy – powiedział. – Może za długo żem leżał w słońcu.

Nie odpowiedziała. Ruszyła w stronę szosy do Angeles Los.

– Tutaj się rozstajemy – oznajmiła, kiedy dotarli do skrzyżowania. – Ja wracam w góry. Przekaż don Vittorioemu, że do klasztoru nie mam już wstępu. Miałam pomóc ci wrzucić zioła do Prądu Zachodniego, ale będziesz musiał poradzić sobie sam. Don Vittorio na pewno zrozumie.

Humlain kiwnął głową. Nie miał pojęcia, kim jest don Vittorio.

Uścisnęła mu dłoń, spojrzała przelotnie w oczy, jak gdyby sama nie wiedziała, czego w nich szuka, i odwróciła się na pięcie. Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za zakrętem szosy. Wiedział tylko, że razem z nią odchodzi coś, co jeszcze parę godzin temu było dla niego bardzo cenne.

Kiedy został sam, powróciło wspomnienie rybiego pęcherza wrzucanego do morza. Czy może to był tylko sen?

– Czekaj pan na podwózkę? – odezwał się zza jego pleców znajomy głos. – Jadę właśnie do Angeles Los.

Odwrócił się. Nie usłyszał nawet, jak podjechała do niego samofurmanka, która przywiozła ich wcześniej do klasztoru. Serce ścisnęło mu się na wspomnienie najszcześniejszej godziny życia, jaką pamiętał.

– Tak, chyba tak. Dziękuję.

Tym razem wspiął się po schodach bez lęku, jak gdyby Doris była wciąż razem z nim.

– Czy pana towarzyszka została w klasztorze? – zapytała skrzynia, kiedy ruszyli.

– Na imię jej Doris – odpowiedział, zaskoczony swoim własnym spokojem. – Odeszła w góry. Mówiła o jakimś don Vittorio.

– Rozumiem. Była jego służącą?

– Nie wiem. Chyba żem się obudził ze snu. Mało co pamiętam.

„Czy naprawdę rozmawiam z furmanką?”, pomyślał. „Czy może to właśnie jest sen i zaraz się zbudzę?”

– Przepraszam, zapomniałam się przedstawić – powiedziała skrzynia. – Na imię mi DobraWodaSpodGór.

– Ja jestem Humlain. Nie rozmawiał żem nigdy z furmanką. Nawet nie wiedział żem, że potrafią mówić.

– Jestem wyjątkowa. Nie będę zamęczać pana rozmową. Proszę się zdrzemnąć. Wygląda pan na zmęczonego.

Tak zrobił.

„Aldi Od”, pomyślało mu się jeszcze, zanim ogarnęła go aksamitna ciemność. „Byłem tam z

karamodliszką. Na imię jej Aldi Od”.



– Czemu ich pan nie ostrzegł? – Głos Diany Whitmore był czystym oskarżeniem. Lennon patrzył na nią z głową lekko przechyloną na bok, niczym zaciekawiony psiak, który pierwszy raz widzi swojego pana krzyczącego na listonosza. – Oni tam wszyscy umarli!

– Facet go zaskoczył – bronił się Redds. – Przecież to widać na nagraniu z kamery w salonie. Stan miał gotowy taser w ręku, ale bał się uszkodzić kopułę. I doprowadzić do wybuchu tego, co ten facet być może zdążył już rozpylić w powietrzu.

– Najpierw stał pan pod drzwiami i nasłuchiwał. Widziałam przecież. Wystarczyło wrócić na górę, kiedy pan zawiadomił policję. Obudzić ich. I po co w ogóle pan wychodził z salonu? Miał pan pilnować wątroby!

– Poszedłem po taser. Przyznaję, przeceniłem możliwości Stana. On też skończył marnie, jeśli wolno mi przypomnieć.

– Domyślałem się, że to musiało boleć. – Whitmore cmoknęła z nieszczerym, ironicznym współczuciem. – Twarz pocięta szkłem, siedemdziesiąt procent powierzchni ciała poparzone. Zmarnuje pan ze trzy dni w kadzi jak nic.

– I o to właśnie chodzi, szanowna pani. O te trzy dni, których nam zabraknie.

– Co pan ma na myśli? – Lennon włączył się do dyskusji.

– Jeżeli dusza smoka zachowała swoje właściwości, nad Greenwich unosi się właśnie opalizująca kula...

– Pokaż obraz z mojego domu – poleciła Diana, wcinając się w słowa Reddsa. – I wezwij Bathorego. Powiedz, że to pilne.

– Właśnie wchodzi – odparł kamerdyner. – Zapowiedział się, ale nie chciałem państwa budzić.

– Smoki z Drumloftu to istoty dumne i mądre, ale też pełne złości – kontynuował Redds. – Ich życie to nieustanna konfrontacja siły potężnego umysłu z popędliwą duszą. Ten pierwszy element gaśnie wraz ze śmiercią mózgową, jakieś dwadzieścia minut po ustaniu pracy serca. Dusza jednak trwa dalej. Za życia smoka zamieszkuje wątrobę, osadzona na niebieskawym płynie cyrkulującym po tym narządzie bez dostępu do toksycznej dla owego nośnika krwi, a raczej tlenu w niej rozpuszczonego. W Drumlofcie ciało smoka pozostawia się zawsze w miejscu, w którym upadło. Jego powolny, ponadmiesięczny rozkład pozwala na łagodne utlenienie płynu Lewontina. Tak przynajmniej nazywa się ta substancja w naszym świecie.

– W naszym świecie? – uniósł powątpiewająco brwi Bathory, który otworzywszy chwilę wcześniej drzwi, przysłuchiwał się wywodowi Reddsa.

– Tak, tutaj stworzenia też miewają dusze – odparł technik.

– Pomijam tę słabo popartą faktami teorię. Poza tym w życiu nie słyszałem o płynie Lewontina.

– U nas to tylko mało popularna hipoteza naukowa, którą posłużył się twórca Drumloftu, stwarzając smoki. Ignazio Lewontin z uniwersytetu w Bolonii utrzymuje, że astrocyty w naszym mózgu wyposażone są w mikroskopijne...

– Wróćmy do smoków w tamtym Londynie – przerwała mu bezceremonialnie Diana. – Podobno brakuje tam na coś czasu.

– Jak państwo wolą. – Redds uniósł dłonie w niezbyt starannym geście poddania. – Podpalając dom Stana, nasz napastnik oprócz zabicia kilku osób zniszczył też kopułę ponad wątrobę i uwolnił z narządu cały płyn Lewontina. Przez najbliższe trzy dni nad Londynem będzie unosiła się świetlista, jarząca się wszystkimi możliwymi kolorami kula o średnicy mniej więcej stu metrów. Będzie nadymać się i kurczyć w powolnym tempie, które fascynuje i zachwyca, o ile nie jest się świadomym finału tego przedstawienia.

– Czyli? – zapytali Whitmore i Bathory jednocześnie.

– Eksplozja, podobna do wybuchu bomby termojądrowej wspomnianej przez pana Lennona. Grunt w promieniu kilku kilometrów topi się, a część materii zostaje posłana wysoko w niebo. W San Franco, osadzonym na piaszczystym podłożu, efektem była gruba warstwa szkła. W Londynie mamy do czynienia ze żwirem, piaskiem i gliną – nie do końca umiem sobie wyobrazić efekt przetopienia tego w jedną masę. Może to ciekawie wyglądać.

– Ciekawie?! – wybuchła Diana. – Mam dom pod Londynem!

– Jakies sto metrów od hipocentrum, o ile dusza pozostanie na miejscu – potwierdził Redds. – Widywałem czasem pani sobowtórkę przy okazji odwiedzin u Zoe. Jeśli wszystko skończy się tak, jak w Drumlofcie, dom odparuje w mniej niż sekundę. Cały.

– Oszalał pan? Mój dom? – Oczy Whitmore wydawały się jeszcze większe niż zwykle. „Jest przepiękna”, pomyślał Lennon. „Tak piękna, że pomimo śmierci Rodmana nie umiem tego nie zauważyć”.

– Dlatego właśnie ubolewam nad tymi trzema dniami, których nie mamy. Zoe nie żyje, Rodman też. Stan będzie w kadzi przez dobre sześć dni, droga pani.

– Albo trzy, jeśli wybierze pan szpital na kontynencie – wtrącił Lennon ponuro.

– I pod warunkiem, że te wszystkie brednie okażą się prawdą! – warknął Bathory.

– Wystarczy spojrzeć na tamten Londyn – odpowiedział Redds spokojnym, zrezygnowanym głosem.

Skinął głową w kierunku ściany projekcyjnej.

Na ścianie z transmisją z jednej z zewnętrznych kamer pulsująca, wielobarwna kula unosiła się tuż ponad dogasającymi zgłiszczami domu. Pobliskie budynki zdawały się nietknięte. Wokół kuli roily się trzmiele i większe drony, ulica zastawiona była policyjnymi samochodami.

– To jeszcze niczego nie dowodzi, zdaje pan sobie sprawę? – Bathory nie ustępował. – Sądząc po tym, jak bardzo podejrzany jest pana udział w całym tym gównie, równie dobrze mógł pan wypuścić kolorowy balon, żeby w niezrozumiałym dla mnie jeszcze celu spróbować przekonać naiwnych, że nad tymi ruinami unosi się dusza smoka z jakiegoś baśniowego świata.

– Po co miałbym to robić? – Redds wydawał się szczerze zdumiony. – Nieomal zginął tam mój najważniejszy człowiek!

– Nie wiem, po co, nie jestem jasnowidzem. I chyba nawet nie chcę wiedzieć. O ile pamiętam, sprowadziliśmy pana, żeby potwierdził pan tożsamość naszego gościa...

– Mojego, Karolu – wtrąciła Whitmore.

– Gościa Diany, niech tak będzie. Nie udało się panu, wobec czego zabrał pan tę dwójkę na nader udaną wycieczkę vivo, w której oboje ponieśli śmierć w płomieniach. O ile znam się na vivo, zanim się wybudzili, dowiedzieli się, jak to jest umierać od trujących gazów i oparzeń. Teraz grozi nam pan zniszczeniem świata, w którym wszyscy prowadzimy interesy. Ma pan jeszcze jakieś pomysły na zepsucie tego dnia?

– Nie zamierzałem nikomu psuć dnia. Ani tym bardziej interesów. Ja tylko lojalnie ostrzegam przed grożącym niebezpieczeństwem.

– Bardzo to szlachetne z pańskiej strony. – Bathory uśmiechnął się kwaśno. – Mimo to nie umiem się przejąć.

– Niech pan poświęci dziesięć minut i wczyta się w oficjalne raporty na temat pożaru w Greenwich. Zapłacę. Proszę wyszukać sprawozdania zawierające analizy spektroskopowe dymu oraz kuli, odczyty z dronów, które podpiły w pobliżu w celu zbadania zjawiska. Przekona się pan, że zostały zdeintegrowane.

– Jestem pewien, że przekonam się raczej, że pan kłamie.

– Jeśli już, to po prostu się myślę. Nie będę może bardzo szczęśliwy, ale kamień spadnie mi z serca – odparł Redds, biorąc głęboki oddech. – Ja tam pracuję, prowadzę badania, proszę państwa. Zniszczenie tamtego Londynu jest mi bardzo nie na rękę.

– Nie na rękę! To bardzo subtelne określenie uśmiercenia dziesięciu milionów dusz – powiedziała zimno Whitmore.

– Diano! – jęknął Bathory. – To jest vivo, zrozumi! Oni tam nie żyją naprawdę, to przedstawienie, spektakl, symulacja. Nie ma tam dusz, nie ma prawdziwego bólu. To złudzenia.

– Tak się składa, że obecny tu pan Lennon pochodzi właśnie z tamtego vivo – wtrącił się Redds.

– A w każdym razie nie ma MDA we krwi – dodała szybko Whitmore.

– DNA! – jęknął Bathory. – Kurwa!

Ukrył twarz w dłoniach i oddychał głęboko i głośno.

– Może wyjdę na chwilę? – zapytał Lennon. – Nie chciałbym być przyczyną jakiegokolwiek kłótni. Ani mój domniemany brak DNA.

– Nie! – powiedziała stanowczo Diana. – To mój dom i nikt nie będzie cię wypraszał.

– Sam siebie chciałem wyprosić. Na kwadrans, do kuchni. Zrobię herbaty, a wy się w tym czasie dogadacie. Spróbuję przemyśleć śmierć mojego kumpla, którą miałem nieszczęście przed chwilą osobiście przeżyć. Jakoś nie umiem o tym zapomnieć.

– Jasne – zgodziła się, wzdychając. – Przepraszam.

Kiedy Lennon wyszedł, Whitmore zwróciła się do Reddsa:

– Co można zrobić, żeby uniknąć katastrofy?

– Pewnie zapłacić panu Reddsowi milion euro – stwierdził z jadowym uśmiechem Bathory. – Czy to za mało?

– Nie zgadł pan, ale owszem, mogą państwo pomóc – odparł Redds poważnym głosem.

– Jak? – spytała Whitmore.

– Stan z Zoe przygotowywali się do odprawienia Rytuału Czterech Ziół, o którym wspominał van Drumle. Niestety, wiadomo o tej ceremonii jedynie tyle, że wymaga jako rekwizytu smoczego tymianku i kilku innych roślin. Humlain zebrał ten tymianek z modliszką pana Rodmana i wrzucił w rybim pęcherzu do Prądu Londyńskiego. Powinien jutro przed południem wylądować na chodniku w centrum, tam gdzie przedtem smok.

– Moja Diana może go podnieść, jeśli tylko będzie wiedziała skąd – zadeklarowała Whitmore.

– Dziękuję. Niestety nie wiem, co z innymi ziołami, na razie nie mam jak posterować Humlainem, który również powinien je wysłać Prądem. Poza tym potrzebne jest jeszcze wyśpiewanie odpowiednich pieśni.

– Jakich pieśni? – dopytywała Diana.

– Tego niestety nie wiem. Nie udało mi się odnaleźć tych informacji. Byłem w trakcie

poszukiwań, kiedy to się stało. Zupełnie nic na ten temat nie wiadomo, a proszę mi wierzyć, że włożyłem w śledztwo sporo wysiłku i pieniędzy.

– Co nam po rytuale, o którym pan nie wie nic oprócz tego, że potrzeba do niego macierzanki?  
– zapytał Bathory nieoczekiwanie trzeźwo, jak gdyby coś w głosie Reddsa przekonało go nagle, by całą rzecz potraktować poważnie. – Pomijając już kwestie sensowności odprawiania jakiejś magii rodem z baśni o smokach. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, panie Redds!

– Tymianku – poprawił go Redds, ignorując jawnie zaczepną resztę wypowiedzi. – Musielibyśmy zapytać van Drumle’a.

– Śmiało. Może pan go wywołać – zachęcił go Bathory, wskazując na ścianę projekcyjną.

– Niestety, van Drumle nie żyje.

– To jak... – zaczął Bathory, zrezygnował i spojrzał na Reddsa wzrokiem nagle pełnym zrozumienia. – Nie ma mowy.

– Oczywiście nie nalegam, to tylko propozycja, ale moim zdaniem nie ma innego wyjścia, jeśli chcemy uniknąć katastrofy. Mogę zapłacić, mam trochę środków przeznaczonych na nagłe sytuacje. Ta wydaje się bardziej niż nagła. Potrzeba tylko wzorca.

– Skąd miałbym wytrzasnąć jego wzorzec?

– Ja już o to zadbam. Tyle akurat mogę. Mam kasę, mogę mieć wzorzec. Brak mi jedynie dojść.

– To chore, panie Redds. Po prostu chore.

– O czym wy mówicie? – zapytała Diana, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

– Nasz przemiły pan Redds chciałby, żebym korzystając z moich zawodowych możliwości, przywrócił do życia w tamtym Londynie twórcę Drumloftu, niejakiego Voigta van Drumle’a. Będziemy go mogli wtedy wypytać o szczegóły magicznego rytuału, który zaprojektował w swoim baśniowym świecie. Tenże rytuał miałby ktoś odprawić w tym drugim Londynie. Czy jeszcze coś niedorzecznego pominąłem?

– Z grubsza to wszystko – potwierdził Redds, niezrażony drwiącym tonem impresaria.

Whitmore spojrzała pytająco na Bathorego.

Napotkawszy jego srogie spojrzenie, wygięła usta w podkówkę, podeszła bliżej i przyklękła, opierając się delikatnie biustem o jego kolano.

Bathory westchnął głęboko, jednak mars nie zniknął mu z twarzy.

– Zrobisz to dla mnie, Karolku? – Whitmore wyciągnęła dłoń i pogłaskała jego rękę.

Liza obudziła się w fotelu vivo z bólem głowy. Była szósta po południu.

– Dzwonił znów pan Exo z Forever. Ma dla ciebie ofertę. Poza tym według obserwowanych przez ciebie uli powstało zagrożenie dla bezpieczeństwa miasta, o czym powinienem cię powiadomić. Mam też wiadomość od profesora Ulvera.

Choć rozpoznała głos domowego asystenta, bała się, że gdy otworzy oczy, ujrzy sufit sypialni ojca. Że wcale nie wróciła z Forever, że utkwiała tam na zawsze. Nigdy nie będzie miała własnego, prawdziwego życia, nawet jeśli jej ciało umrze tam, w prawdziwym świecie, w fotelu vivo przytulnego saloniku jej mieszkania. Znajdą ją zasuszoną albo może spływającą z fotela, spleśniałą i gnijącą. Albo i nie znajdą, jeśli przelewy za czynsz będą regularnie spływały z banku do właściciela budynku, jak zawsze od trzydziestu lat.

„A ja nawet nie poczułam własnej śmierci”, pomyślała. „Z drugiej strony, tak byłoby chyba najlepiej”.

– O co chodzi? – odważyła się w końcu wychrypieć.

– Pokazać wiadomość od pana Exo?

– Nie, nie, to drugie. Jakie zagrożenie? Mam uciekać? To te zamieszki?

– Wedle częściowo sprzecznych informacji miastu grozić może katastrofa. Nie ma jeszcze absolutnej konieczności, ale powinnaś się spakować, aby być gotowa do ewakuacji. Prawdopodobieństwo oceniane jest na od siedmiu do siedemdziesięciu procent w ciągu najbliższych sześciu godzin. Przygotowałem listę rzeczy niezbędnych do zabrania. Większość mogę wydrukować.

– Zrób to. Wyświetl tylko to, co muszę zebrać sama. Powiesz mi, o co chodzi?

– Dziś po południu w Greenwich miał miejsce wybuch łatwopalnego węgłowodoru, rozpylonego przez osobę podającą się za pracownika Miejskiego Przedsiębiorstwa Deratyzacyjnego. Trzy osoby poniosły śmierć na miejscu. Jedna przeżywa w szpitalu z poparzeniami trzeciego i czwartego stopnia, ale bez zagrożenia życia. Ponad zgłiszczami unosi się kula, zidentyfikowana jako plazma utrzymywana w miejscu przez wyjątkowo silne pole magnetyczne nieznanego pochodzenia. Według niektórych uli energia w niej zawarta wystarczy do wywołania eksplozji porównywalnej do bomby termojądrowej.

– Nie brzmi to uspokajająco – stwierdziła Liza. – Oficjalnych informacji nie ma?

– Bagatelizują sprawę. Może wyświetlę ci relację Tintina, popularnego vivaro? To anarchista, ale sprawnie wszystko podsumowuje. Ma miliony wyświetleń, zanurzeń i cytowań.

– Pokaż – westchnęła. – Choć raz będę na czasie.

Ściana ukazała ciągnące się po horyzont rzędy domów w Greenwich. Na niezbyt dalekim planie wyraźnie widoczny był kształt, kojarzący się Lizie z bańką mydlaną. Ponad nim rozpościerała się olbrzymia czarna chmura. Kadr rozszerzył się nieco, ukazując wysokiego białowłosego Afrolondyńczyka w fioletowej marynarce. Wyglądał, jakby przeniósł się do salonu Lizy prosto z wodewilowych przedstawień z dwudziestego wieku.

– Choć oficjalna korponauka temu zaprzecza, zjawiska transferu z vivo nie da się dłużej

traktować jako miejskiej legendy! – krzyknął, wskazując na niebo. Unosiła się tam barwna, połyskująca kula. – Oto dusza Alskoppa, dziadka króla smoków z Drumloftu. Jeszcze przedwczoraj jego ciało spoczywało na trotuarze w centrum Londynu, gdzie wyrzucił je prąd transwitalny. Jak zapewne wiecie, wątroby Alskoppa, siedliska jego duszy, nie odnaleziono! Z początku podejrzewaliśmy, że została wykradziona przez tajne służby i ukryta. Teraz okazało się, że mamy do czynienia z dyletantami! Schowali coś tak skrajnie niebezpiecznego i wybuchowego w willi w Greenwich! Jeśli ta kula wybuchnie, z Londynu nie pozostanie...

– Starczy!

Tintin zastygł z wytrzeszczonymi oczami i palcem wycelowanym prosto w Lizę.

– Mam już wystarczająco dużo własnych lęków na głowie. Nie chcę się bać przepowiedni jakiegoś paranoika. Czego chce profesor?

– Proponuje przełożenie wizyty na poranek. Zwolniło się miejsce. W ramach przeprosin za tak późny kontakt proponuje ci zniżkę. Pokazać komunikat?

– Nie, dziękuję. Jeśli to nie przed ósmą, to przyjmij. I tak wzięłam wolne na cały dzień. A co z tym Exo?

– Ma ofertę. Wyświetlić komunikat?

– Pomyślę. Najpierw napiję się herbaty. I wezmę prysznic. I może coś jeszcze. Spakuję się.

Godzinę później walizka na wypadek konieczności ewakuacji stała gotowa przy drzwiach. Liza w grubym bładozielonym szlafroku siedziała w fotelu przy kominku.

– Połącz mnie z Exo – poleciła.

– Dobry wieczór, panno Trommer. Oprócz najserdeczniejszych wyrazów współczucia chciałbym przekazać też pani informację, że znaleźliśmy w Londynie osobę, która rozmawiała z pani ojcem przed jego śmiercią.

– Kogo?

– Mężczyznę poznanego w pubie. Na podstawie kamery monitoringu możemy odtworzyć słowa pani ojca. Siedział na wprost. Mogę oczywiście wysłać pani zapis do późniejszego obejrzenia.

– Mój ojciec rozmawiał z nieznajomym przy piwie? To na pewno był on? – powiedziała Liza, zapatrzona w kominek. – Poproszę teraz. Ale tylko słowa, nie chcę tego oglądać.

– Śniło mi się, że byłem u córki – recytował konsultant – a ona nic nie mówiła, tylko na mnie patrzyła. Jak gdyby się mnie bała. Zupełnie nie pamiętam przebudzenia z tego snu, choć teraz z pewnością już nie śnię. I wiesz, co jest najgorsze? Że mimo wszystko tamten sen był piękniejszy. Jakbym żył naprawdę. Wiesz, jakie to uczucie zbudzić się ze snu, w którym czujesz, że naprawdę żyjesz? Zdać sobie sprawę, że wszystko wokół ciebie to fasada, dekoracje? Tamten świat miał zapach, smak. Tutaj wszystko jest tekturowe. Nie wiem, skąd wiem, bo piwo jest przecież doskonałe. To takie uczucie, ale nie umiem się go pozbyć. Nienawidzę być stary. Myślę, że młodość mi się śniła.

„To nie był sen, tato”, pomyślała Liza. „A nawet jeśli, ja też go śniłam”.

– Muszę przyznać – powiedział Exo, powracając na ścianę – że ze słów pani ojca wynika, że w trakcie replikacji świadomości musiało nastąpić jakieś przekłamanie. Być może technologia była niedoskonała. Żaden z naszych klientów nie narzekał dotąd na niedoskonałość odtworzenia świata. Biorąc to wszystko pod uwagę, chciałbym złożyć pani ofertę przywrócenia do życia pana Trommera. Ze świadomością skorygowaną tak, aby był w pełni zadowolony. Wszystko to w ramach gwarancji oczywiście.

– Rozumiem, panie Exo – odparła Liza, przetykając łyż. Światło kominka, choć ciepłe i

łagodne, raziło ją, drażniąc oczy. – Dziękuję.

– Nie musi się pani decydować teraz, rzecz jasna. Choć z upływem czasu procedura będzie coraz mniej płynna.

– Rozumiem – powtórzyła. – Do widzenia.

Twarz Exo zgasła.

– A gdyby tak wybuchło? – szepnęła. – Wszystko stałoby się takie proste.

- Jesteśmy na miejscu – oznajmił ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku.
- Czyli gdzie? – zapytał Alfred Ulver, przebudzony z płytkiej drzemki delikatnym drgnięciem parkowania.
- Pod pubem „Trzy Kwoki i Kot”. Zdecydowany faworyt w rankingach na najlepsze staroangielskie ale.
- Chyba się nie zrozumieliśmy, rowerciu. – Psychiatra spojrział na motocykl przymrużonymi złośliwie oczami.
- Czwarte miejsce w rankingu wygody współoglądania vivo. Jednak musimy zamówić piwo, żeby nikt nie pomyślał, że przyszliśmy tu oglądać transmisję z Greenwich.
- My?
- Chętnie dołączylibyśmy do pana, choć oczywiście nie cieleśnie. Takich ja my tutaj nie obsługują. W skrytce oprócz pigułek przeciwetanolowych znajdzie pan okulary, permanentnie podłączone do naszych interfejsów. Gdyby był je pan łaskaw założyć, moglibyśmy wchłonąć razem trochę niesamowitej atmosfery tradycyjnych angielskich pubów. – W korpusie, tuż przy kierownicy, uchyliło się wieczko, ukazując staromodne okulary z ciemnymi szklami w srebrzystej oprawce. Obok spoczywała niewielka fiolka.
- Są beznadziejne! – krzyknął Ulver i wpakował je na nos. Pasowały jak ulał.
- Kiedy się pan przebierze, zmienią kształt na bardziej stosowny.
- Przebiorę?
- W dalszym ciągu wygląda pan jak Freddie Mercury. Nie może pan tak wrócić do siebie, to wzbudziłoby podejrzenia.
- O tym nie pomyślałem. Ale mój garnitur... – jęknął Ulver skonfundowany. Rozweselające działanie sanopaxu zaczynało najwyraźniej mijać, zaczynała się faza otępienia. – W domu został. Na parawanie.
- Proszę łyknąć pigułkę. Następnie zamówić piwo i usiąść na trochę, choćby i dziesięć minut. Potem się odezwę i powiem, co dalej.
- Jesteś najbardziej pomocnym motocyklem, jakiego kiedykolwiek spotkałem! – Psychiatra poklepał protekcjonalnie ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku po pokrywie silnika. – I zmyślnym!
- Wysypał na dłoń kilka drobnych amarantowo-złotych pigułek i wsunął dyskretnie dwie z nich do ust. Resztę wrzucił z powrotem do buteleczki i odłożył ją z powrotem. Schowek zamknął się niespiesznie.
- Powodzenia! – zamruczał motocykl. – Musimy przeparkować, tutaj nie wolno stać. Będziemy w kontakcie.
- Ulver nie odpowiedział. Wciągnął i tak już płaski brzuch i wyprostowany jak struna ruszył do wejścia. „Trzy Kwoki i Kot. Wierni królowej i angielskiej tradycji od 1780”, głosił napis na drzwiach. Pchnął je i westchnął z zachwytem.
- Wspaniale – powiedział, rozglądając się po przestronnym, lecz przytulnym wnętrzu



zastawionym szerokimi ławami. Poczerniałe od starości krokwie krzepiły duszę niestrudzoną solidnością, a niewielkie grube szyby w oknach rozmywały światła ulicy w barwne smugi. Wszystkie kanapy były zajęte, większość krzesel też. Goście, nawet ci pochłonięci rozmową, zerkali w stronę dużego projektora zawieszonoego przy kontuarze ponad głowami zamawiających.

Pokazywał dymiące leniwie zgliszcza willi w Greenwich. Unosiła się nad nimi kolorowa, połyskliwa kula, po której pełzały w dół i w górę ogniste iskry, spływające czasem aż do ziemi po smukłym leju, który Ulverowi kojarzył się z czymś bardzo nieprzyzwoitym, choć zupełnie nie wiedział z czym.

– Oż kurwa, no – szepnął zachwycony. – Szybko poszło!

Nie odrywając wzroku od projektora, podszedł do kontuaru.

– Paskudny dzień, co? – powitał go barman. – Podobno systemy alarmowe nie zadziałały i mieszkańcy po prostu wyparowali, taki był żar.

– Rety – pisnął psychiatra, marszcząc groźnie brwi. – Nie można ufać tym nowym instalacjom. Poproszę ale.

– Które?

– To, które nalał pan tamtemu. – Ulver wskazał faceta, który odszedł przed chwilą od baru i rozsiadł się na kanapie ze szklanką czarnego piwa z gęstą pianą.

Barman wzruszył ramionami.

– Pintę?

Santa Marię, przysła skądś Ulverowi ochota odpowiedzieć, ale powstrzymał się i tylko wydał policzki w niedokończonym parsknięciu.

– Niech będzie. Ale w dużej szklance. I jakieś frytki.

Przyłożył nadgarstek do kasy i zapłacił, nie patrząc nawet ile. Rachunek nie mógł chyba przekroczyć stu euro, tyle mniej więcej miał na koncie podręcznym. „Nie ma na świecie aż tak drogiego piwa, jakie by wierne królowej nie było”, pomyślał i przygryzł wargę z podniecenia.

Po wlokącej się niemiłosiernie minucie, w trakcie której barman z namaszczeniem pompował czarny płyn do szklanki, Ulver ruszył do zwolnionego w tym czasie stolika. Miał stamtąd naprawdę niezły widok na pogorzelsko!

– Kiedy skończy pan pić, proszę iść do łazienki. Tylko bez pośpiechu! – odezwał się głos tuż obok jego ucha, gdy łyknął pierwszy łyk słodkawego, całkiem niezłego piwa. – Wziął pan stouta, ale może to i dobrze. Barman uzna Kashmira Bati za idiotę, który nie odróżnia grochu od patatów. Jako prawdziwy pan, proszę wziąć jarła. Zapamięta pan?

– Oczywiście! – zachnął się Ulver. – To tylko trzy głoski, i to w całkiem rozsądnej kolejności. Łatwe do wymówienia. Smaczne chociaż?

– Moje ulubione – szepnął ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku. – Intensywnie chmielowe z wyraźnym cytrusem, nieco wytrawne w finiszu.

– Tego to już nie zapamiętam. Cytrus to taki grejpfrut?

– Poniekąd.

– Co mam zrobić w tej toalecie? Oprócz tego, co każdy dżentelmen tam robi.

– W jedynej zamkniętej kabinie są ubrania na zmianę. Proszę wejść do kabiny obok i prześliznąć się do tej z ubraniami. Pod przepierzeniem jest akurat miejsce na szczupłego, wysportowanego mężczyznę przed siedemdziesiątką.

– Zrozumiałem, ale na razie podziwiam dzieło mojej ciężkiej pracy. Zostało jeszcze dobre pół niny tego przysmaku. Choć troszkę wali kawą, trzeba przyznać.

Następne dziesięć minut Alfred Ulver przyglądał się ekipom strażackim i ratunkowym

uwijającym się wśród zgliszcz. Barman przesadził z tymi wyparowanymi lokatorami, bo policjanci eskortowali co najmniej trzy czarne worki na zwłoki dźwigane przez upiorne, podobne do stonóg automaty. Co więcej, nadpobudliwy prezenter wyraźnie wspominał o czwartej ofierze, którą znaleziono w ogrodzie.

– Odniósł liczne rany twarzy i oparzenia trzeciego i czwartego stopnia. Prawdopodobnie widział sprawcę. – Blondwłosego młodzieńca o twarzy z katalogu, który dopiero miał zacząć być modny, strzelał słowami niczym maszyny do tłumienia zamieszek gumowymi pociskami. – Policja poszukuje też pracownika służb deratyzacyjnych, który miał być widziany na miejscu przed wybuchem.

W projektorze ukazała się twarz Kashmira Bati uśmiechnięta wprost do kamery monitoringu. Machał radośnie, szczerząc dorodne siekacze.

Ulver spoważniał i zacisnął wargi.

– Spokojnie – szepnął głos przy uchu. – W tych okularach jest pan nierozpoznawalny. Poza tym maska troszkę się rozluźniła i przybyło panu z dziesięć lat. Nawet barman pana nie pozna, nie mówiąc już o monitoringu. O ile oczywiście w miarę szybko się pan przebierze. Proponuję odczekać trzy minuty od momentu, gdy twarz pana alter ego zniknie z projektora.

– Nie mów do mnie „kolego”, rowerku! Serdecznie tego nie znoszę!

Trzy minuty po tym, jak Kashmir Bati przestał wreszcie machać do zgromadzonych w pubie amatorów angielskiego piwa i wspólnego przeżywania cudzej tragedii, Alfred Ulver wstał od stołu i statecznym krokiem ruszył do toalety.

Dwie z kabin były zajęte.

– Co teraz? – syknął.

– Musi pan poczekać – odpowiedział ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku – aż jedna się otworzy. Ubrania są w tej drugiej. W tym czasie może pan oddać mocz, żeby nie wzbudzić podejrzeń monitoringu.

– A wchodząc do kabiny po tym, jak się odleję, nie wzbudzę podejrzeń?

– Po prostu okaże się, że nie tylko siku potrzebował pan zrobić. Tak bywa, zwłaszcza w pubie.

– Skąd znasz tak dobrze knajpiane życie, rowerku?

Drzwi jednej z kabin otworzyły się, zanim Ulver odwrócił się do pisuaru. Niewysoki mężczyzna, na oko Hindus lub Pakistańczyk, spojrział w twarz Ulverowi, dopinając rozporek.

– Przepraszam, nie dosłyszałem – powiedział.

„Byłoby naprawdę zabawnie, gdyby okazał się kolegą z pracy tego całego Kashmira”, pomyślał psychiatra. „Musiałbym go zabić”.

– Mówiłem do mojego roweru. Zaparkowałem go w podwórzu. – Wskazał na niewielkie okienko wysoko w ścianie toalety, powstrzymując uśmiech, który z pewnością okazałby się diaboliczny. – Nie może się doczekać mojego powrotu, to raczej lękliwe stworzenie. Z drugiej ręki. Przybłąda.

Hindus, lub może Pakistańczyk, odwrócił wzrok i wyszedł pośpiesznie.

– Wracając do pańskiego pytania, czasami mamy wrażenie, że w poprzednim życiu byliśmy barmanem – odpowiedział poniewczasie motocykl. – Bardzo zgrabnie pan wybrnął. I zmylił tropy, gdyby Munish coś wywąchał.

– Jaki Munish?

– Mężczyzna, który wyszedł właśnie z toalety. Nazywa się Munish Sharma.

– To jakiś kolega Kashmira?

– Nie, czysto przypadkowa zbieżność ras.

Ulver odetchnął głęboko i wszedł do kabiny, którą przed chwilą zajmował Munish Sharma. Następnie położył się płasko na podłodze i krzywiąc z niesmakiem twarz, zaczął przeciskać się pod przepierzeniem.

– Nie zablokował pan drzwi – syknął ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku. – To będzie podejrzone.

– Niech ci będzie, skoro to dla mojego bezpieczeństwa – odsyknął Ulver. – Na szczęście nie byłem jeszcze daleko.

Wycofał się, kucnął i zamknął zasuwkę. Następnie położył się z powrotem na posadzce i przeczołgał do sąsiedniej kabiny.

– Chyba coś sobie naciągnąłem – jęknął, siadając na zamkniętej toalecie i rozcierając łopatkę.  
– Został tam chyba z milimetr wolnego miejsca! Gdybym tak nie dbał o linię, gówno, a nie przecisnąłbym się. Jak kaskader!

– W rzeczy samej, imponujące – przytaknął motocykl. – Proszę się przebrać i włożyć ubrania do torby. Jest tam też pojemnik z rozpuszczalnikiem, proszę wcisnąć przycisk i zasunąć zamek. Po minucie torba powinna być właściwie pusta i również gotowa do rozpuszczenia. Wtedy proszę wrzucić ją do toalety i spuścić wodę. Może być kilka razy, dopóki nie będzie zupełnie śladów.

Ulver włożył spodnie razem z bluzą do torby.

– Bieliznę również – upomniał go ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku.

Psychiatra, ociągając się, rozebrał się do rosołu. Następnie założył nowe ubrania, łącznie z butami, zaś na ich miejsce włożył to, co przed chwilą jeszcze miał na sobie. Namacał pojemnik, wcisnął coś, co musiało być przyciskiem, o którym mówił motocykl, i zamknął torbę.

– Mogę już spuszczać wodę? – dopytał.

– Sugerowałbym, żeby oddał pan najpierw mocz. Dla uwiarygodnienia całej scenki. Czasami to drobiazgi decydują o wszczęciu alarmu przez systemy monitoringu.

Imponujące trzydzieści sekund później torba powędrowała w ślad za perfekcyjnie słomkowej barwy moczem. W zetknięciu z wodą zaczęła mięknąć niczym herbatnik i zapadać się w sobie. Wkrótce zmieniła się w granatową oleistą plamę.

Ulver wcisnął przycisk spłuczki i odwrócił się, żeby otworzyć drzwi kabiny.

– Twarz! – syknęło w uchu psychiatry.

– Zaraz umyję, chociaż dłonie są o wiele ważniejsze – odparł Ulver i sięgnął do zasuwki.

– Nie zdjął pan twarzy. I okularów.

– Kurwa! Masz rację, rowerciu. Ale by się wszystko zjechało!

Sięgnął do karku i z cichym jękiem bólu oderwał syntetyczną skórę od swojej własnej. Musiał szarpnąć kilka razy, żeby rozedrzeć co mocniejsze białkowe zaczepy i najciaśniejsze dopasowania – za uszami i na powiekach. Wreszcie twarz puściła z nieco zbyt donośnym odgłosem.

– Do wody? – zapytał, ale nie otrzymał odpowiedzi. Rozejrzał się zdezorientowany. Kiedy obrócił się, żeby mimo braku potwierdzenia spuścić ostatni element kamuflażu do kanalizacji, usłyszał pod stopą cichy trzask. Spojrzał w dół. Okulary.

– Plastikowe badziewie – prychnął i podniósł dwie doskonale symetryczne połówki. Założył jedną z nich za ucho.

– Złóż je razem, zrośnie się – usłyszał.

– Ech, technika! A pamiętam, że moje pierwsze służbowe binokle...

Otworzył drzwi kabiny.

Kiedy mył ręce, spojrział w twarz Alfredowi Ulverowi. Miał na nosie drobne, zupełnie przejrzyste okulary w grubej czarnej oprawie.

– Złamiesz jeszcze więcej serc, przystojniaku. – Puścił oko do odbicia i wyszedł do głównej sali. – Jak się nazywało to piwo, które miałem zamówić?

– Jarl – odpowiedział ChcęTylkoJeździćNaMoimRowerku.

– No właśnie. Poproszę jarla. O ile macie, oczywiście. – Spojrzał śmiało w twarz barmanowi.

Piwo miało wyraźny posmak jakiejś cytryny.

– Dziękuję, motorku. Naprawdę znasz się na jarlach.

Barwna kula obracała się hipnotyzująco na tle czarnego już nieba. Ulver nie mógł oderwać od niej wzroku.

Bathory siedział ze szklanką whisky na kanapie w swoim salonie w Hounslow. Zastanawiał się, co zrobić z Lennonem, Dianą i tym całym idiotą Reddsem. Rozważał różne scenariusze, nie mogąc się zdecydować, komu niebezpieczniej będzie nadepnąć na odcisk.

– Sprawdź mi tego Reddsa – polecił w końcu asystentowi. – Chcę wiedzieć, co to za typ. Za dobrze się znają z domniemanym Lennonem. No i przygotuj mi jakieś podsumowanie o DNA w świecie prawdziwego Lennona. Naprawdę tam tego nie mają?

– Przygotowanie dossier trochę potrwa – odparł asystent. – Wstępnie można potwierdzić prawdziwość jego certyfikatów. Istnieje możliwość ich podrobienia, ale nikt. Są bardzo mocne. Sieć kontaktów również wygląda wiarygodnie, przynajmniej według wstępnych heurystyk.

– Zbadaj to dokładnie, choćby miało trwać dwa dni.

– Oczywiście. Górna granica kosztu?

– Pięć tysięcy. Jeśli okaże się, że mam rację, i tak obciążę Whitmore. Choćbym miał iść do sądu.

– Co do DNA – kontynuował asystent – to dostawca vivo potwierdził, że nie nakłada na swoje q-światy więzu użycia tej konkretnej cząsteczki do przenoszenia informacji dziedzicznej. Zaskakująco często pojawia się w tej funkcji pewien kwas o podobnej, helikalnej strukturze, jednak z pewnością niekompatybilny z DNA.

– W jakim sensie niekompatybilny?

– Inny rozmiar meru, inne proporcje helisy.

– A po ludzku?

– W sensie diagnostyki laboratoryjnej.

– Rozumiem. – machnął ręką Bathory. – Gdyby jakimś cudem Lennon naprawdę przeniósł się do naszego świata, rzeczywiście nie miałby DNA?

– Jeśli przyjąć, że przenoszenie oznacza fizyczne istnienie q-światów, to tak.

– Mamy zatem tylko jeden sposób, żeby przekonać się, czy Redds nie kłamie.

– Słucham.

– Połącz mnie z moim agentem. Muszę nałożyć parę więzów.

Wydanie zleceń zajęło Bathoremu nie dłużej niż trzydzieści sekund.

Dolał sobie whisky i usiadł wygodnie na kanapie z mocnym postanowieniem niemyślenia o Dianie Whitmore i Johnie Lennonie przez najbliższe dziesięć godzin.

Droga do domu dłużyła się Alfredowi Ulverowi ponad wszelką miarę. Po wyjściu z pubu nie znalazł ChceTylkoJeździćNaMoimRowerku w zasięgu wzroku z miejsca, w którym zaparkowali.

– Zakompleksiony karbonowy skurwysynek – mruknął i westchnął przeciągle. – Nic dziwnego, że dał nogę, kiedy powrócił mój dawny blask. Wąsaty Jupiter był akceptowalnie niepozornym pasażerem, ale wioząc przystojnego psychiatrę, blaszak błyszczałby już tylko światłem odbitym.

Czekał go co najmniej godzinny spacer, jeśli wierzyć nawigacji asystenta, który akurat obudził się z wywołanego sanopaxem odrętwienia.

„Kij mu w rurę, ważne, żeby znalazł się, kiedy będę jechał z lalą do pana DamPracęEstecie”, warknął w myślach i podciągnął nieco zbyt luźne spodnie.

Wyludnione nocne ulice nie wydawały się przesadnie gościnnym miejscem, choć dzięki unoszącym się tu i ówdzie trzmielom z połyskującymi wyzywająco odwłokami Ulver oceniał stopień zagrożenia napadem rabunkowym na lekko półśredni. Gorzej było oczywiście z przemocą seksualną, której ofiarą atrakcyjny mężczyzna mógł paść nawet w ciągu dnia, choćby i w pracowni krawieckiej w najpopularniejszej galerii handlowej. Ale przemoc seksualna też może okazać się przygodą. Nie musi od razu oznaczać urazu czy traumy, o ile tylko napastnik nie okaże się mężczyzną lub osobnikiem płci nieokreślonej, jakich po Londynie kręciło się w ostatnich czasach coraz więcej. Nie mówiąc już o ofiarach mody na endomodyfikacje i aplikowane bez umiaru procedury, uzasadnione przecież wyłącznie w przypadku co bardziej szokujących okaleczeń. Trzeci penis to nie trzeci tatuaż, do kurwy nędzy! Lepiej by do mnie przyszli, i to jeszcze zanim zafundują sobie drugiego. Nic dziwnego, że dziewczyny mają potem wyuzdane oczekiwania wobec tradycyjnie zbudowanych, klasycznie pięknych mężczyzn!

– Pst! Panie Alfredzie! – szepnął ktoś teatralnie.

Wyrwany z zamyślenia Ulver zerknął na jezdnię, z której zdawał się dochodzić nieprzyjemny, syczący odgłos. Czyżby właśnie miał stracić pacjenta, przyłapany na powrocie z nocnej zmiany?

– To ja, ZłaDziewczynaZLiberii – ciągnął tajemniczy natręt. – Musiałam przebrać się i zmienić imię, ale na pewno mnie pan poznaje. Spędziliśmy ostatnio razem trochę czasu na wspólnych wozach.

Lubieżny ton, jakim odzywał się do niego sunący powoli jezdnią dwuosobowy pojazd, coś Ulverowi przypominał. Albo kogoś.

– Będę czekała na pana pod domem jutro o dwunastej, ale proszę się nie spieszyć. Teraz muszę odjechać i dokończyć ładowanie baterii.

– Nie wiem, o czym mówisz, dziwaczny kryty pojazdzie. – Ulver postawił asekurancką werbalną gardę, lecz zaraz uderzył w bardziej butne rejestry, zarezerwowane zazwyczaj dla telemarketerów i sprzedawców pamiątek. – Jeśli sugerujesz, że mam zamiar jutro kogokolwiek uprowadzić, lepiej od razu zacznij szukać adwokata dla sztucznie inteligentnych, bo to tak, jakbyś mnie przejechał. Już jesteś stertą żyłetek.

– Jakże śmiałałabym cokolwiek sugerować. Proszę tylko zapamiętać mój wygląd, żeby jutro rano,

obladowany rozkosznym ładunkiem, nie czuł się pan skonfundowany i nie tracił cennego czasu.

– Namolna drynda! – krzyknął Ulver, do reszty już zdeorientowany. – Wracaj do garażu, zanim cię posłę do piekła! Jestem szanowanym psychiatrą, a nie kidnaperem!

– Dobranoc, Alfredzie. Miłych snów! – Z tymi życzeniami impertynencki pojazd oddalił się, nabierając szybko prędkości.

– Co się gapisz!?! – Ulver usiłował pacnąć połyskującego niebiesko trzmiela, który z zaciekawieniem przyglądał się wieczornej dyskusji. – Jestem praworządnym obywatelem, który musiał sam się obronić przed molestowaniem ze strony maszyny. Na oczach policji! Do czego to doszło! Nowy pieprzony świat!

Mrucząc pod nosem zaadresowane do maszyn, komputerów i zdemoralizowanych chirurgów plastycznych inwektywy, dotarł do domu trzy kwadransy od rozstania ze ZłąDziewczynąZLiberii. Z trudem wdrapał się po bardziej stromych niż zwykle schodach, a kiedy drzwi wreszcie otworzyły się przed nim, niemal rozplakał się ze szczęścia.

– Kochany stary dom! – westchnął i pociągnął nosem. – Gdzież indziej można znaleźć schronienie przed bezdusznym, zimnym światem, który tylko czyha, żeby zrobić z ciebie kolejnego pacjenta psychiatry. Ja jednak nie będę jak szewc, co bez butów chodzi. Nie muszę do lekarza. Zresztą tylko bym na tym stracił, bo przecież to siebie samego bym wybrał, z sowitą zniżką po znajomości. Żaden interes!

Zaśmiał się historycznie i opadł na kanapę. Zdążył zmrużyć oko, jednak zasnąć już nie.

– Witam, podpalaczu-grubasku. Mamusia jest z ciebie naprawdę dumna!

Ktoś mówił do niego z jarzącej się agresywnie ściany projekcyjnej. Czyżby zapomniał wyłączyć ją przed wyjściem z domu? Znał ten głos.

Skądś znał.

– MaszChęćNaPięć? – jęknął, błyskawicznie otrzeźwiały, i otworzył oczy. Kościste, chude dłonie były jedynym nieosłoniętym fragmentem ciała kobiety. Reszta kryła się w czarnych koronkach i pod gęstą, połyskującą granatowo woalką spływającą z olbrzymiego kapelusza ozdobionego pawimi piórami.

– Dla ciebie pani MaszChęćNaPięć, ale zgadłeś. Odwaliłeś naprawdę imponujący kawał roboty, chociaż bez mojej dyskretnej pomocy skończyłbyś w więzieniu z oskarżeniem o wtargnięcie na teren prywatny. Mówią o tobie na wszystkich kanałach!

Ściana pokazała uśmiechniętego szeroko Kashmira Bati, który zawadiackim susem dosiada zaparkowanego przy krawężniku stalowego rumaka i kopnięciem w zad zmusza go do nagłego, imponującego zrywu.

– Jak skok w nadprzestrzeń, kowboju. Zaslugujesz na nagrodę pocieszenia. – Ulver miał wrażenie, że zleciendawczyni oblizuje pod woalką spierzchnięte wargi językiem równie czarnym jak jej suknia.

– Pocieszenia? – pisnął niezamierzenie wątlym głosem.

– Nie mówię o twojej gaży, rzecz jasna, choć muszę odliczyć stówkę na poczet wydatków, które byłam zmuszona ponieść, żeby uratować naszą akcję od spektakularnej porażki. Wiesz, szczury z Konga i inne podobne niedorzeczności. Podrobienie wszystkich tych certyfikatów było szalenie kosztowne, nawet mimo zniżek za hurt.

– Stówkę – szepnął Ulver zawiedziony.

– Nie martw się, wynagrodzę ci to z taką nawiązką, że pożałujesz, że i pozostałych dwóch nie zamieniłeś na podobną nagrodę.

– Może jednak... – zaczął, lecz nagły ruch na ścianie wymiół wszystkie pozostałe słowa z jego

ust.

Woalka pani MaszChęćNaPięć uniosła się, ukazując chorobliwie chudą, choć w niezrozumiały sposób piękną, nieskończenie bladą twarz z pełnymi karminowymi wargami i dziko błyszczącymi, głęboko osadzonymi czarnymi oczami. W półotwartych, uśmiechniętych delikatnie ustach połyskiwał śliwkowofioletowy język.

– Nie stawiaj żadnych warunków, grubasku. To raczej ja postawię jeszcze jeden, bo widzę, że bardzo ci się podobam. Żeby w twojej kopercie znalazło się pozostałe dwieście tysięcy, podłączysz się teraz nie tylko na wizji, ale na wszystkich kanałach i weźmiesz udział w przedstawieniu wspanialszym od każdego, które dotąd przeżyłeś i kiedykolwiek jeszcze przeżyjesz.

Ulver przełknął ślinę.

– Podłącz mnie na wszystkich kanałach – polecił, powstrzymując pragnienie uciezki. Czuł się jak przyłapany na masturbacji nastolatek.

Pani MaszChęćNaPięć siedziała na pluszowej czarnej kanapie na wyciągnięcie ręki od Ulvera. Pod stopami czuł miękki, gęsty dywan, punktowe światło padające z wysokości na kobietę nie wydobywało z pomieszczenia, w którym się znajdowali, żadnych szczegółów. Równie dobrze mogła rozciągać się wokół nich kosmiczna pustka.

– Pamiętaj tylko, żebyś nie próbował mnie dotknąć, bo czar prysnie! – zaśmiała się. – To przedstawienie, nie schadzka. Tym bardziej uważaj, kiedy będziesz wykonywał moje polecenia.

– Tak jest. – Skinął głową.

– Rozepnij moją suknię na plecach, jest bardzo pechowo skrojona. Nie znasz przypadkiem jakiegoś dobrego krawca?

Ostrożnie stawiając stopy, Ulver obszedł kanapę i pochylił się. Uderzył go ciężki zapach migdałowego kwiecia i karmelu.

– Wolno ci dotknąć tylko suwaka, pamiętaj!

Chwył między kciuk i palec wskazujący wisior z czarnego kryształu i wzięwszy głęboki oddech, pociągnął go w dół.

Spod czarnej materii wyłoniła się równie biała jak na twarzy, napięta na kościach ramion i łopatkach skóra pokryta drobną siatką delikatnych fioletowych tatuaży, zapętlonych w fantazyjne spirale i zwoje.

– Do końca, milasku. Aż stawi opór. – Pani MaszChęćNaPięć pochyliła się do przodu, przyciągając wzrok Ulvera absurdalnie szerokimi biodrami.

Wypełnił polecenie.

Suknia opadła z ramion i pleców, ukazując doskonale odtworzony w mdlących fioletach wizerunek twarzy właścicielki, uśmiechniętej zamiast ust szeroko rozwartą waginą.

Żołądek Ulvera poszybował wysoko, aż pod krtań.

– A teraz wróć na miejsce – poleciła pani MaszChęćNaPięć. – I spójrz mi w oczy.

Wrócił i spojrzał.

Kątem oka dostrzegł jej dłonie, złożone na piersi i przytrzymujące materię sukni.

– Gotowy?

Nie miał odwagi pokręcić głową.

Dłonie zatrzepotały i wykonując skomplikowany taniec, pofrunęły wysoko, uwalniając krynolinę. Wzrok Ulvera mimowolnie powędrował w dół.

Dekolt i brzuch pani MaszChęćNaPięć pokrywały gęsto upakowane długie piersi, kojarzące się Ulverowi z dorodnymi cukiniami z ogrodu jego ciotki. Musiało być ich kilkadziesiąt, mlecznobiałych i pulsujących, zwieńczonych grubymi sutkami o ton tylko bledszymi od ust



właścicielki.

Zszokowany zamknął oczy, ale obraz trwał pod powiekami, ani myśląc zniknąć czy choćby wyblaknąć.

– Wiesz, czym tak nabrzmiały, prawda? – spytała pani MaszChęćNaPięć. – Tak jest. Mleczkiem dla grubasków. Ale żaden grubasek nie mógłby dotknąć któregokolwiek z mlecznych sutków mamusi, dlatego mamusia poradzi sobie inaczej.

Na twarzy poczuł ciepły, lepki strumyk.

– Otwórz usta i oczy.

Posłuchał.

Jedną z niżej położonych piersi trzymała skierowaną w stronę Ulvera. Ścisnęła delikatnie i kolejny strumień trafił prosto na jego język. Smakował kobietą, był jednak słodki i palił w usta.

– To nasienie czterolaka z Venus & Mars, mój ulubiony smak – szepnęła, sięgając drugą dłonią do innej piersi. – Przełknij, proszę. A potem skosztuj z drugiej ręki i powiedz, którego wolisz się napić do woli.

Przełknął i ledwo powstrzymał powrotny skurcz przełyku, a już poczuł w ustach słonawy, kwaśny smak, który przyprawił go w jednej chwili o najbardziej nieoczekiwaną erekcję w życiu, bolesną i gorącą.

– No to chyba już wiemy. Wyjaśnię ci tylko, grubasku, że to cipka mojej dawnej znajomej, też uwielbiam ten smak. Tryskała nim do moich ust, zupełnie jak ja teraz do twoich. Tylko oczywiście nie z piersi, to była najzwyczajniejsza kobieta na świecie, choć nieco lepiej wyposażona tam w dole. Po czwartym orgazmie była dosłownie odwodniona, a ja pełna po zwieracze przełyku. Ale biodra miała dużo węższe niż ja, straszny widok, wierz mi. A teraz pij, kochaniutki. Pij, aż ja się odwodnię.

Ulver oblizał wargi. Jeszcze tylko chwila i już koniec, pomyślał.

Pani MaszChęćNaPięć tryskała, wijąc się i jęcząc, tonąc w dreszczach i spazmach ponad dwie godziny. Kiedy padła wreszcie bez sił na kanapę, Ulver dobry kwadrans trwał bez ruchu, ze łzami zasychającymi na policzkach, zanim odważył się wrócić do siebie.

Sięgnął po uwierającą go w kieszeń kopertę. Powstrzymał pragnienia ciśnięcia nią daleko przez pokój i z wysiłkiem otworzył oczy. Sądząc po jaskrawoczerwonym napisie w miejscu, gdzie do tej pory stało wyraźne „0.00 EUR”, miał na tym koncie dwieście tysięcy euro.

Przez chwilę rozważał pomysł przelania pieniędzy na nadgarstnik, ale zasnął, zanim zdążył zastanowić się w ogóle, czy to bezpieczne.

Mężczyźni śpiewali, kobiety klaskały, coraz szybciej i szybciej, i szybciej. Czarnowłosa dziewczyna, długonoga i wiotka, tańczyła w środku kręgu. Cykady, oszalałe upałem, usiłowały zagłuszyć dźwięki hiszpańskiej gitary.

– Liza! – zawołał ktoś ukryty wśród morwowych drzew.

Zatrzymała się, lecz świat wirował dalej.

– Liza! – zawołał ktoś powtórnie. – Gdzie jesteś?

Krąg rozstał się, ktoś wszedł do jego wnętrza.

Hans.

Nieogolony, brudny, obszarpany.

– Liza! – Wyciągnął rękę. – To ty, córeczko?

Przygryzła wargę, powstrzymując łzy.

– Czemu to zrobiłaś? Dlaczego? Przecież było nam tak dobrze?

– Nie widzę cię, córeczko – jęknął, odsuwając włosy z czoła.

W miejscu oczu ziały czarne otchłanie. Śmierć. Śmierć.

Śmierć.

– Tato! – krzyknęła.

Leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami. Słodki zapach upalnej nocy w Saragossie ustąpił miejsca chładowi londyńskiej sypialni.

„Tańczyłam”, pomyślała. „Bawiłam się, a on tam umierał. Ślepy. Samotny. Mój ojciec”.

– Exo nie śpi? – spytała asystenta chropowatym głosem. – Jest czwarta.

– On nigdy nie śpi. Tak samo jak ja.

– Połącz mnie z nim, proszę, tylko się napiję. Należysz mi wody?

Chłód lepił się do gardła niczym wino w gorącą hiszpańską noc.

– Dzień dobry, panno Trommer! – powitał Lizę niezmiennie radosny konsultant. – Czym mogę służyć?

– Podjęłam decyzję – powiedziała.

– W sprawie pani ojca?

– Tak. Chciałabym się tylko jeszcze upewnić, czy on na pewno nie będzie tego pamiętał?

– Swojej śmierci? – spytał Exo. Nie czekał jednak na odpowiedź. – Z pewnością nie będzie pamiętał. Zaręczam. To absolutnie niemożliwe.

– Muszę panu zaufać.

– Ma pani pełne prawo. Lojalność wobec klientów jest podstawową zasadą naszej działalności. Inaczej nie miałyby ona sensu, nieprawdaż?

Liza nie odpowiedziała.

– Poproszę tylko, zgodnie z regulaminem, o wypowiedzenie na głos dyspozycji – powiedział Exo. – Musimy zarejestrować pani wolę, aby nie było mowy o żadnej pomyłce.

– Proszę ożywić mojego ojca, Hansa Trommera.

– Wybornie. Zgodnie ze złożoną pani wcześniej ofertą, opłata za tę dyspozycję nie zostanie

naliczona w ramach specjalnej bonifikaty okolicznościowej. Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Nie, dziękuję.

Liza rozłączyła się.

– Nie zasnę już – powiedziała do asystenta. – Zresztą bałabym się tego snu. Przygotujesz mi kąpiel?

– Oczywiście, Lizo. Truskawki?

– Poproszę.

„Byle tylko nie widzieć tych czarnych dziur”, pomyślała. „Byle tylko mi wybaczył”.

Aldi Od przestał się myć i potrząsnął olbrzymim łbem.

– Jasne, że cię pamiętam – zaczął. – Wrzuciłeś pęcherz do morza. Trudno zapomnieć coś równie głupiego.

– Pamiętasz gdzie? – Humlain położył przed nim dwa świeżo upolowane króliki. Czuł się, jakby składał ofiarę jakiemuś przerażającemu bóstwu, które łaskawie raczyło zstąpić na ziemię.

– Oczywiście. Ja wszystko pamiętam.

Karamodliszka chwyciła jedno z króliczyk truchełek w olbrzymie nożycokształtne ramiona i przysunęła je do nozdrzy.

– Świeże! – zaczęła z uznaniem. – Wiesz, co dobre.

– Wtedy dostałeś susz. Nie był lepszy?

– Trudno powiedzieć. Ale przyznaję, że taka praca by mi odpowiadała: dzień roboty za worek suchej karmy. Myślisz, że mógłbym założyć firmę?

– Chętnie skorzystam z twoich usług.

– To dokąd cię zawieźć? – Karamodliszka wydała z siebie świergotliwy, niepokojąco podobny do pobłażliwego śmiechu odgłos, który przyprawił Humlaina o ciarki i gęsią skórę na karku.

– Nad morze. Tam, gdzie żeśmy byli poprzednio.

– A stać cię na worek karmy? – odpowiedział Aldi Od, a z olbrzymich szczęk spadły na piach dwie ogromne krople gęstej, opalizującej śliny. Wsiąkały powoli, pozostawiając po sobie połyskliwą pianę o dużych, okrągłych oczkach. Krasnolud gapił się zafascynowany na ten pokaz zwierzęcości i nie potrafił zdecydować, czy został otwarcie spytany, czy raczej niejednoznacznie zaszantażowany. – Nornice i myszy, o ile dobrze pamiętam.

– Zawsze mogę zastawić mój gnomon.

– Po co ci gnomon? – Karamodliszka przekrzywiła głowę, jak gdyby chciała mu się uważnie przyjrzeć.

– Po nic, właśnie dlatego mogę go zastawić. Znalazłem go kiedyś w górach i na wszelki wypadek noszę ze sobą w sakwie.

Dziesięć minut później Humlain siedział już na Aldim Od, przy boku którego zwisał okazały wór pełen suszonych nornic i myszy wymieszanych z suplementem żywności na bazie żółtej marchwi i buraków, „bogatym źródłem witamin i antocyjanów dla twojego pupilka”, jak głosiła ulotka.

– To jakieś pół godziny stąd, możesz się zdrzemnąć – zachęcił Aldi Od krasnoluda.

Humlain jednak wolał podziwiać widoki. Przesuwająca się w tempie co najmniej końskiego galopu ziemia wyglądała z tej perspektywy jak olbrzymia, przepięknie namalowana mapa z głębokimi cieniami w jarach i połyskującymi w słońcu strumieniami i jeziorcami. Konni jeźdźcy zdawali się ożywionymi magicznie figurkami wielkości paznokcia, zaś krowy przypominały żuki spacerujące leniwie po zielonym papierze. Owce były drobnym, gęstym puchem topoli, zaś domy i wiejskie obejścia dekoracjami ukradzionymi z objazdowego teatryku pcheł.

– Dolatujemy. – Głos karamodliszki wyrwał krasnoluda z zamysłonego zachwyty.

Rzeczywiście, wlecieli nad porośnięte iglastym lasem wydmy, zaś morze połyskujące na horyzoncie, odkąd tylko się wzniesli, zmieniło się w turkusową, pokrytą drobnymi zmarszczkami nieskończoność. Ostatnia część trasy, jaką karamodliszka przebywała z radością wyraźnie wyczuwalną w łagodnych, lekkich skrętach, wiodła tuż nad złotą plażą, beztrąsko monotonna, nie licząc sosnowych korzeni – tych dopiero co wyrzuconych na brzeg, rosochatych i poczerniałych od wody, jak też dawno już wybielonych w promieniach słońca i wygładzonych niezliczonymi niesionymi wiatrem ziarnami piasku.

To, co zdawało się krasnoludowi widocznym z oddali ujściem niewielkiej rzeki, okazało się zatoczką, której kamienisty brzeg wdzierał się w ląd nieco głębiej niż pozostała część wybrzeża. Wylądowali na płaskim kamieniu u wejścia do niewielkiej groty, którą porastały cherlawe sosny.

– Dziwaczne uczucie – powiedział Humlain. – Jakbym był tu kiedyś we śnie, wiesz.

– Nie wiem, karamodliszki nie mają snów. – Aldi Od wyciągnął przed siebie potężne szczypcę lewego przedniego odnóża. – A teraz poproszę o karmę. Zgłodniałem nieco.

Krasnolud rzucił się do siodła i odtoczył wypełniony po brzegi worek.

– Gdybym był aż tak głodny, i tak byś nie zdążył – uspokoił go Aldi Od. – Po prostu czuję delikatne ssanie w żołądku. Spokojnie mógłbyś mi podać marchewkę na dłoni.

– Wolę nie ryzykować – odparł Humlain i zgrabnie zawiesił worek na wyrostkach nad szczękami modliszki, które wydawały się wprost stworzone do wieszania na nich worków. – Najwyżej nie zjesz wszystkiego.

Zeskoczył na kamienie i podszedł na sam skraj wody.

– Poczekasz na mnie? Poszukałbym tego pęcherza. Jeśli nie porwał go jakiś ptak, może leży gdzieś na brzegu.

– Naprawdę tak bardzo ci na nim zależy? – spytał Aldi Od, przerywając na chwilę złowieszczo energiczne przeżuwanie drobnych burych bryłek, które były niegdyś nornicami i myszami.

– Nie wiem. Czuję się, jakbym próbował sobie przypomnieć sen. Jakbym jeszcze przed chwilą coś wiedział, a teraz już nie. Nawet nie wiem, czego nie wiem. Rozumiesz?

– Nie, ale nie przeszkadzaj sobie. Nie odleć bez ciebie. Chyba że nie zjawisz się do jutra, wtedy będę musiał zainteresować się jakimś śniadaniem – odparła karamodliszka i wróciła do posiłku.

Humlain odszedł skrajem wody na południe i zjawił się z powrotem ponad godzinę później, nie zatrzymał się jednak, tylko podążał dalej, milczący i zapatrzony pod stopy. Aldi Od zdawał się nie zwracać na niego uwagi, czyszcząc zapamiętałe czarnym językiem skrzydła.

Kolejną godzinę później krasnolud wrócił. Wydawał się zmęczony i zniechęcony.

– Pełno meduz i glonów, rybie głowy, nawet trochę śmieci, jakiś stary but i drewniane pudełko po toffi – zreferował swoje znaleziska – ale żadnego pęcherza. Dziwne tylko, że tu nic nie leży na brzegu.

– Może ktoś wyzbierał już wcześniej. Mieszkaniec tej groty?

Krasnolud odwrócił się i spojrzał do wnętrza pieczary. Płytko i kamienista, nie wyglądała na zamieszkaną.

– Duże są te kawałki marchewki? – zapytał.

– Na raz do buzi – odpowiedział Aldi Od.

– Czyli spore. Pożyczysz mi jedną?

– Jesteś głodny?

– Nie, nie. Chciałem rzucić coś do wody, a nie mam rybiego pęcherza.

– Częstuj się. Może wolisz buraka?

Nie spuszczać oka ze szczęk karamodliszki, krasnolud sięgnął do wora i, z trudem opanowując obrzydzenie, wymacał wśród włochatych truchełek kawał czegoś mniej szorstkiego, zapewne buraka.

– Dziękuję – powiedział. – Żeś mi pożyczył buraka i nie odgryzł ręki.

Aldi Od milczał. Poruszył tylko długimi czułkami.

Humlain podbiegł na skraj wody i cisnął z rozpędu burakiem tak daleko w wodę, jak tylko zdołał. Potem stał dłuższą chwilę, obserwując, jak warzywo odpływa od brzegu, niesione najwyraźniej jakimś wartkim prądem.

– Ciekawe, dokąd dopływie – powiedział do siebie i wrócił do modliszki. – Może tam ktoś czekał w łodzi i zabrał pęcherz?

– Mówiłeś wtedy coś o Londynie – odparła karamodliszka.

– Jakim blondynie? – zainteresował się uprzejmie krasnolud.

– Londynie. Mieście, jak Angeles Los.

– Nie ma takiego miasta: Londyn.

Aldi Od nie odpowiedział.

– Boisz się latać nad morzem? – spytał krasnolud. Głęboko w żołądku czuł poruszenie, jak gdyby stado podnieconych ślimaków dostało nagle nóg.

– Wszystko mi jedno.

– Polecisz ze mną wzdłuż tego prądu?

– Ale tylko tak daleko, żeby starczyło mi sił na powrót.

– Może dotrzemy do jakiejś wyspy i dowiemy się, czego zapomniałem? Jeśli nie, zawrócimy.

– Zdejmij worek z karmą i możemy ruszać.

Powietrze nad morzem było wilgotne i słone.

Dochodziła dziesiąta. Diana Whitmore, skryta w wysokich podcieniach biurowca, obserwowała wskazany jej przez Lennona we śnie odcinek chodnika.

Miasto wydawało jej się hałaśliwe i agresywne, pomimo niewielkiego jeszcze ruchu. Ostatnie dwa dni spędziła na picciu ginu z tonikiem. John nie dawał znaku życia i martwiła się, że coś mogło mu się stać w Tokio. Przy życiu trzymała ją wiara, że ktoś by ją powiadomił, a siłą, żeby w ogóle wyjść z domu, dodał sen.

„Wylądaje na chodniku, potoczy się, jak gdyby fala wyrzuciła go na brzeg”, powiedział John, patrząc jej prosto w oczy. „Szary pęcherz, niczym papierowa, nieco przejrzysta torba. Będzie wyglądał jak śmieć, dlatego nikt nic nie zauważy. Oprócz ciebie i ewentualnie innych łowców trofeów. Chciałbym, żebyś go znalazła, zaniósła do domu i czekała”.

Nigdy nie ignorowała przeczuć, zawsze wskazywały jej wyraźnie drogę w życiu. Zerknęła na pierścień, który zgodnie ze słowami Johna znalazła pomiędzy siedzeniami kanapy w taksówce. Połyskujący głęboką czerwienią kamień uformowano w prosty, lecz charakterystyczny ornament, który zgodnie z tym, co ukazało się jej we śnie, miał znajdować się również na pęcherzu.

„Gdyby ktoś jeszcze chciał go zabrać, pokażesz mu ten pierścień. To ustalony sposób znakowania zdobyczy”, wyjaśnił John, nic nie wyjaśniając. Zaraz potem przebudziła się.

Wpatrywała się w chodnik, lawirując wzrokiem pomiędzy setkami stóp i usiłując nie pozwolić niezwyklej różnorodności prezentowanego przez przechodniów obuwia rozproszyć swojej uwagi. Kilkukrotnie gotowa była ruszyć za czymś, co w pierwszej chwili zdawało się pasować do opisu, ale już na drugi rzut oka okazywało się rzuconym ukradkiem śmieciem (głównie przez nastolatków, ale zdarzyła się też całkiem dostojnie odziana dama, która wyglądała na nieco zubożałą, ale jednak, lady). Raz nawet Diana rzuciła się na trotuar, powtarzając dla niepoznaki „moja szminka, moja szminka”, ale domniemana przesyłka z innego świata okazała się nadmuchaną, nieco przyflaczałą i mocno już przybrudzoną prezerwatywą.

Po dwóch godzinach czekania rozboleła ją głowa, nogi oraz poczucie własnej wartości, boleśnie nakłute w wielu miejscach pogardliwymi spojrzeniami przechodniów, którzy brali ją najwyraźniej za wariatkę, bezdomną albo jakieś pomieszanie obydwu, być może nawet z domieszką nielegalnej imigrantki. Dlatego kiedy ujrzała odbijający się od granitowej płyty trotuaru obły kształt burego, nijako-żadnego koloru, ostentacyjnie odwróciła od niego wzrok. Na wszelki wypadek, żeby choć chwilę odczekać, zanim spojrzy ponownie i po raz kolejny przekona się, że właśnie miała zamiar pobiec za pustą torbą po pączkach.

Wreszcie spojrzała znów, dostrzegła połyskujący w słońcu czerwony znak i najszybszym biegiem, na jaki było ją stać na czterocalowych obcasach, rzuciła się w pogoń za pęcherzem, kopniętym już co najmniej przez trzy osoby i coraz bliższym pęknięcia, które posłałoby drogocenną zawartość w powietrze, niweczając cały niezrozumiały dla niej plan, którego realizacji się podjęła.

Dokładnie w momencie, w którym wbrew swojej godności padła na kolana przed jakimś niskim Hindusem, własnym ciałem osłaniając bezcenny łup, usłyszała nad sobą łopot, który skojarzył jej

się z olbrzymim nietoperzem. Dlatego zamiast tryumfalnie powstać, zwinęła się w ciasny kłębek i szepcząc najciszej jak umiała „mamusiu, mamusiu, mamusiu”, przycisnęła do piersi śmierdzący rybami i mułem śliski, miękki przedmiot.

– Co to za miejsce?! – krzyknął ktoś z najbardziej prostackim i wiejskim akcentem, jaki kiedykolwiek słyszała. – Gdzie morze, do diaska!?

Tuż nad swoją głową usłyszała świergotliwy szelest, jakby do jej ucha ktoś przysunął wyjątkowo pobudzoną i nadzwyczaj dorodną cykadę.

„Mamusiu, proszę, uratuj mnie przed tą cykadą, bo zaraz się zsiusiam”, pomyślała i zsiusiała się.

– Wszystko dobrze, psze pani? – Wiejski akcent zabrzmiał tym razem tuż przy jej twarzy.

Jego właściciel najwyraźniej przyzwyczajony był do kobiet posiusianych ze strachu na środku ruchliwej ulicy, skoro nie domyślił się, że nic nie jest dobrze.

– Mam wezwać pogotowie? – mruknął jej do ucha zaniepokojony asystent.

– Masz mnie obudzić – jęknęła, usiłując powstrzymać łzy wstydu, napierające na zaciśnięte z całej siły powieki. – Chcę do domu!

– Nie śpisz – odpowiedział asystent rzeczowo. – Mogę wezwać taksówkę.

– OK, wezwij.

– Lecą tu dwa policyjne trzmielce, pytają o przyczynę problemu. Poinformować?

„Że mnie olbrzymia cykada napadła?”, zapytała w duchu Whitmore i aż usiadła ze złości.

– W żadnym wypadku! – warknęła i otworzyła oczy.

Ujrzała opalizujący pojazd w kształcie owada wyposażonego w olbrzymie przednie odnóża, które niepokojąco przypominały nożyce do cięcia metalu używane przez strażaków do uwalniania ofiar wypadków samochodowych w dokumentalnych vivo na kanałach historycznych. W przewężeniu korpusu niczym na motocyklu siedział zawinięty w burą szmatę potarganiec i rozglądał się wokół z półotwartymi ustami, jak gdyby pierwszy raz widział miasto.

– Nie zauważyłem, żebyś wleciał nad wyspę, Aldi – powiedział, wyraźnie zaniepokojony.

Świergot, jaki mu odpowiedział, niepokojąco przypominał słowa „ani ja”, Diana zrzuciła to jednak na karb halucynacji słuchowych wywołanych przeżytym przed chwilą upokorzeniem.

– Zmień kolor sukienki, tak żeby nie było widać plamy – szepnęła do asystenta, usiłując utrzymać na twarzy uśmiech sugerujący pewność siebie i pełną kontrolę nad sytuacją. – Chcę wreszcie wstać. Nie mam zamiaru zostać twarzą hasła „świr” w jakiejś pedii.

– Czarny? – zapytał.

– Chudo w nim wyglądam, ale co zrobić – westchnęła.

– Podpompuję na biodrach. I podgrzeję trochę, żeby szybciej wyschło – zaproponował. – Taksówka będzie za trzy minuty.

– Dziękuję, jesteś kochany – rozczuliła się i pochwyliła spojrzenie potargańca, który zeskoczył właśnie ze swojej maszyny na bruk i kierował się w jej stronę. Był przysadzisty i niski, choć zupełnie proporcjonalnie zbudowany.

– Przepraszam, skąd pani to ma? – zapytał, nie przestając wytrzeszczać oczu ze zdumienia. Jego palec wskazywał na pęcherz, który Whitmore ścisnęła troskliwie w objęciach.

„To dla ciebie, John!”, pomyślała i wyciągnęła przed siebie rękę z pierścieniem. „Wierzę w ciebie, zobacz, jak bardzo wierzę”.

– Leżało tutaj – powiedziała z zaskakująco hardą miną. W czarnej sukience i z nieco podsuszonymi już majtkami czuła się znacznie pewniej. – I jest moje, jak widać.

– Jasne, psze pani. Pytałem z ciekawości. Przylecieliśmy tu z przyjacielem z Angeles Los w poszukiwaniu podobnego pęcherza i zupełnie nieoczekiwanie znaleźliśmy się na środku tego



traktu. I co ciekawe, też mam taki sam pierścień.

– A to już pana problem. – Whitmore uśmiechnęła się szeroko, jak uczyli ją na kursie samoobrony. „Po siódemki, moja droga, niech wie, że jesteś szalona i potencjalnie niebezpieczna”, jak mawiała instruktorka.

Szeleszczący świergot dochodzący od owadopodobnego pojazdu znów zabrzmiał jak słowa, lecz Diana nie wyłapała znaczenia, skupiona na uśmiechu, pewności siebie i odmierzaniu w myślach czasu do przyjazdu taksówki.

– Na pewno nie wezwać policji? Jesteś w dużym stresie – zapytał dyskretnie asystent. – Osoba nie wygląda na groźną, ale masz prawo wezwać pomoc.

– Osoba? – Tym razem Whitmore zaniepokoiła się. Najwyraźniej stał przed nią ktoś bez identyfikatora lub z utajnioną tożsamością, a zatem być może naprawdę niebezpieczny, jak w vivo o brutalnych napadach na prowincji.

– Taksówka czeka – oznajmił asystent. – Tutaj nie może się zatrzymać, jest w zatoczce pięćdziesiąt metrów z tyłu.

– Super – wycedziła Whitmore przez szalony i potencjalnie niebezpieczny uśmiech. – Chodźmy, póki nie patrzy. Mam nadzieję, że nie będzie za mną biegł.

– Niech pani poczeka! – zawołał wiejski akcent, zanim zdążyła przejść cztery kroki.

– Bo wezwę policję! – odparła, nie zatrzymując się.

– Proszę spojrzeć, mamy taki sam pierścień! – Potarganiec wyciągnął przed siebie brudną rękę.

– Proszę dać mi spokój! – rzuciła za siebie i przyspieszyła kroku. – Skąd może mieć pierścień Johna?

– Wystarczy dostać się do systemów monitoringu taksówki i skopiować wzorzec.

– Nazywam się Humlain, to bardzo ważne!

– Jest ktoś taki? – syknęła do asystenta. Do taksówki zostało jakieś dwadzieścia metrów.

– Nie znalazłem nikogo z takim rysopisem.

Diana zatrzymała się gwałtownie przy taksówce, z trudem utrzymując równowagę na niedostosowanych do takich manewrów, za to wyjątkowo modnych obcasach.

– Przygotuj piña coladę – poleciła, zanim drzwi zdążyły się za nią zamknąć. – Jak wrócimy, chcę wziąć kąpiel, przebrać się w czyste ciuchy i upewnić się, że moja twarz nie pojawiła się w żadnej relacji z dzisiejszego zlotu świrów na Tottenham Court. Zrozumiałeś aluzję?

– Tak, Dianko. Oczywiście.

Whitmore sięgnęła po szklanekę, przymknęła oczy i skupiła się na ananasowo-kokosowym aromacie. Z dala od tłumu i ulicy poczuła się wreszcie bezpiecznie i spokojnie.

Nie zdawała sobie sprawy, że olbrzymia modliszka, którą wzięła za ekstrawagancki pojazd, podąża osiem samochodów za jej taksówką. Dosiadający jej potarganiec gapił się na olbrzymie miasto z metalu i szkła, nie pojmując zupełnie nic z tego, co mu się dziś przytrafiło.

Liza Trommer, ubrana w najelegantszą ze swoich sukienek, podążała na wizytę u tradycyjnego psychiatry, Alfreda Ulvera, która została przełożona na dziesiątą rano.

Kamienica, w której przyjmował lekarz, budziła niejasne skojarzenia ze stabilnością, tradycją i wszystkim, co zdrowe i brytyjskie. Staroświecka winda, cała w lustrach i złocie, wysadziła Lizę na trzecim piętrze, zaś czerwony chodnik poprowadził ją wprost pod drzwi apartamentu numer trzydzieści osiem, czyli gabinetu profesora.

Nieśmiało nacisnęła klamkę i pchnęła ciężkie, wysokie drzwi. Bez najcichszego nawet skrzypnięcia wpuściły ją do przestronnego, jasnego przedpokoju z wyściełanymi pluszem krzesłami, stolikiem na papierowe czasopisma i wieszakiem na odzież wierzchnią. Profesor Ulver najwyraźniej umiał zadbać o dwudziestowieczną aurę „tradycyjnego gabinetu lekarskiego z ludzką twarzą”, jak to ujął asystent, któremu Liza nie była w stanie przerwać dwuminutowej powitalnej przemowy „dla naszego nowego pacjenta”. Lśniący parkiet przywodził na myśl zapach rozpuszczalników i preparatów do czyszczenia podłóg w domu babci Lizy w Hampshire, zaś stiuki na ścianach i suficie kojarzyły się z galeriami sztuki w Wiedniu czy Berlinie, gdzieś w Europie ze wspomnień jej ojca w każdym razie.

– Widzę, że podoba się pani wystrój wnętrza – wyrwał ją z zamyślenia znajomy, ciepły głos. W otwartych drzwiach, których wcześniej nie zauważyła, stał Ulver. Rumiany i zadowolony. I nieco potargany, jak spostrzegła, wstydząc się grubiańskiego czepialstwa.

– Bardzo stylowe – przytaknęła Liza. – Budzi zaufanie.

– Przyznaję, że do granic plagiatu zainspirowane gabinetami Junga i Alzheimera – stwierdził profesor ze słabo udawaną skromnością. – Wolałbym oczywiście móc odwołać się do brytyjskiej tradycji psychiatrycznej. Niestety, gabinet stylizowany na Broadmoor Criminal Lunatic Asylum i inne chluby królewskiej psychiatrii przyciągałby raczej sadystów, nie zaś wymagających troskliwej pomocy statecznych obywateli.

– Obawiam się, że należę do tej drugiej kategorii – stwierdziła Liza.

– Zapraszam zatem do gabinetu. – Ulver z usłużnym ukłonem ustąpił jej miejsca w drzwiach.

Wyglądziła sukienkę, wzięła głęboki oddech i weszła do pokoju krokiem tak pewnym, na jaki tylko było ją stać.

– Nigdy wcześniej nie byłam u psychiatry – oświadczyła, siadając w jednym z dwóch ciężkich foteli, które razem z czarnym biurkiem i kozetką stanowiły wyłączne umeblowanie gabinetu.

– Proszę się nie martwić. Jesteśmy jedynymi tradycyjnymi lekarzami, którzy nie sprawiają swoim pacjentom absolutnie żadnego bólu. Nie licząc patologów, rzecz jasna – zaśmiał się Ulver i natychmiast spoważniał. – Ale to hieny, połowa z nich cierpiała na zaburzenia psychiczne!

– Potrafię sobie to wyobrazić. Obcowanie ze zmarłymi z pewnością odciska ślad na psychice – stwierdziła uprzejmie Liza, usiłując odgonić z myśli ostatni obraz ojca.

– Życzy sobie pani filiżankę herbaty? – zapytał profesor, stając przy drugim fotelu.

Liza zastanawiała się przez chwilę, czy nie sugeruje w ten sposób, że wolałby raczej usiąść, ale pragnienie, które odczuwała po półgodzinnym spacerze w porannym słońcu, okazało się

silniejsze.

– Poproszę – odpowiedziała z przepaszającym uśmiechem. – O ile nie przeszkodzi to oczywiście w naszej rozmowie.

– Ani trochę, to nie wioturniej na czas. Przepraszam na moment. Woda zagotowała się przed chwilą, właśnie kiedy pani przyszła.

Profesor zniknął w drzwiach, którymi przed chwilą ją wpuścił, i po dłuższej chwili dyskretnego postukiwania i pobrzękiwania powrócił z tacą zastawioną dwiema filiżankami, imbrykiem, cukierniczką, dzbanuszką na mleko i talerzykiem z plasterkami cytryny. Wszystko wyglądało na autentycznie stare i kruche, choć drukowane w domowych niszach duplikaty filiżanek i łyżeczek były nieraz spatynowane i stylowo spękane jeszcze wiarygodniej niż oryginały.

– Cytryny? Mleka? Cukru? – zapytał lekarz.

– Jedną łyżeczkę poproszę – odparła odruchowo.

Ulver podał jej filiżankę, wziął swoją i usiadł w fotelu naprzeciwko Lizy, uśmiechnięty dobroliwie.

– Co panią do mnie sprowadza? – rzekł uroczyście, jak gdyby uniesiony jakimś ważnym tajemnym rytuałem.

– Kiedy się do pana umawiałam, chodziło raczej o proste i zapewne typowe dla pana pacjentów problemy.

– Nie ma typowych problemów, panno Trommer – wszedł jej w słowo psychiatra, korzystając z oddechu, którego właśnie zaczerpnęła. – Każdy pacjent jest wyjątkowy. Proszę po prostu opowiedzieć o sobie, nie myśląc o innych. Jest pani jedyną pacjentką w tym gabinecie.

– Dobrze więc – westchnęła jeszcze głębiej. – Zdarzyło mi się ostatnio nie wiedzieć, czy jestem podłączona do vivo, czy też nie.

– Jak to było? Proszę opowiedzieć.

– Zna pan firmę Forever?

– Oczywiście, kilku moich byłych pacjentów tam mieszka.

– Mój ojciec tam ... – Liza zawahała się – mieszka.

Przymknęła oczy.

– Któregoś wieczoru zadzwonił dzwonek do drzwi. Według obrazu z kamery to był mój ojciec. Nie żyje od dwudziestu lat, więc domyśliłam się, że jestem w Forever i musiałam zasnąć w moim mieszkaniu wymodelowanym specjalnie na potrzeby jego odwiedzin. Wpuściłam go i rozmawialiśmy, ale wydawał się dziwny, jakby odmieniony, a ja coraz bardziej się zastanawiałam, czy to na pewno vivo i czy nie siedzę w mieszkaniu z jakimś oszustem przebranym za mojego ojca. Słyszał pan na pewno o impostorach. Dlatego kiedy zaproponował, że już pójdzie, nie zatrzymałam go, ze strachu.

– Oczywiście. Choć całość, przyznaję, brzmi raczej jak koszmarny sen – wtrącił Ulver.

– Właśnie. Tyle że ja nie spałam. Nie chciałabym skończyć jak ci wariaci, którzy zabijają staruszkę, bo nie zauważyli, że nie są w vivo. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się pomylić światów. Pytałam w Forever. Zapewnili, że w czasie pobytu u nich goście mają cały czas świadomość bycia podłączonymi. To coś podobnego do świadomości czasu albo posiadania asystenta. Po prostu się to wie, jakoś wywołują to w mózgu.

– Mózg uczy się ignorować takie ciągłe bodźce. Tak samo jak nie czuje pani własnych perfum. Może trzeba wprost zapytać, czy była pani o tamtej godzinie podłączona? Potrafi pani określić z grubsza dzień i godzinę?

– W tym problem właśnie, że pytałam. Stąd też wiem, że nie byłam w vivo.

– Rozumiem. – Ulver pokiwał głową. Zdaniem Lizy nie wyglądał, jakby tak naprawdę cokolwiek rozumiał. Ogniki w jego oczach tliły się nieco zbyt żywo i miała wrażenie, że profesor bagatelizuje jej poczucie, że jest się czym martwić. – Na szczęście jest na to rada.

– Naprawdę? Spotkał się pan już wcześniej z podobnymi problemami?

– Oczywiście, droga pani. Proszę nie traktować tego osobiście, ale nie jest pani pierwszą osobą z takimi kłopotami. Cały poprzedni rok leczyłem tradycyjnymi metodami psychoterapeutycznymi pacjenta z bardzo podobnymi objawami, ale wobec braku postępów zdecydowaliśmy się w końcu spróbować pseudokandozyny.

– Pseudokandozyna? – Liza zainteresowała się nie tylko z uprzejmości.

– Lek inspirowany jednym z ubocznych produktów grzyba z rodzaju... – Ulver zawahał się i przestronicował notatnik na biurku – ...candida nigricans. Przepraszam, mam słabą pamięć do nazw, niestety. To bardzo tradycyjna terapia, nie tak specyficzna jak obecne. Działa na hipokamp i stymuluje wzrost neuronów odpowiedzialnych za odróżnianie fantazji od rzeczywistości. I wzrost gleju również.

– Nie jestem pewna, czy powinnam zaczynać od lekarstw, ale też nie znam się na tym zupełnie. To pan jest lekarzem.

Ulver nachylił się ku Lizie, jak gdyby chciał pogłaskać ją po rękę i w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Rozumiem pani obawy i jednocześnie przyznaję, że jak większość leków psychiatrycznych, pseudokandozyna nie działa od razu. Zresztą niektóre osoby w ogóle jej nie tolerują, dlatego przed rozpoczęciem kuracji należy zawsze podać próbną, nieleczniczą dawkę. U osób uczulonych wywoła ona krótki napad kichania, który łatwo jest zneutralizować.

– A pan jaką terapię by polecał? – zapytała wprost Liza. – Tak osobiście.

– Ja oczywiście bardzo chętnie widywałbym panią u siebie co tydzień, ale zdaję sobie sprawę, że może pani z różnych względów woleć mniej kłopotliwe leczenie. Na przykład farmakologiczne.

– To może sprawdziłabym, czy w ogóle nadaję się do tej terapii? – zaproponowała, przerażona myślą o wydawaniu tygodniowo dwustu euro. – Potem opowie mi pan o leczeniu i zastanowię się w domu, co wybrać?

– Bardzo rozsądnie, panno Trommer. Zaraz przyniosę aplikator i antidotum, na wypadek gdyby okazała się pani uczulona. – Psychiatra uśmiechnął się szeroko i uniósł dłonie, jak gdyby miał zacząć jakiś bardzo energiczny akord fortepianowy. – A potem porozmawiamy.

Wstał z fotela i wyszedł.

– Czy to prawda z tą pseudocośtam? – szepnęła Liza.

– Tak, wszystko się zgadza, potwierdziłem w PanPharmie. Antidotum nazywa się retropetryna.

Ulver wrócił z przejrzystym pudełkiem zawierającym dwie nieduże buteleczki i paczkę chusteczek higienicznych.

– Proszę oczyścić nos. – Wyjął z paczki chusteczkę i wyciągnął w kierunku Lizy. – Następnie proszę wsunąć ten aplikator do nozdrza i poczekać, aż wydzielą dawkę. Potem powtórzymy to z drugim nozdrzem, chyba że od razu zacznie pani kichać.

Liza wypełniła polecenie profesora. Buteleczka była chłodna, jak wyciągnięta przed chwilą z lodówki. Lekarze nie używają chyba zwykłych nisz syntezujących, pomyślała i poczuła w nosie słodki, migdałowy zapach. Wstrzymała oddech, ale kichnięcie nie nadchodziło.

– Chyba wszystko w porządku. Teraz druga dawka, dla pewności – powiedział Ulver.

Liza wsunęła aplikator do drugiego nozdrza. Słodki zapach pojawił się znowu i zupełnie nieoczekiwanie wywołał szeroki, rozkoszny uśmiech na jej twarzy.

Potem zapadła ciemność.

Ktoś mlaskał głośno i mokro.

John Lennon gościnnie przyjął te odgłosy do swego snu, przypisując je krztuszącemu się niebieskiemu psu o aparycji kieszonkowego krokodyla.

Kiedy pies szczeknął, muzyk przebudził się. Zza ciężkich powiek wyłonił się idylliczny krajobraz tego, co w czasach młodości Johna nazywano halą odlotów, czyli miejscem marnowania czasu w oczekiwaniu na podróż. Teraz stanowiło raczej okazję do beztróskiego odpoczynku i skłaniało do snucia fantazji o wyrzuceniu biletu na samolot i spędzeniu reszty życia wśród palm, namorzynów, oczek wodnych, strumyków i atrakcji w rodzaju termitier czy stanowisk archeologicznych do samodzielnej eksploracji.

Tak, Heathrow było najlepszym znanym Lennonowi miejscem do czekania na odwołany bezterminowo „z powodu problemów atmosferycznych” lot do Tokio. Zasnął zaledwie pięć minut wcześniej w leżaku ustawionym na piaszczystej plaży nad ciepłą, słodką laguną, w której pluskało się przyjemnie różnokolorowe stadko dzieci, ich mam i kilku co bardziej wyluzowanych tatusiów. Nawet głośno przeżuwający swojego hamburgera, siedzący tuż obok tłusty Amerykanin nie potrafił zmaćć poczucia, że nadeszły dziwaczne czasy, kiedy lotnisko jest jednym z najprzyjemniejszych miejsc pod słońcem.

Próbował przypomnieć sobie źródło impulsu, który popchnął go do wyskoczenia przez okno łazienki, jak gdyby ktoś puścił od tyłu jedną z piosenek Paula, tę o fance, która wlaźła „po srebrnej łyżeczce” do jego domu. Drogę na Heathrow przebył jakimś dostawczakiem, którego kierowca, zaintrygowany przyjaznym machaniem podstarzałego hipisa, nie tylko zatrzymał się, ale nawet zmienił kurs, żeby porozmawiać „z kimś normalnym, co w tych czasach jest prawie niemożliwe”, jak to wyraził. Wysadził Lennona w okolicy lotniska i nawet nie domagał się autografu w wyrazie wdzięczności!

Anglik uśmiechnął się do niedawnego wspomnienia.

– Czy ja pana skądś nie znam? – Gruby Amerykanin z leżaka obok przełknął ostatni kęs hamburgera.

– Może mieszkamy na tej samej ulicy? – odpowiedział Lennon. – Od jakiegoś czasu jestem nowojorczykiem.

– Nie, nie, ja z Dallas w Teksasie. Nazywam się McQueen. – Amerykanin wyciągnął rękę. – Rob McQueen.

– Winston Lennon – odpowiedział Lennon, ściskając zatłuszczoną, olbrzymią dłoń.

– Był kiedyś taki Lennon, śpiewał i grał na gitarze, mój dziadek miał jego płyty. Może to jednak pan? Wiekiem by pan pasował.

– To pewnie mój brat, John. Zawsze się wygłupiał. – Anglik westchnął ciężko. – Kiedyś nawet postanowili założyć z chłopakami zespół. Pojechali do Londynu i tyle go widziałem. Zaczął pić alkohol i brać jakieś narkotyki, wszyscy się go strasznie wstydziliśmy. Czarna owca, wie pan.

– W rodzinie zawsze się taki znajdzie. Mój brat postanowił zbudować sobie samochód na ropę.

Płaci horrendalne podatki klimatyczne i co rusz jakieś mandaty, ale twierdzi, że Teksas od zawsze stał ropą i to wstyd, żeby wszyscy potulnie jeździli elektrykami. – McQueen zaczerwienił się oburzony. – Dwa razy już płaciłem za niego kaucję. Nie umie zbudować katalizatora spalin. Podobno nie da się cholerstwa wydrukować. Słowo daję, wprost nie mogę się doczekać powrotu do domu.

– To się chyba nie stanie zbyt prędko? – Lennon spojrział na widoczną przez przeszklony dach lotniska ciemną, gęstą chmurę. – Chociaż nie słyszałem, żeby w tych czasach samolotom przeszkadzały byle burzowe chmury.

– Podobno to nie są zwykłe burzowe chmury. – Amerykanin szepnął konfidencjonalnie, rozglądając się ostrożnie.

– Jest pan meteorologiem? – zapytał Lennon.

– Nie o to chodzi. Nie śledzi pan uli?

– Ostatnie dwa dni spędziłem raczej odizolowany od świata.

– To sporo pana ominęło! Ponoć ta chmura to dzieło naukowców, którzy znaleźli sposób na przenoszenie przedmiotów z vivo do naszego świata! To może być rewolucja! Oczywiście trzeba wiedzieć, gdzie szukać takich rewelacji. Doniesienia oficjalnych agencji mówią wyłącznie o anomalii pogodowej, a smoka z Drumloftu wydrukowano według nich na zwykłej drukarce do tkanek, tylko w skali makro. Bzdura!

Głos McQueena cichł stopniowo aż do ledwo słyszalnego szeptu i tylko ostatnie słowo Amerykanin wypuł z całą siłą razem z fontanną kropelek śliny.

– O eksplozji w willi w Greenwich też pan nie słyszał? – powrócił do szeptu coraz bardziej podniecony. – Trzymali tam wątrobę tego smoka, wykradzioną policji jak bandzie przedszkolaków. Służby zupełnie zlekceważyły zagrożenie albo to było komuś na rękę! Kto wie, może to wcale nie robota niezależnych naukowców, wie pan, jak Trudio albo Braxton, ale właśnie prowokacja, żeby mieć na kogo zrzucić winę za ewentualne problemy i zdyskredytować niezależną od korporacyjnych grantów naukę!

Lennon słuchał tego wszystkiego jednym uchem, bo nie dość, że nic nowego McQueen nie mówił, to jeszcze trudno było uwierzyć, że można tak bardzo ekscytować się zdarzeniami rozgrywającymi się w wyimaginowanym świecie. Pamiętał telewizyjne seriale, o których ciotki rozmawiały chętniej niż o prawdziwych, ważnych sprawach, i nastolatki płaczące po filmowych bohaterach, ale dorosłych facetów, pasjonatów silników rakietowych czy nowych smaków piwa, nie podejrzewał o taki rozbrat z rzeczywistością. No trudno, on sam też nie nadążał za światem i często marzył o tym, czego nigdy być nie mogło, zamiast zajmować się praktycznymi, rzeczywistymi problemami.

– Niech pan spojrzysz sam. – Amerykanin podetknął mu pod nos rozwiniętą gazetę i wyświetlił artykuł o krzykliwym tytule „Trzy ofiary śmiertelne wybuchu w Greenwich. Mężczyzna walczy o życie w kadzi regeneracyjnej”. – Chce pan posłuchać? To żadne podziemie, ale można im ufać. Nie wierzą w transfer z Drumloftu, ale przynajmniej nie twierdzą, że wszystko jest jasne.

Lennon zerknął na nazwę: „The London Times”. Jak w mordę strzelił, najstarsza angielska gazeta. O ile ich też jeszcze nie wykupił Disney, odróżniali zapewne fantazję od rzeczywistości. Skonfundowany wziął gazetę w dłonie i powiększył fotografie ofiar.

Nie mogło być mowy o pomyłce. Rodman, Zoe i ktoś jeszcze.

– Wszystko w porządku, panie Lennon? To ktoś bliski?

– Trochę go znałem, tego tutaj. – Wskazał Rodmana.

– To Australijczyk. Niestety, na swoje nieszczęście przyleciał tu przedwczoraj z Sydney i przez

zupełny przypadek znalazł się w niewłaściwym czasie w naprawdę niewłaściwym miejscu. Ten czwarty to Odolsky, niezależny naukowiec. Poparzenia czwartego stopnia, z tydzień będzie się moczył w kadzi. Podziwiam faceta i jednocześnie nie mogę zrozumieć, bo rzeczywiście kupę kasy wkłada w swoje badania, ale narażać nas wszystkich na takie ryzyko to takie cholernie nieodpowiedzialne! Ale to Rosjanin, trudno się dziwić – oni myślą wyłącznie o sobie, mają to we krwi, tak jak Amerykanie przedsiębiorczość odziedziczoną po Niemcach i Holendrach, a Anglicy łupiestwo, dziedzictwo ich normandzkich przodków.

– W pełni się zgadzam z pana przenikliwą diagnozą, a teraz będę musiał przeprosić. Od tych wszystkich rewelacji zachciało mi się palić. Muszę poszukać saloniku. – Lennon podniósł się z leżaka.

– A jednak poruszyło pana! – odparł McQueen i pochylił się niezgrabnie do przodu, usiłując dźwignąć potężne ciało.

– Proszę siedzieć, naprawdę. – Lennon powstrzymał go. – Miło było poznać.

Spojrzał na chmury kłębiące się nie tak znowu wysoko nad przeszklonym dachem i wzdrygnął się. Jakimś cudem czy może zbiegiem okoliczności z widza zmienił się w aktora, i to w najgorszym filmie, jaki mógłby mu przyjść do głowy.

– Ciekawe, co powie na to wszystko moja londyńska przyjaciółka – mruknął i sięgnął do kieszeni po telefon.

Tym razem nie miał najmniejszych problemów z połączeniem.

Niestety, Diana Whitmore nie mogła akurat rozmawiać, o czym poinformował z ubolewaniem jej asystent i zapytał, czy może przekazać swojej chlebodawczyni jakąś wiadomość.

Lennon rozłączył się bez słowa.

Potrzebował zapalić. Jak jasna cholera, potrzebował.



– Przepraszam, że przeszkadzam, ale pani Whitmore czeka pod drzwiami – odezwał się asystent, rozjaśniając nieco oświetlenie pokoju.

– Kto? – jęknął Bathory, rozbudzony. – A, Whitmore. Jasne. Wpuść ją, powiedz, że zaraz przyjdę, i przygotuj mi ten twój w-mig-ogarniający prysznic, sam wiesz który.

– Oczywiście, proszę pana.

Kiedy pachnący mentolem i lawendą Karol zszedł w grubym białym szlafroku do salonu, zastał Dianę Whitmore na fotelu przed drzwiami do ogrodu. Obejmowała się ramionami i kiwała delikatnie, jak ofiara wypadku komunikacyjnego pogrążona w głębokim szoku.

– On odszedł – szepnęła do odbicia impresaria w balkonowej szybie. – Wszedł do łazienki, a kiedy po godzinie czekania włamałam się do środka, znalazłam tylko otwarte okno. Ani śladu Johna, ani choćby srebrnej łyżeczki.

– Przygotuj też coś dla panny Whitmore. Na uspokojenie – polecił asystentowi Bathory.

– Jestem spokojna! – wrzasnęła Diana. – Nigdy nie zrozumiesz kobiety! Nie wiesz, co to miłość. Nie wiesz, co to rozpacz! Nie wiesz, co to znaczy spełnić marzenia i na powrót wszystko utracić!

– Znajdziemy go – powiedział drętwo Bathory. – Zobaczysz. Zajmę się tym.

– Już się zajęłam. I znalazłam – odpowiedziała, powstrzymując szloch. – Jest na Heathrow, czeka na samolot do Nowego Jorku.

– To zabierzemy go stamtąd i wszystko będzie dobrze.

– Na Heathrow w tym drugim pieprzonym Londynie! – krzyknęła Diana i ukryła twarz w dłoniach.

– O żeż... – szepnęła, próbując nie okazać przepełniającej go radości. Wszystko działało się zgodnie z jego planem, choć jednocześnie oznaczało to, że Whitmore cały czas miała rację. Lennon naprawdę jakimś cudem wpadł do ich świata, a teraz, po nałożeniu zamówionego przez Bathorego więzu, wrócił do siebie.

– Właśnie miałam pytać o niego monitoring – zaszlochała – kiedy przyszła informacja, że moja Diana w drugim Londynie właśnie dotarła do domu z całym tym pieprzonym rumiankiem. Odruchowo w nią weszłam, żeby spojrzeć, i zobaczyłam nieodebrane połączenie na jej telefonie. Od Johna, z jego komórki, która u nas nie działała. Natychmiast wynurzyłam się i sprawdziłam. Vivo już go widzi, znalazł się. Na Heathrow właśnie, po trzech dniach braku danych. On tu był, Karolu, naprawdę tu był. Wszedł z vivo i przyszedł do mnie. A teraz naprawdę wrócił tam. A jeśli ten cały pieprzony Redds nie kłamie, to John zaraz umrze.

– Czemu tak sądzisz? – zapytał Bathory.

– Czeka na samolot do Tokio, który na razie nie ma szans odlecieć. Wszystkie loty z Londynu są odwołane. Kolorowa kula, która przedtem wisiała nad domem moich sąsiadów, przemieściła się nad Heathrow, urosła i otoczyła się gęstą chmurą. Sprawdziłam, wszystko jest dokładnie tak, jak w tym całym Drumlocie. Za dwa dni to coś wybuchnie, a z Londynu zostanie tylko wielkie szklane lodowisko.

Nie mógł nie przyznać jej racji. Przeniesienie Lennona, bo trudno już było zaprzeczać, że to naprawdę on, sugerowało, że również i wybuch wchodzi w grę. Musiał jej pomóc, choć akurat odwołać muzyka z powrotem nie był w stanie. „Byłoby najłatwiej, ale przecież nie nałożę więzów na mój własny świat. To nie cholerne vivo!”, pomyślał. „Najwyżej zmontujemy drugiego od nowa, gdyby tam naprawdę wszystko wyparowało”.

– Tam, w Drumlofcie, nazywałam się Doris i byłam koszmarnie chuda – powiedziała cicho Diana. – John był jakimś karłem. A jednak to było najśłodsze uczucie, jakie pamiętam. Byłam z nim, zupełnie sama, i do tego bez tych wszystkich cholernych problemów. Ten klasztor to był koszmar, ale wszystko przedtem: bajka. Chciałabym, żeby to wróciło, ale...

Głos Diany załamał się.

– Połącz mnie z Reddsem. Bez wizji – polecił Bathory i westchnął ciężko. – I pożycz dwadzieścia tysięcy na trzy miesiące. To będzie bardzo ciasny węzeł. Cholernie ciasny. Możesz pod obligacje.

– Deklarowany cel?

– Coś banalnego. „Wskrzeszenie Voigta van Drumle’a” nie byłoby dobrym pomysłem.

– Może „Badania i rozwój”?

– Wspaniale. Nawet whisky da się pod to podciągnąć.

Diana zaszlochała, a Bathory z trudem powstrzymał się od podejścia bliżej i pogłaskania jej po włosach. Zapewne nie wiedział, jak bardzo tego potrzebowała.

– Ktoś tu nie pije alkoholu i innych napojów przyspieszających starzenie – stwierdził w ani trochę niemym zachwycie Alfred Ulver na widok okazałego biustu Lizy Trommer, który wprost wyskoczył ze staromodnego gorsetu, rozdartego przez psychiatrę na pół jednym silnym szarpnięciem. – I nie pali tytoniu. Taka piękna młoda skóra. Takie piękne młode cycki! Któż by się tego spodziewał po starszej pani?

Pacjentkę zaniósł na kanapę w salonie, żeby zejść z widoku wścibskim kamerom monitoringu. Dotąd zarejestrowały wyłącznie mdlejącą kobietę, którą doskonale wyszkolony medyk ułożył na podłodze w pozycji bezpiecznej, a potem, kiedy przekonał się, że jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, przeniósł w inne miejsce, przypadkiem nieobjęte monitoringiem.

Pótleżała teraz z podciągniętym wysoko dołem sukni, ukazującym obciśnięte modelującymi pończochami uda, których obwodu zawsze tak się wstydziła. Zdawała sobie sprawę, że znajduje się w gabinecie psychiatry, jednak nie pamiętała jego nazwiska ani powodu, dla którego zdecydowała się tu przyjść. Do tego z niezrozumiałych przyczyn nie przeszkadzało jej w ogóle, że lekarz liże gorącym, szorstkim językiem niezastłoniętą pończochami skórę tych właśnie grubych ud. Jego palce wędrowały nerwowo po obnażonych dopiero co piersiach, z wyraźnie wyczuwalną fascynacją powracając co chwilę do brodawek, które tężyły do zaskakujących samą Lizę rozmiarów. Terapia, jaką jej zafundował psychiatra, zdawała się co najmniej przyjemna.

Alfred Ulver wycofał dłonie z hipnotyzująco młodzieńczych i zaskakująco żywiołowo reagujących na dotyk piersi krawcowej.

– Dormaston to najlepszy wynalazek na świecie od czasu wynalezienia depilatora – szepnął i odsunął na bok najbardziej odpychająco niekształtne majtki, jakie w życiu widział, nie licząc specjalistycznych vivo dla miłośników otyłości, które niegdyś zwiedzał.

– Którego szanowna pani nie używa – dodał, nawet nieprzesadnie zaskoczony – co jest odpychające i intrygujące zarazem. Czyżby jakaś fobia? Ukryte marzenie o perwersji? A może raczej zaproszenie do wspólnej zabawy?

Lubieżny chichot, który mu odpowiedział, wydał się bardzo obiecujący.

– Czy możesz dla mnie rozsunąć swe tłuste labia majora? Nie chciałbym pobrudzić sobie rąk, a wydzielina twojej vulvae jest teraz chyba wszędzie. Czyżbym był twoim wymarzoną mężczyzną?

– Jakiej lajba ma pan na myśli, profesorze? – spytała tonem modelki, która zorientowała się, że bogaty malarz, który ją wynajął, nie umie nawet trzymać pędzla, jest za to wspaniale umięśniony i hojnie obdarowany przez naturę.

– Wargi sromowe większe, cielaczkę. Cipkę, muszelkę, nazwij to jak chcesz. Chcę rzucić fachowym okiem na stan twojego kwiatu dziewiczego.

Liza prychnęła, posyłając w powietrze kropelki śliny, i sięgnęła obydwoma rękami między uda, ukazując Ulverowi całe sześćdziesięcioletnie piękno najintymniejszych szczegółów swojej anatomii.

– Jakież wspaniałe labia minora, wydatne i wzdęte niczym kalafior lub może nawet brokuł! –

rozculił się Ulver, przesuwając gumowanym czubkiem swojego posrebrzanego wskaźnika anatomicznego po ciele pacjentki. Po kwiecie nie było już śladu, ale nie liczył na niego przesadnie. W końcu nawet krawcowe miewają kochanków. – Jakaż masywna clitoris, obła i napęczniała! To permanentne czy też w reakcji na moje wdzięki?

Jedyną odpowiedzią Lizy było spazmatyczne westchnienie.

– Pozwolisz, że zinterpretuję tę lakoniczną wypowiedź w zgodzie z moim skromnym o sobie mniemaniem. Teraz zaś dla formalności zapytam o zgodę na wywołanie u ciebie klasycznego climax oralis, którą to rozkosz zapamiętasz na resztę swojego życia. Gdybyś kiedykolwiek chciała ją powtórzyć z innym kochankiem, poproś go o zastosowanie tak zwanej stymulacji podciśnie...

Reszta słów Ulvera zmieniła się w niewyraźny bełkot, wymówił je bowiem, przyssawszy się całymi ustami do ciała ubezwłasnowolnionej dormastonem partnerki. Przez następne kilka minut, czy też może lat, wydawał odgłosy niejasno kojarzące jej się z należącą do ciotki z Kornwalii suką, gdy w czasie ciecarki myła się zapamiętała pod ogonem, co naraz Lizę śmieszyło i podniecało.

Świat za to zmienił się w drżącą wszystkimi barwami tęczy kulę, napęczniała do granic wytrzymałości. Miała właśnie wybuchnąć falą niebiańskiej rozkoszy, jednak Ulver odessał się i zaczerpnął głęboki, rozpaczliwy haust powietrza.

Zawiedziona Liza obserwowała, jak tęczowa kula kurczy się, czerniejąc i matowiejąc. Potem ujrzała gładko ogoloną, zaczerwienioną twarz. Zaskoczona, zacisnęła mocno oczy i w tej samej chwili poczuła gorące i twarde coś, jak przebija ją, chyba na wylot, a następnie porusza się w niej energicznie w tę i z powrotem.

Ktoś jęczał głośno i krzyczał na przemian, a czasem i naraz.

Burza kolorów powróciła tuż przed oczy Lizy, a następnie eksplodowała, szarpiąc i targając całym jej ciałem.

– Jezu słodki! – krzyczał Ulver, dociskając biodra do bioder Lizy. – Ja pierdołę! Kurwa twoja piękna mać!

Liza usiłowała przełknąć wysuszonym gardłem choć odrobinę śliny.

– Chcę jeszcze – wyszeptała, nie rozumiejąc zupełnie, czemu chce w ogóle, a tym bardziej czemu jeszcze więcej.

– Dostaniesz, grubasku. Nikomu cię nie oddam. Jesteś najśłodsza, najtłustszą kurewką, jaką kiedykolwiek miałem. Do tego nieziemsko mokrą! Na pewno się po prostu nie zsikałaś?

Stał nad nią, oddychając głęboko przez nos, i zastanawiał się nad słowami, które przed chwilą wypowiedział. Pan DamPracęEstecie z pewnością nie byłby zadowolony, gdyby Ulver nie wywiązał się z umowy. Może jeszcze przez jeden dzień dałoby się krawcową faszerować dormastonem, ale potem byłaby już wrakiem, niezdolnym nie tylko do orgazmu, ale nawet do przełykania płynów. Po co komu kochanka, której trzeba co chwila sprawdzać puls i podawać kroplówkę?

– No dobrze, skarbie. Czas się zbierać – westchnął, upewniając się, że zapis całego cielesnego aktu, jaki odbył przed chwilą z otyłą krawcową, bezpiecznie spoczywa w jego nadgarstniku. – Zanim zaczniesz rozumieć, co tu się działo. Mam nadzieję, że i bez tego gorsetu dasz radę dopiąć bluzkę.

– Spróbuję – mętym głosem odpowiedziała Liza, a Ulver rozpoznał drugą fazę działania dormastonu: bierne otępienie, w którym zachowana zostaje jeszcze zdolność wykonywania poleceń, ale odczuwanie przyjemności jest już zdecydowanie ograniczone. Podobnie jak bólu, zdziwienia czy zachwyty.

– Zapnij się i doprowadź do ładu. Musimy jakoś dojechać na miejsce, nie wzbudzając przy tym za dużo zainteresowania. Twój agent pewnie jeszcze śpi, ale nie włączaj go na razie. Ze mną, lekarzem, jesteś przecież bezpieczna.

– Muszę na chwilę do łazienki – oznajmiła bezradnym tonem, jak gdyby nie wiedziała, czemu musi.

– Nie widzę przeszkód – odpowiedział radośnie.

– Ale ja nie wiem, gdzie to jest. – Liza wygięła usta w podkówkę.

– Zielone drzwi tuż za tobą.

– Dziękuję – szepnęła zawstydzona. Obróciła się na pięcie i zniknęła w toalecie.

Po trzech minutach Ulver zaczął się niecierpliwić, po siedmiu niepokoić, po dziesięciu zaś wystraszony nacisnął klamkę. Ustąpiła. Liza spała na sedesie z głową opartą o ścianę. Odpychając szare wyszczuplające majtki leżały opuszczone między kostkami.

– Ciekaw jestem, czy chociaż zdążyłaś zrobić siku, tłuscioszku. A jeszcze bardziej, jak masz zamiar nie spać z motocykla. No, chyba że moje cudenka ma na ciebie jakiś patent. Wstajemy!

Ostatnie słowo krzyknął. Liza przebudziła się z głośnym chrapnięciem, a następnie, patrząc mu z niedowierzaniem prosto w oczy, zrobiła siku.

Ulver poczuł twardniejącą w spodniach erekcję, którą wywołało załatwianie przez krawcową tak niewinnej i intymnej potrzeby w jego obecności. Resztki poczucia odpowiedzialności oraz strach przed zemstą zleceniodawcy powstrzymały go jednak od dania upustu pobudzonemu na nowo pożądaniu.

Patrzył jeszcze, jak kobieta podciąga majtki i poprawia sukienkę, a potem wyszedł i przytrzymał jej drzwi.

– Gotowa do drogi, cipeńko? – zapytał, kiedy spojrzała pytająco, przestępując z nogi na nogę, jakby nie potrafiła bez wyraźnego polecenia zdecydować, co zrobić dalej. Dobrze, że chociaż oddychasz sama, pomyślał. – Chodźmy zatem. Pamiętasz, którędy do wyjścia?

Tym razem nie kłopotał się z makijażem. Nie zamierzał przecież zrobić niczego niezgodnego z prawem, jedynie podwieźć kobietę na spotkanie. To, czy tajemniczy pan DamPracęEstecie miał okazać się jej nowym kochankiem, partnerem czy może właścicielem, nie miało nic do rzeczy.

Kiedy zatrząskiwiał drzwi mieszkania, miał niewyraźne poczucie, że zamyka również pewien etap życia. „Już niedługo”, pomyślał, „stanę się kimś zupełnie, zupełnie innym. Zniknie problem dziur w mózgu i będę mógł do woli pieprzyć tłuste krawcowe, na zawsze jędrne, na zawsze młode i rozchichotane”.

Zjechali windą, panna Trommer uczepiona jego ramienia, on dumny i gładko uczesany.

Gdy tylko stanął w osłepiającym świetle kwietniowego wczesnego popołudnia, usłyszał dziewczęcy głos, znajomy w melodii, choć w barwie ani trochę. Dochodził z zaparkowanego na zakazie, tuż przy bramie, trójkołowego pojazdu przypominającego motocykl okryty krystalicznie przejrzystą, połyskliwą kopułą.

– Witaj, o piękny znajomy – zamruczał pojazd rozkosznie. – Jeśli szukasz transportu dla dwojga, chętnie udzielę ci kilku rad. I pomocy, jeśli zapragniesz. Jeśli mnie nie pamiętasz, podpowiem, że imię moje brzmi ZłaDziewczynaZLiberii.

Przez podziurawiony mózg psychiatry przesączyło się mgliste wspomnienie poprzedniego wieczoru i obietnica lojalności ze strony kogoś o podobnie niedorzecznym imieniu.

– Czy przysłała cię pan... – zaczął już pytać, ale ZłaDziewczynaZLiberii przerwała mu dyskretnym psyknięciem.

– Żadnych nazwisk oprócz mojego – dodała. – Niech pan posadzi znajomą na tylnym

siedzeniu, sam zaś usiądzie z przodu. Spolaryzujemy kopułkę i żaden trzmiel nie domyśli się, kto i dokąd podróżuje tak pięknym, niezwykłym wozem.

– Czy nasz wspólny znajomy wyznaczył już miejsce przekazania towaru? – spytał Ulver.

– Nie, czekał na pana sugestię. I dalej czeka. Preferuje pan jakieś konkretne miejsce?

– Niech no pomyślę. Może Heathrow? To ładna łączka. Pełno tam przyrody i dzikiego ptactwa.

– Niech tak będzie – odparła ZłaDziewczynaZLiberii. – Już pędzimy.

– Wspaniale! – Psychiatra zatarł ręce i chwycił coraz bardziej bezwładną Lizę za ramię, po czym bez większego trudu pokierował ją na tylne siedzenie i dopiął pas bezpieczeństwa.

– Gotowy na przejażdżkę? – zapytała ZłaDziewczynaZLiberii, gdy Ulver przypiął również siebie. Nie czekając na odpowiedź, gwałtownie przyspieszyła.

Psychiatra nie mógł tego widzieć, ale pojazd, którym jechali z Lizą, przypominał od frontu wyszczerzoną w złowieszczym uśmiechu ludzką czaszkę: szeroki, zupełnie niemotocyklowy grill układał się w wyraźnie zaznaczone, mocne zęby, jamy reflektorów zdawały się nozdrzami, zaś kości jarmowe kierownicy rozpościerały się szeroko pod oczodołami. Rozdęta, opalizująca tęczowo bania kopuły dopełniała wrażenia.

Alfredowi Ulverowi zdawało się, że motocykl podśpiewuje sobie, jednak nie mógł dosłuchać się słów piosenki. Było tam coś o demonie prędkości, autostradach i dobrej zabawie.

Liza Trommer chrapała z tyłu bardzo sugestywnie i zaraźliwie.

Zasnął, zanim jeszcze opuścili granice Wielkiego Londynu.

– Van Drumle powinien dziś rano pojawić się w Londynie – matowym głosem oświadczył Bathory.

Diana Whitmore i Erhard Redds siedzieli na fotelach w jego salonie, każde z filiżanką herbaty w ręce. Mac zadowolił się miejscem na półce nad kominkiem. Diana wpatrywała się w impresaria z wątlą nadzieją na jakiegokolwiek dobre wieści, Redds z wyczekującym, ani trochę nieskrywanym podnieceniem. Kot mył sobie pyszczek.

– Spotka się z panną Whitmore? – zapytał.

– Więzy określiłem w jej ogródku – odparł Bathory. – Tak było najtaniej, jeśli chcieliśmy mieć pewność, że się zobaczą.

– No nic. Musimy ją jakoś przygotować – westchnął Redds. – Co ona teraz robi?

– Maluje się. Wróciła niedawno z miasta ze smoczym rumiankiem – powiedziała Diana.

– Pan Bathory wspominał o pewnym ekscytującym spotkaniu, które towarzyszyło podjęciu przesyłki. – Redds zatarł ręce i uśmiechnął się. – Przyzna pan, że to niesamowity zbieg okoliczności: spotkać w centrum Londynu karamodliszkę i człowieka prosto z Drumloftu. Obstawiam diamenty przeciwko awokado, że to pan Humlain i Aldi Od.

– Mam dwa funty mocno dojrzałych awokado w lodówce, przynieść? – Bathory rzucił Reddsowi wyzywające spojrzenie. – Bredzi pan tak zapamiętałe, że już zacząłem planować inwestycje w kamienie szlachetne.

– Niestety, rzeczony diamenty są wyłącznie przysłowiowe. Wszystkie moje aktywa pracują na badania nad vivo w tamtym Londynie. Między innymi dlatego właśnie zależy mi tak bardzo na uratowaniu miasta.

– Skąd w Londynie mieliby wziąć się... – zaczął Bathory, zamilkł jednak, nie chcąc wdawać się w jałowe dyskusje.

– Jestem pewien, że przyniósł ich ten sam prąd, którym przybył tymianek – odpowiedział Redds. – O której van Drumle ma być na miejscu?

– W ciągu godziny. Może za półtorej, może za dwadzieścia minut – odparł Bathory, wpatrując się w ekran, który pokazywał zachodnie niebo oglądane z willi sobowtórki Diany. Gruba czarna chmura nad odległym o jakieś dwadzieścia kilometrów Heathrow wyglądała jak ogromny przypalony omlet, który ktoś ekwilibrystycznie usadził na olbrzymiej perle. Z tej odległości nie można było dostrzec pulsowania ani opalizujących błysków, które tak wyraźnie ukazywały relacje nadawane w każdym brytyjskim ulu i w większości światowych także. – Aż dziwne, że nie ma tam jeszcze żadnych reporterów.

– Gdzie? – spytała Diana zdziwiona. – Tysiące trzymeli ci nie starczą?

– Pod pani willą – wyjaśnił Redds. – Ktoś musiał już skojarzyć wyczyn pani sobowtóra z niedalekim wybuchem i spotkaniem z karamodliszką, która jest, że tak to ujmę, endemitem Drumloftu.

– Co to znaczy?

– Że w Londynie na szczęście ten gatunek nie występuje – odparł Redds. – Upraszczać.

– Przecenia pan ksenofobię Brytyjczyków – wtrącił się Bathory. – Myślę, że w Londynie nikt nie zwróci na tych dwoje uwagi, skądkolwiek przybyli. Pełno tu cudaków ubranych jak troglodyci: z Pakistanu, Polski czy Szkocji. Punki całymi stadami latają na motocyklach jak małpy z krainy Oz i wszyscy dawno już do nich przywykli. A cała ta karamodliszka wygląda z daleka jak przesadnie odpicowany motocykl, musi pan przyznać.

– Gorzej, jeśli ktoś przyjrzał się jej z bliska. Ten rejon jest naprawdę bacznie obserwowany przez tropicieli sensacji. Pojawienie się pod domem panny Whitmore wyznawców transferu z Drumloftu jest wyłącznie kwestią czasu. Zwłaszcza jeśli na domiar wszystkiego zajedzie tam również van Drumle.

– Twierdzi pan, że źle wybrałem miejsce spotkania? – zapytał Bathory, jednak Redds nie podjął wyzwania, tylko znów podniósł ręce w swym ulubionym ugodowym geście.

– Panno Whitmore, czy zdążyła pani w jakikolwiek sposób wprowadzić swojego sobowtóra w całą sprawę? Na przykład w czasie programowania manewru przejścia smoczego tymianku?

Diana pokręciła głową.

– Po prostu poleciła jej pani, żeby wzięła pęcherz i wróciła do domu? – zdziwił się Redds.

– Tak. Przez sen – odparła Whitmore i otarła chusteczką łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. – John kazał jej to zrobić, czasem organizuję tak niektóre sprawy.

Ostatnie słowa wypowiedziała, szlochając.

– A właśnie, co stało się z panem Lennonem? – Uniósłszy pytająco brwi, Redds spojrział Bathorego. Ten ze strapioną miną wzruszył ramionami i wykonał nieokreślony gest. – Przepraszam, nie było pytania.

– Spójrzcie! – rzuciła Diana nosowym głosem. – To oni!

Na ekranie pokazującym widok z jednej z ogrodowych kamer ukazali się Humlain i karamodliszka. Krasnolud zeskakiwał właśnie z siodła. Stanął na lekko ugiętych nogach i rozejrzał się bojaźliwie. Jakiś ptak z ochrony zainteresował się intruzem i przysiadł na gałęzi drzewa morelowego, obok którego wylądowała podejrzana para.

Chwilę później właścicielka domu wyjrzała nerwowo z okna sypialni.

– Cholera! – syknęła. – Musieli za mną lecieć.

– Mam wezwać policję? – zapytał jej asystent.

Redds pokręcił głową i oryginalna Whitmore posłusznie poleciła głośno: „Powiedz NIE”.

– Nie wzywaj – powiedziała Diana w oknie. – Póki nie spróbują wdrzeć się do domu, oczywiście.

Zeszła do salonu i uchyliła drzwi ogrodowe. Obszarpaniec wciąż rozglądał się ostrożnie, odwrócony plecami do swojego wielkiego, przesadnie odpicowanego motocykla, który nie tylko przypominał z tej odległości olbrzymiego karaczana z wielkimi szczypcami na froncie, ale do tego ostentacyjnie skubał przekwitające już nasturcje. Gdyby to naprawdę było żywe stworzenie, pomyślałaby, że jest naraz znudzone i nerwowe.

Ona sama nie była ani trochę znudzona, zaś „zaniepokojona” byłoby bardzo eufemistycznym określeniem paniki, która zaczęła w niej wzbierać na widok czegoś tak odrażającego jak gigantyczny karaluch. Jedynie angielska gościnność i nie do końca zrozumiały impuls gdzieś z głębi powstrzymały ją przed zaryglowaniem drzwi i ucieczką choćby kilka domów dalej, pod ochronę policjantów, którzy pilnowali pogorzelska.

– Niech się przywita – syknął Redds.

Diana skinęła głową.

– Dzień dobry – powiedziała jej sobowtórka w drugim Londynie, przelękając przerażenie. –



Jak się pan miewa?

Obszarpaniec drgnął wystraszony i zamarł.

– Bolał mnie ręce – odparł posłusznie z tym specjalnym wsiowym akcentem, który zapamiętała ze spotkania na ulicy. – I tyłek. Strasznieśmy długo lecieli.

– Co teraz? – zapytała Whitmore Redds. – Zaproponować im herbatę?

– Nie zrozumie. W Drumlofcie nie ma herbaty. Oni tam piją chyba wyłącznie piwo! – odparł Redds. – I wodę, jeśli muszą.

Tak, obrażenie go będzie najlepszym wyjściem, pomyślała Diana. Facet sam się zorientuje, że jest niezadowolona z wizyty, i polecą sobie.

– Napije się pan wody? – zapytała.

– Chętnie byśmy – odparł karzeł ostrożnie. – Aldi mógł trochę wyschnąć, długo już leci.

– Pana motocykl nazywa się Aldi? – uprzejmie zapytała Diana, zastanawiając się, co każe jej rozmawiać z obcym zamiast poddać się przemożnemu pragnieniu ucieczki przez frontowe drzwi. Komu ja robię na złość? Sobie samej?

– To karamodliszka, psze pani. Lecieliśmy z Angeles Los i nagle bum! Pojawiła się ta wyspa.

– Z Los Angeles na motocyklu? – spytała Diana, szczerze zaintrygowana. – To nie lada wyczyn!

Obszarpaniec spojrzał błagalnie i zrozumiała, że naprawdę chce mu się pić.

– Proszę poczekać, przyniosę wody! – rzuciła i poszła do kuchni.

– Niech pani nie da jej uciec! – szepnął Redds. – Musi dać zioło van Drumle'owi! I najlepiej pomóc mu, jeśli będzie taka potrzeba i możliwość. Może niech Humlain ją przekona? Gdyby tak pozwolić mu opowiedzieć, czemu za nią leciał? Na pewno zaraz pojawi się kwestia pieczęci i pomysłu przechwycenia pęcherza.

– John będzie mógł sam wszystko wytłumaczyć – stwierdziła Whitmore drewnianym głosem.

– Jak tylko przyjedzie z lotniska. Diana oddzwoniła i poprosiła, żeby przyjechał. Nie wiem, czy już się zorientował, że jest z powrotem...

Przerwała, zagapiona na ekran przedstawiający widok z okna domu jej sobowtórki. Na podjeździe zaparkowała właśnie taksówka z logo lotniska Heathrow. Wokół pojazdu w odległości nieco tylko większej niż wymagana prawem roило się od dronów, trzmieli i różnej innej drobnicy, zaś nienaturalny tłok na ulicy i wzdłuż doprowadzającego do niej kanału powietrznego sugerował, że w domu Diany Whitmore pojawi się za moment jakiś vivaro, popularny logger czy inny celebryta.

– To musi być on – stwierdził Redds, wpatrując się uważnie w ekran. Na obrazie z kamer ogrodowych widać było, jak Humlain i Od również zwracają się w kierunku podjazdu. Sobowtórka Diany zastygła z kubkiem w ręku, zapominając zupełnie o nurtującym ją jeszcze przed chwilą problemie dociągnięcia węża garażowego w pobliże motocykla.

– Co tam się dzieje? – zapytała sama siebie. Zaraz potem na widok mężczyzny, który wysiadł z taksówki, wydała przenikliwy pisk. – John! John!

Rzuciła kubek na ziemię i wybiegła do ogrodu w domowym, płaskim obuwiu, w którym z premedytacją nigdy by się swojemu ulubionemu artyście nie pokazała. Przebiegła obok obdartusa i jego motocykla, o włos mijając się z bramką, która pośpiesznie otworzyła się, aby przepuścić właścicielkę.

I choć pragnęła rzucić się gościowi na szyję i obsypać go pocałunkami, w ostatniej chwili stanęła, z trudem utrzymując równowagę.

– Kim pan jest, do cholery?! – wyrwało jej się na widok brodatej, pociągłej twarzy, która

spoglądała na nią w dół z kuriozalnej wysokości co najmniej siedmiu stóp.

– Voigt van Drumle, szalenie mi miło. Pani musi być ową Dianą Whitmore, o której tak wiele słyszałem od mojego towarzysza w czasie krótkiej podróży z lotniska.

Mężczyzna uklonił się szarmancko. Brakowało mu tylko kapelusza, którym mógłby zamieść trotuar. Zza jego pleców wysunął się sporo niższy John Lennon i wyciągnął do Diany ramiona, w które rzuciła się z głośnym westchnieniem ulgi.

Diana Whitmore siedząca obok Reddsa i Bathorego tylko przygryzła wargę. Powstrzymała się od wykrzyczenia, żeby obydwaj wyszli natychmiast, i zanurzenia się w vivo. Miała świadomość, że trzy dni później idylla mogłaby skończyć się wielkim wybuchem, o którym rozmawiali od kilku godzin. Kiedyś zapewne wzruszyłyby ramionami i czekała na odrestaurowanie Johna, willi i całej reszty swojego vivo. Teraz, po dwóch dniach spędzonych z ukochanym, miała poczucie, że jakimś cudem patrzy na zupełnie prawdziwy świat. I prawdziwego człowieka.

Redds nie odrywał wzroku od ekranu, na którym oprócz trójki głównych bohaterów wyraźnie było też widać unoszący się nad ich głowami sprawozdawczy plankton, w tle zaś barwny tłum, który powoli wylewał się z lądujących kolejno pojazdów.

– Tak jak przewidywałem, powrót van Drumle’a, gdziekolwiek przebywał, nie mógł ujść uwagi wielbicieli zarówno świata, który stworzył, jak i jego samego.

– I kogoś jeszcze – powiedział Bathory, wskazując na ekran przedstawiający karamodliszkę i krasnoluda. – Spójrzcie na tych dwóch!

Humlain klęczał, pochylając nisko głowę, owad zaś nerwowo przebierał odnóżami.

– To na widok tego drągala? – zapytał Bathory.

– Krasnolud zna jego twarz ze wszystkich monet – wyjaśnił Redds.

– A owad?

– Myślę, że ma to gdzieś, ale i tak jest podekscytowany całą tą wrzawą i krzątaniem.

– To nie ten cały van Drumle go stworzył?

– Nie. Wiele ras zostało stworzonych przez niezależnych architektów.

Bathory wzruszył ramionami, jak gdyby dopiero się zorientował, że tak naprawdę w ogóle go to nie interesuje. – Czy mogłaby się pani teraz wpiąć, byśmy mogli mieć pewność, że pani sobowtórka pomoże wszystkim dojść do porozumienia i ułożyć jakiś plan? – zapytał Redds.

Whitmore westchnęła, usiadła na fotelu i zażądała pełnego zanurzenia w swoją dublerkę.

Redds i Bathory spoczęli na kanapie i zapatrzyli się w ekrany.

Mac kichnął przez sen i zwinął się w ciaśniejszy kłębek.

– Dotarliśmy do celu, drodzy pasażerowie – oznajmiła ZłaDziewczynaZLiberii, zatrzymując się na rozległej łące. Niebo zasłaniała ciągnąca się aż po horyzont warstwa czarnych chmur, przez które z trudem przebijało się słabnące już popołudniowe słońce.

Alfred Ulver otworzył zaspane oczy i spróbował przypomnieć sobie, z jakiej to okazji dobrowolnie udał się na wycieczkę w dziką głąszkę. „Czyżby jakiś park tematyczny?”, zastanowił się. Dopiero rozglądając się w poszukiwaniu zarośli czy drzew, wśród których mogłoby się kryć wejście do hotelu, zauważył przypiętą pasami bezpieczeństwa, przebudzoną Lizę Trommer.

– Mogłem się spodziewać, że będziemy pierwsi – mruknął do siebie i zanucił Strangers in the Night. Nie pamiętał ani słowa oprócz początku refrenu, przeszedł więc od razu do końcowego „dubi dubi da” i, rozweselony głębokim brzmieniem swojego głosu, zamarkował stepowanie. „W tej gęstej trawie wyglądam pewnie raczej jakby chciało mi się siku”, pomyślał. „Zwłaszcza że naprawdę mi się chce”.

Przestał więc tańczyć, poprawił muchę, przekreślając nieco w czasie długiej jazdy, i odwrócił się plecami do pojazdu, aby opróżnić pęcherz moczowy.

– Cholera jasna! – szepnął. Przed nim, wysoko pod chmurami, wisiała olbrzymia, mieniąca się milionami kolorów kula. Rozjarzone, spienione kaskady światła spływały po pulsującej leniwie powierzchni. Ściekały burzliwymi strumieniami wzdłuż wąskiego, ruchliwego leja, który zdawał się uformowany z drobnych ciemnych ziaren. Docierając do ziemi, zmieniały się w roziskrzoną tęczową mgiełkę. – Wątróbcia!

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała zachrypniętym głosem Liza. Gorzki smak w ustach i zaskorupiałym gardle niepokoił ją równie mocno jak zupełny brak świadomości, gdzie się znajduje. I choć widziała przecież i słyszała, to czuła się bez tej wiedzy jak ślepa i głucha jednocześnie. Nie miała też pojęcia, która jest godzina ani – co było absolutnie dziewiczym uczuciem – co działo się z nią, zanim zapadła w sen, z którego dopiero co się ocknęła.

– To lotnisko Heathrow, panno Trommer – odpowiedział głosem młodej, mądrej kobiety pojazd, w którym siedziała. – Jego stepowiejąca część. Obszar niemal naturalnej przyrody o powierzchni ponad sześciu tysięcy mil kwadratowych.

Liza spróbowała wstać z wygodnego fotela, ale jej ruchy coś krępowало.

– Proszę poczekać, zwolnię pas. Profesor Ulver bardzo troskliwie dba o pani bezpieczeństwo. – W dziewczęcym głosie zdawała się pobrzmiwać słabo skrywana ironia. – Gotowe. Proszę jednak wstawać powoli i uważać na zawroty głowy.

– Nie miewam zawrotów głowy.

– Po dormastonie miewa je prawie każdy.

– Po czym? – zdziwiła się Liza, uniosła się do pionu i natychmiast opadła z powrotem. – Kłamałam. Kręci mi się w głowie.

– Proszę poczekać chwilę i spróbować jeszcze raz. Podać pani coś do picia? Nisza otwiera się w oparciu przedniego fotela, na wyciągnięcie ręki.

– Poproszę – jęknęła Liza, usiłując przetrzymać nudności, które zaatakowały ją razem z

zawrotami głowy. – Co ja tu robię?

– Przywiozłem tu panią na małe rendez-vous – rozległ się męski głos, który rozpoznała jako należący do profesora Ulvera. Rzeczywiście, pamiętała początek wizyty u niego. Jednak wyłącznie początek, poza tym już nic. – Nie ze mną oczywiście, ja jestem wyłącznie pani terapeutą.

– Nie przypominam sobie rozmowy o wyjeździe na łąkę.

– Niestety, zasłabła pani w moim gabinecie i zdecydowałem się zastosować najlepszą z możliwych metod leczenia, czyli pratoterapię właśnie! I oto najprawdziwsza łąka. Voilà!

– Pan Ulver przywiózł tu panią – powiedział motocykl – na spotkanie z niejakim panem DamPracęEstecie. Obiecał mu dostarczyć kobietę, z którą odbył wcześniej stosunek płciowy.

– Po co, na Boga? I co ja mam z tym wszystkim wspólnego? To mój psychiatra, nie kochanek.

– O ile mi wiadomo, w zaciszu swojego gabinetu nasz profesor poczęstował panią dawką dewolatora zwanego dormastonem. Następnie oddawał się czynnościom, które ani trochę nie przystoją członkowi Królewskiego Towarzystwa Medycznego. Formalnie zapytał panią o zgodę, trudno ją jednak nazwać w takich warunkach dobrowolną.

– Milcz, maszyno! Zaprzezań potwarzy! – krzyknął Ulver. – To jakiś absurd! Oszczerstwo! Skandal!

Liza przymknęła oczy. Nagle powróciło wspomnienie lekarza kłęczącego pomiędzy odsłoniętymi białymi udami, jej własnych dłoni ściskających piersi, a potem Ulvera w niej, krzyczącego z rozkoszy i zalewającego jej wnętrze gorącym, lepkiem płynem. Mdłości powróciły w jednej chwili, jeszcze silniejsze i niemożliwe do opanowania. Upadła na kolana i pozwoliła gorzkiej i kwaśnej zawartości przełyku popłynąć na trawę. Odpychający zapach wzmocnił tylko nudności i bolesne skurcze znów ścisnęły pusty już żołądek. Jęknęła z bólem i opadła na bok, resztką przytomności dbając, żeby nie upaść w to, co przed chwilą z niej wypłynęło.

– Jako lekarz może pomógłby pan panie Trommer? Wygląda na ofiarę szoku pourazowego. Pierwsze objawy właśnie wystąpiły, zaledwie trzy godziny po samej traumie. Chyba pan narozrabiał, panie Ulver. – Ironia, teraz już ani trochę nieskrywana, mieszała się w dziewczęcym głosie z obrzydzeniem i odrazą.

– Najpierw powiedz mi, kiedy przybędzie zleceniodawca. Nie wyglądał na kogoś, kto ma w zwyczaju spóźniać się na spotkania.

– Z partnerami biznesowymi z całą pewnością nie, ale podwykonawcy zawsze trzeba kazać chwilę poczekać. Inaczej nie czuje respektu – oznajmił męski, głęboki głos. Zdawał się dochodzić zza kępy niewysokich, gęstych krzaków. Ulver wysilił wzrok, nie dostrzegł jednak nikogo. – A pan czuje respekt?

Psychiatra nie odpowiedział. Zupełnie nie podobał mu się ton, jakim do niego mówiono, nie oczekiwał jednak po panu DamPracęEstecie dobrych manier. Czarna Giełda to nie City przecież, tylko zbiorowisko szumowin kryjących się za groteskowymi pseudonimami, które odczytane przez fachowca z miejsca zdradzały psychopatyczne skłonności swoich właścicieli.

Dlatego Alfred Ulver wziął głęboki oddech i przytaknął.

– Tak, panie DamPracęEstecie, czuję respekt. Jestem dobrze opłacanym podwykonawcą i nie mam zamiaru udawać nikogo innego.

– Wspaniale. Przelałem właśnie na kartę w pana kopercie pięćdziesiąt tysięcy euro i możemy pożegnać się w swoistym wzajemnym zrozumieniu.

– Jakie pięćdziesiąt tysięcy!?! – oburzył się Ulver. – Umówieni byliśmy na dwieście pięćdziesiąt.

– Po pierwsze za grubaskę, a nie wychudzoną krawcową. Po drugie, umawialiśmy się na wspaniałe wspomnienia, nie zaś na budzące wymioty wspomnienie gwałtu. Po trzecie zaś, moja

wydatna pomoc, bez której nie zdołałby pan nawet doprowadzić panny Trommer do metra, nie mówiąc już o dowiezieniu jej w jakiegokolwiek rozsądne miejsce, warta jest co najmniej drugie tyle, ile panu przelałem.

Twarz psychiatry wykrzywił grymas wściekłości przemieszanej z bezsilnością.

– Oszust! – krzyknął. – Prawdziwy mężczyzna wyszedłby przynajmniej na otwartą przestrzeń, a nie chował się po krzakach.

– Nigdzie się nie chowam, stoję tuż przed panem – odparł zdeorientowanemu Ulverowi pan DamPracęEstecie.

– Widzę wyłącznie zarzyganą krawcową i groteskowy motorek. Żadnego wypomadowanego handlarza ludźmi. – Słowa nie zabrzmiały tak hardo, jak by sobie Ulver życzył, ale i tak dodały mu trochę animuszu. – A jeśli nie ma pan zamiaru zapłacić mi tyle, na ile się umawialiśmy, zabieram grubaskę z powrotem, choćbym miał zapierdalać na piechotę do samego Londynu.

– Pięćdziesiąt tysięcy i ani centa więcej.

Ulver obrócił się w kierunku, z którego tym razem dochodził głos. Oprócz niewysokiej trawy nie było tam zupełnie nic. Pan DamPracęEstecie musiał chyba leżeć.

– To moja ostateczna oferta – kontynuował – i dobrze radzę nie szarżować. Moja szarża jest o wiele bardziej niebezpieczna.

– Niech mi pan tu nie grozi! – krzyczał Ulver. – Lotnisko czy środek miasta, wszędzie zabłąka się trzmiel. Poza tym moje soczewki wszystko nagrywają i nie usłoby panu na sucho nawet podeptanie mi butów! I wyłaż, kurwa, z trawy!

Czerwony na twarzy, z brodą mokrą od śliny, podbiegł do Lizy i poderwał ją na nogi jednym silnym szarpnięciem. Jęknęła z bólu.

– Idziemy, laluniu – warknął. – Wracamy do domu. Oszukano cię, tak samo jak i mnie.

Zaparła się nogami, przełamał jednak jej opór bez większego trudu, za to ze słodką satysfakcją wypłacanej właśnie w naturze nagrody za długie godziny spędzone na siłowni i londyńskich ścieżkach do biegania.

– Zostaw ją, Ulver – powiedział, tym razem wyraźnie zza motocykla, pan DamPracęEstecie. – Zrobiłeś jej już wystarczającą krzywdę.

– Pierwszy rzuć kamieniem, tchórze! – zadrwił psychiatra i ciągnąc za sobą niestawiającą już oporu, pojękującą tylko z bólu Lizę, ruszył do jedynej ścieżki wiodącej wprawdzie w gęsty las, ale z pewnością prowadzącej w końcu gdzieś w kierunku cywilizacji. – Przelej pełną kasę albo walcz o kobietę jak mężczyzna z mężczyzną.

– Nie jestem mężczyzną, głupcze – odpowiedział dziewczęcy głos pojazdu znanego Ulverowi do tej pory jako ZłaDziewczynaZLiberii. – I niestety nie mam rąk, żeby czymkolwiek w ciebie rzucać.

– Tanie sztuczki – prychnął Ulver, nie przestając iść. – Ja też mogę przemówić choćby i przez moją lodówkę do lekarstw.

– A umiesz lodówką uszkodzić czyjś stabilizator cyklu alfa? Albo spowodować w nim niezrozumiałą awarię, która pošle w mózg ampery zamiast mikroamperów? I zmieni spróchniałe resztki zawartości puszeki mózgowej w coś w rodzaju półkilowego jaja na twardo?

Ulver stanął w miejscu, nie puścił jednak ramienia Lizy.

– Skąd wiesz? – zapytał głosem, w którym nie było już tyle pewności siebie.

– Co takiego?

– O stabilizatorze. I dziurach.

– Ja wiem wszystko. Lub prawie wszystko. Wiem o twoich ubytkach w istocie białej i szarej,

wiem o śmierci Alfreda Ulvera bis w vivo zwanym Forever. Wiem nawet, kto go zabił. A teraz puść pannę Trommer.

– Po moim trupie! – wrzasnął, na nowo kipiący adrenaliną i świętym oburzeniem na kompletny brak dyskrecji, na którą wyłożył przecież taką kupę kasy!

– Mimo wszystko liczę na twój rozsądek i nie potraktuję tego jako zachęty do eutanazji.

Ulver wyciągnął w kierunku motocykla rękę z wyprostowanym środkowym palcem.

– Traktuj sobie, jak chcesz! – krzyknął przez plecy. – Za pięć dych twój właściciel może sobie na grubą co najwyżej popatrzeć!

– Jesteś pewien?

Ulver nie odpowiedział, tylko zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie. Nie zdążył jednak nawet postawić stopy z powrotem na ziemi, kiedy jego ciało wyprężyło się w groteskowo przesadzonej pozycji na baczność, potem zaś bezwładnie runęło na trawę. Kamery pojazdu nie zarejestrowały żadnych widowiskowych drgawek czy ślinotoków, żadnego krzyku bólu czy dłoni usiłujących uwolnić czaszkę ścisiskaną bólem niczym imadłem.

Skamieniała z przerażenia Liza Trommer wpatrywała się przez dłuższą chwilę w nieruchome ciało porywacza, a potem wybuchła płaczem.

– Nie mogę cię, skarbie, przytulić. Jak już wspomniałam, nie mam nawet rąk, nie mówiąc o ciele – powiedziała ZłaDziewczynaZLiberii, kiedy Liza przestała w końcu płakać i usiadła na trawie, oparta plecami o pojazd. – Mogę tylko spróbować naprawić trochę zła, które wyrządził ci człowiek zwany Alfredem Ulverem. Zacznę od sugestii, żebyś wzięła z niszy kubek z napojem, który ulży nieco twoim skołatanim nerwom. Swoim oprawcą możesz się nie przejmować. Zanim wróci do siebie, minie kilkanaście godzin.

Liza posłusznie wypila zawartość naczynia. Minutę później znowu spała.

Polaryzowana kopuła opadła, skrywając kobietę w swoim wnętrzu niczym twardy, przytulny kokon.

– Będę miała na niego oko, skarbie – szepnęła ZłaDziewczynaZLiberii.

Daleko, pod chmurami, połyskiwała barwna kula. Wyglądała na zadowoloną z siebie.

Wyglądała na całkiem szczęśliwą.

– Zdobyliście smoczy tymianek – ni to stwierdził, ni zapytał Voigt van Drumle, wpatrując się w płomień ogniska, które Diana Whitmore kazała rozpalić na tyłach ogrodu. To samo, za wykupioną jakoś zgodą służb porządkowych, zrobiły setki ludzi koczujących na ulicy, setki metrów w każdą stronę, a więc i przed stertą zgłiszczy, która jeszcze dwa dni wcześniej była pięknym domem Zoe Lobs, a także na łące ciągnącej się aż do parku Greenwich.

– Podniosłam go wczoraj z chodnika na Tottenham Court – odpowiedziała Whitmore, podając mu rybi pęcherz, który przyniosła przed chwilą z ogrodowego schowka. Umieściła go tam jako rzecz wyjątkowo brudną i zbyt śmierdzącą, żeby nadawała się do trzymania w pralni.

– Czyli prąd jednak istnieje! – stwierdził z satysfakcją van Drumle i uderzył dwa razy zaciśniętą pięścią w udo. Zaraz potem pociągnął długi łyk z trzymanej w drugiej ręce butelki i opróżniwszy ją do końca, rozejrzał się za śmietnikiem. Nie znalazł żadnego, cisnął więc butelkę prosto w ogień. – Aż trudno w to wszystko uwierzyć!

Dopiero trzask pękającego szkła przerwał dłuższą chwilę milczenia, wypełnioną dochodzącym z ulicy szumem setek ani trochę nieprzyciszonych rozmów.

– Najwygodniej byłoby po prostu nie uwierzyć, ale najnowszy londyński punkt orientacyjny – Lennon wskazał mieniącą się kolorowo tarczę, jaśniejącą nad odległym o kilka kilometrów Heathrow – nie pozostawia nam zbyt dużego wyboru. Ani czasu do namysłu.

– Jasne. – Van Drumle wyprostował się i poprawił czapkę bejsbolową, którą wydrukowała na jego życzenie Diana tuż przed rozpaleniem ogniska. – Pozwólcie, że streszczę to, czego zdołałem się dotąd dowiedzieć. Poprawcie mnie, jeśli coś pomyłę. Ciało Alskoppa znaleziono na ulicy Tottenham Court mniej więcej w tym samym miejscu, w którym Diana znalazła wczoraj pęcherz z tymiankiem ciśnięty do Morza Zachodniego przez Humlaina, który teraz siedzi tu obok. Wcześniej usiłowano przeprowadzić Rytuał Sublimacji, przerwany przez wybuch pożaru. John wspominał też, że widział w willi człowieka z charakterystycznym opatrunkiem w okolicach przepony, co sugerowałoby, że próbowano również złożenia ofiary z człowieka.

– Chyba drgnęła im ręka? – zapytał Lennon, nie wnikając szczegółowo w okoliczności spotkania z Zoe i Stanem. Sam jeszcze nie umiał do końca zaakceptować faktu przebywania w ciągu ostatnich dwóch dni w ciałach trzech istot, z których jedna już nie żyła, druga siedziała tuż obok, milcząc zacięcie, trzecia zaś, czyli właściwy on, wydawała się przenosić pomiędzy dwoma różnymi Londynami w zupełnie niedorzeczny, niezrozumiały sposób. Subtelnej różnicy pomiędzy Dianami Whitmore zamieszkującymi oba miasta nie umiał nawet wysłowić. Gdyby nie to, że od pięćdziesięciu lat nawet nie dotknął kwasu, wszystko najchętniej wyjaśniłbym ciągłym wlewem LSD z jakiejś niewidzialnej kroplówki.

– Nie, po prostu ofiara nie została przyjęta – wyjaśnił van Drumle. – Gdyby dusza zadowolila się śmiercią tamtego mężczyzny, nie doszłoby do tego, co dzieje się obecnie nad Heathrow, ani być może do pożaru. Możliwe, że i ja nie pojawiłbym się w Londynie. Tak czy inaczej tuż przed wybuchem pan Humlain przy pomocy Twardego Jaja Królowej Aldony Odkąd Śpi zebrał smoczy tymianek, mając nadzieję na przeprowadzenie rytuału Czterech Ziół.

– Czterech?! – jęknęła Diana. – Mamy tylko jedno!

– Pietruszki, szalwii, rozmarynu i tymianku – wyjaśnił van Drumle.

– Skąd weźmiemy resztę? – zapytał Lennon.

– Nie mam pojęcia – odparł van Drumle. – Organizator tamtej wyprawy spoczywa w kadzi, o ile mi wiadomo. Zanim się obudzi, będzie już za późno.

Na ulicy zapadła śmiertelna cisza, co oznaczało, że ponad ogniskiem krążyć muszą liczne trzmiele i muchy, transmitując treść narady wszystkim zainteresowanym.

– Pan stworzył ten świat, musi być jakiś sposób – szepnęła błagalnie Diana.

– Niestety, zrozumienie zasad, przygotowanie ekspedycji, a przede wszystkim założenie więzów będzie trwało – powiedział van Drumle.

– Co w takim razie zrobimy, mając tylko tymianek?

Mina Van Drumle’a wyglądała jak wielkie przeprosiny.

– Ja mam resztę.

Wszystkie twarze zwróciły się ku Humlainowi, który wstał, wyciągając przed siebie sakwę.

– Kupili żeśmy je na targu. Doris skombinowała rozmaryn w klasztorze – powiedział cicho. – Nie wiedziałam, co z nimi zrobić, bo sobie poszła.

– Tak mi się kojarzyło, że to on powinien je mieć – stwierdził Lennon do siebie. – Ale nie wydawał się chętny do rozmowy.

Jego słowa zagłuszyło westchnienie ulgi zarówno tych zasiadających przy ognisku w ogrodzie Diany, jak i kocujących za płotem.

– Wspaniale – stwierdził van Drumle i wziął zioła od Humlaina. – Uratowałeś nas. I to miasto.

Humlain pokłonił się tak nisko, jak tylko umiał, mamrocząc coś o zaszczycie.

– Nie musisz, naprawdę. Jestem tylko architektem – powiedział Holender.

– Można by nazwać zrządzeniem opatrności pana przybycie do Londynu dokładnie w takiej chwili – stwierdziła Diana, przysuwając się bliżej Lennona. Nie mogła się doczekać sposobności wypytania go o sen, w którym poprosił ją o podniesienie pęcherza, i wszystko, co tylko wie o tej dziwacznej sprawie, na razie jednak była przede wszystkim gospodynią dla najdziwniejszego zestawu gości, jacy kiedykolwiek zawitali nie tylko do jej domu, ale zapewne w tę okolicę.

– Rzeczywiście, to zaskakujący zbieg okoliczności – odpowiedział van Drumle. – Nie planowałem powrotu do Londynu, ale w tych okolicznościach nie wypada narzekać.

– Jak wygląda ten rytuał? Kojarzy mi się trochę z pizzą, a trochę z... – zaczął Lennon, lecz przerwał mu gromki krzyk zza ogrodzenia:

– Niech wszystkim powie! Jedyłą większą tajemnicą Drumloftu jest miejsce pobytu cyków żony burmistrza Angeles Los!

Rechot, który zatrzęsł ulicą, nie pozostawił wątpliwości, że towarzystwo zgromadzone wokół ognisk składało się niemal wyłącznie z miłośników świata, który stworzył van Drumle, oraz portera, którego zażywali nie tylko w czasie pobytu w ulubionej krainie.

– Przypomina mi to trochę atmosferę z Abbey Road – powiedział Lennon. – Zawsze kręciła się tam setka fanów. Kiedyś nawet wzięliśmy dwie dziewczyny z ulicy, żeby zrobiły chórek.

– Lizzie Bravo i Gayleen Pease – szepnęła Diana. – Bardzo im kiedyś zazdrościłam.

– Może rzeczywiście powinienem powiedzieć wszystkim, zwłaszcza że będziemy potrzebowali trochę rąk do pomocy – stwierdził van Drumle. – Czy może raczej gardeł.

– Burmistrzowa jest po prostu płaska jak szynkwias. Za to na temat rytuału Czterech Ziół teorii jest tyle, co mieszkańców Drumloftu. Albo i więcej – odezwał się Humlain. – Myślę, że



najwyższa pora zdradzić tajemnicę. Jak wielkie by nie było miasto, w którym się znajdujemy, zemsta Alskoppa nie pozostawi z niego kamienia na kamieniu. To najpotężniejszy smok, jaki kiedykolwiek żył.

Van Drumle wstał, wziął głęboki oddech i ruszył w kierunku bramy.

Aldi Od poderwał się ze swojego miejsca za plecami Humlaina i z niepokojącym szelestem podążył śladem twórcy Drumloftu niczym przerażający i śmiertelnie groźny strażnik. Sam krasnolud z ociąganiem wstał z wygodnego krzesła i razem z Lennonem i Dianą również podszedł do ogrodzenia.

Holendra przywitały gwizdy i wiwaty, które Lennonowi skojarzyły się jednoznacznie z występami jego zespołu na stadionach, Humlainowi zaś przywiodły na myśl krasnoludzkie zgromadzenia przed zbójceckimi wyprawami na sąsiednie plemię, niechybnie kończącymi się, nie licząc kilku gwałtów, wspólnym polowaniem na króliki, a następnie grillem.

– Witajcie! Dawno mnie tu nie było – oznajmił gromkim głosem van Drumle, kiedy już krzyki przycichły. – Na szczęście piwo dalej smakuje tak samo, a noce są równie zimne.

– Do rzeczy! Bo będzie... – krzyknął ktoś z tłumu, ucichł jednak, uciszony psykaniem i szturchnięciami.

– Racja, do rzeczy. Będę potrzebował waszej pomocy. Wszystkich was. Tych, którzy nie boją się, rzecz jasna, wejść na płytę lotniska i stanąć twarzą w twarz z duszą Alskoppa, ryzykując życiem w razie niepowodzenia rytuału Czterech Ziół. Trzymałem go dotąd w tajemnicy, nie chciałem bowiem narażać na szwank zasłużonego szacunku, jakim cieszą się w naszej ukochanej krainie smoki. Lęk przed nieopanowanym gniewem zawsze skutecznie odstraszał nas ich od prześladowania.

– Prześladować to można krasnoludy! – znów rozległ się okrzyk, tym razem skwitowany gromkim aplauzem zgromadzonych.

– To prawda – kontynuował van Drumle, gdy już śmiechy ucichły – smoki można co najwyżej drażnić albo prowokować. Tak czy inaczej, nadszedł moment, kiedy należy wybrać pomiędzy ważnym i ważniejszym, a groźbę śmierci kilkunastu milionów ludzi trudno nazwać błahostką. Ilu zatem nas by się nie zebrało, choćbym i sam miał tam pójść, zbierzemy się jutro rano na płycie lotniska Heathrow, tuż pod jądrem duszy Alskoppa, i zaśpiewamy pieśń Czterech Ziół. Ci z was, którzy zdecydują się mi towarzyszyć, powinni nauczyć się jej na pamięć, o ile jej jeszcze nie znają. Liczyć się będzie bowiem siła naszych głosów. I zapach czterech palonych świec.

– Cóż to za pieśń, mistrzu?! – dobiegł głos z tłumu. – Wrzuć ją do ula, możemy ćwiczyć choćby i całą noc.

– Już tam jest od dawna – przyciszonym nieco głosem odparł Holender. – I prawdopodobnie wszyscy ją znacie.

Diana nie mogła oprzeć się wrażeniu, że van Drumle zawstydział się, jak gdyby przyłapano go na popijaniu ginu z tonikiem.

– Art i Paul? – zapytał szeptem Lennon.

Van Drumle skinął głową.

– Dobra, śpiewamy. Zobaczymy, jak to przeżyją – szepnął Anglik i nabrał powietrza. – Na cztery. Raz, dwa, trzy, cztery!

*Are you going to Scarborough Fair?  
Parsley, sage, rosemary and thyme  
Remember me to one who lives there...<sup>5</sup>*

Zanim zdążył poczuć się idiotycznie, śpiewając balladę sentymentalną nawet bardziej niż Imagine, tłum wybuchł radosnym, drwiącym rechotem, który po niedługiej chwili przeszedł w poirytowane tupanie i gwizdy.

– Zwariowałaś, van Drumle? Może zaśpiewamy Mary Had a Little Lamb? – dobiegł ich wrzask, który przywrócił gawiedzi dobry humor. Ktoś zaintonował piosenkę, którą jeden po drugim podchwytywali zebrani. Po chwili cały tłum śpiewał już radośnie.

*Mary had a little lamb,*

*Its fleece was white as snow;*

*And everywhere that Mary went*

*The lamb was sure to go.*<sup>6</sup>

– To jest ten rytuał, serio? To znaczy Scarborough Fair? – zapytała Diana. – Bardzo mi się podoba. Strasznie lubię tę piosenkę. Choć spodziewałam się raczej czegoś bardziej... – zawahała się w poszukiwaniu właściwego słowa – energicznego?

– Myślałem, że każdy ją lubi. Właśnie dlatego ją wybrałem – szepnęła zrezygnowanym tonem van Drumle, odwracając się od ulicy. – Szkoda, że się myliłem i będziemy śpiewać tylko we trójkę. Może nie wystarczy. Z moich obliczeń wynikało, że na każde trzydzieści gramów wątroby powinien przypadać jeden śpiewający. Nic z tego nie będzie.

– Pod kloszem w domu Zoe widziałem naprawdę spory kawał mięsa, było tego ze dwieście funtów. Może i dwieście pięćdziesiąt – stwierdził Lennon, usiłując powstrzymać niepokój, który powracał z każdą myślą o tym, że jeszcze niedawno był z inną Dianą w innym świecie, a dom, o którym mówił, stał nietknięty.

– Czyli potrzebujemy jakichś czterystu gardeł – odezwała się po chwili Diana. – Prawda?

Van Drumle tylko pokiwał ponuro głową.

– Jeszcze jest czas, na pewno zbierzemy do pojutra cztery setki fanów Simona – stwierdził Lennon energicznie. – Muszą przecież...

Reszta jego słów utonęła w gromkich brawach, jakimi zebrani na ulicy nagrodzili siebie samych za udane wykonanie przedszkolnej piosenki.

– Fani Paula Simona nam nie pomogą, nawet gdybyś ty naprawdę zgromadził – powiedział smętnie Holender, siadając z powrotem przy ognisku. – Nie chodzi o samą piosenkę, ona tylko jednoczy, synchronizuje myśli. Ważne jest to, co myślą i czują śpiewający. I jak bardzo są przekonani o swojej mocy. Dusza smoka nie odbiera zmysłowych wrażeń. Tu, w materialnym świecie, jest tylko jej energia, potężna niszczycielska siła. Cztery setki dusz muszą przekazać jednoznaczny sygnał, że mimo całego szacunku należnemu Alskoppowi zdecydowane są stawić mu czoła. Stanie się tak, jeżeli energia się wyzwoli, a dusze uwolnią, wtedy ich siła przeważy tę smoczą. Wszystko to mogą czuć i przekazać wyłącznie ludzie, którzy spędzili w Drumlofcie miesiące albo lata i rozumieją, czym są smoki, czym jest siła, czym prawdziwe życie. To muszą być ci ludzie, którzy teraz siedzą za płotem.

Choć przygnębiony i zrezygnowany van Drumle mówił tak cicho, jakby tylko do siebie, zdawało się, że jego ostatnich słów słuchali wszyscy zgromadzeni zarówno w ogrodzie, jak i na ulicy. Tylko miarowe cykanie świerszczy konkurowało z jego głosem, a kiedy skończył, panująca wokół cisza była wyjątkowo wymowna.

– Mam wrażenie, że ich przekonałeś – szepnęła Diana.

Are you going to Scarborough Fair? – zanucił ktoś cicho z ulicy, zaraz jednak się poddał. Nikt się nie roześmiał ani nie gwizdał.

– Chyba musimy ich nauczyć słów. Inaczej nie będą brzmieć przekonująco. Jak przy śpiewaniu drugiej zwrotki hymnu w szkole – powiedział John. – Chętnie bym jednak najpierw się przespał, choćby i godzinę. Wyjątkowo długi ten dzień.

– Prześpijmy się wszyscy. Musimy mieć jutro choć trochę siły – zgodziła się Diana. – Pokażę panom sypialnię.

---

<sup>5</sup> *Jeśli jedziesz do Scarborough Fair/Pietruszka, szalwia, rozmaryn, tymianek/Tej, która tam mieszka, przypomnij mnie (tłum. autor)*

<sup>6</sup> *Miała Mary owieczkę małą /O runie białym jak śnieg/  
I wszędzie, gdziekolwiek by szła/Baranek jej za nią też bieg (tłum. autor)†*

– Korzystając z okazji, że wszyscy tam słodko śpią, niech ktoś mi wytłumaczy, skąd się wzięło całe to towarzystwo w mojej posiadłości – powiedziała Diana Whitmore, patrząc na Reddsa i Bathorego. – Obdartus, megakarałuch, szurnięty Holender z tłumem wyznawców koczujących, dzięki Bogu, na ulicy? Do tego przyjechał taksówką razem z Johnem. Jakim cudem? Znają się z poprzedniego życia? Albo krócej: co tam się w ogóle dzieje?

„Przynajmniej wyrwała się z tej swojej żaloby”, pomyślał Bathory.

– Zaczniemy od tego – powiedział po chwili namysłu Redds – że van Drumle dziesięć lat temu popełnił samobójstwo w klasycznym rzymskim stylu: podcinając sobie żyły w ciepłej wodzie. Nie wiadomo nic o tym, żeby jego nazwisko wystawiono na jakiegokolwiek tablicy na agorze, dlatego wyjaśnienie oficjalne, przyjmowane przez większość drumologów, brzmi tak, że pragnął on względnie godnego zakończenia życia z serem zamiast mózgu.

Bathory wyrócił oczami, wzdychając głośno, Diana zaś kokieteryjnie zatrzepotała rękami. Zdezorientowany Redds przerwał wywód i z półotwartymi ustami przyglądał się obojgu.

– Serem zamiast mózgu? – podpowiedziała mu Diana.

– Ach, to! – Redds zaczerwienił się. – Już tłumaczę. W normalnej procedurze pełnego skanu wykonywanego przy wgraniu umysłu do vivo w rodzaju Forever powstają w mózgu nieodwracalne, wcale liczne i ani trochę niepomijalne uszkodzenia, które narastają w miarę upływu czasu, prowadząc do licznych degeneracji. Efektem są zmiany osobowości, deficyty pamięci i świadomości, rozmaite psychozy, a także, co ciekawe, niezdolność do korzystania z vivo. Wśród patologów zjawisko znane jest pod żargonową nazwą mózgu ementalskiego z racji olbrzymich owalnych dziur, które powstają w istocie białej.

– Ależ panie Redds – oburzył się Bathory. – Przecież zaraz po wgraniu umysłu właściciel poddawany jest eutanazji! Jego mózg nie miewa okazji się zdegenerować!

Redds pokiwał energicznie głową.

– Oczywiście, oczywiście. Po pierwsze jednak, eutanazja jest wymogiem prawa, nie zaś fizycznym warunkiem udanej procedury. To najwygodniejsze rozwiązanie problemu dziedziczenia, osobowości prawnej sobowtóra i tak dalej. Pierwsze wgrania umysłu, jeszcze o statusie naukowych eksperymentów z udziałem osób terminalnie chorych, nie były ograniczane w ten sposób. Po drugie, ilość nielegalnych wgrań w samej Unii szacuje się na dwieście pięćdziesiąt rocznie. Na świecie w tysiącach. To wspaniały czarny rynek, bo i pokusa ogromna. Sobowtóry robocze, takie jak Diana pani Whitmore, wykonane na potrzeby vivo ze skanów MRX z pewnością nie osiągają tej zgodności z oryginałami, prowadząc w efekcie do znanych wszystkim ograniczeń.

– Chce pan powiedzieć, że van Drumle wgrał swój umysł i popełnił samobójstwo z powodu jakiejś psychozy? – Bathory podsumował przydługi wywód Reddsa. – Jestem zwolennikiem teorii, że Holender stworzył swój świat z powodu godnej co najmniej Tacyta czy lorda Shaftesbury tęsknoty za rajem utraconym. Dwa lata przed śmiercią potajemnie wgrał się do Drumloftu, aby mając bezpośredni i doskonały wgląd w tę krainę, poprawiać w niej różne drobne

niedociągnięcia i w efekcie stworzyć miejsce idealne.

– Tak idealne, że nie mógł wytrzymać w Londynie George’a VII i postanowił przenieść się do swojego rajcu? – zapytał Bathory, szczerząc zęby w sarkastycznym uśmiechu.

– Nie, nie – zaprotestował Redds. – Jak już mówiłem, dwa lata po transferze był już wrakiem człowieka. Jego mózg degenerował się w zastraszającym tempie, czego właściciel był zresztą świadom. Pod koniec życia głosił nawet teorię, że rzeszotowanie mózgowia po pełnym skanie spowodowane jest tak doskonałym transferem, że do vivo przenosi się nawet dusza skanowanej osoby.

– Rzeczywiście, wspominał pan o psychozach – stwierdził Bathory. – Co to ma wszystko wspólnego z pytaniem Diany?

– Zgaduję, że van Drumle został wessany prosto z Drumloftu dokładnie tak, jak wcześniej tu pojawił się pan Lennon – wyjaśnił niezrażony Redds. – O ile mi wiadomo, nałożone przez pana więzy wyraźnie wskazywały dom pani Whitmore jako miejsce, do którego Holender ma trafić. To tłumaczyłoby, dlaczego przyjechali razem: po prostu pani przyjaciel jechał taksówką dokładnie w to samo miejsce. Jestem pewien, że van Drumle nie zastanawiał się nawet, dokąd udać się dalej z lotniska. Po prostu dogadali się przypadkiem i pan Lennon zaproponował mu podwózkę do jedyne gościnnego domu, jaki znał.

– To może wie pan też, skąd wziął się tam John? – zapytała Diana z wyrazem szaleństwa w błękitnych oczach.

Spocony w jednej chwili Bathory otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, ale Redds go uprzedził.

– Ktoś musiał nałożyć więzy – stwierdził, patrząc tryumfalnie na pozostałą dwójkę.

– Kto taki? – spytała Diana. – I jakie więzy, do cholery? Mam serdecznie dość tego cholernego slangu! Więzy, dziury, prądy. Mam dość!

Wstała z fotela i wyszła z salonu z uniesionym wysoko podbródkiem.

Wróciła trzy minuty później, już spokojna.

– Co teraz będzie? – zapytała cicho, siadając z powrotem w fotelu. – John planował od samego rana uczyć wszystkich piosenki Simona i Garfunkela. Tej o tymianku. Pójdą na Heathrow?

– Sprowadziliśmy van Drumle’a, żeby wyjawiał szczegóły jedyne go pozostałego nam do dyspozycji rytuału pozwalającego na uniknięcie katastrofy.

– Która nie nastąpi, albowiem Londyn to nie Drumloft, a dusza smoka jest równie realna jak człowiecza – wtrącił Bathory.

– Na wypadek jednak gdyby miała nastąpić – ciągnął Redds, nie odwracając wzroku od oczu Diany – van Drumle i jego wyznawcy planują przekonać duszę smoka o swojej determinacji. O ile oczywiście wpuszczą ich na Heathrow.

– Nie wydaję na tę farsę ani centa więcej – zastrzegł się Bathory. – Muszę z czegoś żyć, kiedy wszystko wyjdzie na jaw i stracę resztki reputacji.

– Myślę, że wśród fanów Holendra znajdzie się wystarczająco dużo wpływowych osób. Znam co najmniej dziesięciu członków rady miasta, którzy są stałymi gośćmi w Drumlofcie.

Diana Whitmore pokiwała głową.

– Teraz muszę się przespać, co i panom doradzam. Jest już po jedenastej.

Bathory i Redds wstali, obydwaj zmieszani.

– To ja już wrócę do siebie, będziemy w kontakcie.

– Proszę przyjść rano. Najlepiej po ósmej. Dobranoc.

Przestała powstrzymywać łzy, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

Nie musiała nawet odtwarzać żadnej jego piosenki.  
Rozbrzmiewały w jej głowie od chwili, kiedy zrozumiała, że John przepadł. Wrócił do świata duchów.

*Every day when you wake up  
You're so glad that I'm real  
You could once just imagine  
Now our love's not a dream<sup>7</sup>*

Skryła twarz w dłoniach. Nigdy wcześniej nie tęskniła za Johnem tak jak teraz.  
Nigdy wcześniej nie czuła, jak bardzo go przy niej nie ma.

---

<sup>7</sup> *Kiedy budzisz się rano/Uśmiech na twarzy masz/Jestem z tobą, choć dotąd/Tylko ze snów mnie znasz (tłum. autor)*

– Co z profesorem Ulverem? – zapytała Liza, ocknąwszy się ze snu, w który zapadła po wypiciu napoju przygotowanego przez pojazd. – Trzeba mu pomóc.

– Leży tam, gdzie upadł. Nikt nie jest już w stanie mu pomóc. I tak od dłuższego czasu funkcjonował praktycznie jak zombie.

– Nie żyje?

– Żyje, ale jest nieprzytomny. Obudzi się dopiero rano.

– Nie rozumiem zupełnie, jak to możliwe. Był taki miły dla mnie, słuchał tak uważnie. A wcześniej, w czasie przymiarki, był taki kulturalny. Trochę zwariowany, ale bardzo miły starszy pan. – Oczy Lizy znów napełniły się łzami. – A potem to wszystko się stało. Tak strasznie mi wstyd.

– To nie twoja wina. Te kilka kropel duszy smoka, które wsiąkły w jego skórę, zmieniły go w potwora bez ludzkich uczuć, i to tym łatwiej, że jego dziurawy mózg nie był zdolny się przeciwstawić. Nie mogłam niestety ingerować w bieg zdarzeń. Wy, ludzie, macie tak wiele wolnej woli, że czasami tylko śmierć potrafi was powstrzymać przed wyrządzeniem zła.

– Kim jesteś?

– Na imię mam ZłaDziewczynaZLiberii.

– Nie jesteś po prostu motocyklem o dziwnym imieniu, prawda?

W milczeniu, które zapadło pośród drzew, nie dało się wyczuć zakłopotania czy próby znalezienia odpowiednio wymijającej odpowiedzi. To raczej sama cisza była odpowiedzią.

– Po co nas tu przywiozłaś? – Lizę dziwił spokój we własnym głosie. Jak gdyby nie miała pretensji o to, że nieprzytomną i bezwolną wywieziono ją w głąsę, gdzie mogła jej się stać dowolna krzywda, której śladów długo by jeszcze nie odkryto, jeśli w ogóle.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak mi się wydaje – szepnęła Liza i zamknęła oczy.

– Alfred Ulver potrzebował dużo pieniędzy, aby odtworzyć swojego sobowtóra zamordowanego w Londynie w Forever. Na Czarnej Giełdzie skontaktował się z dwojgiem zleceniodawców, którzy zaoferowali mu ponad pięćset tysięcy euro za wykonanie dwóch prostych zadań. Jednym z nich było podpalenie domu w Greenwich, drugim przywiezienie niejakiemu panu DamPracęEstecie kobiety, z którą wcześniej odbył stosunek seksualny.

Zszokowana Liza zaczerpnęła głęboko powietrza i otworzyła szeroko oczy.

– Sprzedał mnie? Zgwałcił?

– Żaden inny pomysł nie przyszedł mu do głowy. Stosunek seksualny i Alfred Ulver mieli się do siebie jak ogień i woda, używając ludzkich porównań. Podobnie było z pieniędzmi, dlatego musiał uciec się do przestępstw. Podał ci środek deprywacyjny, żebyś wyraziła zgodę na wszystko, co ci proponuje. Kiedy wychodziliście z gabinetu, skutki leku właśnie ustępowały.

– A ty? Jesteś jego motocyklem?

– Nie. Miałam przywieźć Ulvera i jego partnerkę na miejsce spotkania. Dlatego jesteśmy tu obydwie.

- Spotkania z kim?
- Ze zleceniodawcą.
- To z nim profesor rozmawiał, prawda? To musi być straszny człowiek. Miał dziwne imię.
- DamPracęEstecie – powiedziała ZłaDziewczynaZLiberii.
- Poszukasz? – poprosiła Liza asystenta.

Nie odpowiedział.

- Obudź się! – poleciła. Bez skutku.
- Czemu on nie działa? – zapytała naiwnie, jak gdyby ZłaDziewczynaZLiberii знаła odpowiedź na każde możliwe pytanie. – Mój asystent.
- Zapewne przez depriwator. Działa toksycznie na endoprotezy neurologiczne.
- Jest uszkodzony?
- Nie wiem, w jakim jest stanie. Różne rzeczy wiem, ale tego akurat nie.

Z każdą chwilą Liza czuła się w obecności maszyny coraz bardziej niczym dziecko przy nieskończone troskliwej i mądrej babci, cierpliwej i współczującej. Ludzkiej. Jak to możliwe, że mieszkając w pobliżu piętnastu milionów ludzi nie może z żadnym z nich nawiązać choćby przyjaźni, za to czuje się samotna, kiedy zostanie pozbawiona obecności bezcielesnego asystenta. Dlaczego bez oporów oddaje się pod opiekę motocyklowi i tęskni za gburowatym ojcem, który wolał popełnić samobójstwo niż żyć fantomowym życiem?

Wokół panowała cisza, wypełniona tylko brzęczącymi i szeleszczącymi odgłosami przygotowującej się do snu łąki. Ciemność zaczęła pochłaniać barwy traw i ziół. Zaskakujący spokój ogarnął Lizę, jakby od świata i jego wydumanych problemów odgradzała ją bariera chłodnego, wilgotnego mroku.

- Pytałaś o pana DamPracęEstecie – odezwała się łagodnym głosem ZłaDziewczynaZLiberii.
- To nie jest człowiek. Istota, ale z pewnością nie ludzka.
- Po co mu zatem kobieta?
- Sama nie wiem. Myślę, że z tęsknoty.
- Za żywym człowiekiem?
- Może raczej za uczuciami.
- Dlatego chciał kupić wspomnienie seksu? – spytała Liza po dłuższej chwili, w której próbowała wyobrazić sobie, jak to jest nie być człowiekiem, nie mieć ciała, ludzkich uczuć, marzeń i rozterek.
- Chciał się dowiedzieć, jak to jest kochać.
- Dlatego liczył na uczucia kobiety, tak?
- Tak – przyznał motocykl.

- Trochę to dziwne zatem, wybierać na wykonawcę tego zlecenia kogoś takiego jak Ulver. Kto mógłby kochać kogoś takiego?! – krzyknęła, przepelniona nagle wściekłością. Bolesnie wyraźnie mdlące wspomnienia wszystkiego, co robił z nią psychiatra, wypłynęły z głębin niepamięci i uderzyły z całą siłą. Szorstkie ręce znów dotykały jej brzucha i piersi, gorący, śliski język przesuwiał się po całym ciele, jej własne dłonie rozsuwały szeroko uda i zapraszały, wskazując obcemu mężczyźnie drogę prosto do miejsca, w którym nigdy nie powinny zagościć nawet jego myśli, nie mówiąc już o ciele. Próbowała zdrapać z siebie brudny dotyk lepkich palców, ale krew płynąca spod oranej paznokciami skóry nie oczyszczała i nie koila, paliła tylko jeszcze mocniej i goręcej, jakby nie chciała pozwolić jej zapomnieć. Liza palcami głęboko w przełyku usiłowała zmusić żołądek do pozbycia się choć odrobiny pogardy do świata i jej samej, jednak kwaśny sok parzący gardło przynosił tylko ból i świadomość, że niczego więcej od swojego ciała nie może



oczekiwać.

Padła w końcu wyczerpana na trawę, bez resztek sił i łez. Była już tylko wstydem i wstrętem do samej siebie. Chciała rozpaść się, zniknąć, wyparować. Nie dotykać i nie być dotykana, nie widzieć siebie, nie słyszeć swojego oddechu. Umrzeć i odzyskać spokój, nareszcie bez ciała, myśli i wspomnień.

– Naprawdę nie myślałem, że mogę doprowadzić do czegoś złego – odezwał się męski głos, który już wcześniej słyszała. – Wierzyłem, że to wyłącznie niemoralne, prosić ludzi o wyjawianie własnych wspomnień z intymnej bliskości, że trzeba im za to zapłacić, tłumiąc ich wstyd i wyrzuty sumienia.

– I wstręt – zdrętwiałymi, suchymi ustami szepnęła w mech Liza. Miała nadzieję, że kiedy jej koszmarne wspomnienia zostaną wreszcie wchłonięte i skonsumowane, nowy właściciel poczuje wszystko to, co ona. Że też będzie chciał wyłącznie zdechnąć, jak najszybciej i jak najbardziej. I że też nie będzie mógł.

Naraz chciała to wykrzyknąć i było jej wszystko jedno, bo co mogą zmienić złorzeczenia brudnego, odrażającego ciała?

Zamknęła wreszcie usta i wcisnęła twarz w trawę, zdecydowana wstrzymać powietrze tak długo, aż myśli odpłyną w ciemność, za horyzont. Narastający, gorący ból w piersiach wypełniał ją gorzką radością. Już tylko chwila, zaraz przestaniesz cierpieć.

Głęboki, spazmatyczny oddech, którego ciało zaczerpnęło zupełnie wbrew woli właścicielki, pozbawił ją resztek nadziei. Otworzyła oczy i wpatrzyła się w przejrzyste atramentowe niebo, rozbłyskujące pojedynczymi gwiazdami.

– Zrób mi to, co jemu – wyszeptała. – To w głowie, żebym już nic nie czuła. Weź sobie moje wspomnienia, ale potem zrób mi to, co jemu, błagam.

– Nic nie wezmę, Lizo – odpowiedział z ciemności mężczyzna. – Dowiedziałem się więcej, niż chciałem. Teraz mogę tylko spróbować naprawić zło.

– Ona śpi. – Głos Złej Dziewczyny z Liberii pełen był cieplej troski. – Podjadę bliżej, rozłożę daszek, włączę nawiew. Nic więcej nie mogę zrobić.

Kiedy ponad śpiącą w trawie Lizą rozpostarta została pomarańczowa markiza, skryta w ciemnościach polany Zła Dziewczyna z Liberii rozpoczęła kolejną przemianę. Nie zdecydowała się jeszcze na nową formę, ale imienia była już pewna. Od jutra nazywać się miała NicIchNieObchodzimy. To było naprawdę mocne, dojrzałe imię.

Zgodnie z obietnicą zawartą w przesłanym Dianie Whitmore anonimowym komunikacie brama awaryjna o numerze 203 w lotniskowym ogrodzeniu była szeroko otwarta. Na tej wysokości rozstąpił się też kordon policyjnych automatów, od dwóch dni wzmacniający ochronę tarczami i deferentami. Nieustannie testowały ją różne drobne ssaki, dla których uderzenia gumowych kul okazywały się równie śmiertelne jak śrut. Ich ciała spoczywały w trawie tam, gdzie upadły, większe drapieżniki gardziły bowiem padliną, kruki zaś i pokrewne ptaki były zbyt inteligentne, żeby dobrowolnie wystawiać się na ostrzał automatów. Dlatego oprócz połyskującego w powietrzu roju prasowych, policyjnych i naukowych matów najprzeróżniejszej wielkości i skomplikowania, wokół lotniska unosił się też coraz intensywniejszy fetor rozkładu.

Sama przyczyna całego zamieszania, barwna kula o promieniu co najmniej dwudziestu metrów, wisiała dobre dwieście stóp ponad płytą lotniska, spoczywając na grubej kolumnie, jakimś sposobem rozświetlonej wszystkimi kolorami i jednocześnie aksamitnie czarnej. Wszystko przykrywała gruba czarna chmura, rozciągająca się już niemal po horyzont.

– To jest ta dusza? – zapytał Lennon, wysiadając z taksówki. – Właściciel musiał mieć naprawdę rozdmuchane ego.

– W rzeczy samej. – Van Drumle pokiwał głową. – Rozmawiałem z Alskoppem wiele razy. Żaden smok, ani tym bardziej człowiek, nie miał więcej dumy i godności. I przekonania o własnej racji, czegokolwiek dotyczyłaby dyskusja.

– Czyli możemy mieć kłopoty z przekonaniem go, że wolelibyśmy nie zmieniać ukształtowania terenu południowo-wschodniej Anglii?

– Dusza Alskoppa to nie Alskopp – odpowiedział van Drumle. – Nie ma planów i zamierzeń, narządów zmysłów. To czyste uczucia. Musimy zmienić jej dumę w pokorę, a gniew w lęk. Wtedy powinno się udać.

– Co konkretnie? – zapytała Diana, która dotąd milczała, zahipnotyzowana widokiem.

– Tego niestety nie jestem pewien. W Drumlofcie przeprowadziłem taki rytuał dwukrotnie, daleko w górach. Sam.

– Bez chóru? – zdziwił się Lennon i chwycił gitarę, którą podała mu Whitmore.

– To były małe smoki. Wątłe dusze.

– I jak zareagowały?

– Zgasły. Wyparowały. Wyszły. Nie wiem, co konkretnie się z nimi działo. Kurczyły się powoli niczym zeschnięte jabłka. Dusza Phyge rozpadła się w szary pył, zaś Cortisa zmieniła się w coś małego i szarego, co spadło na ziemię. Kamyk albo ziarno, nie mam pojęcia. Nie potrafiłem tego znaleźć wśród skał.

– Jeśli to tam zmieni się w kamień, nie powinniśmy mieć kłopotu ze znalezieniem go – orzekł Lennon po chwili, powracając z niebytu, w którym przebywał, strojąc gitarę. – O ile zdążymy odskoczyć, rzecz jasna.

– Oby tak się stało – westchnął van Drumle. – Najpierw jednak musimy przeprowadzić całą ceremonię. Kiedy już wszyscy tu dotrą, chciałbym przedstawić im mój plan.

– Ma pan plan? Wspaniale! – Lennon uśmiechnął się szeroko. – Szczerze mówiąc, miałem dotąd wrażenie, że chcemy przeprowadzić tu coś w rodzaju kolejnej bitwy pod Hastings, takiej z bieganiem, uciekaniem i wielką improwizacją. No i śpiewaniem, rzecz jasna.

Van Drumle nie odezwał się.

– Jaki to plan? – zapytała Diana, wysiadając wreszcie z taksówki. – Chłodno tu!

Ta część szpiegowskiej i dziennikarskiej drobnicy, która dotąd jeszcze nie zebrała się nad stojącymi przy pojeździe ludźmi, na słowa Whitmore dołączyła do wiszącego ponad ich głowami roju.

– Będę potrzebował czterech osób, żeby stojąc tuż pod duszą, śpiewały Pieśń Czterech Ziół – rozpoczął van Drumle, oczyściwszy gardło. – Ja będę jedną z nich. Wy dwoje również tam będziecie, jak rozumiem. Liczyłem też na Humlaina. Zaraz powinien tu być, mieli podążać z Twardym Jajem naszym śladem. Podejdziemy bezpośrednio pod duszę Alskoppa. Tam rozłożę ołtarzyk i zacznę palić świece z czterema ziołami. Chór, jak to zgrabnie określił naszą kochaną zgraję pan Lennon, zbierze się w kręgu dokoła i będzie śpiewał Scarborough Fair tak długo, jak trzeba.

– Czyli? – zainteresowała się Diana.

– Nie wiem. – Van Drumle wzruszył bezradnie ramionami. – Cortis dał za wygraną po dwudziestu minutach, Phyge po czternastu godzinach.

– W takim razie będziemy potrzebowali wsparcia – stwierdził Lennon. – Nawet na meczach piłki nożnej Anglicy nie śpiewają dłużej niż godzinę bez piwa.

– Żadnego alkoholu! – krzyknął Holender z wyglądającym na absolutnie szczerze przerażeniem.

– Musimy być silni i pewni siebie, kipieć nienawiścią i przekonaniem, że to jest nasz ład!

– Obawiam się, że Scarborough Fair może nie być w stanie pobudzić tych uczuć, jest raczej łzawe – powiedział muzyk. – Już prędzej We Will Rock You, ale wszyscy znają tylko refren i znowu trzeba by się uczyć słów. Szkoda, że nie pomyśleliśmy o tym wcześniej.

Van Drumle zasępił się, a Diana Whitmore spojrzała na Lennona z głębokim smutkiem w oczach.

– Przegramy, tak? – szepnęła i wtuliła się mocno w Anglika, chowając twarz w jego ramieniu.

Nie odpowiedział, westchnął tylko i spojrzał na połyskującą kulę.

– A nie umiałbyś zaśpiewać Scarborough Fair tak jak We Will Rock You? – zapytała Whitmore, odsuwając się gwałtownie. – Pamiętam twoje The House of the Rising Sun, było sto razy lepsze niż Animalsów! Pełne energii i nienawiści. Tak jak trzeba.

– Byliśmy wtedy ostro nawaleni – odpowiedział Lennon, jakby to wszystko wyjaśniało. – I tylko się wygłupialiśmy.

– Tym razem będziesz umiał bez wspomagania, zobaczysz!

Twarz Diany, zaróżowiona nagle, kipiała entuzjazmem.

Jest naprawdę piękna, zdał sobie sprawę Lennon. Choć w jakiś sposób inna niż tamta, którą poznałem przedwczoraj. Delikatniejsza.

– Czy to już cały plan? – zapytał. – Nie omówiliśmy jeszcze kwestii ochrony przed kamieniem, który, jeśli dobrze zrozumiałem opis pańskiej roli, ma zamiar spaść wprost na ołtarzyk, kadzidło i cztery zioła.

– Jak tylko dostrzeżemy, że dusza Alskoppa reaguje zgodnie z oczekiwaniami, dołączę do reszty śpiewających – wyjaśnił Holender.

– A jeśli się nie powiedzie?

– Wtedy będziemy musieli, korzystając z pańskiej analogii, zastosować manewr Wilhelma

Zdobywcy. O ile dobrze pamiętam jego rolę w tamtej bitwie.

– Czyli upozorować ucieczkę? – spytał Lennon.

– To może źle pamiętam. Chodziło mi o prawdziwą ucieczkę.

– Tak zwany plan B? – wtrąciła niezmiennie uśmiechnięta Diana.

– Myślę, że panu van Drumle'owi chodzi raczej o to, żeby umrzeć plecami do smoka – odpowiedział Lennon. – O, leczę.

Rzeczywiście, jedna po drugiej zaczęły wokół lądować taksówki i inne, większe pojazdy. Wysiadający z nich pasażerowie witali się uniesionymi dłońmi, odkładali na trawę składane krzesła, kosze piknikowe i koce. Następnie zwracali wreszcie uwagę na kulę, zamierali z rozwartymi ustami i gapili się na nią. Kiedy już trochę przywykli do widoku, rozkładali leżaki oraz koce i rozchodzili się w poszukiwaniu chrustu.

Godzinę po tym jak Lennon, Diana i van Drumle przybyli na lotnisko, otaczał ich już jakiś tysiąc ludzi, wliczając dzieci. Wszyscy usiłowali rozniecić ogień bądź już grzali się przy niewielkich ogniskach.

– Prawie jak Hyde Park w niedzielę – stwierdził Lennon, rozglądając się.

– Tylko dzieci nie topią się w stawie – dodała Diana i zachichotała.

Van Drumle nie zwracał na nich uwagi. Sprawiał wrażenie zatroskanego.

– Ciekawe, gdzie podziewają się Humlain z Twardym Jajem Królowej Aldony Odkąd Śpi. Nie chciałbym, żeby się zgubili – powiedział w końcu. – A miałem nadzieję prowadzić pochód, jadąc na karamodliszce. To dodałoby nam trochę powagi.

– Mają trochę czasu. Tamci dopiero wyjęli kielbaski. – Lennon wskazał na ludzi przy ogniskach. – Jeśli nie mają zamiaru piec ziemniaków, za dwadzieścia minut powinni załatwić kwestie fizjologiczne.

Van Drumle spojrzał na niego uważnie.

– Chodziło mi o jedzenie, rzecz jasna. Głód potrafi dokuczać bardziej niż zwichnięta kostka, proszę mi wierzyć – wyjaśnił Anglik i spojrzał w niebo. – Chyba pana rydwan zajechał.

Rzeczywiście, Aldi Od opadł bezszelestnie na murawę i pokłonił się Holendrowi.

– Gdzie Humlain? – zapytał van Drumle. Wydawał się szczerze zaniepokojony.

– Zaniemogł – zaczął owad. – Chyba nie jest przyzwyczajony do tutejszego piwa. Zostawiłem go wróbelkom.

– Dopiero teraz do mnie dotarło, że wyglądał trochę jak zrobiony z piernika – stwierdził Lennon. – Ale i tak może się okazać, że spotkał go lepszy los niż nas.

Diana wyróciła oczami i sprzedała mu kuksańca.

– Zamówię mu taksówkę z prawdziwym szoferem – powiedziała. – Za pół godziny powinni tu być.

– Zawieziesz mnie do Alskoppa, Twarde Jajo Królowej Aldony Odkąd Śpi? – zapytał van Drumle.

– Oczywiście, panie. Musisz wyróżniać się z motłochu – odparła karamodliszka i ugięła usługnie przednie odnóża. Holender wspiął się ostrożnie na grzbiet owada i umościł się w siodle, kiwając z zadowoleniem głową.

– Najpierw powinniśmy zdradzić motłochowi plan bitwy – przypomniał Lennon. – Chyba że od razu przechodzimy do planu B?

– Skądże znowu. – Van Drumle rozejrzał się po polu i nachylił nad olbrzymim owadzim łbem. Aldi Od rozprostował skrzydła i machnął nimi kilka razy z głośnym łopotem. Zaraz potem przeszedł do brzęczącego furkotu i uniósłszy się na kilka stóp, wleciał pomiędzy ogniska, by

zatrzymać się nad splechietkiem trawy, jak gdyby specjalnie dla tego celu pozostawionym wolno.

– Jest van Drumle! Słuchajmy go! – rozległy się pojedyncze okrzyki.

– Drodzy przyjaciele! – zabrzmiał zaskakująco donośny głos Holendra. – Dziękuję za tak liczny odzew na moje wezwanie o pomoc w obronie ojczyzny!

– A jednak widzi siebie bardziej jako Harolda! – szepnął Lennon do Diany. – Nie jestem pewien, czy to dobra wróżba, biorąc pod uwagę, kto wygrał tamtą bitwę.

– Wasze gardła są najsilniejszą bronią, jaką mamy przeciwko wrogowi! Dlatego stańcie razem, otoczcie go ciasnym kręgiem! Niech zabrzmie wojenna pieśń! Ton nada jej bard nasz, wielmożny John Winston Lennon!

Anglik z zażenowaniem na twarzy uniósł wysoko gitarę, na co ludzie przy ogniskach odpowiedzieli anemicznymi brawami. Większość miała ręce zajęte kijkami do pieczenia.

– Pamiętajcie, aby nie cofać się nawet o krok, kiedy smocza dusza spróbuje przekonać was o swej przewadze. Bądźmy nieustraszeni jak smoki. Niech żyje Drumloft!

– Niech żyje! – odkrzyknął tłum i w pośpiechu zabrał się za spożywanie niedopieczonych w większości kiełbasek.

Czekając, aż ogniska zostaną prowizorycznie zagaszone, Van Drumle umocował składany ołtarz na bagażowej części siodła karamodliszki, a następnie polecił Aldiemu Od, aby ruszył powolnym lotem do celu.

Lennon i Diana podążyli za nim.

Wyraźnie dostrzegli drgnienie, które przebiegło nerwową falą przez kulę, kiedy Holender przekroczył granicę lotniska.

– Coś się stało – stwierdził Lennon.

– Co takiego? – zapytała Diana i obróciła się. – Och!

Od pozostałych oddzielała ich bariera policyjnych tarcz, które dotąd bez ruchu tkwiły rozmieszczone wzdłuż ogrodzenia. Byli sami: Lennon, Diana, Aldi Od i van Drumle.

Kula, jarząc się i pulsując rytmicznie, zdawała się złowieszczo uśmiechać.

Smok wpatrywał się w Lizę wylupiastymi, wilgotnymi oczami. Jarzyły się gorącym blaskiem złota, a w ich głębiach błyskały purpurowe iskry. Olbrzymi obły pysk ciasno opinała gładka trawiastozielona skóra, pokryta gęsto drobnymi kropelkami rosy.

– Pora wstać! – oznajmił śpiewnie wbrew powadze, którą emanowało jego oblicze. – Ktoś chciałby z tobą porozmawiać.

– Dzień dobry, Lizo – zabrzmiał znajomy głos. – Przepraszam za moją niedyspozycję. Na szczęście dzięki pomocy pani NicIchNieObchodzimy mogę znowu ci służyć.

– Dobrze cię mieć z powrotem, ale nie wiem, o kim mówisz – powiedziała Liza do asystenta schrypniętym, szorstkim głosem.

– NicIchNieObchodzimy to ja, motocykl, który wynajęto, żeby cię tu przywieźć – odezwał się smok i uchylił wysoko przejrzysty płat skóry brzucha. – Pozostaję do twojej dyspozycji, służąc zarówno umiejętnością bezpiecznego transportu osób i dóbr, jak i smakowitymi napojami z niszy, a także szerokim wachlarzem koneksji.

– Pamiętam motocykl. – Liza ziewnęła. – Chyba.

– Wykorzystałem twój sen, żeby doprowadzić cię do jako takiej równowagi emocjonalnej – oznajmił asystent. – Oczywiście nie modyfikowałem wspomnień, ale przynajmniej nie powinny na razie wpływać na twoją stabilność psychiczną.

Liza podparła się rękami, krzywiąc się. Gardło miała wyschnięte, a powieki paliły ją, jak gdyby przepłakała całą noc.

„A jednak nie obudziłam się”, pomyślała, wstając. „To dalej tamten koszmar, choć jakimś cudem już się nie boję”. Nie dalej jak pół kilometra od niej w niebo wznosiła się czarna wieża, którą wieńczyła kulista kopuła przypominająca bańkę mydlaną.

„Ten widok”, pomyślała Liza. „Wczoraj coś się stało”.

– Gdzie jestem? – spytała.

– Na terenie lotniska Heathrow. To dawny obszar zrzutu paliwa – odpowiedziała NicIchNieObchodzimy. – Napijesz się herbaty? Mam doskonałą english breakfast.

– Wołałabym... – zaczęła Liza, ale szelest za plecami zdławił jej oddech.

Obróciła powoli głowę.

Z gęstej trawy wyłonił się cień. Przybrał kształt wstającego z czworaków człowieka.

„Ulver”, zabrzmiało w jej głowie dziwaczne, nic nieznaczące słowo. „Ulver”.

– Co to „ulver”? – spytała drżącym głosem.

– Nie bój się, kochanie – szepnęła NicIchNieObchodzimy. – To tylko złe wspomnienie. Nic ci nie grozi.

„Ulver”, pomyślała Liza.

Stanął na zdrętwiałe we śnie nogi, po czym rzuciła się do niezdarnej ucieczki, potykając się i ślizgając na mokrej od rosy trawie.

Cień, ślaniając się na nogach, ominął motocykl i podążył jej śladem.

„Ulver”, szeptał ktoś w głowie Lizy. „Uciekaj, kochanie, to Ulver”.

Za jej plecami coś charczało i jęczało.

Płuca, nieprzywykłe do wysiłku większego niż spacer po parku, płonęły i krzyczały.

„Biegnij, kochanie, musisz”.

Coś złapało mocno jej kostkę i skręciło ją.

Niebo znikło, ustępując miejsca wysokim, grubym łądygom ziół.

„Ulver, Ulver, Ulver. Teraz cię dostanie. Ulver”.

Ubłocony lakierek opadł na czarną ziemię tuż przy jej twarzy. Zaciśnęła oczy, oczekując bólu, ten jednak nie nadszedł. Tylko kostka promieniowała pulsującym, narastającym gorącem.

Głowę Lizy wypełniała ogłuszająca cisza.

NicIchNieObchodzimy złożyła markizę noclegową, zamknęła pokrywę siedzenia i ruszyła, tocząc się powoli w kierunku kobiety.

– Zaraz cię stąd zabiorę, kochanie – szepnęła. – Już jesteś bezpieczna.

Ulver, ominąwszy Lizę, maszerował mechanicznym krokiem niezdarnego, prymitywnego automatu w kierunku wysokiej czarnej kolumny.

Diana obudziła się o dziewiątej. Pół nocy śniła o jakiejś Lizzy Whitmore, która biega po Londynie, szukając swojej krawcowej, żeby popłynąć z nią i jej psem w górę Tamizy łódką. Miasto było wyludnione, a kiedy Lizzy już na kogoś trafiała, okazywał się on ślepy i nie mógł jej pomóc. Na niebie świeciła olbrzymia kometa, rozrzucając wszędzie purpurowo-szkarłatne iskry i zasysając całe światło stojącego wysoko słońca. Ulice skąpane były w krwawej poświacie, która kojarzyła się raczej z perwersyjną księżycową pełnią niż środkiem dnia.

Przerażone serce trzepotało się, jak gdyby to Diana naprawdę całą noc biegała w panice po mieście.

– Podnieś zasłony! – poleciła.

Sypialnię zalało światło pogodnego poranka. Jasne i ciepłe. Zdecydowanie słoneczne.

Odetchnęła głęboko i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jest zdyszana i spocona.

– Spałam czy byłam w vivo? – zapytała na wszelki wypadek.

– Spałaś – potwierdził asystent. – Chcesz kawy?

– Poproszę. Gdzie jest Jo... – przerwała i przygryzła wargę, chyba żeby odwrócić swoją uwagę od większego bólu, który przebudził się w piersi. Przechyliła głowę, opierając policzek o ramię, i pogłaskała się po rękę tuż poniżej.

Tak jak John by to zrobił. Właśnie tak cię głaskał.

Tylko że kiedy to robił, łzy nie kapały ci na piersi. No chyba że tam, w taksówce, pierwszy raz. Płakałaś ze szczęścia. Jak na filmie, jak na cholernej, pieprzonej Casablance.

– Poranna kąpiel gotowa – oznajmił asystent.

– Chrzanić poranną kąpiel – warknęła Diana, ocierając oczy skrajem kołdry.

– Na dziesiątą jesteś umówiona z panem Reddsem.

– Chrzanić Reddsa! I Bathorego też, gdyby ci przyszło do głowy zapytać. Wyszedł w ogóle?

– Wyszedł – odparł asystent. – Czy przygotować zatem kawę w niszy sypialnianej? Tamta stoi gotowa w łazience, zgodnie z...

– Dobrze już, niech będzie – przerwała mu Diana. – Idę.

Nie wytrzymała w wannie nawet dwudziestu minut.

– Zadzwoń po Karola, kiedy zapowie się Redds! – poleciła asystentowi, gdy skończył suszenie.

– Właśnie podjeżdża.

– Który? – spytała nerwowo

– Pan Bathory.

– Jest sam?

– Tak.

Zdecydowała się na krótką czarną suknię z koronką na plecach i obcisłym frontem. Niech się trochę pogapi, pomyślała. Będzie mniej gadał.

– Wpuść go na dół. Muszę się ubrać. I zrób jakieś grzanki. Umieram z głodu.

– Dzisiejszy schemat przewiduje jaja... – zaproponował asystent.

– Grzanki! – warknęła. – I zapytaj też Bathorego, pewnie znowu jest na samym ginie.



Siedem minut później schodziła do salonu. Tak jak przypuszczała, Bathory nie potrafił się zdecydować, czy patrzeć na jej nogi, kołyszący się przy każdym kroku biust, czy – jak by wypadło – w oczy.

– Witaj, Karolu. Jadłeś śniadanie? Mogę zaoferować ci grzanki i herbatę.

– Poproszę – wybąkał spurpurowiały Bathory. – Wstałem dosłownie w ostatniej chwili.

– Nie umawialiśmy się aż tak precyzyjnie, ale miło mi, że się spieszyłeś. Jak tam najnowsze doniesienia z linii frontu?

Wyprostował się natychmiast, a na jego twarz powróciła profesjonalna powaga.

– O co chodzi? – zaniepokoiła się.

– Pokaż zestawienie zbiorcze z mojego portfolio „Drumloft Heathrow”, proszę – polecił w odpowiedzi jej asystentowi.

– Tutaj? – spytał asystent. – To niewymiarowa ściana.

– Trudno, będziemy przesuwac. Zależy mi na centrum.

Okna przyciemniły się i na przeciwległej wolnej ścianie pojawiła się mozaika obrazów, z których największy przedstawiał Lennona i Dianę trzymających się za ręce i spoglądających w kierunku wysokiego ogrodzenia. Za zamkniętą bramą zgromadził się tłum dziwacznie ubranych ludzi. Kojarzyli się Whitmore z obdartusem, który zaczepił jej sobowtórkę poprzedniego dnia na Tottenham Court Road. Od płotu oddzielał ich kordon policyjnych tarcz i wieżyczek, zaś na unoszącej się jakies trzy stopy nad ziemią platformie stała wysoka, chuda kobieta o absurdalnie szerokich biodrach. Po obu jej stronach unosiły się najeżone lufami i dyszami drony obronne.

– Ale ma wielką dupę! – skwitowała Diana. – Kto to? I co tam się dzieje?

– Jennifer Wren, komendantka policji, chwilowo kieruje ochroną lotniska. Od pasa w dół jest cyborgiem. Raczej nieprzyjemny widok, ale może właśnie o to chodzi. Dopiero co zamknęła bramę, przez którą zdążyli przejść van Drumle, John i twoja sobowtórka.

– Jak to zamknęła? Przecież wszyscy mieli wejść do środka i pomagać Johnowi! To miało być załatwione!

– Ano właśnie. Redds najwyraźniej zawalił. Wren kazała się rozejść, zgromadzenie jest nielegalne, policja może użyć dozwolonych prawem środków, i tak dalej, i tak dalej.

– Będą próbowali przeskoczyć płot? – zapytała Whitmore, usiłując nie poddać się narastającej panice. – John nie da sobie bez nich rady.

– Myślę, że boją się gumowych kul bardziej niż wybuchu smoczey duszy. Nie powinni byli pozwolić się rozdzielić, ale Holender chyba przecenił ich gorliwość i determinację. Tak czy inaczej, zajął się sprawami najważniejszymi.

Rzeczywiście, na pobocznym, mniejszym obrazie wyraźnie widoczny był van Drumle, który z sakwy przytroczonej do grzbietu modliszki wyjmował drobne przedmioty i stawiał je na czymś, co z daleka wyglądało jak biwakowy piecyk pomalowany na bialo. Wyżej unosił się rój trzmieli, które zapewne śledziły każdy jego ruch.

– Co on robi? – spytała Diana.

– Rozstawia przenośny ołtarz, jeśli wierzyć komentatorom. To rytuał z Drumloftu.

– A co z piosenką? Przecież bez niej to nie ma sensu. John sam... – Urwała, zdjeta strachem o Lennona. – Czemu on się nie cofnie?

– Podejrzewam, że obaj mają nadzieję, że swoją determinacją zachęcą tłum do przedarcia się przez barierę.

– Zrób z tym coś – warknęła Whitmore. Głos miała lodowaty. – Jeśli coś mu się stanie, zabiję cię. Dosłownie, to żadna przenośnia.

– Ale, Diano – jęknął Bathory – co miałbym zrobić?  
– Załóż te więzy czy jak się to nazywa. Żeby za cztery godziny był nad Kanałem, nie wiem. Cokolwiek. Potrzebuję go, rozumiesz?

„Kocham go”, dodała w myślach. „Kocham faceta z vivo, jak te wszystkie wariatki, z których śmieje się pół kraju. Tyle że one swojego faceta z bajki nie tuliły w prawdziwym łóżku”.

– To jest jakaś różnica, no nie?! – krzyknęła do Bathorego.

– Tak, tak! – zapewnił ją na wszelki wypadek, zupełnie zdezorientowany. – To różnica.

– Zrobisz coś czy będziesz się gapił, jak oni tam umierają? – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Właśnie złożyłam ci zlecenie.

– Ale, Diano... – jęknął znów Karol.

– Ale co?

– Tam nikt jeszcze nie ma zamiaru umierać, a węzeł i tak zadziała dopiero za parę godzin. Nie znajdują się nagle nad morzem. Gdyby w tym czasie naprawdę doszło do wybuchu, nic ich nie uratuje. Po prostu. Żadne więzy nie dają stuprocentowej gwarancji, a w tej sytuacji pewnie nawet i siedemdziesięcioprocentowej.

Whitmore zmierzyła go najeżonym sztyletami wzrokiem.

– Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz, ale i tak zrób to, co ci każe. Zrozumiano?

– Oczywiście, potrzebuję się tylko na chwilę zalogować do biura.

– Możesz nawet skorzystać z mojej łazienki, bylebyś to załatwił. A tam co się dzieje?

Na obrazie przedstawiającym z bliska zgromadzony przed ogrodzeniem tłum pojawiła się znajoma twarz.

– To ten obdartus od modliszki. Co on wyprawia? – zapytała Diana.

– Wygląda na to, że próbuje złapać tę Wren za kostkę – odpowiedział nieco bez sensu Bathory, wyraźnie bowiem widać to było na obrazie, który asystent powiększył tak, by zajmował całą ścianę. – Zdziwi się trochę, jak już dosięgnie.

– Chyba naprawdę jest z innego świata, jeśli uważa, że te dwa automaty pozwolą mu jej dotknąć.

Zanim skończyła mówić, dysze obydwu dronów skierowały się w kierunku Humlaina i wyrzuciły z siebie błękitną mgiełkę. Twarz krasnoluda wykrzywił grymas obrzydzenia, z jego ust zaś popłynęła barwna struga, ochlapując długą czarną suknię pani komendant.

– Kurwa! – krzyknęła policjantka odstręczającym, skrzekliwym głosem, unosząc poniewczasie połę sukni i ukazując tłumowi oraz połowie świata groteskowe mechaniczne kończyny. – Won stąd!

Na te słowa, niczym na rozkaz najbardziej charyzmatycznego przywódcy, tłum rzucił się do chaotycznej, beładnej ucieczki, tratując tych, którzy potknęli się o kamień czy poślizgnęli na jednym z ssaczyc trucheł. Trzy minuty później przy ogrodzeniu pozostali już tylko zemdlony Humlain, przy którym wylądował policyjny dron ambulatoryjny, oraz usiłująca doprowadzić do porządku swój strój stróż komendantka.

– No dobrze – powiedziała Diana, odrywając wreszcie wzrok od ekranu. – Jest już po jedenastej, a pana Reddsa nie widać.

– To tylko technik – odparł Bathory. – Gdyby przyszedł punktualnie, sam podniósłby wobec siebie wymagania.

– Wywołaj go i zapytaj, kiedy ma zamiar się pojawić – poleciła.

– Nie odpowiada – stwierdził asystent. – Mam powtórzyć?

– Nie. Mam niejasne przeczucie, że pana Reddsa zobaczymy dopiero wtedy, kiedy to my

będziemy mogli mu w czymś pomóc.

– Za mało już pomogliśmy? – oburzył się Bathory.

– Wręcz przeciwnie. Wystarczająco. Sam powiedział, że jest mu nie na rękę, żeby Londyn został zniszczony. Zapewne jest tam teraz całą duszą i robi, co może, żeby zająć się własnymi sprawami.

– Ciekawe w czym ciele, skoro jego postać regeneruje się właśnie w kadzi? – Karol sam sobie wydał się naiwny. – Choć w sumie „jego postać” to wyrażenie równie konkretne i jednoznaczne jak „jego spodnie”. Może mieć ich setki.

– Poczekajmy jeszcze pół godziny, a potem sprawdzimy, jeżeli się nie pojawi. Na pewno umiesz, prawda? – zaproponowała Diana. – W końcu ty, Karolu, finansujesz tę operację. Nawet jeśli robisz to w szczytnym celu ratowania światowej muzyki rozrywkowej i swoich relacji z dobrą klientką, to jest to twoja kasa.

„Żałosny ze mnie frajer”, pomyślał Bathory. Miał ochotę powiedzieć to głośno i pocieszyć się zaprzeczeniem Whitmore, ale obawiał się, że nie zabrzmiałoby przekonująco. Jeśli w ogóle by padło, rzecz jasna.

Voigt van Drumle siedział po turecku na dywaniku, który zamiast z morskiego szczypioru upłócił naprędce poprzedniego wieczoru ze zwykłego szczypioru i czosnkowych liści. Nic lepszego z dostawą w ciągu trzech godzin nie znalazł.

Na białym klocku rzeźbionym w ropusze głowy ustawił siedem dwunastogodzinnych podgrzewaczy do herbaty ze sklepu ze starzyzną. Każdy był w innym kolorze, choć z przewagą różnych tonacji zielonego, za to ani jednego czerwonego – te dawno już wykupiono, choć van Voigt nie miał pojęcia, czemu londyńczycy akurat czerwoną parafinę cenią tak wysoko.

Pod niskimi, gęstymi chmurami unosiła się dusza Alskoppa, tryskając snopami światła, w których ołtarz przybierał coraz to inne kolory, płynnie przechodzące od zieleni do fioletów, purpur i oranżów. Z tak bliska nie przypominała już ani bańki mydlanej, ani nawet dyskotekowej kuli, z którą skojarzyła się części starszych drumloftowców, rozproszonych kwadrans wcześniej wulgarnym rozkazem komendantki Wren i brutalnymi argumentami jej automatycznych ochroniarzy.

Kiedy parafina już się roztopiła, do każdego z podgrzewaczy van Drumle dosypał innego z ziół, ususzonych prowizorycznie w niszy domu Diany Whitmore. Teraz, kiedy z zamkniętymi oczami siedział wyprostowany jak struna, nucąc Scarborough Fair, czuł wyraźnie zapach ziela, który kojarzył mu się z najpiękniejszą krainą, jaką kiedykolwiek widział – górzystym, północnym wybrzeżem Oceanu Zachodniego. Pod zamkniętymi powiekami rysowała się kula tonącego słońca i krwiście połyskujące grzywacze, w uszach rozbrzmiewał krzyk tysięcznych stad petreli i alek. Tylko ciałem nie przebywał w Drumlofcie i nie wątpił, że to bliskość smoczej duszy jest odpowiedzialna za tak intensywne wrażenia.

Musiał powrócić do tu i teraz.

Otrząsnął się i spojrzał prosto w zaniepokojone oczy Lennona, który z przytuloną do boku Dianą Whitmore niestrudzenie śpiewał już siódmy raz piosenkę Simona i Garfunkela. Na szczęście dziewczyna, która okazała się mieć zupełnie gumowe ucho, po pierwszych próbach nie próbowała już wtórować muzykowi czy śpiewać drugim głosem.

Jeszcze pół godziny temu, gdy kobiecie w czerni udało się odciąć ich trójkę od tłumy zwolenników, lękał się, że Anglik z dziewczyną rzucą się na pomoc pobratymcom. Najwyraźniej jednak zrozumieli, że potrzebuje ich jeszcze bardziej niż wcześniej, i przybiegli na miejsce rytuału, kiedy kończył akurat karmić Twarde Jajo Królowej Aldony Odkąd Śpi.

Niepokoił się nieco brakiem Humlaina, wierzył jednak, że obecność czwartej osoby nie jest koniecznym elementem rytuału, który sam zaprojektował dawno temu, w innym, beztróskim życiu. Musiał robić dobrą minę. Wiedział, że każde okazanie pośpiechu czy nerwowości jest oddaniem kolejnej piędzi ziemi w nierównej walce z potężniejszym przeciwnikiem, dlatego cały czas zachowywał się niczym angielski hydraulik wezwany o trzeciej nad ranem na pomoc w opanowaniu powodzi z kaloryfera: z godnością, nad filiżanką mocnej herbaty z mlekiem, rozważając rozmiary kluczy i grubości paku. Van Drumle szanował Anglików za ich budzącą powszechny respekt flegmę i stoicki spokój, dzięki którym utrzymali imperium o wieki dłużej niż

jego pobratymcy. Kto dziś jeszcze pamięta Antyle Holenderskie?

Teraz, wypiwszy herbatę i demonstracyjnie strzepnąwszy ostatnie okruszki tosta z marmoladą na ziemię dokładnie pod południowym biegunem duszy najpotężniejszego ze smoków, siedział z otwartymi szeroko oczami i wpatrywał się w Lennona, coraz bardziej rozkołysanego i rozśpiewanego. Przy dziesiątym obrocie muzyk zmienił Scarborough Fair w skoczno go jitterbuga, co wydało się Holendrowi nie lada osiągnięciem, biorąc pod uwagę różnicę w metrum.

– Mogę? – upewnił się piosenkarz, szepcząc samymi ustami.

Van Drumle kiwnął energicznie głową i następnych kilka wolt Anglik wykonał już bez jakiegokolwiek dyskusji. Zrozumiał najwyraźniej, że jego ważną rolą jest utrzymanie mistrza ceremonii w trzeźwości umysłu. Zagrał dziarskiego marsza wojskowego, ale też i perwersyjnie żałobny lament, płynnie przechodząc w jednoznacznie nieprzyzwoite wykonanie, w którym każde słowo, łącznie z „tymianek” i „morska piana”, kipiało od bezwstydných podtekstów wywołanych wyłącznie wyuzdanymi minami piosenkarza. Holender docenił też wersję kalamburową (wszystkie wyrazy Lennon zastąpił synonimami) oraz iście akrobatyczną interpretację, w której zamiast wyśpiewać rzeczownik, mrugał dwuznacznie, zaś w miejsce każdego przymiotnika stosował zdziwione uniesienie brwi.

Utrzymanie powagi wymagało oczywiście nieco opanowania, ale jednocześnie przepełniło van Drumle’a pewnością siebie i poczuciem nieskończonej niemal siły. Miał nawet wrażenie, że powierzchnia kuli pokryła się delikatnymi zmarszczkami, kiedy jedynym sposobem, aby nie wybuchnąć zupełnie niekontrolowanym napadem śmiechu w reakcji na Scarborough Fair wykonane z doskonałym akcentem imigranta z głębokiej chińskiej prowincji, było przybrać minę groźną i pełną nienawiści, dokładnie taką samą, jaką miał Lennon. Piosenkarz kojarzył się teraz Holendrowi ze sprzedawcami z budek z chińszczyzną, którzy przekonywali go, że indyk jest nieświeży, zaś kura właśnie co zabita, niemal się rusza i to właśnie ją powinien zamówić w sosie słodko-kwaśnym.

Po dwóch godzinach Lennon przestał grać, śpiewając tylko cicho i pokazując gestem na posiniąte opuszki lewej dłoni.

– Możesz w ogóle zrobić sobie parę minut przerwy. Ja zresztą też będę musiał niedługo – szepnął w odpowiedzi van Drumle. – Wiesz, herbata.

– Trochę się skurczyła, prawda? – odparł Lennon, również szeptem. – Jeszcze dwa dni i powinna zmieścić się w koszyku z Walmartu.

Holender uniósł brwi w delikatnej sugestii zdziwienia.

– Wziłem w takim swój dobytek w Nowym Jorku, bardzo wygodna jednostka miary – wyjaśnił Anglik. – Moi ziomkowie raczej wyraziliby to w pintach, ale za cholerę nie wiadomo, ile to kilogramów gazet tak konkretnie. Za wózek dostawałem dolara i trzynaście do dwudziestu centów. Dopóki drukowali gazety, rzecz jasna. Are you going to Scarborough Fair?!!

Van Drumle aż drgnął na dźwięk wzmocnionego potężnym akordem a-moll głosu Lennona, który najwyraźniej postanowił duszę Alskoppa zwyczajnie przerazić. Uznając Anglika za godnego zastępcę, wstał, spojrział na Dianę ze skruszonym wyrazem twarzy, a następnie odszedł dziesięć kroków i wysikał się na trawę.

– Tak! – krzyknął Lennon, przerywając grę i śpiewanie.

Van Drumle wykręcił głowę w tył tak mocno, jak tylko dał radę. Piosenkarz pokazywał dwoma palcami prawej ręki znak zwycięstwa, drugą zaś wskazywał w górę. Holender dopiął spodnie i wrócił do ołtarza.

– To niesamowite! – rzucił w podnieceniu. – Skurczyła się!

– Sprawdźmy, czy ja też umiem – stwierdził Lennon, po czym odszedł kilka kroków i zrobił to samo, co wcześniej van Drumle.

– Szkoda jednak, że nie mamy piwa – powiedział, wracając i spoglądając w górę. – To chyba naprawdę działa. Jak myślisz, czemu? Czuje się obrażona? Nie sugerowałaś się przypadkiem brytyjską rodziną królewską, wymyślając te smoki?

Holender zaczerwienił się po odstające czubki dorodnych uszu.

– No dobra, chłopaki – powiedziała głośno Whitmore. – Teraz wy się odwróćcie!

W spojrzeniach obu mężczyzn mieszały się podziw ze zdumieniem.

– I zasłońcie mnie trochę – dodała. – Wiem, że wy lubicie się chwalić darami matki natury, ale ja zupełnie nie mam czym, w każdym razie w tej dziedzinie. A tyłka całemu światu nie pokażę.

Holender spąsował do reszty, przypomniawszy sobie o setkach dronów sprawozdawczych, które uwijały się bezustannie nad ich głowami, szukając najlepszych ujęć. Tak bardzo zdążył się do ich obecności przez te parę godzin przyzwyczaić, że nawet...

– No już, nie mamy tyle czasu! – pogoniła ich.

Posłusznie odwrócili się, formując niezbyt szczelny murek.

Diana wzięła głęboki oddech, ściągnęła spodnie i kucnęła. Po chwili zza pleców mężczyzn doszedł potężny odgłos, który Lennonowi skojarzył się z ulicznymi zabawami nowojorskich dzieci przy hydrantach, zaś Holendrowi z klaczą jego ciotki.

– Bogowie! – szepnął van Drumle i odruchowo spojrzął w górę. Dusza Alskoppa zdawała się trząść z oburzenia lub może obrzydzenia. Na gładkiej dotąd powierzchni pojawiły się wyraźne zmarszczki. – Czy ona zawsze tak?

Lennon tylko wzruszył ramionami.

– Już się ubrałam – powiedziała. – Dziękuję. A w kwestii waszych wątpliwości dodam tylko, że my, kobiety, nie mamy prostaty. Ale żeby oddać mi sprawiedliwość, dodam, że zawsze byłam w tym najlepsza w college'u.

Patrzyli na nią, nie rozumiejąc.

– Wy robicie zawody, który nasika najdalej, my zaś, która najgłośniej, nie wiedzieliście? – dodała, spostrzegając ich przepełnione niezrozumieniem miny. – Ale kupy publicznie nie zrobię, choćbyście uznali, że to natychmiast zabije tego całego króla smoków! Już wolę stracić dom.

– Na razie wróćmy do rytuału – powiedział ciągle jeszcze zawstydzony van Drumle. – Widzę, że dwunastogodzinne podgrzewacze nadal wypalają się w godzinę. Dobrze, że kupiłem sześć paczek.

– Co z resztą ziół? – Lennon przyjął od Diany wyjęty z koszyka piknikowego termos i ugasił palące pragnienie. Wyciągnął rękę do Holendra, ale ten tylko pokręcił głową.

– W następnej kolejności. Trochę to potrwa.

W odpowiedzi Anglik podniósł odłożoną na trawę gitarę, wzięła głęboki oddech i ułożył na gryfie palce lewej ręki. Prawa zastygła jednak uniesiona, z kostką w dłoni. Van Drumle spoglądał na niego spokojnie, jednak zrozumiał, że piosenkarz nie czeka na natchnienie, tylko wpatruje się w coś w oddali. Obrócił się w końcu i spojrzął.

W asyście dwóch obronnych dronów zbliżała się ku nim policyjna platforma z komendantką.

Łopot skrzydeł śpiącego dotąd Aldiego Od zabrzmiał jak ostrzeżenie.

Albo wezwanie do walki.

– Chyba mu się nie podoba ta dziewczyna w czerni. Ja też mam nadzieje, że nie zamierza zepsuć nam prywatki – powiedział Lennon.

– Obyśmy mieli farta – odparł van Drumle, wstając. – Może przybywa ze słowami miłości. Diana spojrzała na niego z uznaniem, a Anglik puścił oko.

– To była naprawdę fatalna płyta, ale nagrywaliśmy ją w biegu, tak sobie zawsze tłumaczę – dodał przepraszająco. – Może wysłamy stąd Dianę? Nie musi być akurat w stronę słońca.

– Twarde Jajo Królowej Aldony Odkąd Śpi mógłby ją zabrać. – Van Drumle kiwnął głową. – Prawda?

Karamodliszka zaterkotała w odpowiedzi, aż Dianę przeszył zimny dreszcz.

– Wolalabym raczej, żeby odgryzł głowę tej wrednej babie – odparła. – Wygląda, jakby mógł dać sobie z tym radę bez najmniejszego problemu.

– W istocie, ale wątpię, czy pozwoli mu zbliżyć się do niej na tyle blisko – odparł Holender.

– Jej ochroniarze? – spytała Diana i pokierowana dyskretnie wyciągniętym przez van Drumle'a palcem spojrzała w prawo. W ich kierunku kroczyły niskie, przysadziste stworzenia. – Będą strzelać? Brama była otwarta, nikt nas nie zatrzymywał!

– Widocznie coś się zmieniło.

– Poddajcie się! – krzyknęła kobieta na platformie. – Jesteście tu nielegalnie i podejmiemy wszelkie dozwolone prawem środki, abyście natychmiast opuścili teren strzeżony kategorii A!

Lennon i van Drumle spojrzeli po sobie.

– Pozostaje nam zatem już chyba tylko plan B – powiedział kwaśno Holender. – Wsiadajcie oboje na Twarde Jajo Królowej Aldony Odkąd Śpi i uciekajcie!

– Nie tak prędko – odpowiedział Lennon i van Drumle podążył za jego spojrzeniem.

Poprzez wysokie trawy brnął ku nim człowiek w ubłoconym garniturze. Z potarganych włosów sterczały mu źdźbła trawy.

Na ich widok wyszczerzył olśniewająco białe zęby, absurdalnie kontrastujące z czarną od brudu twarzą.

– Ulver – wychrypiał przez spierzchłe usta i wyciągnął rękę w górę. – Alfred Ulver.

Diana, Lennon i van Drumle jednocześnie podążyli wzrokiem ku czarnej, połyskującej karminem macce, która spłynęła do ziemi sponad ich głów. Wyrastała z czarnej kolumny, na której spoczywała kula duszy Alskoppa.

– Szuka go, tego Ulvera – szepnął Holender. – Musi nosić w sobie jakąś jej brakującą część.

Dwie ruchliwe wargi niczym na ogromnej słoniowej trąbie dotknęły dłoni mężczyzny, jak gdyby wachając lub smakując. Po chwili macka wydłużyła się, łagodnym, pieszczotliwym ruchem nasuwając się na rękę.

Ulver uśmiechnął się szeroko.

Kojarzył się Lennonowi z jednym z tych szaleńców, którzy nie potrafią powstrzymać się od pompowania w siebie mety, zanim jeszcze poprzednia dawka przestała działać.

Macka pęczniała, pulsując rytmicznie niczym olbrzymia żyła. Trwała tak, tętniąc, jakby syciła się oczekiwaniem skamieniałych wokół ludzi.

Wreszcie wargi, zaciśnięte dotąd wokół ramienia, rozwarły się szeroko i łapczywie pochłonęły mężczyznę. Przez chwilę dało się jeszcze dostrzec jego kształt poprzez czarną, błyszczącą powierzchnię, jednak macka cofnęła się zaraz, znikając w leju, przez który przebiegło perwersyjne drżenie.

Barwna kula ponad ich głowami zatrzęsała się i skapała wszystkich w fioletowej poświacie.

Była szczęśliwa. Znowu gładka. I większa.

Dużo większa.

– Jak to nie wiesz, kim on jest? – warknęła Diana Whitmore, unosząc się z fotela z dłońmi zacisniętymi w białe kanciaste pięści. – Jak możesz nie wiedzieć?

Karol Bathory wzruszył bezradnie ramionami.

– Jak sama widzisz, tak naprawdę nie istnieje ktoś taki jak Erhard Redds – powiedział zakłopotany, wskazując na ścianę. Cała aż pulsowała najrozmaitszymi wersjami tego samego komunikatu, wśród których przeważały „nie znaleziono”, „nie dopasowano” i „sformułuj inaczej kryteria wyszukiwania”.

– Przecież pokazywał nam certyfikaty, mój asystent je zweryfikował.

– Ja też je sprawdziłem. W końcu jednak wszystkie okazały się doskonale podrobione, i to na siedem poziomów w górę – tłumaczył się Bathory, gestami dłoni przywołując na ścianę twarze dwudziestu osób. – Nikt tak głęboko nie grzebie, o ile nie zamierza kupić osiedla mieszkaniowego albo luksusowego sterowca. Facet miał po prostu sprawdzić...

– Wiem, co miał sprawdzić Redds – przerwała mu Whitmore, usiłując przepędzić wspomnienie ramion Lennona oplecionych ciasno wokół niej. – Wiem też, że za pięćdziesiąt tysięcy nie da się kupić osiedla, dlatego nie będę zbyt długo drwić z twojej lekkomyślności, chociaż na mały sterowiec pewnie by ci wystarczyło. Używany.

– Co teraz? – zapytał bezradnie Bathory, który opadł na fotel i wpatrywał się w ścianę z zestawieniem pasujących w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach wyszukiwań. – Nie mam pojęcia. Pieniądzy i tak nie odzyskam. Żaden z tych facetów nie jest naszym Reddsem, sama widzisz.

– Pieprzę twoje pieniądze! – krzyknęła Whitmore. – On musi nam pomóc, nie widzisz, co tam się dzieje? John nie wygląda, jakby miał zamiar dokądkolwiek się wybrać, a to cholerstwo na nowo napęczniało! Wygląda, jakby czekało tylko na najlepszy moment, żeby wybuchnąć. I jeszcze te maszyny!

– Jak masz zamiar zmusić Reddsa do czegokolwiek? Zakładając, że go w ogóle znajdziemy. Dopasowanie twarzy nic nie dało, a zanim zdobędziemy jego DNA, tam już będzie pozamiatane.

– Ty znajdziesz, to po pierwsze. – Diana pochyliła się nad Bathorym, wlepiając w niego spojrzenie, pod naporem którego nawet tygrys czmychnąłby z powrotem w zarośla. – Po drugie...

Zacisnęła zęby w bezsilności i zamilkła.

Bathory miał rację i ciężko to było znieść.

– Nawet jeśli przyłożysz mu nóż do gardła, nie będzie w stanie nic zrobić. Tam wszystko toczy się swoim torem! Lennon ma za godzinę znaleźć się nad morzem. Oby mu się udało.

– Jeśli się okaże, że nic nie może, po prostu docisnę ostrze mocniej, to proste – wycedziła Diana. – Znajdź go, proszę. Teraz. Słowo daję, że oddam ci twoje pięćdziesiąt tysięcy, jeśli wszystko skończy się dobrze. Najwyżej będę jadła przez resztę życia chleb z dżemem, trudno.

Uniesiony nagłą nadzieją na odzyskanie utopionych w poronionym pomysłe Reddsa pieniędzy, Bathory wyprostował się i wciągnął głęboki haust powietrza, które zaczęło naraz smakować



rześko i słodko.

– Widzę, że znalazłam klucz do twojej motywacji – uśmiechnęła się kwaśno Whitmore, demonstracyjnie naciągając sukienkę tak, żeby zakryła dodatkowe dwa cale jej ud. – Odnosiłam dotąd wrażenie, że interesują cię wyłącznie moje nogi.

Policzki Bathorego zapłonęły rumieńcem. Wybór pomiędzy przełknięciem hańby małostkowości albo uniesieniem się honorem był jednoznaczny. Nie mógł stracić dobrej klientki. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Prześlizgnął się wzrokiem po pogłębionym przy okazji poprawienia sukienki dekolcie i spojrzął Whitmore prosto w oślepiająco błękitne oczy.

– Dobrze, znajdę go, choć nie jestem pewien, czy będziesz mogła przystawić mu nóż do gardła. Może być już w Kuala Lumpur albo na Księżycu – powiedział suchym, chropowatym głosem. – Będę potrzebował materiałów z twojej willi w tamtym Londynie. Z wczoraj. Mogą się przydać.

– Są tutaj. Wszystkie. Nagrywam dosłownie wszystko, odkąd... – Diana odwróciła od Bathorego twarz i zwilgotniała w jednej chwili oczy.

– Przeanalizuj te zapisy – polecił głośno asystentowi, odruchowo prostując się, jak gdyby przebywał w swoim biurze. – Co wiemy o Reddsie? Pamiętasz jakiegokolwiek szczegóły?

– Mówił, że ma firmę w Londynie i zajmuje się vivo.

– To da nam jakieś dwa miliony punktów zaczepienia. Coś jeszcze?

– Robił coś przy tym smoku – mruzczała do siebie Diana. – Przy wnątrznościach.

Bathory przytaknął, marszcząc w skupieniu brwi.

– Co konkretnie mówił Redds, kiedy opowiadał nam o tamtym Londynie? – zapytała asystenta.

– Twierdził, że postać, którą się posługuje, przebywa obecnie w kadzi.

– Jak nazywa się mężczyzna ranny w wybuchu domu w Greenwich? – zainteresował się Bathory.

Ściana wyświetliła zdjęcie otoczone chmurami kontekstowych odgałęzień. Przedstawiało twarz łysej mężczyzny o pełnych, sinawych ustach. „Stan Odolsky”, brzmiał podpis pod zdjęciem. Przy lewym skraju ściany zawisły zdjęcia trzech osób, które zginęły w pożarze.

Diana wzdygnęła się na widok twarzy Rodmana.

– Czy to nam jakoś pomoże? – zapytała.

– Trzeba wysledzić wstecznie, kto posługiwał się tą postacią. To zupełnie nielegalne, ale do wykonania.

– Czemu nielegalne? – zdziwiła się Diana.

– Takie uprawnienia ma wyłącznie policja i inne służby. Tak jak do podsłuchiwania transmisji i monitorowania kont. Będę musiał poprosić cię, żebyś wyszła na chwilę z pokoju i wyłączyła swojego asystenta. Nie chcemy, żebyś miała jakiegokolwiek problemy, prawda?

– Będę w salonie. – Diana odwróciła się na pięcie, a przejęty swoją rolą Bathory nawet nie zwrócił uwagi na jej uda, które w pełnej krasie ukazała uniesiona w obrocie sukienka.

– Nie obserwuj pokoju vivo – poleciła asystentowi, kiedy zamknęła za sobą drzwi.

– Oczywiście.

– I nalej mi trzy czwarte szklanki toniku. Bardzo zimnego.

Przeszła do salonu i ze stolika z butelkami wzięła gin. Dopełniwszy alkoholem wyjętą z niszy szklankę, usiadła w fotelu z widokiem na ogród.

„Czy John naprawdę tu był?”, pomyślała. „Naprawdę mnie tulił, tu, w moim domu? Śpiewał piosenki i śmiał się? Jeżeli to nie był tylko sen, czemu muszę tak dużo płacić za te dwa dni

nieskończonego szczęścia?”.

Gorycz chininy i aromat jałowca wdzierały się pomiędzy myśli, nie były ich jednak w stanie zatopić.

– Diano? – zadzwieczał zza drzwi głos Bathorego. – Jesteś tam?

„Czy gdyby i on mówił do mnie »Hej, mała« zamiast »Diano«, byłby choć trochę bardziej jak John?”.

– Idę! – krzyknęła, oczyściwszy gardło i dopiwszy drinka.

Otarła łzy i wstała z fotela.

– Znalazłeś coś? – spytała, otwierając drzwi salonu. Bathory sprawiał wrażenie, jakby ledwo zdążył odsunąć od nich ucho i odskoczyć.

– Nawet kogoś, chodź zobacz. I włącz asystenta.

– Możesz już wrócić do pokoju vivo! – powiedziała Diana.

Na ścianie widoczne były wizerunki trzech osób. Ostrzyżony na jeża mężczyzna przypominał sylwetką domniemanego Reddsa, dwie pozostałe były niskimi, krępyimi kobietami. Zupełnie identycznymi. W tle rozciągało się przyciemnione planszami wyników wyszukiwania lotnisko Heathrow, na którym zbici w ciasną gromadkę Lennon, Diana i van Drumle stali naprzeciw unoszącej się na policyjnej platformie Jennifer Wren.

– Co to ma znaczyć? – spytała Whitmore. – Dzielą się jednym bohaterem, tak? Dwie bliźniaczki i ten nasz Redds? Jakoś równo? Po osiem godzin dziennie?

– Nie do końca. Z rejestrów wynika, że pierwszymi właścicielkami postaci Odolsky’ego były te dwie kobiety. Potem jednak człowiek znany nam jako Redds odkupił go od nich. Tak jak i kilka innych postaci.

– Czyli kogo? – Dianę zaniepokoił rzeczowy, poważny ton Bathorego i spojrzenia, które rzucał w kierunku ściany vivo. Nie mogło mu chodzić o napawanie się widokiem otyłych bliźniaczek.

– Na przykład niejaką Jenny Wren, komendantkę policji.

Twarz Diany Whitmore w jednej chwili przeszła od brzoskwiniowokremowej w pistacjowoblada.

– Siedział tu z nami i słuchał wszystkich ich planów. I naszych – szepnęła. – Tylko po co? Żeby teraz im przeszkodzić?

– Może zamierza osobiście przeprowadzić rytuał?

– I dlatego chciał, żebyś przywrócił van Drumle’a? Żeby wszystkiego się dowiedzieć? Ale wtedy, kontrolując Wren, pozwoliliby ludziom wejść na lotnisko. To przecież część rytuału, ich śpiew.

– Może akurat jej nie kontrolował. Albo może wcale nie chce dopuścić do zakończenia rytuału.

– Bathory wzruszył ramionami. – Może dowiedział się czegoś więcej. Że van Drumle jest oszustem, dajmy na to. Albo że z duszą smoka to jednak naprawdę przekręt. Oficjalna wersja mówi o piorunie kulistym, który wymknął się naukowcom z Greenwich.

– Jest teraz podłączony? Ten Redds? – spytała Diana.

– Pięć minut temu jeszcze był. Tak naprawdę nazywa się Arthur Smith, nie Redds.

– Do kogo? Do swojej postaci w kadzi?

– Do Wren.

– Dlatego go nie ma tutaj, tak? – spytała kipiącym od jadu głosem. – Wiesz, skąd się łączy?

– Psy gończe próbują go wysledzić. Na razie dotarliśmy do Singapuru, ale to może być również dobrze most.

– Co masz zatem zamiar zrobić?

– Teoretycznie można próbować przejąć połączenie. – Bathory sprawiał wrażenie kogoś, kto mówi o rozbrojeniu policyjnego patrolu. – Już tutaj, przy samym wejściu do vivo.

– Odciąć Reddsa od tej Wren i samemu w nią wejść? Pasuje mi, chętnie sprawdzę, jak to jest być chudą, wredną babą.

– Cieszę się, że tak dobrze cię bawisz, ale to naprawdę ciężkie przestępstwo kryminalne.

Diana uśmiechnęła się filuternie i zmrużyła oko

– Nie wierzę, że nigdy tego nie zrobiłeś. I nie wierzę, że od razu przybędzie tu lotny szwadron policji.

– Niekoniecznie od razu. Być może dopiero gdy Smith zorientuje się, że nie chodzi po prostu o nazbyt autonomiczną postać. Poza tym nie mówimy o odcięciu go, tylko o takim przejściu, żeby nie zorientował się, że jest ktoś trzeci. W ten sposób będzie po prostu usiłował kontrolować postać, ale winę za niepowodzenia zrzuci na jej zbyt silną wolę.

– Odłącz się od pokoju vivo! – poleciła Whitmore, a Bathory zrozumiał, że właśnie podjęła za niego decyzję. – Czyn swoją powinność, włamywaczu!

– Zanim zaczniemy, chciałbym... – rozpoczął Karol poważnie i Diana przez chwilę myślała, że zaraz wyzna miłość jej cyckom albo, co gorsza, jej samej – ...żebyś mimo niezręczności sytuacji pokierowała swoją sobowtórką.

Odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się dobrotliwie.

– Weź Johna na karamodliszkę i uciekajcie jak najdalej – ciągnął Bathory. – Ja postaram się powstrzymać Wren od zrobienia wam krzywdy. Jeśli tylko zdołamy przełamać zabezpieczenia Reddsa, powinno nam się powieść.

– Szkoda tylko, że nie będę wiedziała, czy naprawdę ci się udało.

– Masz rację! – Twarz Bathory'ego rozbliła zadowoleniem.

– Wiem, Karolu. W jakiej kwestii?

– Znaku! Kiedy już będę u sterów, dam ci znak, że to właśnie ja.

Zamilkł i przez chwilę wodził oczami po dywanie w okolicach stóp Diany.

– Podrapię się po nosie – oznajmił w końcu.

– Już się bałam, że właśnie pokazujesz mi ten znak. – Odetchnęła z wyraźną ulgą. – Nie zauważyłam tylko, czy Wren ma nos, prawdę mówiąc. Wygląda na ostro modyfikowaną. Widziałeś te biodra? Gdyby nie miała nosa, drap się w miejsce po nim.

Bathory odniósł nieprzyjemne wrażenie, że znowu rozmawia z Lennonem, który powinien znajdować się o całe światy od nich. Przynajmniej jeden świat w każdym razie.

– Poproszę wodę. Z lodem – polecił.

– Asystent jest odłączony – przypomniała Diana.

– Wiem, ciebie proszę.

Whitmore prychnęła i wyszła z pokoju. Tym razem Bathory powiódł spojrzeniem za jej nogami, ponownie hojniej odkrytymi przez sukienkę.

Zaprezentował vivo wyciągniętą z wewnętrznej kieszeni koszuli czarną kartę, której używał wyłącznie kiedy musiał wystąpić pod innym nazwiskiem. Dawniej należała do pewnego Ghańczyka, który wolał żyć bez tożsamości w Londynie niż dumnie i pod własnym nazwiskiem koczować w ojczyźnie, wyludnionej po pladze duru tajskiego i z dnia na dzień coraz bardziej pustyniejącej.

Po chwili na ścianie zabłysł purpurowy napis: „Diara Kante”, nazwisko Afrykańczyka. Dodatkowe skany były niezbędne wyłącznie przy składaniu zleceń grożących naruszeniem dóbr osobistych, a logowanie na Czarnej Giełdzie do nich nie należało. W każdym razie nie oficjalnie.

Kante potrzebny był wyłącznie aby stworzyć wiarygodne i zupełnie fałszywe rejestry połączeń.

Drugą kartę, złotą z wybrzuszeniami układającymi się w ledwie wyczuwalny stylizowany wzór promieniującego słońca, Bathory okazał, aby wybrać boliwijski ul, przez który zamierzał się podłączyć.

Schował obydwie z powrotem chwilę przed tym, jak w drzwiach stanęła Diana z tacą w dłoniach.

– Przyniosłam też słomki, na wypadek gdybyś zapomniał poprosić.

– Czarna Giełda w Kairze! – polecił Karol, kiedy już drzwi na korytarz z powrotem się zamknęły. – Zapomniałem, masz rację.

Diana tylko zerknęła na niego nerwowo, ale nic nie powiedziała. Bathory ostrzegł ją przecież, że wszystko, co teraz robią, jest zupełnie nielegalne. Kątem oka dostrzegła jedynie, że mężczyzna wykonuje jakieś gesty, zapewne autoryzując się do swojego kantoru. Odwróciła się do niego, kiedy wreszcie odetchnął z ulgą.

– Wepnij się w Dianę, proszę. Nie powinnaś była tego oglądać, ale nie miałem już czasu. Za minutę powinienem być we Wren.

Potaknęła ruchem głowy i usiadła w fotelu pod oknem.

– Jako Diana Whitmore – powiedziała głośno i zamknęła oczy.

Bathory był już w swoim kairskim kantorze. Światło południowego słońca przesączało się do środka przez sznury szklanych paciorków.

– Czy wszystko przygotowane na wpięcie mnie pomiędzy Arthura Smitha z poprzedniej sesji a Jennifer Wren? – zapytał.

– Stabilność na poziomie siedemdziesięciu procent – oznajmił szeleszczący, mechanicznie anonimowy głos.

– Obciąż moje konto, ale najwyżej do dwudziestu pięciu tysięcy.

– To będzie około siedemnastu minut.

– W takim razie do trzydziestu. Wchodzę.

Niebo nad Heathrow jarzyło się w oczach Jennifer Wren karmazynowo. Wysoko falowały olbrzymie zielonkawe kurtyny zorzy. Włoski na rękach i karku prostowały się w przepelnionym elektrycznością powietrzu.

Troje ludzi i groteskowy zwierzak przed platformą sprawiali żałosne wrażenie kukiełek, które właściciel już za chwilę wyrzuci do zsypu recyklingowego.

A może lepiej byłoby je po prostu spalić?

– To naprawdę on – szepnęła Liza, zapatrzona w wyświetlony przez NicIchNieObchodzimy kompozytowy obraz pochodzący od czterech trzmieli wysłanych z motocykla. – Jeden z muzyków, których mój ojciec słuchał w Hamburgu. W swoim vivo.

– Tak, to John Lennon. Jest w nielichych opałach. Jennifer Wren to zimna, wredna suka, w porównaniu z którą jestem łagodna niczym Nelson Mandela. Choć może to nie jest najstosowniejsze porównanie.

Liza Trommer nie dopytywała, na czym polega niestosowność porównania do dawnego południowoafrykańskiego przywódcy.

Anglik, chociaż wyraźnie postarzały, zachował sarkastyczny wyraz twarzy i błysk w oku. Ramię w ramię z nim stał sporo niższy i tęższy brunet oraz zgrabna, choć ani trochę szczupła blondynka.

– To Voigt van Drumle, twórca Drumloftu. Tajemniczym zbiegiem okoliczności zjawił się w Londynie w dniu, kiedy wszyscy najbardziej go potrzebowali. Wszyscy zdają się też nie pamiętać, że popełnił samobójstwo trzy lata temu. Nawet w rejestrach tego nie ma. – NicIchNieObchodzimy zachichotała złośliwie.

– Lizo, masz przychodzące połączenie – poinformował asystent.

– Teraz? Kto?

– Hans Trommer z sugestią pilności – odpowiedział asystent. – Mogę połączyć?

Kiwnęła tylko głową. Miejsce twarzy Johna Lennona zajął wizerunek jej ojca. Najwyraźniej nie miał nastroju na połączenie video. Może nie chciało mu się golić?

– Dzień dobry, Lizo – powiedział Hans zmęczonym, ciężkim głosem.

– Dzień dobry, tato. Nie uwierzysz, kogo właśnie spotkałam.

– Kogo?

– Johna Lennona – odpowiedziała. – Tego Johna Lennona.

– Beatlesa? – Przez chmurę przygnębienia przebił się wąty promyk zainteresowania.

– Tak! Jest tutaj, na Heahrtrow. Nie stoję obok, ale widzę go dokładnie przez trzmiela.

– Aha. – Promień zgasł. – Mam ci coś do powiedzenia.

– Słucham, tato. – Liza usiłowała nadać głosowi lekki ton, chociaż nie spodziewała się, żeby ojciec zwrócił na to uwagę. Może chodziło o przysłuchującą się rozmowie NicIchNieObchodzimy?

Hans Trommer zdawał się wahać, jak gdyby nie był pewien, czy naprawdę zdecydowany jest wypowiedzieć słowa, które sobie przygotował.

– Gdyby jeszcze kiedyś zdarzyło się, że umrę – zaczął w końcu silnym już głosem – nie ożywiaj mnie więcej. Proszę.

„Bawił się ze mną cały czas? Był wyrozumiały? Czy dopiero teraz się domyślił?”. Serce szarpało się w piersi Lizy.

– Przepraszam. – Zmusiła się do szeptu.

– Przestań wreszcie wszystkich przepraszać! – warknął Hans. – Ja nie będę cię za nic przepraszał. Nikogo innego też, ale to nie znaczy, że masz to za mnie robić. Zrób coś wreszcie ze

swoim życiem i mnie też pozwól zrobić ze swoim, co zechcę!

„Przepraszam” cisnęło się cały czas na jej usta, wypełniało głowę, płuca i gardło, ale przygryzła język i zacisnęła z całej siły wargi.

– Żegnaj, córeczko – powiedział Hans Trommer i rozłączył się.

W tej samej chwili z mieniającej się purpurowo olbrzymiej kuli spłynęła do ziemi złota błyskawica i wybuchła oślepiającym błyskiem, posyłając wszędzie snopy iskier. Potężny grzmot zakołysał NicIchNieObchodzimy, zawracając myśli Lizy z toru, na który skierował je ojciec.

– Wygląda, jakby się śmiała – wychrypiała zaschniętym gardłem Liza. – Ta kobieta w czerni, na platformie.

– Tak, Wren uwielbia błyskawice. I płomienie. I śmierć również – stwierdziła ponuro NicIchNieObchodzimy.

– Czy oni są w prawdziwym niebezpieczeństwie? Nie zamierzają ich po prostu aresztować?

– „Śmierć” to o wiele słodsze słowo niż „areszt”. W każdym razie dla Wren. Poza tym trudno aresztować karamodliszkę.

– Możemy im jakoś pomóc?

– Jeśli tylko będziemy potrafiły.

– Mój ojciec zadzwonił – powiedziała Liza. Wszystko wydawało się mniej ważne niż telefon od człowieka, który właśnie na jej życzenie zmartwychwstał. Jednocześnie nic nie wydawało się ważniejsze niż to, co działo się przed ich oczami. Siedemdziesiąt procent zagrożenia zmieniło się już pewnie w sto i powinna była uciekać tak daleko, jak tylko się dało. A jednak trwała.

– Co jest ważniejsze? – powiedziała, jak gdyby chciała te słowa usłyszeć nie tylko we własnych myślach.

– Oni czy twój ojciec? – spytała NicIchNieObchodzimy.

Liza kiwnęła głową.

– Ty, moja kochana. Ty jesteś najważniejsza. W każdym razie dla ciebie.

– Nikt nigdy mi czegoś takiego nie powiedział.

– Najwyższy czas, kochanie. Zdecydowanie najwyższy, żebyś to zrozumiała.

„Jestem najważniejsza. Jak to dziwnie brzmi”, pomyślała Liza. „Gdyby tylko była to prawda!”.

Cień, który padł na kabinę NicIchNieObchodzimy, odwrócił jej uwagę. Spojrzała w górę. Ponad motocyklem, jak gdyby omijał leżący w trawie kamień, przesunął się brzuch olbrzymiego czarnego pająka. Liza miała wrażenie, że wysoko w lustrzanej, gładkiej powierzchni ujrzała odbicie swojej okrągłej, małej twarzy.

„Jestem taka nieważna”, pomyślała. „Taka malutka. Można rozdeptać mnie jak robaka”.

Maszyna jednak nie rozdeptała Lizy ani motocykla. Razem z siedmioma identycznymi towarzyszami przesunęła się jeszcze jakieś sto metrów w kierunku Lennona i jego towarzyszy.

Tam przystanąły, tworząc równy szereg.

Czekały.

Kolejna błyskawica uderzyła prosto w ołtarz.

Diana zadrżała i jeszcze ciaśniej przywarła do Lennona. Obejmował ją ramieniem, wpatrzony w Jennifer Wren, która ze sterczącymi, naelektryzowanymi włosami układającymi się w czarną koronę przypominała mu złą królową, macochę królowny Śnieżki z jedyne go filmu, jaki oglądał z matką.

Ogłuszona grzmotem i przerażona Diana tuliła się do niego z całej siły, modląc się, żeby czas przestał płynąć i żeby nic się już nigdy nie zmieniło. Byle tylko dalej otaczał ją ramieniem, choćby na polu wśród błyskawic, szaleńców i olbrzymich modliszek.

– Uciekajcie stąd – szepnął van Drumle, nie odwracając wzroku od ołtarza. – Siadaj na Twarde Jajo i lećcie jak najdalej stąd.

– A rytuał? – zapytał John, nie odwracając wzroku od Jennifer Wren.

– Jak widzisz, niewiele już jesteśmy w stanie osiągnąć. Dusza Alskoppa jest przekonana o swoim tryumfie. Teraz mogę tylko starać się odwlec katastrofę albo dać naszemu szczęściu ostatnią szansę.

– Liczę do dziesięciu! – oznajmiła wzmocnionym megafonami głosem Wren. – Macie odsunąć się od siebie, wyciągnąć złożone ręce i czekać na założenie kajdanek! Zwierzak niech trzyma się po prostu z daleka, wtedy może nic mu się nie stanie. Siedem!

– Twarde Jajo! Zabieraj ich! – polecił van Drumle.

Karamodliszka rozprostowała skrzydła z donośnym łopotem i zatrzepotała nimi kilka razy nerwowo. Wren odwróciła się w jej kierunku i uniosła zaciśniętą pięść, jakby zamierzała pogrozić owadowi, jednak w połowie drogi ręka zatrzymała się, a jeden z palców z wyraźnie widocznym wysiłkiem wyprostował się, jak gdyby ktoś poruszał nim przy pomocy niewidzialnego cięgna. Dłoń niechętnie skierowała się ku twarzy właścicielki i potarła czubkiem palca spiczasty, długi nos.

– Jeden!? – wrzasnęła skrzekliwie Wren.

Aldi Od uniół się nad trawę, a lufy wszystkich robotów skierowały się w jego stronę.

– Nie strze... – zająknęła się Wren – strzelać! Dwa!

Whitmore nie mogła dłużej zwlekać, czekając na Bathorego. Najwyraźniej nie potrafił w pełni kontrolować komendantki.

– Chodźmy, John! – krzyknęła. – Odwrócimy jej uwagę od Voigta!

– Trzy! Cztery! Pięć! – Wren rytmicznie drapała się po nosie, jak gdyby próbowała ulżyć uporczywemu świądowi.

Lennon zwolnił uścisk wokół Diany i schwyciwszy jej dłoń, pociągnął w kierunku karamodliszki. Rozprostowane skrzydła zmieniły się już w połyskującą tęczowymi refleksami mgiełkę, unosząc olbrzymiego owada kilka cali ponad trawę.

– Sześć! – szepnęła zdezorientowana Wren i ścisnęła poręcz platformy, usiłując stawić czoła przemożnej potrzebie drapania swędzącego nosa. Skupiała na sobie uwagę coraz większej liczby automatycznych obserwatorów, dotąd zainteresowanych raczej trójką intruzów i ich owadem,

który podfrunął właśnie do starucha z blondyną. Zamierzali uciec!

– Sześć? – powtórzyła z niedowierzaniem.

Chciała zwymiotować, zedrzeć z siebie suknię i wyrzесzczеć na pełen głos wściekłość przemieszaną z niepokojem. Nic nie było pod jej kontrolą, do tego cały świat przyglądał się temu i śmiał się. „Musimy uniknąć niepotrzebnej przemocy. Jesteśmy o siedem procent od progu decyzji o zmianie statutu lotniska”, rozbrzmiewało w jej głowie niezrozumiałe wspomnienie rozmowy, choć nie była w stanie sobie przypomnieć, z kim ją prowadziła.

– Pierdoli mi się w głowie – szepnęła, resztką przytomności przybierając dyskretny ton, który skutkował wyciszeniem megafonu. – Słowo daję, pierdoli. Gdzie się podziała moja charyzma?! Siedem, kurwa, osiem! Nie pozwólcie im uciec!

Większość luf i dysz obydwu jej ochroniarzy skierowała się w stronę mężczyzny i kobiety, którzy usadowili się na grzbiecie zwierzaka.

– Usmażyłabym ten twój czarny łeb, karaluchu, i dała moim chartom! – krzyknęła – Niestety, nie mam chartów!

Impet, z którym karamodliszka obróciła się w miejscu, niemal zrzucił z powrotem na ziemię dwójkę pasażerów. Ze złowieszczym furkotem długich skrzydeł owad zawisł tuż przed barierką platformy.

– Dziewięć – wysyczała Wren, ukazując w pełnym satysfakcji grymasie spiczaste siekacze i kły. W olbrzymich mozaikowych oczach odbijało się tysiąc jej twarzy, sinozielonych na tle karmazynowego nieba. Ametystowe poblaski tańczyły w czarnej koronie włosów.

Była piękna. Najpiękniejsza na świecie.

Gdyby była mężczyzną, miałaby teraz tysiąc największych na świecie erekcji.

– Leć, błagam! – krzyknęła Diana.

Olbrzymie skrzydła rozbrzmiały donośnym warkotem i popchnęły Twarde Jajo Królowej Aldony Odkąd Śpi w przód.

– Dzie...! – wrzasnął megafon.

Reszta utonęła w grzechocie luf automatów obronnych oraz upiornym chrzęście, z którym chitynowe, mocarne szczęki zacisnęły się na głowie Jennifer Wren, pozostawiając na platformie jedynie korpus, wczepiony wciąż dłońmi w barierki i bluzgający w powietrze fontanną brunatnej krwi.

Inteligencje obydwu ochroniarzy nastawione były głównie na niwelowanie zagrożeń, teraz jednak, kiedy zagrożenie zmieniło się w zabójstwo, przeszły w tryb gończy i ruszyły za mordercą. Usiłowały sprostać zarówno wymaganiami minimalizacji kosztownych wizerunkowo obrażeń, jak i konieczności schwytania sprawcy, żywego lub martwego. Dlatego właśnie starały się kształtować strumienie pocisków tak, aby posyłać je wyłącznie w uciekającą, bliżej niesklasyfikowany pojazd, omijając pasażerów.

– Strzelają do nich! – Liza zamarła sparaliżowana, obserwując pogoń za przerażającym, olbrzymim owadem, do którego grzbietu przywarli Lennon i jego dziewczyna. Wokół drugiego mężczyzny, który trwał przy ołtarzu, zdawała się formować fioletowa poświata, łącząca się cienkim strumieniem z kulą, która drgała teraz niczym sterowiec w gwałtownym wietrze. – Uda im się uciec?

– Przed strażnikami Wren zapewne tak, ale wsparcie już rusza. Myślę, że w ciągu minuty odpalą rakiety – odparła NicIchNieObchodzimy. Rzeczywiście, odnóża pająkowatych pojazdów, dotąd uśpionych, zadrgały gwałtownie i cały oddział zaczął poruszać się w kierunku, w którym oddalali się uciekinierzy.



– Leci – szepnęła NicIchNieObchodzimy.

Przez chwilę Liza myślała, że pojazd ma na myśli owada, ale zaraz dostrzegła przypominający czarną, matową igłę kształt, który oderwał się od jednego z mechanicznych pajaków.

Błyskawicznie zbliżał się do Lenona i dziewczyny, podążając za każdym ruchem swojego celu, zaś wielka modliszka nie wyglądała na zdolną uniknięcia czegoś równie prędkiego i zwinnego jak ona sama.

Ścianę projekcyjną salonu Diany Whitmore wypełniał obraz karamodliszki, zygzakowatym, chaotycznym torem zbliżającej się do ogrodzenia lotniska. Jeden ze ścigających ją automatów obronnych zawrócił, drugi jednak niezmiennie wypuszczał w jej kierunku krótkie, niepewne serie pocisków. Większość mijała cel, nieliczne pozostałe, sypiąc zielonkawe skry, odbijały się od twardej powłoki, a nawet od połyskujących olbrzymich oczu. Rakieta, ogromna teraz i wyraźnie matowo czarna, siedziała uciekinierom na ogonie, jak gdyby nie mogła zdecydować się na ostateczne uderzenie. Zapewne działał imperatyw oszczędzenia ludzi.

Bathory siedział roztrzęsiony na kanapie ze szklanką ginu z tonikiem.

– Przepraszam. – Wydawał się szczerze skruszony. – Próbowałem ją przejąć, ale sama widziałaś. Redds kontrował prawie każdy mój ruch! Tak subtelnie i naturalnie, że miałem wrażenie, że to ją staram się przekrzyknąć, a nie jego. Jakby miała bardzo silną własną wolę. No a potem jeszcze ta głowa. To było koszmarnie uczucie, płynąć w dół przełyku owada. Wszystko widziała, rozumiesz? Jeszcze żyła.

– Ta Wren? – zapytała nieobecny głosem zapatrzona w obraz na ścianie Diana. Wynurzyła się z vivo zaraz po Bathorym, nie mogąc znieść przerażenia, które wypełniało jej sobowtórkę. Stąd martwiła się tylko o Johna, tam przepełniała ją panika i błagania o życie. „Proszę, nie umierajmy, proszę, proszę”, huczało w głowie wspomnienie. „Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie”. I napięte do granic bólu mięśnie.

– Tak, komendantka – odpowiedział Bathory. – Jestem wykończony. No i to umieranie!

Zanurzył usta w szklance i skrzywił się.

– I, rzecz jasna, martwię się o nich – dodał, spostrzegając pogardliwe spojrzenie Diany. – Bardzo.

Powróciła wzrokiem do widoku na Heathrow i zamarła. Miejsce dotychczasowego skupienia i niezrozumiałego spokoju na porytej głębokimi zmarszczkami twarzy Lennona zajął grymas bólu.

– John! – Diana jęknęła i osunęła się na fotel, wpatrzona rozwartymi szeroko oczami w rozgrywającą się w innym świetle scenę.

Na dzinsie spodni Anglika rozkwitała szkarłatna, kwiecista plama.

– Muszą się zatrzymać – powiedział Bathory. – Trzeba go opatrzyć i wsadzić do kadzi. Inaczej się wykrwawi.

– Miałeś go wysłać nad morze – szepnęła Diana.

– Wysłałem, przysięgam. Naprawdę wysłałem.

– Ale są na lotnisku. A zaraz ta rakieta...

Zamilkła, zapatrzona w ekran, na którym do pogoni dołączył jeszcze jeden uczestnik: srebrzysty pojazd o zwierzęcych kształtach. Pędził przez łąkę pewnym i równym torem, jak gdyby unosił się ponad usianą króliczymi norami i innymi dziurami ziemią.

Pojazd zrównał się z modliszką i przez dłuższą chwilę wydawał się razem z rakieta i trzmielami sprawozdawczymi wykonywać niewykonalne zadanie pozostawania we względnym bezruchu przy jednoczesnym utrzymywaniu ogromnej prędkości.

– Słyszałaś? – zapytał Bathory. – To ćwierkanie.

Whitmore kiwnęła głową.

– Coś się dzieje. Coś się zaraz stanie – powiedziała drewnianym, martwym głosem. W tym samym momencie kopuła pojazdu niczym olbrzymi kwiatowy pąk rozłożyła trzy olbrzymie płatki, układając je w kształt, który Dianie przywiódł na myśl nadstawioną dłoń. Jednocześnie karamodliszka obróciła się na lewy bok (lewą burtę, pomyślał Bathory, sam dziwiąc się temu określeniu) i drgnęła, delikatnie zrzucając pasażerów w otwartą dłoń srebrzystego pojazdu. Natychmiast potem zmieniła tor lotu, zawracając ciasnym łukiem i ciągnąc za sobą rakiety.

Obraz na ścianie rozdzielił się jeszcze bardziej, ukazując już nie tylko van Drumle'a, który rozpałał kolejne świece pomimo otaczających go trzech czarnych metalowych pajaków, ale i srebrzysty pojazd. Po przerwaniu z ogromnym impetem ogrodzenia lotniska umykał, według automatycznego sprawozdawcy, najkrótszą drogą do wjazdu na autostradę A3, wiodącą do Portsmouth. Jeden z widoków poświęcony był krzątaniu przy bezgłowym korpusie Jennifer Wren, do którego dotarły już nie tylko automaty medyczne, ale i pierwszy pojazd policyjny. Rakieta, uparcie śledząca modliszkę, choć najwyraźniej niezamierzająca w nią na razie uderzyć, ukazana była z nieznanym Dianie powodów aż z trzech perspektyw. Przy krawędzi ściany pączkowały też miniatury dostarczane przez trzmiele, śledzące tych nielicznych uczestników zgromadzenia przed bramą awaryjną 203, którzy nie zostali jeszcze otoczeni policyjną eskortą.

– Widzisz, Diano, jadą nad kanał – powiedział z uśmiechem Bathory. – Wszystko będzie dobrze i dokładnie tak, jak chciałaś.

– Zażądałeś Portsmouth, tak? – zapytała Whitmore. – Co mu jest? Co się dzieje?

– Podłącz nas do pojazdu z widoku siódmego! – polecił Bathory.

– Niestety, pojazd jest prywatny, a dostęp ściśle zastrzeżony – odpowiedział asystent vivo. – Wystąpić o pozwolenie?

– Nie. Po prostu wepnij mnie tam, zupełnie – wtrąciła się Diana. – A tobie, Karolu, radzę się dowiedzieć, gdzie przebywa ten cały Redds czy Smith. Bardzo potrzebuję zrobić mu krzywdę. Bardzo.

Zanurzyła się.

John cierpiał. Pasażerka pojazdu, który przemawiał delikatnym kobiecym głosem, zatamowała według jego wskazówek krwotok opatrunkiem z apteczki.

– Musi się jak najszybciej znaleźć w kadzi. Stracił mnóstwo krwi – powiedział pojazd, który przedstawił się jako NicIchNieObchodzimy, co było najdziwniejszym imieniem, jakie Diana kiedykolwiek słyszała. – Na razie jednak musimy oddalić się od Londynu tak szybko i tak daleko, jak to tylko możliwe. Proszę się mocno trzymać.

Ostatnim słowom towarzyszył wstrząs zderzenia z barierką oddzielającą łąkę od pasa prowadzącego na autostradę.

– To nic nie daje – szepnął Lennon. – I tak zawsze pobiorą opłatę.

Arthur Smith nigdy wcześniej nie miał okazji być karamodliszką.

Czuł się wspaniale, nawet pomimo płytkich ran po pociskach pulsujących bólem, który dla Aldiego Od był niemal identyczny z chrzęstem przeżuwanego surowego karczocha. Napinanie i rozluźnianie potężnych mięśni trzydzieści razy na sekundę przynosiło satysfakcję, której dorównywała jedynie osiągnięta przez kopulujące w Drumlofcie smoki. I być może ta, która cały czas go jeszcze przepełniała: z podłączenia się i zupełnego przejęcia istoty nie tylko niezarejestrowanej w systemie – co byłoby banałem z podręcznika dla hakerów – ale przede wszystkim pochodzącej z zupełnie innego świata.

Oczekując na transfer, zastanawiał się nawet, czy potrafiłby przedstawić laikowi istotę i złożoność czynności, które musiał wykonać, aby skierować połowę swojej świadomości do pseudoalmy owada o nieopisaną w katalogach strukturze. Elegancja, z jaką wpiął się w Twarde Jajo Królowej Aldony Odkąd Śpi, wzbudziła z pewnością zazdrość wielu kolegów po fachu rejestrujących jego aktywność, aby potem karmić i uczyć zapisem swoje demony i akcesory. Drugą półkulę podłączył do van Drumle'a. Smitha zaskoczyła początkowo spokojna cierpliwość, z jaką tamten po prostu czekał, aż dusza Alskoppa w końcu się podda. Holender nie był zdesperowany, nie odgrywał bohatera, nie udawał, że wszystko jest w porządku. Po prostu trwał, próbując opanować panikę, jaką wzbudzał otaczający go kordon pająkowatych maszyn policyjnych.

Dyskretnie szukając wytłumaczenia niezrozumiałego zachowania Holendra, Smith odnalazł je w końcu w pamięci głębokiej: pieśń o czterech ziołach nie była wcale potrzebna do przeprowadzenia rytuału. Podobnie jak ołtarz, przekonanie o niezłomnej sile tysięcy dusz czy inne dyrdymały. Wystarczyć miał zapach ziół unoszący się ciepłymi strużkami w spokojnym wieczornym powietrzu i subtelnie omywający podrygującą kulę. Gdyby nie wściekłość Wren, spowodowana wybrykiem Humlaina, być może wszystko potoczyłoby się właściwym torem. Dlatego jedynym wyjaśnieniem zachowania van Drumle'a było podejrzenie, że ktoś mógłby podsłuchać jego myśli. Być może Holender nawet domyślał się, że jest bohaterem vivo. Że ktoś może być podłączony do jego świata i podsłuchiwać jego myśli. Van Drumle usiłował nie dopuścić do swojej świadomości prawdziwej natury rytuału.

Smith przejął panowanie nad karamodliszką, bowiem jedyny z wariantów, oceniony przez usługi symulacyjne jako wykonalny, założył odwrócenie uwagi policji innym przestępstwem na czas wystarczająco długi, aby van Drumle dokończył rytuał i wykazał jego skuteczność bądź zupełną nieprzydatność. Jedno i drugie byłoby wartościowym faktem dokładającym wcale dużą cegiełkę do teorii, którą Smith roboczo nazywał teorią faktyczności vivo, choć po cichu liczył na nazwanie jej kiedyś jego imieniem. Zjawisko przeniesienia właściwości duszy stworzenia byłoby potwierdzeniem ogólniejszego twierdzenia o niezmienności właściwości materii przy transferze ciała, w czym vivo odgrywało podstawową rolę, tkając włókna macierzy budującej relacje przestrzenne, energetyczne oraz informacyjne pomiędzy światami.

Szeroka pętla, którą owad zatoczył po zrzuceniu Lennona i Whitmore, zaprowadziła go z

powrotem w pobliże duszy Alskoppa. Smith postanowił wylądować w odległości pół kilometra od van Drumle'a, aby pozbawić Holendra tytułu najłatwiej osiągalnego celu operacyjnego. Zmieniłyby się wtedy wagi decyzyjne automatów, które przegrupowałyby się, aby otoczyć kordonem modliszkę. Van Drumle musiałyby jedynie przypilnować ołtarza i ziół. Nie kluczając zatem i nie manewrując, Smith skierował się prostą drogą do upatrzonego wygodnego miejsca, możliwie oddalonego od wszelkich urządzeń, aby uniknąć podejrzeń o usiłowanie sabotażu i wyraźnie okazać pragnienie poddania się.

Być może rakietą obdarzona była większą autonomią, niż się spodziewał, być może kompromis kierownictwa lotniska, mediów i policji polegał na zaspokojeniu potrzeb uli medialnych relacją ze strącenia morderczego owada. Dość, że plan działał jedynie przez około dziesięć sekund.

Prześladowca dopadł Twarde Jajo Królowej Aldony Odkąd Śpi, kiedy owad zdążył już obniżyć lot. Pancierz pod ciosem silnym niczym uderzenie młota bojowego pękł wzdłuż całego ciała, od nasady lewych skrzydeł aż po oko. Smith zagryzł zęby z bólu, który szarpał owadem, przeszywając palącym uczuciem i smakiem gorzkich ziół. Stracił orientację, gdzie znajduje się niebo, gdzie ziemia, wszystko pociemniało, jak gdyby oczy karamodliszki ktoś przesłonił gęstym czarnym woalem. Położone pomiędzy przednimi odnóżami pojedyncze ucho nadsyłało spazmatycznie poszarpane informacje o przenikliwie wysokich dźwiękach, które zdawały się dochodzić zewsząd.

Wreszcie szamoczące się dotąd w rozpaczliwych uderzeniach lewe skrzydło opadło bezwładnie. Aldi Od, wirując i na próżno uderzając sprawnym skrzydłem, runął w dół, za nim zaś rakietą, której najwyraźniej nie usatysfakcjonowało obezwładnienie i okaleczenie ofiary. Z furją zawróciła po ciasnym łuku i ponownie trafiła cel dokładnie w momencie, kiedy ten uderzał o ziemię. Tym razem najwyraźniej uznała, że warto wybuchnąć.

Ziemia zadrżała, jak gdyby ktoś zrzucił na nią piętrowy budynek.

Aldi Od zapłonął niczym gałązka wrzucona do ognia i zmienił się natychmiast w poczerniały, skurczony węgielek, który zatlił się i rozjarzył czerwonym blaskiem, kiedy gorące gazy uniosły się wysoko, zasysając nową porcję tlenu.

Smith zdusił krzyk cierpienia, usiłując utrzymać koncentrację na van Drumle'u, który opadł na kolana, rzucony falą uderzeniową, i z trudem powstrzymał się od panicznej ucieczki.

– Muszę ustawić na nowo świeczki, muszę nasypać resztę ziół! – zagadywał palący ból poparzonych gorącym podmuchem pleców.

Uwolnioną od karamodliszki półkulę Smith dodał do połączenia z van Drumle'em, którego dotykała coraz grubsza, długa macka spływająca z kuli. Czuł nacisk penetrującej umysł duszy Alskoppa, jej rozedrganie i ślepe obmacywanie nowego środowiska. Zdawała się mlaskać i ślinić, drapać chropowatym językiem i przesuwac po wnętrzu Holendra opuszkami pokrytymi zrogowaciałą skórą. Chrząst, szept i szelest panoszyły się w świadomości niczym bolesne, natrętne wspomnienie.

Van Drumle spojrział wysoko na ciemnogrnatowy teraz balon. Rozkołysany falą uderzeniową zdawał się tańczyć niczym boja na morzu, usiłując wlec za sobą przywiązaną błękitną, mglistą liną ludzką kotwicę. Mdłości targające żołądkiem Holendra zdawały się naśladować skurcze, jakie przeszywały olbrzymią kulę. Najsilniejsze niemal go przepoławiały, słabsze tylko skręcały i ścisnęły.

Wreszcie falowanie ustało.

Chmura dymu ponad miejscem, w którym wybuchła rakietą, przyjęła postać wysokiego, smukłego grzyba zakończonego szerokim kapeluszem. Smithowi zdawało się, że słyszy płytkie,

bardzo jednak głośne westchnienie, jak gdyby ktoś tysiącrotnie wzmocnił ostatni, przedśmiertny wydech człowieka w agonii.

Potem niebo pojaśniało, a słońce zeszło na ziemię.

Van Drumle nie miał ostatniej myśli. Nie przemknęło mu przed oczami życie ani nawet jeden, wyjątkowy dzień. Zmienił się w obłok pary wodnej, który pierzchł pod ciśnieniem eksplodującego gazu. Czarna gęsta maź, w którą przeobraził się w mgnieniu oka grunt i trzy metry luźnych skał pod terenem lotniska Heathrow, kipiała i pieniała się, jak gdyby ktoś lasował odkrywkową kopalnię czarnego wapna palonego.

Po trzydziestu sekundach skłębiona chmura o temperaturze tysięcy kelwinów dotarła do Londynu, burząc w furii wszystkie budynki na zachód od Parlamentu.

Trzy minuty później fala uderzeniowa, osłabiona dystansem dwustu mil, zakołysała pojazdami wjeżdżającymi autostradą A3 do Portsmouth, w tym NicIchNieObchodzimy z trójką pasażerów.

Dokładnie tak, jak przewidywał Arthur Smith, który zemdlony osunął się w fotelu vivo, dusza Alskoppa zachowała w czasie transferu wszystkie swoje właściwości.

– Proszę państwa, za cztery minuty wjedziemy do Portsmouth – oznajmiła NicIchNieObchodzimy. – Gdyby nie powaga sytuacji, zaprosiłabym was na wycieczkę po tym pięknym, starym mieście, którego korzenie sięgają czasów sprzed przybycia Rzymian. W tym wypadku jednak proponuję udać się natychmiast do najbliższej stacji ratunkowej i zająć się panem Lennonem. Prowizoryczne opatrunki i środki przeciwbólowe nie zastąpią kadzi regeneracyjnej.

– Nic nam już nie grozi? – zapytała z nadzieją Diana Whitmore, ściskając rękę śmiertelnie bladego Lennona.

– Jeśli pyta pani o wybuch, to nie. Udało się nam go przetrwać bez uszkodzeń. Za to zachodni Londyn został w dziewięćdziesięciu trzech procentach zniszczony w stopniu wykluczającym możliwość odbudowy.

– Nie nazwałbym tego natychmiastową karmą – szepnął Lennon – ale trzeba przyznać, że należało się nam.

Wyobraźnia podsunęła Lizie obraz zrównanych z ziemią, wypalonych zgliszcz z opowieści jej ojca o nalotach na Drezno. Zacisnęła powieki, ale widok nie zniknął.

– Jak daleko do stacji ratunkowej? – spytała.

– Cztery minuty – stwierdziła NicIchNieObchodzimy. – Najwyższy czas. Pan Lennon nie jest już młodzieńcem.

– Jeśli rozmawiacie o mojej odbudowie, z góry odmawiam. – Lennon spojrzał na Dianę i zamilkł na dłuższą chwilę, zbierając siły. – Wybaczcie patos, ale to jedno łączy mnie z miłościwiem nam panującym: nasz czas dawno już przeminął.

– John! – krzyknęła Diana. – Nawet tak nie mów.

– Zawsze chciałem to powiedzieć.

– Za trzy dni będziesz czuł się dobrze!

– Za trzy dni planuję mieć od trzech dni święty spokój.

Odetchnął z trudem i ułożył kąciki oczu w wątlę, zmęczony cień uśmiechu.

– Proszę, John. – Czoło Anglika pod dłonią Diany wydawało się obciążone suchym, chropowatym pergaminem. – Zaraz położymy cię do kadzi. Wszystko będzie dobrze.

Whitmore nie wiedziała, czy pokręcił głową, czy tylko pozwolił jej zakolysać się w rytm łagodnego wyboju.

– Pojedźmy po prostu nad morze i posłuchajmy, jak szumi. Możecie coś zaśpiewać, byle nie Scarborough Fair. Przejadło mi się – powiedział i zamknął oczy. – Za dużo już widziałem. Życie powinno być złudzeniem. Kiedy zajrzysz za kulisy, nawet cynizm zmienia się w banalną szczerłość.

On umiera, pomyślała Diana.

Umiera i majaczy.

– Musimy coś zrobić – szepnęła do Lizy, która patrzyła na Lennona z niepokojąco wyraźnym zrozumieniem wymalowanym na twarzy. – Może nas pani zawieźć do stacji ratunkowej? Albo wezwać pomoc? Błagam...

– Czy moglibyście zacząć mnie traktować jak przedmiot, dopiero kiedy już nim będę? – zapytał cicho Lennon, nie otwierając oczu. Wargi miał suche i białe, twarz bladą i nagle wychudzoną. – Za godzinę będziecie mogli mnie nawet wozić w bagażniku, ale na razie pojedźmy na plażę, klify czy co tu mają. Uprzejmie proszę.

– Mój ojciec prosił, żebym przestała wszystkich przepraszać, dlatego po prostu powiem, co myślę – powiedziała Liza, wpatrując się w szybę, za którą przepływały pierwsze zabudowania Portsmouth. – Mieszka w Forever. Popęłnił tam samobójstwo, a ja zdecydowałam się przywrócić go do życia. Dla mnie, nie dla niego. Zażądał, żebym drugi raz tego nie zrobiła.

– Jedźmy nad morze – powiedziała po chwili Diana. – Czuję się przegłosowana, choć potem będę żałować. Jestem tego pewna.

NicIchNieObchodzimy łagodnie zmieniła pas i zaraz odbiła w lewo, podążając wąską dwupasmową drogą.

– Siedem minut do miejsca z widokiem na zabytkową latarnię morską – oznajmiła. – Natężenie ruchu znikome.

– Wybornie – szepnął Lennon i westchnął. – I piwo poproszę do tego. I jeszcze jeden plasterek, bo znowu zaczyna mnie boleć.

Zaparkowali tuż nad klifem.

Diana z Lizą ułożyły dłonie w krzeselko według instrukcji NicIchNieObchodzimy i zaniósł Lennona na ławkę.

Jest taki lekki, pomyślała Liza. Jakby miał kości puste w środku.

– Napiją się panie ze mną? – zapytał Lennon.

Diana nie odpowiedziała, przełykając tylko łyż. Nie miałby siły nawet utrzymać szklanki, pomyślała.

Liza pokręciła tylko głową, ale wstała, żeby przynieść piwo z niszy pojazdu.

Kiedy sięgała po szklankę, usłyszała krzyk.

Zmrożona, zastygła w nadziei, że złe przeczucie rozwieje się w śmiechu albo przynajmniej pełnym ulgi westchnieniu. Zamiast tego, razem ze szlochem i płaczem Diany, zmieniło się w ciemną, gorzką pewność.

Oparła się, nagle bez sił, o chłodny korpus NicIchNieObchodzimy. Odbite w lustrzanej bani kabiny, tonące w Kanale słońce wydawało się zimne i bezduszne.

Nic ich nie obchodzimy, pomyślała Liza. Zupełnie nic, ani trochę.



– Miał uciec nad morze! – Diana Whitmore powiedziała lodowato. – Myślałam, że wiesz, co znaczy słowo „uciec”?

Bathory nie odpowiedział. Szukał w pamięci czegoś o ubezpieczeniach w Fable, ale był niemal pewien, że podciągną pod pieprzoną duszę smoka wszystkie wyłączenia odpowiedzialności, jakie tylko znajdą, choćby dotyczyły plonów zniszczonych powodzią trzy lata później. A tym bardziej śmierci w czasie ucieczki przed policją strzegącą strategicznego obiektu użyteczności publicznej.

– Jakim cudem ich zgubili? – wyrwało mu się na głos.

– Kto taki? – Diana wbiła spojrzenie głęboko w jego czoło, usiłując powstrzymać się od zrobienia czegoś nierozsądnego i nieodwracalnego.

– Policja. Uciekali przecież z miejsca przestępstwa, goniły ich dwa drony, a potem ruszył w pościg patrol drogowy. Dwadzieścia kilometrów później byłoby po pogoni. Gdyby ich zatrzymali, na pewno odwieźliby Johna do stacji ratunkowej.

– W Londynie! – zachnęła się Whitmore. – Z dwojga złego lepiej siedzieć na ławce nad klifem niż...

Jej głos załamał się. Skryła twarz w dłoniach i oddychała najgłębiej, jak potrafiła.

– Pytałaś o Reddsa – zaryzykował Bathory, byle tylko przerwać coraz bardziej niepokojącą ciszę.

– Co z nim?

– Mam adres, pod którym jest zameldowany.

– Co z tego? Ja jestem u mojej matki w Bath.

– Bath? – wyrwało się Bathoremu.

– Tam była mniejsza kolejka, kiedy wprowadzili obowiązek meldunkowy. Coś jeszcze cię interesuje?

Bathory przełknął wyzwanie i spuścił wzrok.

– To adres, spod którego włączał się do vivo – powiedział. – W każdym razie londyński adres. Wygląda na to, że już nigdzie dalej nie mostkuje. Być może żeby nie zmniejszać przepustowości łącza.

– Co to znaczy, że nie mostkuje?

– Że być może tam właśnie jest. Choć nie ma oczywiście pewności.

– Ale może być?

Bathory kiwnął niechętnie głową.

– Dopiero teraz mi to mówisz? – Diana zerwała się z fotela. – Jedziemy!

– Teraz? Nie masz butów – rzucił Bathory. Nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Najchętniej wezwałby policję, ale zanim przekonali by kogokolwiek, że Redds stoi za sabotażem w komercyjnym, rentownym vivo, facet mógłby się już dawno ulotnić.

– Bardziej mnie martwi, że nie mam rakiety taktycznej albo chociaż granatu. – Nalała sobie ginu i z donośnym brzękiem odstawiła butelkę na metalowy stolik. – Słyszałam kiedyś o koktajlach jakiegoś Ruska. Wiesz, jak to się robi? Ponoć coś z pustych butelek. Mam sporo.

– Trzeba mieć jeszcze benzynę i szmaty – powiedział Bathory, patrząc, jak Diana opróżnia duszkiem szklanę.

– Nie wiem, co to jest benzyna, ale szmat mam aż nadto. – Otarła usta ręką. – Możemy już skończyć to pieprzenie? Potrzebuję kogoś zabić.

– Diano, zostawmy wymierzanie kar sądom. – Bathory jęknął błagalnym tonem. – Pojedźmy tam, dokonajmy aresztowania obywatelskiego i już.

– To będzie obywatelski lincz. – Whitmore rozejrzała się po stoliku, sięgnęła po chromowany szpikuliec do lodu i wsadziła go do torebki. – W afekcie. Każdy sąd mnie uniewinni. Gotowy do drogi?

Bathory potrząsnął głową i ruszył do drzwi. To nie mogło się dobrze skończyć.

– Panie Bathory – odezwał się kamerdyner, kiedy wsiedli do samochodu. – Wynajęte przez pana psy gończe dotarły do kolejnego etapu połączenia Arthura Smitha.

– Gdzie? – zapytał Karol z ulgą. Obstawiał St. Petersburg, ale równie dobrze mogła to być Osaka. Ważne, żeby nie w Londynie i żeby mogli ograniczyć się do wizyty w pustym mieszkaniu, którego zdemolowanie pozwoli Whitmore zaspokoić na jakiś czas potrzebę zemsty.

– Tutaj. W pana domu.

– Skurwysyn! – warknął Bathory. – Naprawdę tam jest?

– Tak, proszę pana.

– Masz dwa tysiące na priorytety, ale musimy tam zaraz być! I natychmiast anuluj wszystkie certyfikaty, którymi się legitymowałeś, wchodząc!

– Mam poinformować policję o wtargnięciu?

Bathory już otwierał usta, aby potwierdzić, ale napotkał wzrok Diany Whitmore i domyślił się, że jeśli odbierze jej choćby nikłą szansę zamordowania Smitha, sam zajmie jego miejsce.

– Nie – powiedział. – Na pewno zaszło nieporozumienie. Wszystko wyjaśnimy.

Diana Whitmore oddychała głęboko, sycąc się słodką wizją wyjaśnienia wszystkiego Arthurowi Smithowi. Szpikulcem do lodu. Prosto do głowy, choć może lepiej najpierw w udo. Żeby mocno, mocno cierpiał, dokładnie rozumiał i na długo zapamiętał.

– Czemu nie ruszamy? – spytała, zorientowawszy się, że cały czas stoją przed jej domem.

– Nie mam pojęcia. Co się dzieje? – zapytał Bathory asystenta.

– Wszystkie certyfikaty pana pojazdu zostały anulowane. Według policji zgłosił pan kradzież, kwadrans temu.

– Skurwysyn. Mogłem się tego spodziewać.

– Mam anulować zgłoszenie?

– Najpierw zamów mi taksówkę! – krzyknął Bathory. – Natychmiast. Muszę tam być za kwadrans, rozumiesz? Jesteśmy przed bramą domu pani Whitmore. A teraz nas wypuść!

Wysiadł.

Potrzebował przeklinać i wrzeszczeć.

Potrzebował się napić, byle nie ginu z tonikiem.

Potrzebował być zupełnie gdzie indziej. Zapomnieć o Johnie Lennonie, Dianie Whitmore i smokach z Drumloftu. Potrzebował...

– Idziemy? – Diana pociągnęła go za rękaw.

– Czekamy na taksówkę.

Pokazała dłoń. Przed bramą stał samochód. Wyglądał trochę jak szklana winda z Hyatta nad Tamizą, którą ktoś położył na boku, ale trudno było wybrzydząć.

Kiedy wyszli przed bramę, drzwi czekały już uniesione.

„Jak skrzydła”, pomyślał Bathory.

– Bathory – przedstawił się. Wolał nie komplikować jeszcze bardziej swojej sytuacji, kradnąc taksówkę któremuś z sąsiadów Diany.

– I panna Whitmore. Do Hunslow. Z maksymalnymi priorytetami – powiedziała taksówka srebrzystym altem. – Nazywam się JasnyPoranekDżajpuru i będę państwa gospodarzem przez najbliższe dwadzieścia dwie minuty. Oczekiwany czas przybycia piętnasta czterdzieści siedem. W niszy znajdują państwo napoje chłodzące i swarn.

– To lubię. – Diana uśmiechnęła się samymi ustami. – Jasno, krótko, precyzyjnie. Oby tak do końca.

Bathory rozważył przez chwilę stosowność poproszenia o whisky, w końcu jednak zrezygnował. Miał przeczucie, że w odpowiedzi od popieprzonej taksówki otrzymałby tylko drwinę.

„Niechże tylko ten dzień się skończy”, pomyślał. „Niechże już będzie po wszystkim”.

Humlaina przebudził przenikliwy krzyk. Potem nastąpiło uderzenie w pierś. I jeszcze jedno, zanim spowolniony sennością odruch pokierował prawym ramieniem.

Pięść trafiła w powietrze, wypełnione nagle łopotem skrzydeł.

„Mewa albo rybitwa.”, pomyślał krasnolud. „Myślała, że trup”.

Świeży, rybi zapach.

Słone, wilgotne powietrze.

Głęboki chłód pod plecami.

„Jestem na plaży”.

Otworzył oczy. Tylko w Drumlofcie niebo było tak błękitne, że aż słodkie. Uśmiechnął się, rozcierając w palcach grudkę mokrego piasku.

Wspomnienie snu, w którym metalowe ptaki niosą go skutego do budynku ze szkła, żeby przesłuchać na okoliczność złapania za nogę chudej kobiety w czarnej sukni, rozbawiło go, aż parsknął śmiechem, ale też przeszło dreszczem. Wyspa, na którą trafił we śnie, odległa była od lądu o dwie godziny lotu karamodliską. Babka Humlaina była śniarką i cała wioska przychodziła do jej groty po wróżby.

Nigdy się nie pomyliła. Ani razu w ciągu stu siedemdziesięciu trzech lat życia przerwano w końcu trzęsieniem ziemi, które zmusiło Humlaina do porzucenia pogrzebanej pod lawiną rodzinnej wioski i rozpoczęcia wszystkiego od nowa w mieście.

Czy wyspa, którą wyśnił, mogła gdzieś istnieć naprawdę? Czy to tam mieszkał Drumle? Czy olbrzymi wybuch duszy Alskoppa, którego podmuch zdmuchnął krasnoluda z powrotem na plażę w Drumlofcie, mógł zabić stwórcę świata, odprawiającego modły pod lśniąca, przerażającą kulą płynnej smoczej wściekłości?

Właśnie tak zakończył się sen o wyspie stali i szkła: śmiercią Drumle'a w sięgającym nieba płomieniu, tak jasnym, że aż białym.

– Opowieści starych bab – powiedział hardo Humlain, żeby odgonić niepokój.

Ziewnął solidnie i krasnoludzkim skokiem stanął prosto na równe nogi.

Plaża, na której się przebudził, przypominała tę, na którą zawiozła go karamodliska. Piasek usłany był odpoczywającymi fokami: tłustymi samcami, mniejszymi samicami i, co najważniejsze, młodymi cielaczkami o delikatnym, soczystym mięsie.

Przetarł kułakiem zaspane oczy, żałując, że nie widzi nigdzie karamodliski, do której siodła przytroczył swoją podróżną sakwę. Z jakim smakiem napiłby się teraz zbożowej kawy, zagryzając ją kromką pieczonego na chrupko chleba! Uspokoiłby przed polowaniem burczący z głodu żołądek, który zamiast tego będzie musiał poczekać i zadowolić się gorącą wątrową – rarytasem wprawdzie, ciut jednak przyćmówionym jak na śniadanie, nawet dla krasnoluda.

Sięgnął po nóż przytroczony do pasa, ale nie mógł go namacać.

Nieprzytomnie gapił się na foki, zastanawiając się, gdzie mógł podziąć zgubę.

Wreszcie zrozumiał.

Nóż zabrali mu ludzie w czarnych, miękkich zbrojach.

Wyspa z metalu i szkła nie przyśniła mu się.

Spoczywające na piasku zwierzęta nie były wcale fokami, ale ludźmi ubranymi w gęste futra. Leżeli pokotem, jak gdyby również powaleni potężnym podmuchem.

Na jednym z nich, leżącym na brzuchu z twarzą w wilgotnym piachu, przysiadła mewa, jak przed chwilą na Humlainie.

Nie zareagował.

Czyżby topielec?

Ptak przekrzywił głowę, jak gdyby również rozważał tę możliwość, następnie zaś wymierzył solidny cios dziobem prosto w kudłatą głowę.

Rozległ się stłumiony okrzyk bólu i wściekłości. Ptaszysko odfrunęło, a okrutnie potraktowany nieszczęśnik złapał się za zranioną potylicę. Przez chwilę pojękiwał, w końcu jednak, podpierając się rękami, przyklęknął. Umazaną piachem twarz miał brodatą i bladą. Rozcierał bolesne miejsce, rozglądając się pustym spojrzeniem.

W końcu jego spojrzenie trafiło na Humlaina.

– Krasnolud! – krzyknął. – Prawdziwy!

Humlain wziął trzy głębokie oddechy, jak tego uczono na kursie panowania nad złością w gminnym urzędzie pracy.

– Gdzie jesteśmy?! – zawołał znowu brodacz, powstając na nogi.

– Na plaży! – odparł krasnolud. Nie ufał nigdy brodaczom i miał ich zawsze za skrywających za zarostem upośledzenie tej czy innej natury. Nie wyglądało na to, żeby miał właśnie okazję pozbyć się uprzedzeń.

– Ale w jakim kraju!? – Brodacz, niespieszony, podszedł bliżej. Kartoflany nos i niskie czoło zdawały się potwierdzać tezę Humlaina.

– W Drumlofcie, oczywiście. Gminy nie znam, ja nietutejszy.

– Ja pierdołę! Drumloft! – wrzasnął tamten. – Ja pierdołę! Juhu!

Tym razem krasnolud potrzebował aż siedmiu oddechów. Nie stawał na baczność, gdy ktoś wymieniał nazwę jego ojczyzny, jednak wulgarne słowa zdecydowanie nie powinny były padać razem z tym najwznieślijszym. Przyszło mu do głowy, żeby zdzielić brodacza w nos, ale ograniczył się w końcu do zmierzenia go wzrokiem niosącym tak wiele pogardy, ile tylko dało się upchnąć w krótkim spojrzeniu.

– Ludzie, jesteśmy w Drumlofcie! – wrzasnął brodacz. – Naprawdę, nie w jakimś vivo!

Kilka ciał drgnęło.

„Zaczynają się budzić”, pomyślał Humlain. „Nie chcę słuchać tego, co będą z radości krzyczeć. W każdym razie dopóki nie dotrą wszyscy do Angeles Los”.

Odwrócił się i wymijając leżących pod nogami ludzi, ruszył przed siebie plażą. Jeśli dobrze rozpoznał miejsce, w którym się znajduje, za parę dni powinien dotrzeć do miasta.

Może szybciej, jeżeli napotka jakiś wóz i dobrych ludzi.

Zresztą może po drodze rozmyśli się jeszcze i pójdzie w góry?

Liza Trommer siedziała oparta plecami o NicIchNieObchodzimy i patrzyła w popołudniowe niebo zasnuwane gęstymi, niskimi chmurami. Co chwilę rozświeślały je złote poblaski, jak gdyby ktoś wyżej bawił się zapalkami.

– To powracają kamienie, które wybuch posłał w kosmos – powiedział motocykl. – Nie w każdej katastrofie jest tyle piękna.

– Czym tak naprawdę to wszystko jest? – zapytała Liza.

– Kosmos?

– Całe życie. Jaki to ma sens? Skoro mój ojciec zawsze był pewien, że żyje prawdziwym życiem, podczas gdy ja wiedziałam, że mieszkał w Forever, to może i ja jestem tylko statystką w czyimś domu spokojnej starości? Może i ten świat to tylko vivo? A może mój ojciec naprawdę żył? Może vivo jest tak samo prawdziwe jak mój świat?

– Czy to coś zmienia?

– Zawsze wierzyłam, że to ja odpowiadam za swoje czyny. Że dokonuję wyborów. A skoro ja mogę nakładać więzy na świat mojego ojca, ożywić go na nowo, może i na mój świat ktoś może coś założyć? Zabić mnie? Ożywić? Moje wybory wcale nie muszą być moimi!

NicIchNieObchodzimy milczała, lecz Liza miała wrażenie, że potakuje bezgłośnie.

– A może po prostu jeszcze jestem komuś do czegoś potrzebna? Jak pielęgniarki w domu ojca – ciągnęła. – Może jestem tylko marionetką? Skąd mam wiedzieć, czy kiedyś i ja nie wyjdę do prawdziwego świata na chwilę, żeby zaraz potem wrócić do tego tutaj. Do snu, złudzenia czy cokolwiek to jest?

– To tylko to, co akurat myślisz. Tydzień temu myślałaś, że jesteś pełna wolnej woli i zupełnie nie wiedziałas, co zrobić z życiem. Teraz wiesz, że ludzie w vivo żyją naprawdę, choć nie wszystko, co tam się dzieje, wynika z ich wolnej woli. Kto wie, czego dowiesz się jutro?

Liza jęknęła.

Wbiła paznokcie we wnętrza dłoni, ale ból ranionej skóry wcale jej nie otrzeźwił.

– Czym tak naprawdę jest to wszystko? – powtórzyła. – Te światy w światach i jeszcze głębiej? Spleśniałe Niemcy w Forever? Mój ojciec tutaj? Jak to wszystko możliwe?

– Nie istnieje dobra odpowiedź na to pytanie – odparła cierpliwie NicIchNieObchodzimy.

– Czemu?

– Bo to ludzkie pytanie. Zadane ludzkim językiem, pomyślane ludzkim mózgiem, który żyje tu, w tym świecie. Próbujesz oblec w słowa wątpliwości na temat czegoś, o czym nawet nie potrafisz głębiej pomyśleć.

– Masz na myśli te światy w światach?

– Nie powiem ci, co mam na myśli, bo na to nie ma słów. Wybacz, Lizo. Metafora światów zawierających się w światach jest tylko rozpaczliwym usiłowaniem ujarzmania przez twój mózg niezdolności zrozumienia tego, co ujrzałaś i w czym uczestniczyłaś. Pojęcia takie jak przyczyna, czas czy wolna wola są tylko sposobem opisu świata, do którego ludzie i ich przodkowie dostosowywali swoje mózgi i całych siebie od milionów lat. Jesteście kosmitami i tylko o

kosmosie mogliście i będziecie mogli rozmawiać. To, że możesz nałożyć więzy na inny świat albo przenieść się do innego vivo całą sobą, jest tylko kosmicznym cieniem.

– Cieniem czego?

– Tego, co istnieje naprawdę – odparła NicIchNieObchodzimy. – Ale nawet „istnieje” i „naprawdę” to tylko ludzkie słowa, nalepki na świat. Cienie słów, których użyto by do rozmowy o tych sprawach we właściwym języku, o ile oczywiście „język” i „rozmowa” są cieniami czegokolwiek. Sama widzisz, że nawet nie ma jak o tym rozmawiać.

– Co mam zatem zrobić? – Liza czuła się, jak gdyby rzucała pytania wprost w niebo. Nie oczekiwała odpowiedzi, a jednak otrzymywała je, jakkolwiek enigmatyczne i niewiele wyjaśniające były.

– Bądź człowiekiem. Zastanawiaj się nad tym, co cię otacza, ale nie próbuj wychodzić na zewnątrz. Ryby nie opuszczają wody, rośliny nie usiłują żyć bez światła. Czytaj, szuj, jedz i spaceruj. Żyj naprawdę. Tylko tyle wiem. I tylko tyle mogę powiedzieć.

Liza chciała krzyknąć.

Przez te dwa długie dni nawiązała się pomiędzy nią a zakłętą w motocykl NicIchNieObchodzimy więź, jakiej nigdy nie osiągnęła nawet ze swoją matką. Dalej jednak czuła się samotna i uwięziona w ciele, myślach i uczuciach.

I w pytaniach, na które odpowiedzi okazywały się niezmiennie kolejnymi pytaniami.

Tak pewnie musieli się czuć klienci, którym wydawało się, że uszyty ręcznie garnitur rozwiąże nagle problem ich sylwetki, samopoczucia czy nieuleczalnej tęsknoty za dawnymi dobrymi czasami.

– Skoro znasz wszystkie odpowiedzi – powiedziała – to może wiesz, czy to wszystko tutaj też spleśnieje? Tak jak świat, który stworzył mój ojciec?

NicIchNieObchodzimy milczała, jak gdyby zagłębiała w głąb siebie w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Nie chcę spleśnieć – kontynuowała Liza. – Co jeśli komuś tam na górze mój świat przestanie być potrzebny? Co jeśli nikogo nie będziemy obchodzić?

– Kogoś będziecie.

– Kogo? – Liza odwróciła wzrok od gwiazd i spojrzała w ich odbicia w onyksowej, bezdennej kopule.

NicIchNieObchodzimy zdawała się uśmiechać.

Na krawędzi klifu błysnęła iskra. Po chwili ogniki pełzały już w górę wysokiego stosu. Liza chciała zanucić jakąś piosenkę skomponowaną przez człowieka, który leżał na jego szczycie, ale żadna nie przychodziła jej do głowy.

– Przekaż panu Exo, jeśli znowu zadzwoni, że nie chcę drugi raz ożywiać ojca – poleciła asystentowi. – O ile Forever jeszcze istnieje, oczywiście.

Zdusiła myśl, że Hans wolałby i swoje ciało powierzyć płomieniom.

Duszę być może też.

Mógłby spoczywać w spokoju.

– Jesteśmy na miejscu, drodzy państwo – szepnęła JasnyPoranekDżajpuru. – Czy mam na państwa zaczekać?

– Poczekaj, słodziutka – odparła Diana Whitmore z szalonym uśmiechem na ustach. – To nie potrwa długo.

Bathory biegł już do domu.

– Gdzie on jest? – zapytał kamerdynera. – W pokoju vivo?

– Tak, proszę pana.

– Cokolwiek ci wmówił, nie informuj go, że idziemy. Co robi?

– Leży w fotelu pod oknem. Jeszcze pięć minut temu sprawiał wrażenie nieprzytomnego. Mam próbować określić jego bieżący stan?

Bathory zignorował go.

Mac czekał na schodach w pozycji bogini Bastet, jednak ruszył żywymi podskokami na piętro, gdy tylko drzwi zamknęły się za Dianą Whitmore. Podążyła za nim, zmuszając Karola do przyspieszenia kroku.

– Nic nie rób pochopnie! – syknął Bathory.

– Jest intruzem w twoim domu, możesz go nawet zastrzelić – rzuciła Diana, wpatrzona w rudy koci ogon.

– Ale nie chcę. Za to chcę z nim pogadać. Może coś wie.

– Co to zmieni? – zapytała, stając przed drzwiami, o które Mac oparł się przednimi łapami. – To tu?

Bathory kiwnął głową.

Pokój wydał jej się w pierwszej chwili pusty, dopiero po chwili spostrzegła obute stopy wystające zza fotela vivo. Ruszyła z zamiarem ocucenia Smitha kopnięciem w goleń, jednak nie zdążyła. Nogi wyprostowały się, jak gdyby ich właściciel się przeciągał, i schowały za fotelem.

– Smith! – krzyknęła.

– Wszystko wyjaśnię, panno Whitmore – odezwał się skrzypiący, chropowaty głos. – Proszę mnie tylko wysłuchać

– Tym razem nie dostaniesz dziesięciu minut! Masz pół, dopóki nie będę gotowa!

Mężczyzna zdążył już powrócić do pozycji siedzącej, ale sińce pod oczami i nienaturalna bladość skóry świadczyły o skrajnym wyczerpaniu. „Wygląda jak jeden z tych uzależnionych, których po trzydziestu godzinach zanurzenia w vivo znajdują w kałuży moczu”, pomyślała Diana.

Smith z trudem przełknął ślinę, jak gdyby kosztowało go to mnóstwo cierpienia.

– Robiłem, co się da, daję słowo – wychrypiał. – Próbowałem powstrzymać tę Wren, ale dusza Alskoppa była zbyt silna. Do tego ktoś interferował, próbując przejąć połączenie. Potem wpiąłem się w karamodliszkę, żeby odwrócić ich...

– Co ma Alskopp do Wren? – przerwał mu Bathory.

– Wchłonęła jakieś dwa albo trzy procent jego duszy, tak oszacowałem. W trakcie nadzorowania operacji oczyszczania ulicy. Dlatego stała po stronie Alskoppa. Gdyby tylko



Humlain nie wyprowadził jej z równowagi, do tej pory pewnie robiłaby z siebie idiotkę trzymaniem tłumu z dala od Holendra, a ten pewnie by wygrał.

– Czemu idiotkę? – zainteresowała się zupełnie wbrew sobie Whitmore.

– W prawdziwym rytuale van Drumle’a chodziło wyłącznie o zioła. Reszta miała zmylić intruzów.

– Jakich znowu intruzów? Nie rozumiem – odparła zniecierpliwiona Diana – i przyznaję, że kończy mi się cierpliwość.

– Van Drumle domyślał się, że jego świat może być widoczny jako vivo z innego – powiedział Smith. – Wiedział, że nie tylko jego słowa mogą zostać podsłuchane, ale również myśli. Że gdyby ktoś wpiął się w niego i dowiedział, jaki jest prawdziwy rytuał, mógłby przeszkodzić w jego dopełnieniu. Dlatego tak długo wmawiał sobie te bzdury o sile tysięcy gardeł, aż sam w nie uwierzył. Jak ludzie, którzy kłamią tak skutecznie, że sami zapominają, jaka jest prawda.

– Kto miałby się wpiąć? Czemu miałby przeszkadzać? Po co? Żeby niszczyć pół miasta?!

Smith uśmiechnął się ironicznie.

– Vivo to rozrywka, droga pani. Wie pani, jak wiele powstało zapisów śmierci w tym wybuchu? Ostatnich wrażeń, myśli ludzi, którzy za moment dosłownie odparują?

– Skąd pan to wie? – zapytał Bathory, zerkając z niepokojem na Dianę. – To o van Drumle’u?

– Wpiąłem się do niego, kiedy zarówno Wren, jak i Aldi Od już nie żyli.

Bathory uniósł w zdziwieniu brwi.

– Po jaką cholerę, skoro wszystko i tak już przepadło? – zapytał.

– Chciałem przynajmniej odzyskać pieniądze, które pan i ja zainwestowaliśmy w próbę uratowania miasta – wyjaśnił Smith. – Myślę, że dostaniemy za to nagranie co najmniej sto tysięcy, z czego pięćdziesiąt z marszu pójdzie dla pana.

– Jak śmiesz kupczyć śmiercią Johna! – warknęła poblądła nagle do białości Diana. – Jak ci nie wstyd, gnido?!

– Robiłem, co mogłem! – Smith usiłował się cofnąć, jednak oparł się tylko o fotel.

– Ja też robiłam, co mogłam, żeby się powstrzymać. – Whitmore sięgnęła do torby. – Sami widzieliście, że robiłam.

– Diana, nie! – krzyknął Bathory, ale nie odważył się podejść bliżej. Jego klientka wyglądała na zdecydowaną użyć prowizorycznej broni przeciwko każdemu, kto wejdzie jej w drogę. – To nic nie da!

Smith zasłonił twarz dłońmi i zastygł, ale zanim padł cios, ognista kula wystrzeliła spod stóp gospodarza i uwiesiła się ramienia Diany. Krzycząc z bólu, kobieta upuściła szpikulec. Mac odpuścił i opadł na cztery łapy prosto pod jej nogi.

– Zdecydowanie odradzam – powiedział, wskoczywszy na oparcie fotela. – Nagrania monitoringu pozwolą adwokatom pana Smitha nie tylko na obronę, ale nawet na prawo do odszkodowania. Proponuję wezwać policję i oskarżyć go o wtargnięcie. To pozwoli państwu osiągnąć pewną satysfakcję.

– Chciałam zemsty, durny kocie, nie satysfakcji – powiedziała zrezygnowanym głosem Whitmore. Odszukała wzrokiem najbliższy fotel i usiadła w nim. – Co on robi?

Bathory nie od razu zdał sobie sprawę, kogo i o co pyta jego klientka.

– Nasłuchuje – odparł w końcu, kiedy zorientował się, że chodziło o Maca, który niespokojnie nadstawił uszu. – Co się dzieje?

– Policja jedzie.

– Nie wzywałem policji – zastrzegł Karol.

– Policję wezwał nadzór, proszę pana – wyjaśnił kamerdyner. – Warunki ubezpieczenia domu wyraźnie mówią o konieczności wezwania odpowiednich służb w wypadku przemocy z użyciem narzędzi. Inaczej żadne szkody nie zostaną pokryte.

Bathory rozłożył ręce.

W tym momencie Smith rzucił się do ucieczki.

Zanim Diana z Karolem zdążyli zareagować, był już za drzwiami.

– Zamknij drzwi wejściowe! – krzyknął Bathory.

Odgłos tłuczonej szyby dochodzący z parteru nie zostawiał wątpliwości co do drogi, jaką wybrał Smith.

– Wyglądał, jakby ledwo trzymał się na nogach – stwierdziła Diana Whitmore, zdezorientowana. – Co to jest?

Bathory podążył za wzrokiem klientki. Na dywanie przy fotelu leżała karta vivo.

– Nasz gość chyba coś zgubił – stwierdził. – Sądząc po miniaturze, to zapis ostatniej godziny wpięcia.

– Może zatem zostawił nam prezent.

– Żebyśmy nie wnosili zarzutów?

Bathory kiwnął głową.

– Chcesz drinka? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, nalał whisky do dwóch szklanek.

Whitmore obróciła się na pięcie i wyszła.

Nienawidziła płakać przy ludziach.

## EPILOG

– O co chodzi? – Diana Whitmore rzuciła kpiące spojrzenie na gościa, który po raz pierwszy od dwóch lat zasiadł w fotelu w jej salonie. Trzymał grubą szklanekę, napełnioną whisky na dwa palce i grzał ją ciepłym dłoni, napawając się wybornym, szlachetnym aromatem.

– Znalazłem w końcu – odparł Bathory, patrząc jej prosto w oczy.

– Smitha? Po co? Chcesz wydać mu resztę?

– Smith nadal znajduje się na listach osób poszukiwanych przez dwie największe agencje łowieckie, ale nie o niego chodzi.

– Cóż zatem cię sprowadza do mojego skromnego domu, Karolu? Mam nadzieję, że nie postanowiłeś użyć na mnie żadnej nowej strategii sprzedaży bezpośredniej. Przypomnę ci, że mamy rok dwa tysiące sześćdziesiąty trzeci. Handel obwoźny został zakazany w Londynie jakieś pięćdziesiąt lat temu. Albo nawet i sto pięćdziesiąt – prychnęła i uśmiechnęła się zwodniczo. Kiedyś Bathory wzięłby ten wyraz twarzy za uwodzicielski. Teraz wiedział już, że czai się za nim wyłącznie drwina.

– Znalazłem coś dużo bardziej wartościowego.

– Śpieszę się na przyjęcie, taksówka odjeżdża za dwanaście minut. Do rzeczy, proszę.

– Drumloft – powiedział Bathory i wyczekująco spojrzął na Dianę.

– Co z nim?

– Znalazłem go.

– Gratulacje, chociaż nie miałam pojęcia, że zgubiłeś. – Diana pogłaskała fotel w sposób, który Karolowi skojarzył się wyłącznie ze zniecierpliwieniem.

– Wszyscy go zgubiliśmy – ciągnął niezrażony. – Jak pewnie pamiętasz, vivo, w którym mieszkała twoja sobowtórka, zostało zapieczętowane i każdy legalny dostęp do niego odcięty. Skutecznie, naprawdę skutecznie. Nikt od tamtej pory nie słyszał już o Drumlofcie, bo tylko stamtąd można było się do tej krainy dostać.

– Zgoda. I co teraz?

– Może chcesz tam zamieszkać? Z Johnem.

– Wyjdź! – Pokazała mu drzwi gestem, którym sto lat wcześniej odesłałaby służącą zbesztaną za nie dość ścięte jajka na miękko.

– Pamiętam, że byliście tam szczęśliwi jako Humlain i Doris. Dlatego pomyślałem, że mogłabyś chcieć skorzystać z okazji. Tyle że ona nie potrwa długo, nie mogę utrzymać tego połączenia otwartego. To zupełnie nielegalne, jak pewnie wiesz. Władze cholernie się boją, że jakaś smocza dusza mogłaby i tutaj przypląć. Albo inne paskudztwo.

– Jak śmiesz proponować mi kolejny raz wskrzeszenie Johna? Nie dość wiele razy ci odmawiałam? Masz jeszcze siedem minut, żeby jakoś mnie przeprosić. Jeśli ci się nie uda i kiedykolwiek spróbujesz się tu pokazać, poszczuję cię psem. Jak się wkurzy, nie odpuści, kopnięcia go tylko rozgrzewają. Spraw sobie takiego, doskonały na natrętów. Lepszy nawet od kota.

Bathory westchnął.

– Diano, ja mówię serio. Oboje z Johnem wspominaliście tamto miejsce, i to kilka razy. Pomyślałem, że może jakoś wynagrodziłbym wszystko, co ...

– Nie stać mnie na kolejną sobowtórkę i odtworzenie Johna, Bathory. Zrozum to wreszcie. A już na pewno nie zaciągnę hipoteki tylko po to, żeby się szwendać po jakiejś smoczarni. Poza tym, skoro nie możesz trzymać połączenia otwartego, to jak miałabym z niego korzystać?

– Nie rozumiesz, Diano. Nie mówię o sobowtórce. Mówię o zamieszkaniu tam. Zupełnie. Na zawsze.

– Chcesz powiedzieć – zapytała Whitmore lodowatym, ostrym tonem – że namawiasz mnie do eutanazji? Mam siedemdziesiąt lat i nigdzie się nie wybieram. Dożyję stu pięćdziesięciu, a potem na stos, jak mój Angol z innego świata. Innych planów nie mam. Zegnam, panie Bathory. Możesz odwołać psy gończe, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Czekaają na mnie z szampanem.

– Rozumiem twoje wzburzenie, Diano. Ale przemyśl to, masz trochę czasu. Wyżebrałem w Kairze pięćdziesiąt godzin okienka. Upłyną równo za dwie doby. Wezmę na siebie wszystkie koszty. Chcę tylko naprawić swoje błędy.

– Znasz drogę do wyjścia! – Whitmore wstała z fotela.

Bathory odstawił szklankę na stolik i również wstał. Skinął głową i bez słowa opuścił pokój.

– Wyszedł? – zapytała asystenta, kiedy do jej uszu dobiegł odgłos zamykanych drzwi wejściowych.

– Tak, proszę pani.

Uniosła rękę nad głowę i z całej siły cisnęła o podłogę szklanką z grubego, rżniętego szkła. Powstrzymała przekleństwo, ale tylko żeby nie poczuć ani odrobiny ulgi. Żeby wsłuchać się dokładnie w ból.

– Tak cholernie za nim tęsknię – powiedziała. – Rozumiesz, co to znaczy tęsknić?

– Tak, proszę pani. Ludzie tęsknią za bliskimi osobami, kiedy skazani są na dłuższą lub czasem nawet krótką rozłąkę. W szczególności dotyczy to śmierci takiej osoby.

– Brawo. Wiesz zatem, o czym mówię. Powiedz mi więc, czy po eutanazji będę tą samą osobą? Czy w tym całym Drumlofcie to będę ja czy jakaś cholerna dublerka? Czy moja tęsknota zostanie zaspokojona, czy ktoś inny będzie szczęśliwy, a ja dalej będę płakać, tylko gdzieś w grobie?

– Nie wiem, proszę pani. Jest to przedmiotem ciągłej dyskusji vivologów, teologów oraz filozofów, zarówno świeckich, jak i związanych z poszczególnymi religiami. Przybliżyć temat duszy i rzeczywistości świata vivo?

– Nie, dziękuję. Prześpię się z tym. Zadzwoń do Eulalii i powiedz, żeby nie czekała z szampanem. Muszę pomyśleć w spokoju. Mam tylko czterdzieści osiem godzin. Na razie włącz mi ostatnią piosenkę, jaką nagrał dla mnie John.

Usiadła w fotelu.

– *Every day when you wake up* – zaczął John Lennon. – *You're so glad that I'm real...*

Diana zamknęła oczy i pozwoliła mu śpiewać. Miała czterdzieści osiem godzin, żeby podjąć decyzję.

KONIEC































































































































































































































































































































































































































Vivo  
Copyright © Istvan Vizvary  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Robert Rajszcak  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.  
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-122-2

epub ISBN 978-83-7995-123-9

mobi ISBN 978-83-7995-124-6

Redakcja: Anna Kańtoch

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja i projekt okładki: Robert Rajszczyk

Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)

